



**OLIVER HARRIS
PODWÓJNE ŻYCIE**

Przełożyła ANNA MARIA NOWAK
Tytuł oryginału THE HOLLOW MAN

Dla Emily

Boże, daj mi siłę, bym umiał wieść podwójne życie.
Hugo Williams, *Prayer*

Rozdział pierwszy

Zamożne Hampstead spało głęboko przytulone do parku Heath. Pod platanami stały pokryte szronem mercedesy. Na gankach wiktoriańskich domów nie paliły się światła. Na ulicach panował mrok, tylko neon Starbucksa rozjaśniał ciemności.

East Heath Road w kierunku South End Green cicho przemykały pierwsze samochody. Posterunkowy Nick Belsey z wydziału kryminalnego nasłuchiwał ich odległego szmeru. Wciąż mógł odróżnić pojedyncze wozy, co oznaczało, że jeszcze nie ma siódmej. Zimno wilgotnej ziemi przenikało jego ciało. W ustach zgrzytał mu piasek, na języku został smak krwi i gnijącej kory.

Belsey leżał na niewielkim wzgórku porośniętym sosnami i odgrodzonym od świata kolcolistem oraz płotkiem z kutego żelaza. W sumie niegłupie miejsce na kryjówkę, pomyślał.

Gdybym jej potrzebował. Nieopodał dostrzegł swój płaszcz. W górnej części torsu czuł rwący ból, który promieniował na całą klatkę piersiową, ale nie potrafił wskazać jego źródła. Bolały go również kark i prawe ramię. Oddech zamieniał się w obłoczki pary. Policjant dźwignął się powoli, sięgnął po płaszcz, strzepnął go i przeszedł przez ogrodzenie na wilgotny trawnik.

Ze swojego miejsca widział Londyn rozciągający się aż po wzgórze Kent i Surrey. Niebo bladło na horyzoncie. Samo miasto wyglądało jak odrętwiały olbrzym pogrążony w pijackim śnie; Camden, dalej West End i City. Zegarek gdzieś zniknął. Belsey przeszukał kieszenie i znalazł zakrwawioną serwetkę, ulotkę jakiegoś ośrodka rekolekcyjnego, ale ani kluczy, ani komórki, ani

odznaki policyjnej.

Pokuśtykał w dół zarośniętym zboczem. Przeszedł przez boisko, a potem ruszył ścieżką do sadzawki. Buty miał przemoczone, woda chlupotała mu między palcami. Zatrzymał się przy stawie i rozejrzał, czy nie pojawił się żaden amator porannego pływania. Na razie nie. Ukląkł na betonowym mostku, pochylił się nad wodą i ochlapał sobie twarz. Krew skapywała mu z drżących dłoni. Próbował zobaczyć swoje odbicie, ale widział tylko połyskliwe, ciemne, jakby oleiste plamy. Dwa łabędzie przyglądały mu się bacznie.

- Dzień dobry - powiedział Belsey.

Począł, aż dostojnie odwrócił się i odpłynął, po czym zanurzył głowę w wodzie.

Rozdział drugi

Radiowóz nadal stał na parkingu w East Heath. Przednią szybę miał roztrzaskaną, drzwi od strony kierowcy otwarte.

Ślady krwi na żwirze prowadziły w stronę parku: duże plamy, nie pojedyncze kropelki; zapewne sprzed jakichś trzech godzin.

Na ziemi leżał powyginany metalowy szlaban. Wyglądało na to, że tylko on ucierpiał. Belsey nie zauważył śladów kolizji z innym pojazdem: resztek lakieru ani wgnieceń z boku. Odłamki szkła rozsypały się po masce. Na ziemi leżała blokada kierownicy. Schylił się po nią. Musiała wypaść przez przednią szybę w momencie zderzenia. Cudem nie rozwaliała mu głowy. Odłożył ją, wziął garść wilgotnych liści i wytarł kierownicę, dźwignię zmiany biegów oraz drzwi.

Niespiesznym krokiem opuścił parking i wyszedł na załom drogi łączącej Downshire Hill z South End Green. Po lewej ręce miał park, po prawej - wille warte miliony funtów. Panowała niczym niezmacona cisza. Każdy dzień ma swoją złotą godzinę, pomyślał Belsey. Zupełnie jak śledztwo. Głowisz się nad tym, kto zabił, aż nagle otwierają się drzwi i wszystko układa się w logiczną całość. Idąc, pociągał za klamki samochodów dopóty, dopóki nie otworzył jakiegoś opla astry. Rozejrzał się, wsiadł, otworzył

schówek na rękawiczki i wygrzebał drobne - wszystkiego trzy funty. Wziął je i wysiadł z samochodu, cicho zamykając drzwi.

W nocnym kiosku przy szpitalu kupił szczoteczkę do zębów, butelkę wody i wate. Lokal prowadziło dwóch braci Somalijszczyków. - Dzień dobry, inspektorze. Co się stało?

- Popływałem sobie trochę. Woda jest cudowna.

- Skoro pan tak twierdzi, inspektorze. - Uśmiechnęli się niepewnie i nabili zakupy na kasę.

- I wciąż jeszcze nie awansowałem na inspektora.

- Dobra, szefie.

Unikali jego wzroku. Nawet jeśli niepokoił ich jego wygląd, nie pytali, skąd te obrażenia twarzy.

Belsey wziął resztę, głęboko zaczerpnął tchu i ruszył Pond Street w stronę komisariatu.

Większość londyńskich komisariatów mieściła się w modernistycznych betonowych pudełkach. Ale nie w Hampstead.

Budynek z czerwonej cegły promieniował obywatelską dumą Rosslyn Hill. Wyżej umościła się zamożna, syta dzielnica, poniżej zaś zaczynało się brudne, zaniedbane Camden Town.

Belsey siadł na przystanku autobusowym i patrzył, jak z komisariatu po nocnej zmianie wychodzą zmęczeni, przygaszeni policjanci. O ósmej zjawiają się gorliwe ranne ptaszki. Dał im pięć minut i przeszedł przez ulicę.

Korytarze świeciły pustkami. Poszedł do szatni i znalazł apteczkę, a w niej paracetamol, bandaż i środek dezynfekcyjny.

Wyjął z kosza zepsuty parasol i włamał się do swojej szafki: zapasowy krawat, sfatygowany egzemplarz *Złotej gałęzi*, ale żadnych rezerwowych butów ani koszuli. Wyszedł na korytarz i znieruchomiał. Kilka metrów przed sobą zobaczył plecy szefa - inspektora Tima Gowera - który właśnie wchodził do stołówki.

Policzył do pięciu, po czym na palcach przemknął obok.

Wszedł na piętro do pustego biura wydziału kryminalnego i usiadł, nie zapalając światła ani nie odsłaniając okien.

Chwycił rejestr nocnej zmiany i sprawdzał pozycje po pozycji. Bójka w barze z kebabem, dwa włamania, jedno

zaginięcie... Na szczęście żadnego Belseya. Przeszukał szuflady biurka. Oczywiście były tam, leżały spokojnie. Jego odznaka i legitymacja. „Metropolitalna Policja J.W. Elżbiety II” plus korona w srebrnej tarczy. Czyli tyle z niego zostało. Sprawdził skasowany radiowóz. Okazało się, że należał do posterunku Kentish Town. Zadzwoił tam.

- Tu Nick Belsey z wydziału kryminalnego komisariatu w Hampstead. Jeden z waszych radiowozów stoi na parkingu w East Heath... Nie, nadal tam jest... Nie wiem... Dzięki.

Potem zamknął się w łazience i rozebrał do pasa. Przyjrzał się swojemu odbiciu. Zasnęta strużka krwi biegła od lewej dziurki w nosie, przez usta, po brodę. Przesunął po niej palcem.

Skaleczenie okazało się niewielkie, tylko rozcięta warga. Przeżyje. Prawe ucho miał mocno otarte, prawa kość policzkowa bolała, gdy dotykał, ale nie była pęknięta. Na torsie i prawym barku już pojawiały się ciemne rozległe siniaki. Belsey oczyścił skaleczenia, wypluł resztki ukraszonego zęba. Był nieźle napruty, wyglądał zarazem młodziej i starzej jak na swoje trzydzieści osiem lat. W jego chłodne, pozbawione wyrazu oczy policjanta wracało światło. Zdjął spodnie i zwilżył nogawki, a potem opłukał wodą marynarkę, próbując przywrócić ubranie do jako takiego stanu. Odwiesił marynarkę, włożył spodnie i wrócił do pokoju. Zajrzał pod biurko kolegi w nadziei, że upoluje jakieś suche buty, ale niczego nie znalazł.

Dyżurny oficer zostawił listę wiadomości - telefonów z ostatnich kilku godzin. Dzwonili jegomości, z którymi nie rozmawiał od lat, kilku dalekich krewnych i stary kolega.

Dzwoniłeś do mnie wieczorem... Belsey nie przypominał sobie, by do kogokolwiek dzwonił. Na obrzeżach świadomości zaczął czaić się strach.

Odsłonił nieduże okno przy biurku. Noc się ulotniła, po niebie sunęły cienkie chmury niczym smugi brudu na wodzie. To będzie wyjątkowy dzień, czuł to wyraźnie. Zimowe słońce wisiało nad horyzontem. W klarownym powietrzu wszystko rysowało się wyjątkowo ostro. Mężczyzna w samej koszuli otwierał drogerię,

zamiatacz uwijał się z miotłą, przesuając się w kierunku stacji metra Belsize Park. Obok niego w pośpiechu przemykali bankowcy i biznesmeni. Belsey przypomniał sobie o kartach. Odruchowo pomyślał, że powinien je zablokować, ale wtedy uświadomił sobie, że same się zablokowały kilka dni temu. Dawne życie nieodwracalnie umarło. Skoro nie ma kart, nie ma długów, a bez długów jest wolny. Nic go nie zatrzyma.

Najważniejsze jednak to zachować spokój.

Wyglądził leżące na biurku akta: jedna bójka, dwa włamania, jedno zaginięcie. W myślach już układał mu się plan. Zgłoszenie o zaginięciu przysłało ze stanowiska kierowania pół godziny temu. Oznaczało to, że zdaniem dyżurnego ktoś powinien zbadać tę sprawę, choć na ogół policja nie zajmowała się zniknięciami dorosłych. Prawdopodobnie zaintrygował go adres: Bishops Avenue. Była to najdroższa ulica w ich rewirze, a zatem pewnie i jedna z najdroższych na świecie. Gdyby chodziło o biedaka, nie zainteresowałby się tym pies z kulawą nogą.

Nikt nie ukrywał, że bogatych traktuje się inaczej niż biedaków.

Zostawił kartkę na biurku sierżanta: „Sprawa zag. męż.” i wziął kluczyki do nieoznakowanego auta. Potem wyszedł na dwór, sprawdził, czy wystarczy paliwa w baku, wrzucił wsteczny i wyjechał na Downshire Hill.

Rozdział trzeci

Jechał równo, bez pośpiechu. Czasem wyprzedził go jakiś land-rover z przyciemnionymi szybami, zza których wysuwała się ręka z papierosem. To nadciągała fala dojeżdżających do pracy spoza Londynu. Dopiero za pół godziny na ulice wyruszą rodzice odwożący dzieci do szkoły, ruch więc wciąż jeszcze odbywał się płynnie. Belsey wspinał się do Whitestone, mijając amatorów porannej przebieżki. Za Spaniards Inn skręcił w lewo i wjechał w enklawę bogaczy: Bishops Avenue.

Stały przy niej wyłącznie rezydencje. Każda miała inny system zabezpieczeń, choć wszystkie były jednakowo nowoczesne i wyrafinowane, a nade wszystko pozbawione gustu. Przy Bishops

Avenue mieszkali szejkwowie i książęta. Ogrodzone parcele o długości kilometra ciągnęły się aż do Hampstead Heath, ponurej trasy A1 albo głównej drogi prowadzącej do East Finchley. Ta uprzywilejowana część Londynu stanowiła zamknięty świat - nieprzenikniony, wyniosły, odgradzony od pospólstwa.

Na podjeździe przed numerem trzydziestym siódmym czekała blada blondynka. Na różowy uniform sprzątaczkę zarzuciła czarny żakiet. Raz po raz płytko zaciągała się papierosem. Piętrowy budynek za jej plecami wprost promieniał tępym samozadowoleniem nuworysza, pusząc się nowiutką czerwoną cegłą, białymi parapetami i białymi kolumnami obok czarnych, wypolerowanych na błysk drzwi. Na środku półokrągłego podjazdu stał maszt, na którym jednak nie powiewała flaga. Ścieżka z różowawego żwiru prowadziła na tył willi.

Kobieta zerknęła na sińce Belseya, potem na jego odznakę policyjną i zdecydowała się uwierzyć temu drugiemu.

- Niczego nie dotykałam - oznajmiła z polskim akcentem. Z jej ust wydobył się kolejny obłoczek dymu.

- Jak ma pani na imię? - spytał Belsey.

- Krystyna.

- Sprząta pani u zaginionego?

- Tak.

Ominął ją i podszedł do schodów.

- Jest ktoś w środku?

- Nie.

Zerknął na zamknięte okiennice. Pokonał cztery gładkie kamienne stopnie i zatrzymał się wyczekująco przed drzwiami, ale sprząteczka została na dole.

- Mieszkali sami? - Tak.

- Alarm jest wyłączony? - Tak.

- Kiedy ostatni raz go pani widziała?

- Nigdy.

- Nigdy go pani nie widziała?

- Zgadza się.

- To skąd pani wie, że zniknął?

- Zostawił list.

Belsey pchnął drzwi. Uchyliły się, odsłaniając przedsionek wielkości niewielkiego kościoła. Skojarzenie potęgowały marmurowa posadzka i wielki kryształowy żyrandol. W głębi wysoką fontannę, z której nie tryskała woda, okalała para identycznych krętych schodów wyściełanych czerwonym chodnikiem. Belsey wszedł do środka. W lustrach oprawionych w masywne ramy widział swoje poobijane, wymięte odbicie.

Czerwonymi stopniami wspiął się na pierwsze piętro, gdzie zjrzał do trzech sypialni z białymi wykładzinami oraz mnóstwem poduszek i łazienki z kamiennymi umywalkami, jacuzzi oraz złotymi mydełkami w kształcie muszelek. Oprócz tego znalazł myjki do twarzy z japońskich wodorostów i zrolowane ręczniki przewiązane srebrną wstążką. Nigdzie jednak nie dostrzegł śladów samobójstwa. Większość desperatów odbierała sobie życie w łazienkach, rzadziej w sypialniach.

Właściciela nie było w domu. Tylko jedno łóżko miało pomiętą pościel, jakby niedawno ktoś w nim spał. Belsey póty zaglądał do szafek, póki nie znalazł pantofli z wężowej skóry.

Zrzucił wilgotne buty i wsunął w nie nogi. Choć nieco za duże, idealnie dopasowywały się do stopy. Na szafce nocnej leżał portfel z kartami kredytowymi wydany dla A. Devereux.

Żadnej gotówki. Belsey wysunął szufladkę, ale znalazł tylko spinkę i reklamówkę z Harrodsa. Włożył do niej swoje buty i zszedł do kuchni.

Lodówka miała wbudowane radio i telewizor, a także wyświetlacz z informacjami, którym produktom kończy się okres przydatności do spożycia. Jeśli wierzyć panelowi, był to porcjowany kurczak, choć Belsey nie znalazł w środku żadnego drobiu, tylko zamkniętą butelkę szampana, chleb razowy, ser, słoiki z oliwkami i marmoladą, półtłuste mleko i połowę porcji gulaszu. Mleko pachniało świeżo. Detektyw sprawdził zamrażarkę: torebka krewetek i butelka wódki. Nigdzie nie było kawy. Obok stojaka z winami kusił lśniący stalowy toster. Wrzucił do niego dwie kromki chleba i nalał wody do czajnika.

Czekając, aż się zagotuje, snuł się po parterze, podziwiając nowe książki na półkach i nowoczesną sztukę na ścianach: surowe abstrakcyjne obrazy oprawione w efektowne złożone ramy. Przeszedł przez jadalnię - szklane świeczniki, długie kotary - potem zajrzał do gabinetu wyłożonego dębową boazerią. Na środku pokoju królował stół bilardowy na perskim dywanie.

List pożegnalny leżał na nim. Czarny atrament, elegancki papier listowy ze znakiem wodnym.

Wybaczcie. Długo mamilem się, że mogę żyć jak dawniej, ale to niemożliwe. Od roku czuję się, jakby zgasło słońce. Uwierzcie, proszę, wiem, co robię. Tak naprawdę będzie najlepiej. Uporządkowałem papiery i pozatwierałem formalności, żeby nie przysparzać Wam dodatkowych problemów.

Alex Devereux

Jak miło, pomyślał Belsey. List nie miał adresata. Może był skierowany do pracowników? Kto, u licha, podpisywał list pożegnalny imieniem i nazwiskiem? Kartka była z czerpanego papieru. Widniał na niej adres Bishops Avenue i motto: „Człowiek żyje nadzieją”.

Belsey porównał charakter pisma z notatkami na biurku - pasował. Dotknął kranów w łazience, sprawdzając, czy są ciepłe, skontrolował też zamki w oknach. Nacisnął klamkę drzwi prowadzących na dach - otworzyły się natychmiast. Wyszedł na zewnątrz i aż się zachłysnął. Poranny wietrzyk marszczył wodę na basenie z efektowną ukrytą krawędzią, dzięki czemu akwen wyglądał, jakby nagle się kończył. Wokół niego stały leżaki. Na powierzchni nie unosił się trup. Dalej, za kratkami pergoli widać było trawniki i kort tenisowy, granicę posesji, boiska i wreszcie samo Hampstead Heath, którego nagie gałęzie wyglądały, jakby drapały niebo.

Belsey wrócił do salonu i zaczął eksperymentować z przyciskami telewizora plazmowego wiszącego nad kominkiem. Posmarował masłem tosty i, jedząc, ponownie przeczytał list. Następnie wyszedł przed dom i wrzucił do radiowozu swoje zniszczone buty. Krystyna siedziała na murku.

- Jakieś sygnały świadczące o tym, że pan Devereux miał kłopoty? - zapytał.

- Nie.

- Od dawna pani u niego pracuje?

- Dwa miesiące.

- Zauważyła pani dziś coś podejrzanego? - Nie.

- Zniknęły jakieś pojazdy?

- Nie wiem.

- W jakiej branży pracował pan Devereux?

- Był biznesmenem.

- Doprawdy? Kto by pomyślał.

Belsey przeszedł na tył budynku, do ogrodu. Trawnik był pokryty szronem. Wypieszczone ścieżki, meble z kutego żelaza, obowiązkowe kamery i drut kolczasty. Nikt nie udawał, że bogacze odbierali sobie życie tam samo jak biedacy, ale nikt też nie kłamał, że kierowały nimi inne pobudki.

Sprzątaczką z namaszczeniem wręczyła mu klucze od rezydencji. Może tam, skąd pochodziła, obowiązywał taki ceremoniał, pomyślał Belsey. Może tam coś takiego było na porządku dziennym?

- Napije się pani? - zaproponował.

- Nie - odmówiła.

Rozdział czwarty

Belsey przejechał obok parkingu w East Heath. Rozbity radiowóz już zniknął. Uporządkowali wszystko, nawet odłamki szkła.

Zastanawiał się, co zarejestrowały kamery monitoringu. Na których ekranach pojawiła się twarz kierowcy? Zaparkował przy zajezdni na Highgate Road i przez chwilę siedział w samochodzie. Potem zmusił się, by wstać i ruszyć na obskurną główną ulicę Kentish Town.

Co właściwie zrobił? Wstąpił do biura doradztwa personalnego i wziął ulotkę zatytułowaną *Bankructwo i co dalej?* Stamtąd udał się do punktu bukmacherskiego, gdzie w rogu znajdował się barek z gorącymi napojami i kanapkami.

Wystarczyło mu akurat na kawę. Usiadł w głębi, połknął cztery paracetamole i zaczął czytać ulotkę: „Sporządź dokładną listę codziennych wydatków. Bądź szczery”. Odłożył broszurę grzbietem do góry.

Ubiegła noc stanowiła w jego życiu punkt przełomowy. Czuł to wyraźnie. Była jak gruba kreska dzieląca je na dwie części.

Pęknięcie dokonało się, kiedy wyczołgał się z rozbitego wozu i zanurzył w mrok. A skoro wylądował w okolicach Kentish Town, to znaczy, że szukał miejsca, by wypić drinka. Dopiero teraz przypomniał sobie, że faktycznie wpadł do sklepu przy Fortress Road. Zamierzał kupić fajki, ale okazało się, że nie miał portfela. To było jedną przecznicę od posterunku Kentish Town. Teraz sączył kawę, obserwując graczy wchodzących do lokalu. Hazardziści, pomyślał. Co za określenie. Wstał, pozostawiając ich w szponach nałogu.

Dyżur na posterunku pełnił stażysta, typowy żółtodziób: gorliwy dziewiętnastolatek z tlenionymi włosami. Belsey pokazał mu odznakę.

- Nick Belsey z komisariatu Hampstead. Podobno wasz radiowóz urwał się w nocy na samowolkę.

- Zgadza się.

- O której?

- Jego brak zgłoszono o trzeciej siedemnaście.

- Inspektor Gower prosi o nagrania. Nowy się zawahał.

- Nasze nagrania z parkingu?

- Owszem. Wiesz, gdzie są zapisywane? Na twardym dysku?

- Tak.

W tej samej chwili na drugim końcu sali pojawił się posterunkowy Robin Oakley. Mam przechlapane, pomyślał Belsey.

Kończył z nim kurs. Gość jeździł nissanem GT-R, kolekcjonował broń białą i nie potrafił trzymać języka za zębami.

- Nick - przywitał się Oakley, gapiąc się na podrapaną twarz Belseya. - Co ci się stało?

- Czy ktoś wczoraj oddał komórkę albo portfel?

- Bo co?

- Zgubiłem - wyjaśnił Belsey.

Oakley uznał to za świetny dowcip.

- Czy ktoś zwrócił portfel Nicka Belseya?! - krzyknął. -
Może być wszędzie. Rozumiesz, co mam na myśli, Nick.

- Nie.

Oakley uśmiechnął się szeroko. Żółtodziób patrzył na nich,
nic nie rozumiejąc.

- Mam iść i zapytać o ten parking?

- Nie trzeba - odparł Belsey. - Daj spokój.

- Jaki parking? - zaciekawiał się Oakley.

- Nieważne. Masz fajki? Wyszli przed budynek. Oakley z
kieszeni marynarki wyciągnął małe pudełko superkingów i
poczęstował Belseya.

- Jak się czujesz, głupku skończony? - zapytał.

- Widziałeś mnie wczoraj?

- Pół Londynu cię widziało.

- Gdzie byłem?

- Rozmawiałeś ze swoim przełożonym?

- Z Gowerem? Ostatnio nie.

Oakleyowi drgnęły usta, jakby powstrzymywał się od
śmiechu.

- Gdzie w końcu wylądowałeś?

- Bo co?

- Nick, musisz pogadać z Gowerem.

- Dobra. Co takiego zrobiłem?

- W pewnym momencie wylądowałeś u Wawrzyńca.

- Chryste.

Belsey zamknął oczy. Wawrzyniec Wspaniały był patronem
speluny przy Tottenham Court Road. Za dnia lokal ten udawał
przeciętną włoską spaghetterię, ale ponieważ miał licencję na
sprzedaż alkoholu do piątej rano i właściciela alkoholika, który
kompletnie nie panował nad sytuacją, kwitł w nim handel kokainą.
Ściany pokrywały mierne kopie mistrzów renesansu, a umywalki
w toalecie zwykle były obryzgane krwią.

- O której byłem u Wawrzyńca?

- Czy to ważne?

- Miałem jeszcze telefon?

- Wydzwaniałeś do wszystkich. Zapraszałeś ich do Wawrzyńca. Twierdziłeś, że masz urodziny, stary.

Belsey otworzył oczy. Oakley uśmiechnął się, kręcąc głową.

Rzucił niedopałek na drogę, poklepał kumpla po ramieniu i zostawił go samego.

Belsey dopalił papierosa i wrócił do samochodu. Powoli wracały mu wspomnienia. Teraz sam sobie przypominał, że gdzieś nad ranem wylądował u Lorenza. Zdaje się, że próbował sprzedać właścicielowi marynarkę. Usiłował też wyjaśnić jakiemuś klientowi baru, jak wpadł w spiralę zadłużenia. Obaj uznali to za przezabawne. „Spirala zadłużenia”, powtarzali.

Musieli wrzeszczeć, żeby zagłuszyć muzykę. „Teraz jadę na rekolekcje”.

Belsey pamiętał ulotkę, którą dostał w sklepie ze zdrową żywnością. „Gnębi cię niepokój? Niepewność? Jesteśmy ponadwyznaniową wspólnotą, prowadzimy rekolekcje uzdrowienia duchowego. Zapraszamy do naszego ośrodka w Worcestershire”. Na okładce znajdował się rysunek mężczyzny siedzącego ze skrzyżowanymi nogami. Promienie rozchodzące się z jego ciała miały zapewne symbolizować wewnętrzne oświecenie. „Stań się niczym dziecko, którego dusza jest pusta. Spokój ducha zależy wyłącznie od ciebie”. „Idziesz na odwyk?” „Nie jadę do kliniki, tylko do ośrodka rekolekcyjnego”. „Jakiego?” Przypominał sobie również, że w pewnym momencie jechał samochodem z facetem, który twierdził, jakoby pracował w MSZ-ecie. Gość miał nakłucia nawet na grzbiecie dłoni. Dopiero teraz zobaczył, od czego wszystko się zaczęło: stał w recepcji hoteliku w King's Cross, a przed nim w dwóch workach na śmieci leżał cały jego dobytek. Terminal odrzucił ostatnią jego kartę.

Belsey wiedział, że ta chwila kiedyś nastąpi, mimo to był zdumiony, gdy wreszcie nadeszła. Wszystko zaczęło się dwa

tygodnie temu, gdy bankomaty przestały akceptować jego karty. Początkowo odgrywał zdumionego, dzwonił na infolinię, rozmawiając z uprzejmymi doradcami z Bombaju czy innego Bangaluru. Siedział przy barze i trzymał długopis nad serwetką, jakby lada moment miał prowadzić ważne obliczenia. „Pycha jest największym wrogiem hazardzisty” - to jedno zdanie z jakiejś książki bez przerwy kołatało mu w głowie. Co właściwie zrobił? Miał dość sprytu, by żonglować zadłużeniem, ale zabrakło mu rozumu, by zrezygnować z życia ponad stan. Zgubiła go nadmierna odwaga - oto bolesna brutalna prawda. Był głupi, a do tego bezsensownie pewny siebie. Jego kumple hazardziści nazywali ten etap skokiem w przepaść. Przestał panować nad sytuacją i rzucił się w otchłań, gdzie nieuchronnie czekała zagłada. Czy właśnie to robił? Czy próbował ratować się, sięgając dna zadłużenia?

W miarę jak zbliżał się do limitu debetu na kartach, ogarniała go dziwaczna euforia. Szastał pieniędzmi na prawo i lewo, kupował prezenty nieznanym, obciążał konto datkami na organizacje dobroczynne, robił ostatnie szaleńcze zakłady - czy w miejscowości X spadnie deszcz albo kto wygra wybory w jakiejś odległej środkowoazjatyckiej republice. Wtedy wydawało mu się, że przeżywa iluminację, odkrywa prawdę ukrytą przed oczami prostaczków. Teraz wiedział, że tamten jego stan można by porównać do hipotermii. Najpierw odczuwa się przenikliwe zimno, które w pewnym momencie ustępuje miejsca zwodniczej błogości i spokojowi. Pozwolił sobie na kilka dni beztroskiego szaleństwa, a kiedy otrzeźwiał, było za późno na ratunek. Jego zadłużenie przekroczyło punkt krytyczny. Pensja nie wystarczała nawet na pokrycie odsetek kredytów, nie mówiąc już o takich ekstrawagancjach jak mieszkanie.

Właściciel przeproszał, wymawiając mu pokój. Ogromnie mu przykro, ale naprawdę nie ma innego wyjścia. To niewielki hotelik, nie może sobie pozwolić na straty. Do jego pokoju już wprowadziła się spłoszona, wychudzona rodzina. Zostawił jej swoje rzeczy. I tak nie miał serca zabierać ich z sobą. Razem z nim na bruk został wyrzucony młody Afgańczyk - Siddik Sahar - który

przyjechał do Anglii, by się ożenić. „Mnie odmówiono azylu, a tobie kredytu”, zażartował Siddik.

Nie wyglądał na przygnębionego. Powiedział, że i tak załatwił już formalności. Stali przed łuszczącą się fasadą hotelu Continental, paląc fajki. Belsey miał na sobie swój dyżurny garnitur, Afgańczyk - kurtkę pilota z amerykańską flagą na plecach. Przez aluminiowe rusztowanie wokół stacji St Paneras słońce padało na brudny chodnik i zakurzone witryny sklepowe.

Przez tych kilka miesięcy, które Belsey spędził w hotelu, zdążyli dobrze się poznać. Siddik dotarł do Zjednoczonego Królestwa przez Moskwę. Twierdził, że pracował tam jako przewodnik wycieczek i że w Afganistanie był więźniem politycznym. Miał dwie słabości: brylantynę i młode turystki.

- Pracujesz dzisiaj? - zapytał Belsey.

- Mam wolne.

- Potrzebuję świadka. Świadka i garnitur. Zapłacę pięćdziesiąt funtów.

- Jakiego świadka?

- Na ślub.

Panna młoda okazała się Słowaczką. Mieszkała w Edgware, miała rude włosy, chrapliwy śmiech, a na karku dyche więcej niż oblubieniec. Ślubu w ratuszu Marylebone udzieliła im znudzona urzędniczka. Belsey nie chciał pieniędzy, ale Afgańczyk uparł się, że zapłaci, więc za całą kwotę kupił szampana. Siedzieli w pubie przy muzeum figur woskowych. Belsey nie zamierzał pić. We troje obalili cztery butelki, po czym przenieśli się do baru pod salą scjentystów, gdzie odbywało się wesele.

Afgańczyk i Słowaczka wyglądali na szczęśliwych. Belsey zastanawiał się, czy został ktoś, do kogo mógłby zadzwonić z prośbą o pożyczkę - przynajmniej na nocleg. Odpowiedź brzmiała: nie.

Wspomnienia pchały się teraz jedno za drugim. O dwudziestej pierwszej dotarł do pubu w Waterloo, gdzie policjanci skrzyknęli się, by uczcić kolegę - opiekuna psa i znajomego jego ojca - który niedawno zginął w wypadku samochodowym we

Francji. Umówili się w Ten Bells, niedaleko miejsca, gdzie tresowali psy. Stawili się głównie gliniarze z pionu prewencji oraz grupka z wydziału narkotykowego. Stara gwardia: każdy z zaawansowanym nadciśnieniem i tubalnym głosem straganiarza. Na zewnątrz panował mrok. Belsey osiągnął ten etap, kiedy jedna chwila płynnie przechodziła w drugą, a on po prostu nie mógł zrobić fałszywego kroku. Przeżywał fantastyczną przygodę. Wszystko dobrze się skończy, a problemy same się rozwiążą. Hałaśliwie witał się z mężczyznami, których pamiętał jak przez mgłę, z czasów dzieciństwa, gdy ojciec pracował w Scotland Yardzie. Wszyscy się postarzeni. Przez krótki przerażający moment dostrzegł, jaka przyszłość go czeka. Ktoś postawił kolejkę brandy.

- Twój staruszek był świetnym policjantem, prawdziwym specem od morderstw, ale nawet na moment nie opuszczał pracy. Rozumiesz, co mam na myśli.

Nie, ani trochę. Ktoś próbował rozmawiać z nim o ojcu. *Co masz na myśli?* Przyprowadzili psa policyjnego. Ktoś zawiązał mu na łapie czarną wstążkę.

- Płacze.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nikt nie płakał. Zjawił się nadkomisarz dzielnicy - kapitan Northwood w paradnym mundurze. W ręce trzymał oprawioną fotografię zmarłego. Za nim sunęła żona Sandra. Nosiła szpilki, a platynowe blond włosy upinała wysoko. Była zadbaną, atrakcyjną kobietą po pięćdziesiątce, która z każdym awansem męża zyskiwała kolejną warstwę poluru. Northwood górował nad nią, aż sztywny z przekonania o własnej wielkości. Od incydentu z gaśnicą na policyjnym obozie treningowym serdecznie nie znosił Belseya. Wygłosił epitafium.

- Psy są bijącym sercem policji.

- Za człowieka, który kochał psy bardziej niż życie - powiedział ktoś.

Belsey także wzniósł toast. Stanął na krześle. Grała muzyka.

- Właśnie takiego pożegnania życzyłyby sobie Jim - zgodzili

się wszyscy, rześko upijając się w trupa.

Potem Belsey tańczył z Sandrą Northwood. Jej ciepłe, miękkie ciało wtulało się w jego ramiona.

- Och - westchnęła mu prosto do ucha i zachichotała.

- Pamiętam twojego ojca - dodała. - Pamiętam ciebie, jak byłeś jeszcze młodziutki.

Musnęła jego twarz, jakby szukała zagubionej drogi do przeszłości. Jej dłonie pachniały lakierem do włosów.

- Nicholas - zachichotała znowu.

Oczy miała mętne. Belsey zastanawiał się, czy spała z jego ojcem. Choć właściwie powinien chyba spytać, kto nie spał.

- Spałaś z moim staruszkiem? - zapytał. - Sandra? Słyszysz mnie?

Zapłacił taksówkarzowi z jej portmonetki. Sandra Northwood wysiadła razem z nim. Czyli tak mieszka kapitan, pomyślał, patrząc na niedawno wybudowany, wolno stojący budynek otoczony krzewami. Pytanie: gdzie się podziewał? Światła były zgaszone. Belsey odprowadził Sandrę do drzwi. W mieszkaniu nikogo nie było. Wszedł więc do środka zobaczyć, jak mieszkają szychy. Meble wyglądały na nowiutkie. Z niektórych wciąż jeszcze nie usunięto folii ochronnej. Sandra naląła wina z butelki stojącej na pomocniku.

- Mąż mówi, że jesteś jednym z najlepszych policjantów, jakich zna.

- Dziękuję.

- Jesteś przystojny. Zupełnie jak ojciec.

Zasnęła na kanapie. Belsey poszedł na górę. Szperał w szafkach łazienkowych, a z szuflady komody w sypialni wyciągnął strój wolnomularski. Włożył go: fartuch, rękawice, kołnier.

Był cudownie pijany. Zdjął regalia. Z kieszeni marynarki Northwooda ukradł dwadzieścia funtów, wysikał się do wanny i wyszedł.

Rozdział piąty

„Musisz pogadać z Gowerem”, radził Oakley. Najwyraźniej inspektor Gower podzielał tę opinię, ponieważ zaraz po powrocie

do komisariatu Belsey otrzymał wezwanie na dywanik. Siedzieli w gabinecie Gowera, Bóg wie, jak długo, patrząc na siebie.

- Jak wczorajsza bibka? - zagał wreszcie inspektor.

- Stosowna.

- Wiesz, pracowałem z nim przez jakiś czas. Świetnie radził sobie z psami. Gliną też był dobrym.

- Tak.

Gower miał srebrzysty wąsik, nosił jasne lniane garnitury.

Porządny, solidny gliniarz, typ menedżera, nie szalonego artysty. Przenikliwym wzrokiem mierzył poharataną twarz podwładnego. „Ostatnio przechodzę nieco trudny okres”, należałoby powiedzieć. To byłoby na miejscu. Choć nie do końca zgodne z prawdą, a Belsey zdecydował, że postawi na szczerość.

Postanowił więc powiedzieć: „Ostatnio przechodzę rozrywkowy okres”, co było bliższe prawdy i obciążone większym ryzykiem kontuzji.

- Wiadomo ci coś o zaginięciu radiowozu sprzed posterunku Kentish Town?

- Znalazł się na parkingu przy Hampstead Heath.

- Jak tam trafił?

- Nie wiem - odparł Belsey. - Ale zdaje się, że to moja robota. Chciałbym prosić o przeniesienie poza Londyn.

Gower wbił wzrok w biurko, jakby to on znajdował się w kłopotliwej sytuacji - co może było prawdą. Belseyowi zrobiło się przykro z powodu wciągnięcia tego porządnego funkcjonariusza w jego osobiste niepowodzenia.

- Jesteś naszym najbystrzejszym śledczym - odezwał się Gower.

- Bardzo chciałbym - powtórzył Belsey - pracować poza Londynem. Im dalej od niego, tym lepiej.

Inspektor przyjrzał mu się uważnie. Belsey był spokojny, wręcz zdecydowany. Na półkach za plecami zwierchnika tomy o prawie karnym stały obok oprawionych roczników pism ornitologicznych. Czytał tytuły na grzbietach. Oglądał zdjęcia rodzinne. Niektóre były odwrócone twarzą do gościa, jakby

mówiły: „Patrz! Widzisz, o co walczymy?”. Dwadzieścia lat temu Tim Gower jako starszy szeregowiec patrolował ulice Irlandii Północnej. Belsey próbował go pociągnąć za język w czasie imprezy bożonarodzeniowej, ale ten się wykręcił: „Stare dzieje”. Szanował Gowera, lecz obawiał się, że brakowało mu talentu i umiejętności niezbędnych do rozwiązania tej konkretnej sytuacji.

Gower przeniósł wzrok z Belseya na okno i z powrotem na Belseya.

- Co się z tobą dzieje?

- Chyba przeżywam jakieś doświadczenie religijne.

Inspektor wolno pokiwał głową.

- Najbardziej niepokoi mnie twoja obojętność - powiedział.

- Wobec doświadczenia religijnego?

- Wobec pracy.

- Chciałbym w niej pozostać.

- A może twój los po prostu cię nie obchodzi?

- Jestem dumny, że pracuję w policji - zadeklarował Belsey z gorliwością neofity. Może wręcz z nadgorliwością, bo nie chciał, żeby szef znowu wysłał go do terapeuty. Ciekaw był, o czym tym razem by rozmawiali. - Tak naprawdę - ciągnął - chciałbym... Więcej, potrzebuję zmiany otoczenia.

Gower pokręcił głową. Nie w sensie odmowy, tylko tak jakby Belsey odczytał niewłaściwą kwestię ze scenariusza.

- Northwoodowi coś się nie spodobało. Zażądał przesłuchania. Nie znam konkretów, ale chodzi o ciebie. Muszę wiedzieć dokładnie, co właściwie zrobiłeś.

Co właściwie zrobił? Maksymalnie podpadł kapitanowi Northwoodowi, facetowi, który awansował w strukturach dzielnicy, traktując Camden jako odskocznię do prawdziwej kariery. Zdaniem Belseya mocną pozycję zawdzięczał on głównie groźbom i zastraszaniu, bo na pewno nie średnio skutecznemu polowaniu na złodziei. A przecież na prawo i lewo obiecywał, że w ciągu następnych trzech lat przestępczość w dzielnicy spadnie o połowę. Rasowy polityk.

- Z całym szacunkiem, szefie, olać Northwooda.

Gower otworzył szufladę, wsunął jedną kartkę, a wyciągnął drugą.

- Nie, Belsey. Nie olejemy Northwooda ani nikogo innego. Nie siedzisz już w komendzie rejonowej.

- Owszem, i to od sześciu lat.

- Wiesz, o co mi chodzi.

To były jego pierwsze lata w wydziale kryminalnym. Starał się nie wracać do tamtych wspomnień. Zwłaszcza do przyjemnych.

- Radzę, byś wziął sobie wolne, trochę odpoczął - podjął inspektor. - Bez względu na to, jaka decyzja zapadnie.

- Nie chcę wolnego.

Gower zdjął skuwkę z pióra i zaczął wypełniać formularz.

Policja miała formularze na każdą okazję. Belsey jeszcze nie wypisał swojego, dotyczącego pana Devereux. Gość miał niezłą chatę. Kto chciałby rzucać coś takiego? Czego zabrakło w jego życiu? Może uznał, że dość się nachapał - zrobił swoje, więc może wypisać się z interesu? Posterunkowy zatrzymał wzrok na kolekcji zdjęć ptaków bagiennych. Wyobraził sobie młodego Gowera stacjonującego w Irlandii Północnej: w pełnym umundurowaniu pilnuje blokady w hrabstwie Armagh, ale przez lornetkę obserwuje ptaki. Wreszcie inspektor zamknął pióro.

- Przez dziesięć lat harowałem, żeby wyprowadzić ten komisariat na prostą. Nie pozwolę, żeby kryzys jednego funkcjonariusza znów nas pogrążył.

- Jaki kryzys?

- Daruj sobie te gierki.

- Po prostu jestem ciekaw, co pan rozumie przez „kryzys”.

- Nikt nie przeczy, że jesteś dobry, Nick. Ale nie aż tak dobry, jak ci się wydaje. Nie jesteś wart więcej niż cały komisariat razem wzięty.

- Nigdy tak nie uważałem - odparł Belsey.

Gower przejrzał formularz. Poprosił Belseya, żeby podpisał.

Podpisał, nawet go nie czytając.

- Co to? - spytał inspektor, ruchem głowy pokazując

książkę Belseya.

- *Złota gałąź*. - O czym to?

- O pogańskich korzeniach chrześcijaństwa, kulturze ludowej, mitach.

- Sądziłem, że o ptakach.

- O nich też. O różnych kultach ptaka.

- Kulty ptaka - westchnął Gower. - Wstępne przesłuchanie odbędzie się jutro. Wyznaczą ci przedstawiciela. Proszę, żebyś szczegółowo opisał wypadki poprzedzające ubiegłą noc.

- Począwszy od czego?

- Od przyczyny twoich kłopotów.

Belsey parsknął śmiechem. „Tam, gdzie ma rzetelność się kończy, tam ślepy jestem” - pomyślał. Gower ma rację, musi opisać drogę, która doprowadziła go do obecnej sytuacji: ekstrawaganckie wakacje na Cyprze, rachunek w barze za siedemset funtów, ubiegłoroczne szastanie forszą na zakładach dotyczących rozgrywek drugiej ligi brytyjskiej. Albo pierwsze pismo od komornika - z archaizmami w rodzaju „dobytek” czy „włości” - gdy komuś wreszcie znudziło się czekanie na spłatę wiaryzności. Napisałby też o tym, jak zaciągnął kredyt, żeby spłacić partnerkę, która właśnie od niego odchodziła, ale on nie chciał, by egzekutorzy zastukali do drzwi nieruchomości przez krótki czas nazywanej przez nich domem. A może powinien zacząć od pierwszej nocy na stanowisku posterunkowego, gdy patrzył na jasne okna osiedla Aylesbury odcinające się od ciemnego, bezgwiazdznego nieba? Którą z tych historii Gower chciałby usłyszeć? Inspektor odsunął fotel.

- To wszystko na dziś.

- Mogę pana o coś spytać?

- Wal śmiało.

- Obserwuje pan ptaki.

- Owszem - przytaknął ostrożnie szef.

- Co pan zrobi, kiedy już je wypatrzy? - Nic.

- Nic?

- Belsey...

- Opisuje pan wszystko ze szczegółami?
- Belsey, nie kontrolujesz się.
- Wręcz przeciwnie - odparł Belsey.

Rozdział szósty

Wbił mu nóż w jaja. Kopniakiem wyważyłem drzwi. Patrzę: opiera nogę o zlew. „Widziałem was”, mówi. „To po co żeś próbował go załatwić?” „Bo taka okazja mogłaby się nie powtórzyć”, on na to.

Belsey wszedł do biura. Koledzy umilkli. Derek Rosen całym ciężarem opierał się o jego biurko, a Rob Trapping przyglądał się scenie z uśmiechem na młodzieńczej, gładko wygolonej twarzy.

- I wtedy co? - zapytał Belsey.

- Wyciągnął ostrze i krew siknęła na wszystkie strony - odparł Rosen. Strzepnął gazetę i pogрузzył się w lekturze.

- Jak poszło? - zagaił Trapping. Miał dwadzieścia trzy lata, metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wciąż jeszcze był zakochany w tej pracy.

- Znakomicie.

- Przydałbyś nam się wczoraj - podjął Trapping. - Mieliliśmy atak nożownika przed pośredniakiem.

- Słyszałem.

- Okazało się, że to synalek Nialla Cassidy'ego, Johnny.

Jeszcze go nie znaleźliśmy. Podobno to twój stary dobry znajomy.

- A nie odsiaduje wyroku gdzieś w Hiszpanii?

- Na Balearach. Wypuścili go po dwóch latach. Wrócił, wysiadł z samolotu i od razu policzył się z gościem, który go wydał. Dźgnął go nożem w udo.

- Co mu się rzuciło na mózg? Zmiana strefy czasowej?

Trapping wybuchnął śmiechem. Jego komórka zadzwoniła.

- Zmiana strefy czasowej - powtórzył. - Trapping, słucham.

- Wychodząc z pokoju i odbierając telefon, wciąż jeszcze się śmiał.

Belsey usiadł przy biurku. Niall Cassidy. Kolejne nazwisko

z czasów, gdy służył w południowym Londynie. Miał wrażenie, jakby mechanizm szczelnie oddzielający przeszłość od terażniejszości się popsuł.

- Synu marnotrawny - odezwał się Rosen - ktoś cię szukał.

Z firmy windykacyjnej Millennium. Niejaki pan Walls. Walls jak lody.

- Walls jak lody?

- On tak powiedział.

- Ma poczucie humoru. Nie znam żadnego Walla.

- Pociesz się, że on ciebie też.

Rosen wrócił do lektury gazety. Belsey z podziwem patrzył na jego gładko ogolone, aż niebieskawe policzki i delikatną siateczkę czerwonych żyłek na skórze. Pan Walls, pomyślał.

Który z wierzycieli sprzedał firmie windykacyjnej Millennium swoje nadzieje na odzyskanie należności? I co im powie, kiedy wreszcie go wytropią? „Nikommu nie bądźcie nic dłużni poza wzajemną miłością. Kto bowiem miłuje bliźniego, wypełnił Prawo”*, jakby powiedział święty Paweł, patron Londynu.

* Rz.13,8n. Cytaty z Pisma Św. według Biblii Tysiąclecia, Poznań 1991 (przyp. tłum.).

- Słyszałeś kiedyś o jakimś Aleksie Devereux? - zapytał Belsey.

- O kim?

- Mieszka przy Bishops Avenue. Devereux.

Rosen zmarszczył brwi, szperając w pamięci. Oderwał wzrok od gazety.

- Nie. A bo co?

- Zniknął. - Z tego, co mi wiadomo, nie jest to jeszcze przestępstwo. - Wyszczrzył żółte zęby i otworzył stronę z wiadomościami sportowymi.

Fakt, to nie przestępstwo, pomyślał Belsey, ale niezbywalne prawo każdego człowieka, kobiety i mężczyzny. Wszedł do krajowego rejestru karnego, lecz Devereux w nim nie figurował. Obdzwonił dwanaście szpitali i trzy kostnice, policję wodną, biuro

informacyjne, ale tam też go nie znalazł. Zarejestrował go więc jako zaginionego.

- Za-gi-nio-ny - mamrotał rytmicznie pod nosem.

Potem siedział przy biurku i patrzył, jak nad ulicą zapada zmrok. Poranna fala płynęła teraz w drugą stronę: strumień pracowników wracających do domów, dzieci maszerujące z opiekunkami, z najnowszymi rysunkami w rękach. A potem gapił się na raport o pożarze w Chalk Farm: trzydziestopięciolatek podpalił swoją dawną szkołę. A gdy zrobiła się szóstka, w drzwiach pojawił się Trapping z płaszczem przerzuconym przez ramię i miną pełną nadziei.

- Drink, Nick?

- Nie dzisiaj, Rob. Mam jeszcze furę roboty.

Odczekał, aż komisariat opustoszeje, i wystukał na klawiaturze słowo „hańba”. Na monitorze pojawiło się zdjęcie zastrzelonego hitlerowca, leżącego w strumieniu. Strażnik obozu, który odebrał sobie życie. Upewniwszy się, że jest sam, Belsey wydrukował fotografię i zamknął ją w szufladzie. Oparł głowę na rękach, zamknął oczy. Marzył, by wrócić do domu.

Pub Wetherspoons znajdował się na górnym piętrze centrum handlowo-rozrywkowego przy Finchley Road - za siłownią, sklepem typu „dom i wnętrze” i kinem z ośmioma salami. Panowała w nim atmosfera sennego spokoju. Belsey wjechał schodami ruchomymi, mijając fontanny i sztuczne kwiaty. Obszerny lokal tonął w niebieskiej poświacie, jakby chciano uniemożliwić klientom odnalezienie żył na rękach. Belsey poszedł w najdalszy koniec, usiadł i słuchał zaciętej płyty, której monotonne przeskakiwanie najwyraźniej nikomu nie przeszkadzało.

Lubił tę sieć hoteli i pubów. Czuł się w nich jak w hali odlotów.

W ogóle lubił sieciówki: hotele, bary na lotniskach i dworcach kolejowych, miejsca pozbawione zapachu, które nie próbowały udawać, że mają własny niepowtarzalny charakter. Dopiero tam człowiek mógł naprawdę zebrać myśli.

Rozejrzał się po sali. Większość stanowili emeryci dumający w samotności przy swoich stolikach. Była też jakaś parka, której pospieszne, skrywane pieszczoty zdradzały romans pozamałżeński. Pracownicy rozmawiali po polsku, a w innej części rozkręcała się jakaś impreza biurowa. Sądząc po liczbie wolnych miejsc przy stolikach, Belsey stwierdził, że to pożegnanie osób zwolnionych w ramach redukcji zatrudnienia. Przez okna Wetherspoons rozciągał się widok na sześciopasmową Finchley Road, jakby projektant uważał ją za godny zainteresowania element krajobrazu. Belsey wsadził ręce do kieszeni i obserwował samochody, zastanawiając się, czy tak właśnie wygląda kryzys. Podobno człowiek nie zmienia się, jeśli nie sięgnie dna.

On zawsze wyobrażał to sobie jako głośny, bolesny upadek albo powolne, surrealistyczne schodzenie na dno oceanu.

Uczestnicy imprezy biurowej pili ostro, jakby mieli cały weekend na wytrzeźwienie. A była środa. Poluzowane krawaty, rozpięte bluzki, za barem firmowa karta kredytowa. Belsey wstał, okrążył grupę i podszedł do barmanki.

- Mogę dopisać trzy piwa do rachunku? - spytał.

- Jasne.

Dziewczyna napelniła kufle, nabiła należność na kasę i wsunęła paragon za leżącą na półce kartę Master.

- Coś jeszcze? Belsey wziął menu.

- Poleca pani miejski półmisek?

- Klienci chętnie go zamawiają.

- To poproszę. Do tego jeszcze podwójną wódkę z tonikiem i skwarki wieprzowe.

- Załatwione.

- Przepraszam, że jesteśmy tacy głośni - powiedział, kiedy nalewała mu wódkę.

- Ktoś odchodzi?

- Ktoś odchodzi, ktoś przychodzi. Kręci się to jak w kalejdoskopie, aż człowiek nie nadaża. Ale każda okazja dobra, żeby świętować. Od dawna pani tu pracuje?

- Od trzech tygodni.

- Podoba się pani ta robota?
- Może być.
- To mój ulubiony lokal.

Belsey wychylił przy barze wódkę z tonikiem, potem wrócił do stolika z piwem i skwarkami. Przez chwilę doskwierał mu brak telefonu. Niemożność skontaktowania się odczuwał niemal jak ból fizyczny. Incommunicado, pomyślał. Przede wszystkim chciałby pogadać z bankiem. Bardziej niż z kimkolwiek innym - przyjaciółmi czy krewnymi. To nie było zdrowe pragnienie.

Poza tym nie miał pojęcia, co by powiedział. Ale bank przynajmniej znał jego hańbę. Mógłby wystąpić o uznanie go za bankruta. Także moralnego. Wciąż jednak nie był pewny, czy chce zostać ocalony. Obecna sytuacja go przygniatała. Chciał, by coś go pchnęło, stało się bodźcem do działania. „Z tego, co mi wiadomo, nie jest to jeszcze przestępstwo”. Zniknąć. Zacząć od nowa. Na horyzoncie Belseya zamajaczyła nowa, niesamowita okazja.

Duszką opróżniał kufel za kuflem, równocześnie ostrożnie badając duszę w poszukiwaniu poczucia klęski. Naciskał delikatnie niczym ofiara wypadku sprawdzająca zębra. Niczego nie znalazł. Potrzebował snu. Przed oczami niczym sekwencje wyuczone w dzieciństwie przemykały mu obrazy: przystanki autobusowe, stacje kolejowe, przedsionki galerii handlowych - miejskie przytuliska, gdzie można spokojnie się ułożyć i nikt nie będzie człowiekowi przeszkadzał. Na stół wjechał półmisek: skrzydełka, pieczywo czosnkowe, nieduże parówki, ćwiartki ziemniaków w przyprawach, nachos, trochę śmietany i sosu barbecue. Belsey jadł metodycznie.

Oczywiście zawsze pozostaje mu Irak. Stary znajomy z obozu szkoleniowego usiłował go namówić, żeby się tam najął.

Simon Nickels pracował w prywatnej firmie ochroniarskiej w Bagdadzie. Zadzwoił do Belseya ni z gruchy, ni z pietruchy.

- Drinki w pubie policyjnym. Ja stawiam. Będzie cała stara gwardia.

Kogo obejmowała ta kategoria? - zastanawiał się Belsey.

Kiedy zjawił się na miejscu, zastał tylko Simona stojącego przy barze. Zapaścił wasy. Belsey jak przez mgłę przypominał sobie, że na jakiejś imprezie Nickels zemdlął w wannie.

- Nie pożałujesz. Tam zawsze jest słońce. I trzy baseny do wyboru.

- Trzy, powiadasz?

- Przeszkolą cię, jak korzystać z ich broni. Sprzęt cudo, pierwsza klasa. Z najwyższej półki.

- To mnie jakoś nie zachęca.

- Do dyspozycji jest pole golfowe, kino. Wszystko, czego dusza zapagnie.

- Pole golfowe i kino mam też w Finchley.

Nickels otarł pianę z wąsów. Na serdecznym palcu, gdzie kiedyś znajdowała się obrączka, nie było widać białego paska.

- Zarabiasz tyle, co maklerzy z City. Możesz codziennie grać w squasha. Wystarczy utrzymać jako taką formę i nie tankować za ostro, a po dwóch latach będziesz miał spłacony kredyt hipoteczny i jeszcze odłożysz forszę na studia dzieciaków.

- Nie mam dzieci.

- Będziesz miał.

- Z kim jeszcze się umówiłeś w czasie pobytu w Londynie?

- Tylko z tobą - zapewnił. - Tylko z tobą.

To było trzy tygodnie temu.

Barmanka zaczęła zbierać naczynia ze stolików. Belsey gapił się na jednorękiego bandytę - nieodzowny element każdego pubu, pomnik wystawiony przypadkowi. Rzekomemu przypadkowi oraz machlojkom, jakie odbywały się za plecami klientów. Bacznie przyjrzał się automatowi. Podebrał funta z napiwku zostawionego na spodeczku, po czym zastanowił się, czyby nie zadzwonić do irackiego naganiacza, ale potem wrzucił monetę do maszyny i przegrał.

Wpół do ósmej wylądował w North Start, niedużym, funkcjonalnie urządzonym pubie. Na wiktoriańskiej sztukaterii wisiały telewizory plazmowe. Obejrzał wiadomości nad ramieniem lokalnego alkoholika, który regularnie upijał się tu po pracy, a teraz

rozprawiał o seksie analnym i temu podobnych.

W wiadomościach pokazali młodego ciemnoskórego mężczyznę, który w zwolnionym tempie przefruwał nad siatką ogrodzeniową. Jakiś biznesmen stawiał kolejkę za kolejką, ale w końcu przestał i Belsey przeniósł się do Ye Olde Swiss Cottage.

- Byłem tu wczoraj? - spytał.

- A i owszem.

- Zostawiłem telefon? - Nie.

Pub w stylu szwajcarskiej chaty góralskiej stał na środku wyjątkowo paskudnego i ruchliwego skrzyżowania. Tylko nieliczni narażali życie, by rozkoszować się jego posepnym alpejskim urokiem. Trzeba jednak przyznać, że miał świetny stół bilardowy. Belsey rozegrał dwie partie, a kiedy zaczęła się bójka, ewakuował się do kolejnych lokali: Adelaide, Enterprise. W pewnym momencie władował się nawet w sam środek przyjęcia urodzinowego w Holiday Inn na Camdenie. Tam był szczęśliwy. A potem znów wylądował na zewnątrz. Wszystko grało. Z wdziękiem zsuwał się na coraz to niższe szczeble drabiny - od Neptuna, przez Cobden Arms, po pub sportowy, gdzie grało tak koszmarnie karaoke, że przypominało raczej tragedię grecką.

- Zaśpiewasz, Nick?

- Nie dzisiaj.

- Przedstawiam ci moją przyjaciółkę. Anne, Nick służy w policji.

- Policjant!

- Na wylocie.

- Zawsze chciałam poznać prawdziwego gliniarza.

- Nie będę nim długo...

Ale wciąż szło mu nieźle. Powrót na ulice Hampstead, gdzie świat wyglądał jak z folderu reklamowego: domy niczym drogocenne klejnoty, za oknami suterren stoły w stylu rustykalnym.

No i wierny Hampstead Heath, zawsze przy nim, nieodłączny jak cień. Sam nie wiedział, kiedy przeskoczył ogrodzenie, i oto brnął w odwiecznym błocie przez drzewa, które wyglądały znajomo niczym armia zjaw starych przyjaciół.

Dochodził już do Bishops Avenue, zanim zrozumiał, co właściwie robi.

Na ulicy żywego ducha, za bramami ciemne domy jak z bajki. Kolejny element tej bajki: nawet nie musisz tam być, nie musisz żyć w swoim życiu. W stróżówkach przy największych rezydencjach drzemali ochroniarze. W ciemnościach cicho śpiewały fontanny. Willa z numerem trzydziestym siódmym była odsunięta od drogi, spowita w ciemność niczym w żałobny kir. Belsey nacisnął dzwonek. Duch Aleksa Devereux zbliżył się do interkomu i zaraz się cofnął. W mroku budynek wydawał się większy, ocieślały od pustki. Belsey otworzył bramę i wszedł na podjazd. Wspiął się po schodach i zapukał. Odczekał chwilę, otworzył drzwi wejściowe i stanął w progu, nasłuchując. Wsunął się do środka i przysiadł na obramowaniu fontanny, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Wreszcie wstał, zapoznał się z bliska z systemem alarmowym, upewnił się, czy instalacja jest wyłączona, i zamknął drzwi.

Nie zapalił światła. Ostrożnie stąpając wśród szarych cieni luksusu, poszedł na samą górę i otworzył drzwi na dach. Mglista poświata księżyca odbijała się w pomarszczonej tafli basenu, który przypominał teraz melasę. Belsey zrzucił ubranie na posadzkę i zanurkował.

Woda była lodowata. Wynurzył się, głośno wciągając powietrze. Ale jej dotyk doskonale mu zrobił, otrzeźwił go. Belsey przekręcił się na plecy i dryfował, gapiąc się na brudne światło. Miał wrażenie, jakby sama woda była bogactwem.

Innymi słowy, nurzał się w bogactwie.

Przepląnął kilka długości, wytarł się, przeszedł do kuchni, odgrzał zupę z puszki, wziął jeszcze chleb i ser i zaniósł to wszystko do salonu. Tam zjadł, przyglądając się swojemu odbiciu w telewizorze. Potem wstał, otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz. Zapaliła się lampa halogenowa. Rośliny i meble ogrodowe znieruchomiały, jakby przyłapał je na gorącym uczynku. Lis wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

Cześć, przyjacielu. Belsey przykucnął, ale zwierzę

czmychnęło w krzaki.

Ogród ciągnął się do wysokiego drewnianego płotu z kamerami w każdym rogu. Belsey zastanawiał się, gdzie mogą być przechowywane nagrania. Nieco dalej stało coś w rodzaju estrady, a ciemne strużki wody spływały ze skalniaka do sadzawki. Nie zauważył w niej żadnych ryb. Wrócił do środka, zamykając drzwi. Potem - czym sam siebie zaskoczył - rogiem zasłony wytarł z kłamki odciski palców. Co właściwie tutaj robił?

Krażył po mieszkaniu, w głuchej ciszy szukając trwałych śladów obecności Devereux, piętna, jakie wycisnął na domu. Trafił na pokój, w którym znajdował się wyłącznie stolik do gry, a na nim dwie równiutko ułożone talie. Drzwi w suterenie zaprowadziły go do sali kinowej z trzema rzędami miękkich foteli. W pomieszczeniu unosił się zapach wilgoci. Była tam też jeszcze jedna łazienka - z telewizorem na ścianie i mnóstwem kolorowych butelek przy umywalce.

Belsey wrócił do sypialni. Na szafce nocnej stał bezprzewodowy telefon, obok leżała książka *Dziesięć sekretów skuteczne-go zarządzania czasem*. Cóż, na pewno jeden z nich już odkryłeś, pomyślał Belsey. Obwąchał pościel Devereux, a potem ubrania w szafie. Wyodrębnił zapach cygar i mocnej wody po goleniu, której nie znał. Nigdzie nie zauważył zdjęć. Może Devereux je zabrał. W przedpokoju i gabinecie znalazł kamery, ale nigdzie nie widział panelu sterowania ani dysku z nagraniami. Środek ściany po jego prawej ręce wypełniało lustro biegnące od sufitu po podłogę. Belsey przez dłuższą chwilę podziwiał gładkie, polerowane szkło i odbicie sypialni w jego tafli. Paradował przed nim, przymierzając ciuchy Devereux: koszule na spinki i niemodne szerokie krawaty.

Zszedł do kuchni, wysypał na podłogę zawartość kosza i zaczął grzebać w niej nogą. Wyłącznie katalogi i ulotki. Żadnych opakowań po jedzeniu ani chusteczek higienicznych. Niczego, na czym mogłoby zostać DNA. Przetrzęsnał sypialnię i gabinet w poszukiwaniu paszportu. Znalazł stary faks, butelkę whisky, pudełko kubańskich cygar, ale żadnych dokumentów. Na ścianie

pracowni wisiała oprawiona fotografia Pałacu Zimowego, obok okna zaś stała szklana gablota z modelem liniowca.

Od roku czuję się, jakby zgasło słońce. Belsey wrócił do salonu, położył się na wykładzinie i poczekał, aż otuli go ciemność. Włączył telewizor i nalał sobie koniaku z karafki. Czyli tak wygląda bogactwo, pomyślał. A po kolejnym kieliszku: Nigdy jeszcze nie zrobiłem niczego równie szalonego. Zadzwoił telefon. Belsey podskoczył jak rażony prądem. Wokół niego rozkrzyczały się aparaty: cyfrowy świergot z gabinetu i kuchni, cichsze brzęczenie z pokoi w głębi domu. Przeszedł do gabinetu. Wpatrywał się w telefon na biurku i list pożegnalny na stole bilardowym. Nasłuchiwał uważnie, jakby na podstawie sygnału potrafił rozpoznać, kto dzwoni i czego dotyczy sprawa. Sygnał rozbrzmiewał przez ponad minutę i w końcu ucichł.

Rozdział siódmy

Belsey obudził się tuż przed świtem. Leżał na podłodze w salonie. Kryształowy żyrandola wisiały nad nim jak łzy zbyt drogie, by spaść i się rozbić. Zegar na sprzęcie telewizyjnym pokazywał szóstą piętnaście. Belsey pamiętał, gdzie jest. Przetoczył się pod niski stolik i zasłonił łokciem twarz, ale sen już nie wrócił.

Prysznic Devereux miał bicz wodny na kilku wysokościach. Na panelu ściennym można było zaprogramować hydromasaż. W obszernej kabinie zmieściłyby się trzy, nawet cztery osoby. To dopiero byłaby impreza, pomyślał Belsey.

Miło byłoby tu kogoś przyprowadzić, doprawić tę mieszankę szczyptą kobiecości. Mył się przez dziesięć minut, potem wklepał w siebie kilka egzotycznych kremów, po czym owinał się mięsistym szlafrokiem ze złotym monogramem A.D.

Przejrzał się w lustrze. Nawet w łagodnym świetle jego twarz nie wyglądała nadzwyczajnie, ale ujdzie w tłoku. Lewe ucho zaczerwienione, policzek jeszcze trochę opuchnięty. Z prawej strony przy ustach - tam, gdzie skaleczenie było najgłębsze - zostanie blizna. Pamiątka. Reszta to tylko powierzchowne obrażenia.

Jego ciuchy cuchnęły, przeszedł więc do sypialni i wyłożył

na łożko kilka garniturów. Devereux najwyraźniej preferował jasnoszare spodnie, marynarki z odznakami klubowymi, krawaty w chorągiewki i jachty oraz żółte i różowe koszule z metką Savile Row. Tak ubierał się kosmopolita. Facet, który zajmował się interesami, a nie pracą. Belsey zdecydował się na garnitur od Armaniego - szary ze srebrzystą nitką - różową koszulę Ralphi Laurena i krawat w złoto-granatowe pasy. Zestaw wyglądał koszmarnie, ale właśnie dlatego mu się podobał. Rękawy były za długie, spodnie za luźne w pasie, ale za to pasowały do pantofli z wężowej skóry. Portfel Devereux ciągle leżał przy łożku. Belsey włożył go do kieszeni, żeby ją obciążyć.

Przez frontowe okno wyjrzał na ulicę. Upewniwszy się, że nikogo nie ma, wyszedł. Lekko zbiegł ze schodów i ruszył Bishops Avenue na północ, gdzie aleja powoli zatracala swoją świetność i przechodziła w zwyczajną podmiejską ulicę. East Finchley. Solaria i ciucholandy budziły się do życia. Właściciele otwierali kafejki. Wszedł do pierwszej z brzegu.

- Mogę poprosić o kawę? - spytał. - Nie mam pieniędzy, a chętnie bym się napił.

Kobieta za ladą parsknęła śmiechem.

- Chcesz kawę?

- Tak, małą. Dziękuję.

- Nie - odparła i znów się roześmiała.

Wmaszerował do Costa Coffee przy High Road.

- Ktoś mi zakosił kawę - oświadczył, pokazując pusty blat.

- Bardzo przepraszamy.

Zaparzyli mu świeżą. Belsey siadł przy stoliku i przejrzał zawartość portfela. Mnóstwo wizytówek drogich hoteli: genewski Mandarin Oriental, moskiewski Ritz Carlton, Marriott na Florydzie. Devereux najwyraźniej kolekcjonował hotele, tak jak inni gromadzą przydatne znajomości. Należał do klubu Les Ambassadeurs z siedzibą przy Mayfair. Posługiwał się kartą banku Barclays, czarną American Express, srebrną Visa i Diners Club. W przegródce został też paragon restauracji Villa Bianca sprzed czterech dni. Devereux zapłacił tam za dwa kieliszki wina,

tortellini z łososiem i sałatkę z mozzarella. Miał również kartę lojalnościową kawiarni przy głównej ulicy. Na końcu Belsey wyciągnął plik wizytówek. „Aleksiej Devereux, dyrektor, AD Development” - głosił napis. Firma miała biura w Paryżu przy Rue de Castiglione, w Nowym Jorku przy Piątej Alei oraz w londyńskim City.

Belsey wrócił do willi, w kuchennym aparacie włączył blokadę wyświetlania numeru osoby dzwoniącej i zatelefonował do londyńskiego biura.

- AD Development - odezwał się kobiecy głos.

- Mogę prosić pana Devereux? - zapytał.

- Niestety, nie ma go w biurze. Chce pan zostawić wiadomość?

- Nie - odparł. - Dziękuję.

Rozłączył się i wybrał numer paryskiego biura.

- *Bonjour* - przywitała go kobieta.

Odłożył słuchawkę.

Każdy bank ma swój zespół łącznikowy w policji. Belsey zadzwonił na specjalną infolinię Barclays, podał swój kod i został połączony z szefem działu kontroli zewnętrznej.

- Kontrola zewnętrzna - odezwał się męski głos.

- Czy to Josh Sanders? Mówi posterunkowy Belsey z Hampstead.

- Jak tam sprawy, Nick?

- Powolutku. Czekam na nakaz blokady rachunku w waszym banku i pomyślałem, że może udałoby się trochę przyspieszyć sprawę. Przeczytać ci numer?

- Wal.

Belsey podał numer rachunku Devereux. Sanders wklepał go do komputera.

- Pan A. Devereux?

- Zgadza się.

- Gość rzadko korzysta z konta.

- Kiedy po raz ostatni?

- Cztery dni temu. Wyjął sześćdziesiąt funtów z bankomatu

przy High Street w Hampstead.

- Ile ma na rachunku?

- Dwieście funtów na minusie.

- Jest pod kreską?

- Od tygodnia.

- Ma przyznany limit zadłużenia?

- Nie. Otworzył rachunek kilka miesięcy temu.

- Płatności?

- Tylko jeden zakup w ubiegłym tygodniu: „Najlepszy przyjaciel człowieka”.

- Najlepszy przyjaciel człowieka?

- To nazwa sklepu zoologicznego. Płatność potwierdzona PIN-em, Golders Green. Czy to ci coś daje?

- Na razie niewiele - odparł Belsey. - Masz tam może jego PIN?

- Wiesz, że nie mogę ci go podać, Nick.

- Wiem, Josh, żartowałem. Dzięki za pomoc.

Belsey odłożył słuchawkę. Rzucony lekko żart nie dawał mu spokoju. Tak uporczywie wwiercał się w mózg, że przestał być żartem i stał się interesującą możliwością. Belsey potrzebował biletu lotniczego. A nuż uda się go kupić dzięki drobnemu wsparciu pana Devereux? Usiadł z wizytówką, wziął arkusz papieru listowego i zaczął ćwiczyć podpis. Nie było łatwo.

Aleksiej Devereux lubił kaligrafię i zawijasy. Nikt już dzisiaj tak nie pisał. Takie litery pasowały raczej do staroświeckiej firmy sprzedającej za bająnskie sumy sprzęt ogrodniczy. Ale po dziesięciu minutach ćwiczeń podpis wyglądał prawie jak oryginalny. Belsey znalazł w szufladzie kuchennej kluczyki z breloczkiem Porsche. Chwilę trwało, zanim przez niewielkie drzwi w głębi kuchni trafił do garażu.

Tam w świetle jarzeniówek puszył się porsche cayenne - SUV masywny jak czołg, z przyciemnionymi szybami i błyszczącymi zderzakami. Stał samotnie, choć w garażu zmieściłoby się pięć samochodów. Belsey wsiadł do środka. W porsche cayenne można się poczuć całkiem wygodnie. Na desce

rozdzielczej zmieścił się odtwarzacz DVD z dotykowym ekranem i GPS. Wóz miał na liczniku ponad 140 tysięcy kilometrów. Bardzo dużo jak na roczny samochód. Belsey włączył nawigację satelitarną i sprawdził rejestr. Większość tras zaczynała się albo kończyła na lotnisku Heathrow. Często też pojawiały się adresy hoteli w centrum Londynu. Oznaczało to, że porsche był zapewne wypożyczony. Ale dlaczego Devereux miałby jeździć wypożyczonym autem? Zajrzał do schowka: instrukcja obsługi, chusteczka irchowa i okulary przeciwsłoneczne Prądy.

Przycisk na ścianie otwierał drzwi garażowe. Sekundę później rozsunęła się brama. Belsey wyjechał na miasto.

Dopiero po dłuższej chwili oswoił się z tym, że w swojej terenówce góruje nad innymi. Spodziewał się, że kierowcy z trudem przebijający się przez wąskie uliczki Hampstead będą patrzyli na niego wrogo, ale oni na jego widok rozstępowali się z szacunkiem. Zupełnie jak przed radiowozem. Belsey pojechał do Camden, zaparkował za bazarem przy Buck Street i wszedł do całodobowego sklepu z pamiątkami i tanim sprzętem.

Sprzedawcy snuli się zaspani. Wiedział, że można tu było potwierdzać transakcję podpisem - tutejsi pracownicy nieustannie dzwonili na komisariat, zgłaszając oszustwa. Skądinąd wiedział również, że ich kamera jest permanentnie uszkodzona. Pokręcił się chwilę, wreszcie wybrał otwieracz do butelek, zapalniczkę Zippo i scyzoryk z brytyjską flagą. Nie ma co szaleć na początek. Wyciągnął srebrną Visę i przesunął palcami po wytłoczonym nazwisku właściciela karty.

- Pakują państwo na prezent? - zwrócił się do kasjerki. - Nie.

- Trudno.

Spojrzała na kartę, obróciła w dłoniach, wsunęła do terminalu i wpatrzyła się w monitor.

- Pojawił się komunikat: „Skontaktuj się z wystawcą karty”.

- Naprawdę? - Tak.

- Ciekawe dlaczego.

Dziewczyna wodziła wzrokiem od karty do telefonu. Wiedział, co oznaczał komunikat. Coś nie zgadzało się w systemie.

Albo karta była zablokowana, albo Devereux zmienił adres, albo podróżował za granicą. Powinien po prostu dać dziewczynie inną kartę. Belsey rozejrzał się po sklepie. Nigdzie nie widział ochroniarza. Drzwi w głębi prowadziły do schodów przeciwpożarowych. Tylnym wyjściem mógłby wybiec prosto na High Street, jedną przecnicę od bazaru. Wzruszyła ramionami.

- Czasem po prostu się pojawia. - Aha.

- Ma pan jakiś dowód tożsamości?

Belsey pokazał jej wizytówki Devereux i jego klubową kartę członkowską.

- Będę musiała zadzwonić.

Na kasie miała listę ważnych numerów. Zadzwoiła do Visy, odczytała kod i nazwisko Devereux. Belsey w tym czasie liczył oddechy.

- Tak - mówiła. - Jest tu. Tak. Dobrze. Wszystko w porządku - zwróciła się do Belseya.

- Może pani spytać, ile mi zostało limitu?

- Ile wynosi saldo dostępne? - zapytała. - Pięćdziesiąt?

Dziękuję. - Rozłączyła się. - Pięćdziesiąt tysięcy.

- Pięćdziesiąt?

- Zgadza się.

Belsey dobrał jeszcze pocztówkę z napisem „Do widzenia” i ją również kupił.

Przejechał przez City, zaparkował na Tower Hill i jeszcze raz zerknął na wizytówkę Devereux: AD Development, St Clements Court, EC4. Zanim pożyczycy od gościa forszę, musi dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Przede wszystkim czy żyje.

Choć ostatnio City popadło w niełaskę, spacer po dzielnicy nadal budził dreszczyk podniecenia. Przytłaczające szklane tafle i kamienne płyty; ascetyzm, a obok barok i przepych.

Uwielbiał kościoły wciśnięte między instytucje finansowe.

Przywodziły na myśl statki, które osiadły na mieliźnie. Kilka lat wcześniej uczestniczył w akcji ich obrońców.

Przesiadali w świątyniach, żeby w ten sposób uchronić je przed zamknięciem. Dowiedział się o tej inicjatywie od ćpuna, którego litościwie nie aresztował. Pomyśl bardzo mu się spodobał. Właśnie rozpoczął pracę w Hampstead i potrzebował wyciszenia. Wcześniej w miejscach kultu spędzał najwyżej dwie minuty, nigdy nie przeszedł formacji religijnych. Pomyślał więc, że zacznie od budynków. Taką po prostu miał fazę. W tym samym czasie zaczął wykradać z pubów książki ustawione tam jako dekoracje. Zakurzone tomiszczą poświęcone historii i filozofii. Przeczytał nawet Biblię. Okazała się ciekawsza, niż przypuszczał.

Tyle tam mówiono o rozczarowaniu, odchodzeniu, zagubieniu.

Dziś rozumiał, że książki miały posłużyć jako stelaż pewnej konstrukcji. Może życia, w którym jest coś oprócz pracy? Nie udało się. Ale w kościołach przynajmniej odnajdywał spokój.

Każdy miał własny zapach - niektóre kojące i pogodny, inne zaś niewypowiedzianej samotności więziennej celi.

Belsey, przebijając się przez poranny strumień urzędników w ciemnych płaszczach i szalikach - dyżurnym zestawie zimowym - minął kolumnę upamiętniającą wielki pożar Londynu.

Na każdym budynku wisały ogłoszenia o biurach do wynajęcia, ale tłum był tu równie gęsty jak dawniej. Chwilę potrwało, zanim odszukał St Clements Court. Z głównej ulicy skręcił w labirynt coraz węższych i coraz bardziej krętych uliczek, aż wreszcie stanął przed fasadą kościoła St Clements. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że szczelina między przylegającym do niego cmentarzem a nieciekawym biurowcem prowadzi do kolejnej uliczki. W bramie wisała tablica z napisem: „Tu w 1784 roku mieszkał Dositej Obradovic, wybitny serbski pisarz”.

Naprzeciwko znajdowała się druga, również naruszona zębem czasu. Żelazna dłoń wyciągniętym palcem kierowała w mroczną alejkę: „Wejście do St Clements Court, numery 3741”.

Wchodząc w nią, Belsey miał wrażenie, jakby zanurzał się w tunelu wydrążonym w wapieniu. Nie próbuj zrozumieć logiki średniowiecznych labiryntów, pomyślał, gdy okazało się, że

numery od 37 do 41 kryją się za jednymi czarnymi drzwiami w wąskiej fasadzie zamykającej ulicę. Przypuszczał, że budynek mógł kiedyś przylegać do kościoła, może nawet mieściła się w nim plebania. Biura AD Development zajęły całą tę nieruchomości. W jedynym oknie wychodzącym na ulicę wisiała figlarna zazdrostka rodem z francuskiej restauracji. Przy drzwiach znajdowały się mosiężny dzwonek i wypolerowana na błysk tabliczka z nazwą firmy.

Belsey wspiał się na mur kościelny i zajrzał do środka. Szyba była zaparowana, ale zauważył sylwetkę młodej kobiety siedzącej przy biurku. Oprócz niej nie było nikogo. Wyglądała na zmarzniętą. Otulona w sweter coś pisała. Zeskoczył, zanim zdążyła go zobaczyć. Uświadomił sobie, że jest ubrany w rzeczy Devereux. Zdjął marynarkę i krawat, które najszybciej by go zdradziły, położył je przy murze i nacisnął dzwonek.

Zabrzęczała blokada. Belsey wszedł na korytarz: wszędzie złocenia, duże lustro w ramie i kwiaty na stole. Drzwi do biura już były gościnnie otwarte.

- Proszę wejść! - zawołała dziewczyna ze środka.

Pomieszczenie było urządzone stylowo, z patyną, która miała wzbudzić w gościu przekonanie, że ma do czynienia z firmą z tradycjami, od wielu pokoleń cieszącą się zasłużoną estymą.

Znajdowały się tam stanowiska dla czworga, pięciorga pracowników, ale w tym momencie straż trzymała tylko jedna dziewczyna: młodziutka brunetka, której świeżości nie zdołał ukryć nawet ostry makijaż. Stopy ogrzewała sobie przedpotopową dmuchawą. Na wieszaku obok trzech ciemnozielonych szafek na dokumenty wisiał tylko jeden damski płaszcz. W głębi stał duży mahoniowy stół, a przy nim, na tle zakurzonych zielonych zasłon skórzany fotel, niewykluczone że zabytkowy. W kominku ktoś artystycznie ułożył stertę szyszek. Wykładzina była podniszczona.

Dziewczyna patrzyła na niego wyczekująco. Wyglądała na stażystkę.

- Zastałem pana Devereux? - spytał.

- Nie. - Zawahała się. - Jestem jego asystentką. Czym mogę

służyć?

Miała dziwną twarz. Nie można było jej nazwać pospolitą, ale ładną też nie: duże wodniste oczy i niesamowicie blada cera.

- Wie pani, gdzie go znajdę?

- Nie. - Miętosła chusteczkę higieniczną.

- Dobra. A kiedy ostatnio był w biurze?

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nie. Nie sędzę. Czy to jego biuro? - Tak.

- AD Development zajmuje też pomieszczenia na piętrze?

- Nie. Biuro mieści się tylko tutaj. Można spytać, jak się pan nazywa? Przekażę, że pan był.

- Nie trzeba.

Już wychodził, gdy zawołała:

- Przepraszam!

Obejrzał się. Na jej twarzy malował się niepokój. - Tak?

- Zna pan pana Devereux? - spytała.

- Bo co?

- Cóż, trochę się niepokoję. Powinien się już zjawić. Nie przychodzi od dłuższego czasu.

Belsey zastanawiał się, jak to teraz rozegrać.

- Kiedy widziała go pani ostatni raz?

- Kilka dni temu.

Wrócił do środka, zamknął za sobą drzwi i przysunął sobie krzesło.

- Jestem jego dawnym współnikiem - odezwał się. - Może o mnie wspominał. Jack Steel. - Podał jej rękę.

- Ooo... Tak, może.

- A pani to zapewne...

- Sophie.

- Sophie, szczerze mówiąc, ja też się niepokoję. Dzwonił do mnie w ubiegłym tygodniu i powiedział... Cóż, sprawiał wrażenie przygnębionego. Mówił, że chce się pożegnać. Wtedy nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Pożegnanie?

- Odejście. Spodziewała się go pani dzisiaj?

- Zagląda co najmniej raz dziennie. Sama już nie wiem... -
zawiesiła głos.

- A pozostałe filie? Paryż? Nowy Jork? Kontaktował się z
nimi?

- Nie.

Belsey wstał, podszedł do biurka i znowu usiadł. Wysunął
spod biurka Devereux kosz i wyjął folię z pudełka po cygarach,
pustą reklamówkę oraz paragon z pobliskiej kafejki.

- Kiedy ostatni raz go pani widziała?

- W piątek.

Zaczął sprawdzać szuflady. Dziewczyna cmoknęła
niezadowolona.

- Chyba nie powinien pan...

- Wiem, co robię.

W szufladach leżały różnokolorowe kartonowe teczki.
Wysypał zawartość na biurko i szukał informacji o rachunkach
bankowych Devereux. Sophie obserwowała go z lekkim
przerażeniem.

- Jak się zachowywał? - spytał Belsey.

- W piątek? Wyglądał na rozkojarzonego.

Rozkojarzenie - oto największe niebezpieczeństwo. Nie
stać cię na brak koncentracji. Papiery niewiele zdradzały.

- Jak pani sądzi? Coś go niepokoiło?

- Wspomniał, że właśnie zaczął wydawać ostatni milion.

Belsey próbował powstrzymać uśmiech.

- Chyba żartował. To znaczy, nie wiem. Może nie. Nie
zastanawiałam się wtedy nad tym.

Wstał, odgarnął zielone zasłony. Za nimi były gołe cegły.

Puścił tkaninę.

- Interes się kręci? - zapytał.

- Tak mi się wydaje.

- Czasy są trudne.

- Wyjaśni pan, co się dzieje? Coś mu się stało?

- Ma pani dostęp do rachunków firmowych? - Nie.

- Dużo pani wie o bieżących kontraktach?

- Nic. To znaczy, wypełniam czeki. Pan D. osobiście nadzoruje wszystkie duże transakcje.

- Pan D.?

- To znaczy, pan Devereux.

- Spaliście ze sobą?

- Słucham?

- Spaliście ze sobą? Uprawialiście seks? - Nie.

Belsey sięgnął do najniższej szuflady.

- To jego prywatne dokumenty - zaprotestowała.

- Musimy ustalić, co się dzieje.

Wyjął teczkę i opróżnił. W środku był kalendarz. Belsey zaczął przerzucać kartki. Kalendarz samobójcy powinien wyglądać charakterystycznie. W poprzednim miesiącu wpisów było mnóstwo: nazwiska, godziny, czasem przekreślone trzy, cztery dni - Nowy Jork, Madryt. Potem zaczęło ich ubywać. Aż wreszcie zniknęły. Żadnych planów na lato, żadnych planów na wiosnę. Tylko ostatni wpis - samotny, kompletnie nie na miejscu - na jutrzejszy wieczór: „Kolacja”.

- Był umówiony jutro na kolację.

- Och, stale z kimś się spotykał.

- A potem najwyraźniej zamierzał się zwinąć. - Jak to?

Wyglądała, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. Kiedy wydmuchiwała nos, Belsey wyjął z kosza reklamówkę i zaczął wpychać do niej papiery.

- Co mam zrobić? - spytała dziewczyna.

- Nie dawaj się - uspokoił ją. - Jak znam Aleksieja, zaszył się gdzieś, żeby potem wszystkich nas zaskoczyć.

Rozdział ósmy

Belsey wrócił do komisariatu Hampstead. Wsunął do szuflady pocztówkę z napisem „Do widzenia”, potem ułożył na blacie nową zapalniczkę i scyzoryk, podziwiając je przez chwilę.

Schował zapalniczkę do kieszeni. Przerzucił papiery ukradzione z AD Development. Później obejrzy je dokładnie, kiedy będzie mógł się skupić. Na razie przecież jeszcze miał pracę. „Trzeba nam pełnić dzieła, dopóki jest dzień. Nadchodzi noc, kiedy

nikt nie będzie mógł działać” *. Na biurku leżał plik wiadomości do niego: z hotelu, w którym mieszkał, z firmy kredytowej, od byłej, od dalekiego kuzyna, którego nie widział od ślubu w 2004 roku. Ludzie dopytywali się, dlaczego nie odbiera komórki. Z telefonu służbowego zadzwonił do byłej.

* Por. J. 9,4.

- Odbieram. Tyle że go nie mam.

- Przecież odebrał jakiś gość. - I co powiedział?

- Że nie jest tobą. Wszystko w porządku, Nick? Ktoś mówił, że przepadłeś jak kamień w wodę.

- Ja? Przecież jestem w robocie.

- Głos ci się zmienił.

- Cały się zmieniłem.

- Na pewno nic się nie stało?

W korytku z korespondencją służbową leżała informacja, że o piętnastej ma się stawić przed IPCC, Niezależną Komisją do spraw Skarg i Zażaleń. Nie tracili czasu. Ktoś chciał się go pozbyć. Spojrzał na kartkę. A może rzeczywiście przepadł jak kamień w wodę? Albo ucieka. Niektórzy uciekają, choć nie ruszają się z miejsca. Wsunął wezwanie do kieszeni, wstał, przeciągnął się.

Dzień był stosunkowo spokojny. Większość personelu wyjechała na szkolenie w Enfield. Brakowało funkcjonariuszy, Belsey musiał więc się zająć szesnastolatkiem z kilogramem żywicy konopnej. Potem wziął marychę, kupił trochę bibulek do papierosów, wybrał kilka silk cutów i wrócił na komisariat.

Zaszył się w pokoju, gdzie przesłuchiowano ofiary gwałtów, i zapalił. Całkiem przyjemne miejsce. No, ale w końcu przecież takie miało być. Tutaj nikt go nie będzie szukał. Przemyślał plan, który rysował się coraz wyraźniej. Co musi zrobić?

Sprawdzić loty, zlokalizować paszport, zdobyć trochę grosza na podróż. Teraz, gdy już podjął decyzję, ogarnął go spokój.

Ostatni raz palił skręta, kiedy miał dwadzieścia kilka lat. Ileż nadziei i oczekiwań. Robota w policja jeszcze go kręciła, świetnie bawił się z kumplami. Zakładali się, który dalej dotrze radiowozem na nocnym dyżurze. Raz włączył koguta i dojechał aż

do Brighton. Pamiętał, jak stał oparty o barierkę, a na twarz przyskały mu krople fal rozbijających się o brzeg. Miał wrażenie, jakby dotarł do granicy swojego świata. Dojechał tu w czterdzieści dwie minuty autostradą M23. Skoro to takie proste, to jak daleko dotarłby po całej nocy jazdy? Albo tygodniu?

Każdą komórką ciała rwał się do ucieczki, do biegu. Patrząc na morze, pomyślał: Najważniejsze to się ruszać. Za nic nie wolno stanąć w miejscu, przenigdy. Zapomniał o tym. Smutne, że to, co najważniejsze, zawsze umyka z pamięci.

Przez pięć minut zbierał papiery na przyszlotygodniową rozprawę, która się nie odbędzie, bo jego na niej zabraknie.

Pozwanym był gość, który próbował zabić rodzinę po tym, jak stracił pracę. Bank pozbawił go linii kredytowej, sąsiedzi poczuli gaz. Belsey cieszył się, że nie będzie musiał obserwować, jak to się zakończy. Wymiar sprawiedliwości będzie musiał chwilowo obyć się bez jednego trybiku, ale chyba jakoś to przeżyje. Wpół do pierwszej wrócił na Bishops Avenue.

Na ścieżce pojawiły się drugie ślady butów. Błoto z parku, rozmiar czterdzieści trzy, podczas gdy on nosił czterdziestkępiątkę. Żadnego wzoru na podeszwie, smużka piasku na zewnętrznej krawędzi lewej stopy w miejscu, gdzie gość próbował ominąć różowy żwir. Prawdopodobnie najpierw okrążył budynek, sprawdzając, czy ktoś jest w środku, a potem podszedł do dzwonka. Belsey kucnął przy guziku. Metalowy.

Świetnie, odcisk palca powinien być wyraźny. Cofnął się i spojrział na okna. Nigdzie nie paliło się światło, zasłony wisiały nieruszone. Wyjął listy ze skrzynki na bramie. Wszedł po schodach i otworzył drzwi mieszkania.

- Jest tu kto?! - zawołał.

Cisza.

Krażył po pokojach, przeglądając pocztę Devereux. Otwierał koperty, wyrzucał ulotki. Liczył, że przyjdzie list z PIN-em albo chociaż z saldem konta, choć w tym momencie na niewiele by się to zdało. Przede wszystkim jednak coraz bardziej intrygowała go zagadka Aleksieja Devereux. Skąd jego decyzja?

Gdzie był?

Jak przystało na porządnego detektywa Belsey nie znosił zagadek. Niestety - jak przystało na złego detektywa - odkrywał ich zbyt wiele. Już pierwszego tygodnia pracy w wydziale kryminalnym inspektor John Harlow - jedyny oficer, którego naprawdę szanował - rozgryził go bezbłędnie: „To cię kiedyś zgubi, Nicku Belsey. Nie wiesz, kiedy odpuścić ani kiedy przestać pytać, do cholery”.

W poczcie znalazł ulotki trzech pizzerii, ofertę firmy telekomunikacyjnej i garść katalogów: artykuły biurowe, sprzęt turystyczny, zabawki edukacyjne, odżywki i suplementy diety, markowe walizki i torby. Devereux otrzymał również cały zestaw broszurek na temat wybielania zębów. Belsey przeczytał je i przyjrzał się krytycznie swoim zębom: przebarwienia po kawie, a dziąsła, jakby miały za chwilę zacząć gnić.

W mieszkaniu zaczynało śmierdzieć. Belsey zapalił świeczkę zapachową z łązienki, usadowił się przy biurku Devereux, wyjął kilka kartek („AD Development: Człowiek żyje nadzieją”) i wieczne pióro, z którego zdjął skuwkę. „Cześć, jestem tu”, napisał. Patrzył, jak atrament wsiąka w gruby papier. Wziął świeżą kartkę i na górze napisał swoje imię, nazwisko oraz datę urodzenia. Zamierzał się wypowiedzieć. „Przepracowałem w policji dwadzieścia jeden lat”, zaczął i wena go opuściła.

Nie mógł dłużej ignorować smrodu. Cuchnęło zgnilizną. Pora opróżnić lodówkę, uznał Belsey, nie dopuszczając do siebie myśli, co jeszcze mógł oznaczać ten zapach. A z minuty na minutę śmierdziało coraz bardziej. Belsey przeszedł do kuchni.

W lodówce, w szafkach ani w koszu nic się nie rozkładało. Po podłodze łąziła samotna mucha.

Przykucnął, żeby się jej przyjrzeć. Pasiasty tułów, metalicznie niebieski odwłok. Położył się na brzuchu i przysuwał się powolutku. Widział oczy jak lśniące guziki i ruch poszczególnych odnóży.

Calliphora vomitoria. Plujka burczała. Przyciągała ją zgnilizna. Przynęła się do Belsey, sprawdziła jego dłoń.

Ogarniały go coraz gorsze przecucia.

Dwie muchy krążyły wokół oprawki w salonie. Trzecia wyleciała z korytarza. Plujki wyczuwały śmierć z odległości kilkunastu kilometrów, ale Belsey był dziwnie spokojny, że nie będzie musiał szukać aż tak daleko. Ruszył za następną. Zaprowadziła go na piętro.

Smród był najsilniejszy w sypialni. Belsey zasłonił usta i nos, zajrzał za firanki, pod łóżko, sprawdził szafy, ale nigdzie nie znalazł ciała.

Wrócił na korytarz. Sąsiednie drzwi prowadziły do pralni: szafki, wieszaki, wiklinowe kosze, dwie pralki i suszarka. Zajrzał do szafek, podniósł wieka koszy. Otworzył pralki i suszarki. Wszystkie puste. Pomieszczenie było spore, ale nie na tyle duże, by ukryć trupa. Co takiego znajdowało się między dwoma pokojami, że wypełniło całe pierwsze piętro?

Belsey wyszedł na korytarz i zapukał w ścianę. Odpowiedział mu głuchy odgłos.

Wrócił do sypialni. Przyjrzał się ścianie po prawej stronie i lustru na środku. Nacisnął taflę. Lekko się ugięła. Pchnął ramę - lustro okazało się drzwiami, za którymi znajdował się nieduży pokój. Belsey zajrzał do środka.

Z fotela obrotowego patrzył na niego mężczyzna w średnim wieku, w garniturze, z poderżniętym gardłem, z którego wypełzały robaki. Pomieszczenie było typową kryjówką: żadnych okien, zamki elektromagnetyczne, biurko, na nim telefon i dwa monitory przekazujące obraz z kamer. W rogu znajdowała się przenośna toaleta, pod ścianą stał zapas wody mineralnej i konserw. Na ścianach i suficie przywarły rdzawe kropki, jakby prawo ciężenia na chwilę o nich zapomniało.

Belsey wrócił na dół.

Nigdy nie wymiotował na widok trupa i nie zamierzał zrywać z tą tradycją. Wyszedł do ogrodu, przykucnął, wdychając świeże powietrze. To jednak nie wystarczyło, by usunąć z nozdrzy zapach zgnilizny. Wyjął z szafy Devereux szalik, zaparzył mocną kawę, wypił połowę i poczekał, aż reszta wystygnie.

Wtedy wylał resztę na szalik i obwiązał nim twarz. Spod zlewu kuchennego wyciągnął gumowe rękawiczki i wrócił na piętro.

Metaliczny zapach krwi był ledwo wyczuwalny. Wszystko zagłuszał obrzydliwy, słodkawy smród rozkładu. Krew z tętnicy szyjnej potrafi trysnąć nawet na sześć metrów. Tu skapywała z sufitu na twarz trupa, zostawiając kropki na jego twarzy, włosach i koszuli. Oczy mężczyzny pokrywała żółtawa mgiełka.

Był mocno zbudowany, przerzedzone rudawe włosy miał krótko przystrzyżone. Na gładko wygolonych policzkach pojawił się cień pośmiertnego zarostu. Gazy wzdęły ciało, ale jeszcze nie całkiem zniekształciły figurę. Belsey miał przed sobą twarz pełną charakteru przypominającą cesarów: wydatny nos, pełne wargi. Gość miał dość siły i odwagi, żeby wbić ostrze głęboko, i zrobił to z przekonaniem. Zaimponował Belseyowi. Na podłodze pod prawą ręką leżał nóż kuchenny.

Na biurku przed denatem leżała cienka zakrwawiona broszurka firmy Reflections z hasłem „Zaplanuj swój pogrzeb” i mottem „Spokój ducha”. Okładka przedstawiała dwa łabędzie na wodzie; w środku znajdował się cennik usług za kremację i pogrzeb - średnio dwa i pół tysiąca plus odsetki. Płaciło się ratami. „Jakże cenna jest świadomość, że zostawia się po sobie porządek i oszczędza rodzinie niepotrzebny ból”. Porządek?

- pomyślał Belsey. Rodzina? Rodzina Devereux musiała znajdować się gdzieś na drugim końcu świata. Devereux wybrał wariant za trzy tysiące - wystawił polecenie zapłaty ze swojego ROR-u na trzy tysiące dwieście funtów. Data: cztery dni wcześniej, odbiorca: Reflections Ltd.

Broszurka przydała się Belseyowi do zdrapania robaków z rany. Na szyi Devereux zostało sporo nacięć. Krótkie, równoległe draśnięcia wysoko za lewym uchem - przymiarki do samobójstwa. Potem pierwsze nakłucia przygotowujące grunt.

Wreszcie za czwartym podejściem wbił się głęboko. Tak głęboko, że nawet nie dociągnął do drugiego ucha. Rana kończyła się poniżej krtani. Ale, jak się okazało, tyle wystarczyło. Nie widać

było innych obrażeń - śladów walki na ramionach i dłoniach.

Belsey nie marzył o grzebaniu w robakach wijących się w nozdrzach denata, ale zmusił się, by się im przyjrzeć. Czerwia rozwijały się w najlepsze. Miały po centymetrze, ale jeszcze się nie przekształciły w dojrzałe osobniki. Zamknięte pomieszczenie, zima... Zgon nastąpił zapewne trzy do pięciu dni temu.

Belsey przyjrzał się sprzętowi elektronicznemu. Na twardym dysku kamer znajdowała się naklejka British Security Technologies. System był wyłączony. Belsey uruchomił go, zaczął sprawdzać historię, ale była wyczyszczona. Wyłączył i zamyślił się. Za długo pracował w policji, żeby nie wiedzieć, że ludzie kupują systemy alarmowe i kamery, a potem ich nie używają.

Ale jeśli ktoś ma majątek wart kilkanaście milionów funtów, raczej korzysta z takiego sprzętu.

Przeszukał garnitur. Kieszenie były puste.

Wyszedł z kryjówki, usunął swoje odciski z portfela Devereux i odłożył go na szafkę przy łóżku. Wyciągnął z kosza koperty z ostatnich dwóch dni i wsunął je do kieszeni. Potem wyszedł z domu, zamykając go na klucz.

Pieszko wrócił do komisariatu, siadł w gabinecie i zaparzył sobie herbatę. Zebrał papiery wyniesione z biura AD Development, po czym wyskoczył do budki i wybrał numer dyżurki.

- Cześć. Jestem kierownikiem firmy sprzątającej z Hampstead. Może pan przekazać wiadomość posterunkowemu Nickowi Belseyowi? Proszę mu powiedzieć, że pan Devereux, zaginiony z Bishops Avenue, wciąż nie dał znaku życia. Prosił, żeby go informować.

Wrócił do budynku, odebrał wiadomość, pojechał radiowozem na Bishops Avenue, wszedł do mieszkania i wezwał karetkę.

- Znalazłem denata - powiedział. - Nie, nie ma pośpiechu.

Rozdział dziewiąty

Karetką podjechała bez syreny i koguta. Wyskoczyło z niej dwóch mężczyzn i kobieta. Nie pędzili. W końcu zostali wezwani do nieboszczyka.

- Fiu! - zaświstali, wchodząc do domu.

Idąc po schodach, obstawiali, ile może być wart.

- Piętnaście baniek.

- Dwa razy tyle.

Potem dotarli do kryjówki i ciała pokrytego robakami.

- Fakt. Nie żyje.

- Próbowałeś go reanimować? - spytała kobieta i cała trójka zarechotała.

Nie zjawił się żaden waśniak, tylko lekarz patolog, jego asystent i fotograf. Ratownicy snuli się po domu, fotografując go komórkami. Wkrótce przyłączył się do nich asystent patologa, gapiąc się z rozdziawionymi ustami. Nikomu się nie spieszyło.

Kiedy fotograf zrobił już zdjęcia, a patolog potwierdził zgon, ekipa owinięła ciało folią i wyniosła na noszach do karetki.

- Gdybyś się za nim stęsknił, będzie w kostnicy przy St Paneras.

- Dziękuję - odparł Belsey.

- Kto potwierdzi tożsamość?

- Spróbuję znaleźć jakichś krewnych. Ale wątpię. Mieszkał sam.

- Dobra.

- Powinienem był go znaleźć za pierwszym razem. - Belsey smutno pokręcił głową. - Mogłem dokładniej przeszukać mieszkanie.

Karetką odjechała. Ochroniarz z domu naprzeciwno odprowadził ją wzrokiem.

Belsey wrócił do środka, zamykając za sobą drzwi. Otworzył wszystkie okna. Dlaczego w kryjówce? - zachodził w głowę. Cóż, czasem samobójcy woleli skończyć z sobą w ukryciu, żeby znalazła ich policja, a nie najbliżsi. Albo - w przypadku braku najbliższych - nie sprzątaczką. I było w tym coś subtelnego, szlachetnego. Zamykasz się w kryjówce, żeby poderżnąć sobie gardło. Belseyowi przypomniawszy się broszurka - pokryte koszty pogrzebu, pragmatyzm polecenia zapłaty. Trzeba przyznać, że w pewnym sensie to była bardzo taktowna śmierć.

A jak to wszystko wpływa na jego sytuację? Kto zajmie nieruchomości? Kilka godzin temu resztki z życia Devereux wydawały się podarunkiem losu. Teraz, gdy pojawiło się ciało, stały się opuszczone. Belsey czuł zapach większej wolności, ale i odpowiedzialności.

Zadzwoił do wydziału ksiąg wieczystych i poprosił o sprawdzenie hipoteki. Nieruchomość przy Bishops Avenue 37 należała do agencji wynajmu Drugi Dom, która specjalizowała się w obsłudze VIP-ów: „dla przedstawicieli kadry zarządzającej i ich rodzin; pośredniczymy także w znalezieniu szkoły”. Biuro agencji mieściło się w Hampstead przy High Street. Belsey zadzwonił. Odebrał facet o gładkim, pedziowatym głosie.

- Wynajmują państwo nieruchomość przy Bishops Avenue 37?

- Tak.

- Panu Devereux?

- Nie możemy ujawniać szczegółów. Jest pan dziennikarzem?

- Nie, policjantem. Jak długo wynajmował dom?

- Dzwoni pan z policji?

- Wydział kryminalny, komisariat w Hampstead.

- Może zechciałby pan wpaść do biura?

Belsey zadzwonił też do DVLA, Urzędu Ewidencji Pojazdów i Kierowców. Tak jak przypuszczał, porsche należało do wypożyczalni - City Inter-Rent, filie w Heathrow, Marylebone i Croydon.

Majątek Devereux okazywał się kolosem na glinianych nogach.

W DVLA Belsey ustalił też, że Devereux zrobił brytyjskie prawo jazdy trzy miesiące wcześniej. Poznał też jego datę urodzenia, drugi lutego 1957. Czyli odbierając sobie życie, miał pięćdziesiąt dwa lata.

W rejestrze kancelarii sądu handlowego nie figurowało AD Development, co oznaczało, że przedsiębiorstwo nie działało jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, nie miało udziałowców

ani rachunku firmowego. Takie sytuacje się zdarzały.

Rzadko, ale zdarzały.

Telefon zaczął uporczywie dzwonić. Belsey krążył po sypialni Devereux, nie reagując. Wziął fakturę z RingCentral („Twój system telefonii komórkowej. Wszędzie”). Zaintrygowało go to. RingCentral specjalizowało się w obsłudze firm, którym zależało na przekierowywaniu połączeń. A zdrowy rozsądek podpowiadał, że takie usługi są przydatne, gdy zmienia się siedzibę albo ma się mało pracowników. Belseyowi przypomniawszy się Sophie samotnie siedząca w biurze.

Aparat przestał dzwonić. Belsey wziął bezprzewodową słuchawkę z szafki nocnej. Jeszcze z niej nie korzystał. Wcisnął guzik powtarzania ostatnio wybieranego numeru. Odebrała kobieta.

- Halo?

- Cześć - powiedział Belsey.

- To ty? - zapytała.

W tle było słychać szum ulicy, czyjś śmiech. Rozłączył się.

Chwilę potem znów wziął słuchawkę i zadzwonił do kostnicy przy St Paneras.

- Przywiozła do was ciało z Hampstead. Aleksiej Devereux.

Mam osobę, która może potwierdzić tożsamość denata.

Wyślijcie kogoś pod ten adres. - Odczytał z wizytówki adres biura AD Development. - To siedziba firmy pana Devereux.

Zastaniecie tam jego pracownicę. Ma na imię Sophie. Nazwiska nie znam.

- Dobrze.

- Jeszcze nie wie. Rozegrajcie to taktownie.

- Jasne.

Kiedyś w takich sytuacjach wysyłano właśnie Belseya. Jeszcze w czasach, gdy nosił mundur. Przeżywali go aniołem śmierci, bo zgłosił się na ochotnika. Ktoś musiał to robić, a koledzy byli wdzięczni, że nie oni. Poza tym sprawiała mu ponurą satysfakcję świadomość, że nawet jeśli coś pójdzie nie tak, nikt nie będzie mógł się przyczepić. Dawno jednak już z tego zrezygnował.

Przeszedł do biura i usiadł nad papierami AD Development.

Mnóstwo zapytań o ofertę i propozycji zakupu; mnóstwo akronimów: SSI International, NK Trading, Saud Holdigns, LV Media. Wszystkie firmy były zainteresowane udziałem w przedsięwzięciach biznesowych AD. Wyglądało na to, że całkiem spora grupa biznesmenów chciała inwestować w Aleksieja Devereux. On zaś wszędzie szukał okazji do zarobku. Świadczył o tym chociażby plik listów, w których wyrażał zainteresowanie terenami w Szarm asz-Szajch i w Abu Zabi. Chętnie inwestował też we wszystko, co miało związek z bankami, sportem, mediami, hotelami i hazardem. Z tego wniosek, że część swojej fortuny zawdzięczał także jemu, Belseyowi. To sprawiało, że Belsey czuł się przynajmniej po części rozgrzeszony z tego, co zamierzał zrobić.

Sporo pism było adresowanych do Aleksieja Diemiczewa.

W większości dotyczyły chyba starych spraw: faksy z Rosji, moskiewscy prawnicy i księgowi czasem piszący cyrylicą, czasem po angielsku albo francusku. Belsey sprawdził numer na przedpotopowym faksie w gabinecie. Zgadzało się, przysyłano je na niego.

Na dnie leżał wyrwany skrawek jakiejś arabskiej gazety.

Belsey już miał go uznać za śmieć, kiedy zauważył, że jeden z artykułów zakreślono niebieskim mazakiem. Dziesięciocentymetrowej notatce towarzyszyła ziarnista czarno-biała fotografia, która przedstawiała Araba w jasnym garniturze podającego rękę jakiemuś blondynowi w okularach bez oprawek. Blondyn był młodszy. Obaj się uśmiechali. Na górze strony rzymskimi cyframi zapisano datę: 9 lutego, poniedziałek. Trzy dni temu.

Zakreślenie sprawiło, że wycinek nagle nabrał kluczowego znaczenia. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę zbieżność daty z samobójczą śmiercią Devereux. Czy Devereux znał arabski?

Belsey patrzył sfrustrowany na rzędy arabskich liter. Zabrał z sypialni portfel denata, złożył artykuł na pół i wsunął w przegródkę. Potem schował portfel do kieszeni i poczuł się lepiej.

Kolejny etap planu będzie wymagał zdobycia dokumentów na nazwisko Devereux, ale z jego fotografią. Prawo jazdy albo paszport. To powinno być łatwe. Wykorzysta adres Bishops Avenue, by otworzyć nowe konto z kartą kredytową i limitem zadłużenia, po czym odnowi znajomość z uroczymi konsultantami z pożyczkabezbołu.com. Tyle że tym razem z historią kredytową, która pozwoli mu na uzyskanie pożyczki w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy bez zastawu.

To wszystko jednak potrwa. Tymczasem Belsey czuł, że mógłby zrobić coś ambitniejszego, wykorzystując pieniądze, które już na niego czekały. Otworzył się przed nim cudowny nowy plac zabaw - życie Devereux - który dopiero zaczął penetrować. Nie da się nabrać na bajeczkę o ubogim rosyjskim przedsiębiorcy. Musi dowiedzieć się czegoś więcej o swoim celu. Nie ma czasu na sen.

Drogeria Galaxy znajdowała się w środku ciągu sklepów przy zapuszczonej uliczce w East Finchley, wciśnięta między punkt bukmacherski a chiński bar. W neonie nad nią brakowało Y, ale ten brak wynagradzał z nawiązką migoczący w witrynie napis „Czynne całą dobę”. Na wystawie królowały plakaty filmowe i karty telefoniczne, a kartka informowała przechodniów, że można tu również wypożyczyć DVD. Belsey wszedł do środka.

Najwyższa dostępna bez recepty dawka chlorowodoru efedryny wynosiła 180 miligramów. Jedynym preparatem dopuszczonym do wolnego obrotu były tabletki ChestEze zawierające 30 miligramów kofeiny, 18,31 miligrama efedryny i 100 miligramów teofiliny bezwodnej, należącej do przyjemnej rodziny ksantyn, czyli farmaceutycznych krewniaków kofeiny. Lek sprzedawano w opakowaniach po dziewięć pastylek.

Belsey podszedł do lady, za którą stał nastoletni sprzedawca skubiący skórę.

- Poradzono mi, żebym kupił na przeziębienie preparat ChestEze - odezwał się.

Chłopak spojrzął na niego nieufnie, po czym zdjął z półki opakowanie i położył przed sobą na kontuarze. Belsey udał, że z uwagą studiuje napisaną drobnym drukiem informację o produkcie

„Łagodzi kaszel oskrzelowy, likwiduje świszczący oddech, duszności oraz inne objawy astmatycznego zapalenia oskrzeli”.

- Mogę dostać dwa opakowania? - spytał.

- Przykro mi, mogę sprzedać tylko jedno.

- Drugie jest dla mojego ojca. To od niego się zaraziłem.

Chłopak uniósł brwi, ale odwrócił się po następne pudełko.

Poszło jak z płatka. Belsey poprosił, żeby poczekał, po czym doniósł jeszcze odświeżacz powietrza, witaminę oraz opakowanie sudafedu: dwanaście tabletek po 60 miligramów pseudoefedryny i 25 miligramów kofeiny każda.

- Nie mam do niej PIN-u - powiedział Belsey, wyjmując kartę American Express.

Chłopak przymknął oczy ze znużeniem niepasującym do kogoś tak młodego, po czym wcisnął guzik i podał Belseyowi ogryziony długopis.

Belsey wziął zakupy i udał się do biblioteki publicznej przy High Street. Tam poprosił o jednorazowy kod dostępu do komputera, zalogował się i wklepał nazwisko: Aleksiej Devereux.

Pierwsze wyniki wyglądały dość wiarygodnie: artykuł po rosyjsku w tamtejszej prasie i tekst w „Wall Street Journal”. Żeby przeczytać artykuł z „Wall Street Journal” w całości, trzeba było zapłacić, ale zaczynał się niezłe: „W grupie nowych oligarchów, którzy postanowili rozszerzyć działalność poza Rosję, bodaj najbardziej intrygującą postacią jest Aleksiej Devereux”.

Internetowy serwis poświęcony handlowi eurazjatyckiemu wymieniał Devereux w pierwszej piątce osób „zmieniających oblicze rosyjskiej branży rozrywkowej”, choć nie precyzował, na czym to miałyby polegać. Wspomniano tylko, że Devereux „konsekwentnie unika rozgłosu”, a nieco dalej autor napisał, że zagadkowy Aleksiej Devereux „wpompował dwa miliardy dolarów, by ratować podupadający kanał sportowy TGT”. Gazeta „Nowaja Sayat” łączyła gwałtowny wzrost wartości akcji Posky International z pogłóskami o przejęciu firmy przez Devereux.

Posky działało w branży hotelarsko-gastronomicznej. Notka zajmowała dwa i pół centymetra, do niej dołączony był

wykres kursu akcji z 2007 roku. Tylko opis w „Moscow Business Gazette” z października ubiegłego roku charakteryzował Devereux jako „wyjątkowego odludka z wyjątkowo dobrym nosem do inwestycji”. Wspominano też, że znajdował się na liście bożonarodzeniowej, czyli był jednym z dziesięciu przedsiębiorców, którzy w Boże Narodzenie 1998 roku zapoczątkowali drugą kolejkę wyprzedzaży. Szykany, jakim był poddawany Devereux w związku ze swoimi kontaktami z opozycją, w końcu zmusiły go do emigracji politycznej, kończył autor.

Belsey przeczytał ostatni artykuł dwukrotnie. O emigracji Devereux mówił jako o świeżej sprawie, a tekst pochodził sprzed dziesięciu tygodni. Autor wspominał też, że biznesmen miał biura w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku; i zapewne w każdym z tych miejsc będzie przyjęty z otwartymi ramionami.

Nikt jednak nie wiedział, co się z nim stało. Nikt też nie wiedział, co stanie się z jego firmami.

Belsey wrócił do domu. Smród zgnilizny powoli zaczynał ustępować. Owady przeniosły się na nowe żerowisko. Rozpryskał odświeżacz powietrza, po czym wyciągnął z lodówki butelkę szampana i otworzył. Zalecana dawka ChestEze dla dorosłych wynosiła jedną tabletkę co cztery godziny. Belsey połknął trzy, zapijając je kieliszkiem veuve clicquot. Zamknął kryjówkę i próbował zapomnieć o jej istnieniu. Własne działania budziły w nim lekką zgrozę, ale w tej sytuacji wydawała się ona przydatna i jak najbardziej na miejscu. Spojrzał na kartę American Express. Została wydana zaledwie pięć dni temu. Zadzwoił na infolinię, której numer widniał na odwrocie.

- Mam przed sobą nową kartę - powiedział - ale nie otrzymałem do niej PIN-u.

- Życzy pan sobie, żebyśmy przysłali nową?

- Potrzebny mi tylko PIN.

- Musielibyśmy wystawić nową kartę.

- Niech będzie. A PIN przyślecie oddzielnie?

- Zgadza się.

- Długo to potrwa?

- Dwa, trzy dni.

- A mogą państwo przysłać listem poleconym albo kurierem? Nie chciałbym, żeby tym razem coś się zawieruszyło.

- Niestety nie. Ale powinien pan otrzymać komplet w ciągu kilku dni.

- Zgoda.

- Ze względów bezpieczeństwa muszę dokonać weryfikacji danych. Zechce pan podać swoją datę urodzenia?

- Drugi lutego 1957.

- Kod pocztowy?

Belsey wziął do ręki katalog firmy ogrodniczej i odczytał go z adresu.

- Nazwisko panięńskiej matki?

- Diemiczew - strzelił.

- Przykro mi, proszę pana, ale nazwisko się nie zgadza.

Tego nie przeskoczy. Belsey zastanawiał się, jakim cudem dotrze do panięńskiego nazwiska matki Devereux. Oczami wyobraźni zobaczył postsowieckie archiwum pełne zakurzonych teczek. Zawsze go wzruszało stosowanie panięńskiego nazwiska matki jako zabezpieczenia - ta intymna znajomość przeszłości naszych rodziców. Ale nagle przestało.

- Jestem sierotą - powiedział.

Zapadło milczenie.

- Dobrze, proszę pana. Czy podał nam pan jakieś nazwisko? Może hasło?

- Zapomniałem.

- Bez tego nie będziemy mogli wystawić nowej karty.

- Dobrze.

Belsey się rozłączył. Odczekał kwadrans i zadzwonił do punktu przyjmującego zgłoszenia o oszustwach związanych z wykorzystaniem karty kredytowej.

- Wpłynęło może właśnie zgłoszenie dotyczące tej karty?

- Nie, nie widzę. Mamy przyjąć je od pana?

- Nie.

Z czystej ciekawości zadzwonił jeszcze do komisariatu City

i Urzędu do spraw Przepięstw Gospodarczych. Poprosił, by sprawdzili Devereux i jego firmę, ale nigdy o nim nie słyszeli, nie byli zainteresowani, zwłaszcza że - jak twierdzili - i tak mieli roboty po uszy.

Ofiara kradzieży tożsamości zwykle dopiero po roku orientuje się, co się stało. Żyjąca ofiara. Jeśli rzeczywiście zamierzał tego dokonać - kradzieży tożsamości Devereux - nie musiał się obawiać natychmiastowej wpadki. Czuł, że jest już gotowy.

Może wejść w jego skórę. Jeśli ma się narodzić na nowo, miło będzie przyjść na świat jako bogacz.

Rozpoczął metodyczne przeszukiwanie domu. Miał długą listę rzeczy, które chętnie by zobaczył: testament, książeczka czekowa, prawo jazdy albo inny dokument ze zdjęciem, kody PIN, hasła, notes z adresami, w którym Devereux mógł je zapisać, laptop. Na pierwszy ogień poszedł gabinet. Stała tam wytworna komoda składająca się z dwóch kominów połączonych łukiem. W kominach były półki, poniżej szuflady, a na dole podwójne drzwiczki - wszystko puste. Znalazł tylko czyste kartki, poźółkłe francuskie, włoskie i chińskie gazety, stare katalogi.

Puste okazały się też komody w salonie i sypialni. Belsey zajrzał też za obrazy w poszukiwaniu sejfu, a nawet pod stół w jadalni - wszystko na próżno; leżały tam tylko złożone obrusy i stały kryształowe kieliszki do szampana.

Za drzwiami, prowadzącymi - jak sądził - do garderoby, znalazł pokrytą kurzem saunę, obok kuchni z kolei - pomieszczenie gospodarcze, o którego istnieniu Devereux pewnie nawet nie wiedział. Stały tam pralka, deska do prasowania, sprzęt ogrodnika i sprzątaczkę, butelki środków czyszczących, opakowania pasty do podłogi, mopy, kombinezony robocze... Nic, co mogłoby mu się przydać.

Telefon znów zaczął dzwonić, uświadamiając Belseyowi dziwaczność jego sytuacji. Każdy sygnał był niczym pluśnięcie wiosła, coraz bardziej oddalających go od brzegu. Siadł w gabinecie, wpatrując się w model statku i Pałac Zimowy. Na razie

opuściła go chęć plądrowania. Ziemskie dobra Devereux były niczym zdanie urwane w pół słowa. Chciały o czymś powiedzieć. Może o samotności? Wygnanie było stanem umysłu - sam doskonale to rozumiał. Rozejrzał się. Ktoś próbował stworzyć w tym obcym miejscu domową atmosferę. Może stąd się brał ten niezobowiązujący styl?

O czym myślał Devereux, gdy tu siedział? Martwił się o pieniądze? Rozpamiętywał nieudane transakcje? Wspominał ojczyznę, do której nie wróci? Belsey wyobraził sobie pokryte śniegiem pola, sprzęt rolniczy, piaszczystą drogę. Chłopki sprzedające podróżnym miodownik. Fabryki, muskularni mężczyźni i sztandary. Podeszedł do okna, potem usiadł na podłodze i przyglądał się miejscu między biurkiem a starym fotelem. Coś tam błysnęło. Wczołgał się pod biurko i wyłowił przedmiot - zegarek udający roleksa. Srebrny, masywny. Na tarczy widniało logo firmy, ale wskazówka minutowa nie przesuwiała się płynnie, co od razu zdradzało podróbkę. Belsey trochę się zdziwił, bo nie podejrzewałby milionera o coś takiego. Choć mogło mu się już nie układać tak dobrze jak dawniej. Poza tym zegarek wyglądał przyzwoicie i chodził. Na srebrnym cyferblacie miał pięć tarcz, a do tego mnóstwo bajeranckich przycisków. Nawet podróbki potrafiły kosztować ładnych kilkaset funtów. Belseyowi zegarek się podobał. Jedna z tarcz pokazywała fazę Księżycy.

Założył go i wrócił go kuchni. Zatrzymał się przed stojakiem z winami. Otworzył trzy butelki i skosztował każdej: burgunda Cios des Lambrays Grand Cru, alzackiego rieslinga rocznik 1996 i czerwonego włoskiego wina z Piemontu rocznik 1989.

Uznał, że moralność nakazuje wykorzystać bogactwo w jednym celu: posłużyć się nim, by samego siebie zniszczyć. Spojrzał na podróbkę roleksa na nadgarstku, napił się burgunda, a potem wyszedł z rieslingiem nad basen. Niebo szarzało. Belsey rzucił buty i wyciągnął się na leżaku. Zastanawiał się, co robi człowiek, kiedy już dochrapie się takiego luksusu. Co odkrywa?

Postanowił, że musi się dowiedzieć czegoś więcej o

zarządzaniu czasem. Jego dotychczasowa kariera stanowiła substytut czasu - teraz to wiedział - ale rozpadła się mu się w dłoniach.

Nie miał pojęcia, co ją zastąpi. Marzył, by porozmawiać z Aleksiejem Devereux.

Postanowił jeszcze jeden, ostatni raz przeszukać dom.

Wcześniej tylko przelotnie sprawdził garaż, bo wydawał się pusty. Za drugim razem jednak okazało się, że przeoczył pojemnik na śmieci w rogu, obok bramy elektrycznej. Podniósł klapę i zobaczył niebieski, w połowie wypełniony plastikowy worek. Rozerwał go - w środku był papier.

Belsey zaniósł worek do salonu i wysypał zawartość na podłogę. Część dokumentów wciąż leżała w komplecie, tak jak zostały wyrzucone z teczek. Znajdowała się wśród nich korespondencja dotycząca jakiegoś przedsięwzięcia określanego mianem projektu „Budyka”. Na wierzchu był faks od prawników z jakiegoś Hongkońskiego Konsorcjum Gier Hazardowych dotyczący „ustaleń, które - jak sądzimy - uzna Pan za korzystne dla obu stron”. Proponowane ustalenia dotyczyły podziału płatności: osiemdziesiąt procent szło na konto AD Development, dwadzieścia - na konto w Raiffeisen Zentralbank Austria. W piśmie podano szczegółowe dane do przelewu. „Prosimy traktować tę korespondencję jako poufną”.

Belsey siedział na podłodze wśród papierzynek i miał wrażenie, że wypływa na nowe głębiny bogactwa, gdzie woda jest chłodniejsza i ciemniejsza. Żaden liczący się przedsiębiorca nie mógłby funkcjonować bez anonimowego rachunku. W tym wypadku - Sparbucha. Sparbuchy były tak anonimowe, że austriackie banki nie mogły już ich otwierać. Dlatego na czarnym rynku kwitł handel starymi. Bank nie pytał o nazwisko ani adres. Dawał niewielką książeczkę oszczędnościową - co po niemiecku oznacza *Sparbuch* - a jej właściciel sam ustanawiał hasło. Na tym koniec. Oczywiście, dobrze było mieć austriacki akcent albo zaufanego austriackiego mecenas. Wtedy już na pewno nikt nie robił kłopotów. Potem można było swobodnie przelewać pieniądze

na książeczkę i podejmować z niej dowolne kwoty. Wystarczyło tylko hasło. Żadnych obciążających wydruków ze stanem konta, żadnej korespondencji ani reklamowych gadżetów. Większość klientów wolała odwiedzać bank osobiście, ale przelewów można było też dokonywać faksem albo telefonicznie. Właściciele rachunków nazywali ten system ochroną majątku. Policja - ślepym zaułkiem.

Belsey nie znalazł samej książeczki, za to - niewiarygodnie! - miał *Kontrollnummer*. Tylko szalenie liczyłby, że zdobędzie coś więcej. Faktem jednak pozostaje, że ponad połowa osób zapisuje gdzieś hasła, a siedemdziesiąt pięć procent ma jedno obsługujące wiele rachunków.

Przekopywał się dalej przez stertę dokumentów. Numer rachunku pojawił się też w korespondencji z kancelarią prawną Trent Horsley Myers oraz biurem rachunkowym przy Sloane Square. Co więcej, wygrzebał pismo Raiffeisen Zentralbank Austria, w którym potwierdzano, że infolinia banku jest czynna całą dobę, nie ma dziennych limitów wpłat, choć kwoty powyżej pięciuset tysięcy euro będą księgowane dopiero po czterdziestu Ośmiu godzinach. Belsey nie miał wątpliwości. Trafił na prawdziwy skarb. Zadzwoił pod numer podany na piśmie z banku.

- *Guten Abend* - odezwał się kobiecy głos.

- *Guten Abend* - odpowiedział Belsey. - Dzwonię z Londynu. Mam u państwa rachunek i muszę pilnie podjąć z niego pieniądze.

- Oczywiście. Mogę prosić o hasło?

- Nie mam go przy sobie. Mogę podać numer rachunku.

- Hasło jest niezbędne, proszę pana.

- To pilna sprawa. Klient czeka.

- Przykro mi, nie mogę.

- Co jest niezbędne do wykonania przelewu?

- Numer konta i hasło.

- I mogę złożyć zlecenie telefonicznie? - Jak najbardziej.

- A jeśli zapomnę hasła?

- Musiałby pan stawić się wraz z dokumentem tożsamości w jednej z naszych filii i porozmawiać z doradcą.

- Dziękuję.

Belsey się rozłączył. Na koncie była forsa. Czuł to. „Nic bowiem nie przynieśliśmy na ten świat; nic też nie możemy z niego wynieść”. Co mówiła asystentka? Zaczął wydawać ostatni milion. Wierzył, że bieda mogła pchnąć Devereux do samobójstwa, ale bieda stanowi pojęcie względne. To, co dla jednego oznacza bankructwo, innemu wystarczy na spokojne życie.

Trzeba tylko starannie planować każdy krok.

Zastanawiał się nad kolejnym ruchem. Potem zauważył godzinę. Spóźnił się na oficjalne zakończenie swojej kariery.

Rozdział dziesiąty

Siedziba IPCC mieściła się w High Holborn: przeszklony budynek ze Starbucksem na parterze. Belsey zaparkował porsche cayenne za rogiem i wszedł do środka. Wnętrze - neutralna maska: niebieskie wykładziny, okna od sufitu do podłogi, drzwi w odcieniu jasnej sosny, przy nich klawiatury do wprowadzania kodu. Belsey był już tu raz - śmiertelne zejście zatrzymanego - i nie wspominał dobrze tej wizyty.

- Belsey. Na przesłuchanie.

Recepcjonista spojrzał na niego, sprawdził coś i wysłał go na drugie piętro w towarzystwie strażnika. Weszli do dużej sali, gdzie przy stanowiskach z płaskimi monitorami siedzieli cywilni pracownicy. Ochroniarz się ulotnił. Jakiś mężczyzna wstał od biurka.

- Nicholas Belsey?

- Cześć.

- Frank Sacco. Jestem pańskim adwokatem. Kancelaria Riggs i Jenkins. - Podał Belseyowi rękę.

Był niski, miał na sobie oliwkowy garnitur i mokasyny.

Twarz mu lśniła, jakby posmarował ją resztkami brylantyny, którą wtarł we włosy. Riggs i Jenkins dostarczali adwokatów na przesłuchania komisji dyscyplinarnej. To znaczy, że wiadomość o sprawie Belseya dotarła już do związków

zawodowych.

- Miło pana poznać - powiedział Belsey.
- Powinniśmy o czymś porozmawiać?
- Zna się pan na kradzieży tożsamości?
- To nie moja działka.
- W takim razie chodźmy.

Sacco zaprowadził go do narożnego gabinetu. W środku czekało już dwóch mężczyzn i kobieta. Jeden z nich siedział razem z kobietą przy biurku, drugi wyglądał przez okno. Belsey wszedł, zamykając za sobą drzwi. Facet za biurkiem nazywał się Barry Gaunt, był komendantem policji, pracował w IPCC.

Belsey rozpoznał go, bo ilekroć policja za ostro interweniowała podczas demonstracji, to on tłumaczył się w telewizji. Miał różowe policzki, masywny kark i potężne bary, które rozsadzały garnitur z Marksa i Spencera. Mężczyzna przy oknie był wysoki, miał ziemistą cerę i szczurzą mordkę. Kobieta zaś miała włosy obcięte na boba, pastelowo pomarańczowe spodnium, do tego artystyczną biżuterię. Czyli ściągnęli też psychologa, pomyślał Belsey. Z gabinetu rozciągał się widok na Kingsway, stary tunel tramwajowy i Red Lion Square. Ludzie tłoczyli się w wejściu do Conway Hall.

- Proszę, niech panowie spoczną.

Belsey i Sacco zajęli wolne miejsca. Pierwsza odezwała się psycholożka, co nigdy dobrze nie wróżyło.

- Jestem Janet z policyjnej poradni zdrowia psychicznego.
- Miło cię poznać, Janet - powiedział Belsey.

- Barry Gaunt z IPCC - przedstawił się Gaunt. - A to Nigel Herring z komendy rejonowej Camden - wskazał wysokiego mężczyznę.

Herring unikał wzroku Belseya, który kojarzył jego nazwisko. Przydupas Northwooda, awansował na inspektora tylko dlatego, że włożył mu w tyłek bez wazeliny. Wredny, typ krętacza. Maczał palce w podejrzanych interesach. Uwagę przykuwały jego masoński sygnet i ziemista cera.

- Jak wygląda pańska ocena sytuacji? - zadał pierwsze

pytanie Gaunt.

- Jakiej sytuacji?
- Jak pan sądzi, dlaczego dziś się pan tutaj znalazł?
- Bo ukradłem i rozbiłem radiowóz.
- Dobrze - odezwała się Janet ostrożnie.
- Nadkomisarz Northwood oczekuje, że wyjaśni pan swój

postępek.

- Wątpię, czy potrafię. Stało się, wstydzę się tego, co zrobiłem, i zdaję sobie sprawę, że to pociągnie za sobą... konsekwencje.

- Zdaje więc pan sobie sprawę, że to nie wszystko - drążył

Gaunt.

- W sensie... W związku z tamtą nocą?
- W związku z całą resztą.
- W związku z całą resztą faktycznie nie. To nie wszystko -

przyznał Belsey.

Gaunt wyglądał na lekko znudzonego, jakby złościło go, że odciągnięto go od ważnych demonstrantów z powodu jakichś trywialnych zawirowań w życiu posterunkowego Belseya.

- Dokąd pan się wybierał? - spytał.
- Wydaje mi się, że próbowałem dostać się do Hampstead Heath. I właściwie się udało, bo rano obudziłem się w parku.

Jestem zawieszony?

- A powinien pan być?
- Niech pan nie odpowiada - ostrzegł Sacco.
- A czy będę dostawał pensję? - spytał Belsey.
- Ma pan kłopoty finansowe? - podchwyciła psycholożka.
- Tak - przyznał się.

Schował ręce w kieszeniach marynarki Devereux. Potem wyjął je i zerknął na zegarek. Kto zostawia upuszczony zegarek? - zastanawiał się. Jeśli spadnie ci zegarek, słyszysz to.

Schylasz się i podnosisz. Zresztą zegarek nie spada, bo jest zapięty.

- Lubi pan pracę w policji? - drążyła psycholożka.
- Nie bardziej niż muszę.

- Zechciałby pan wyjaśnić nam, co ona dla pana znaczy?
- Mogę zadać pani pytanie na temat snów?
- Jeszcze jedna sprawa - wtrącił się Herring. - Czy wieczorem jedenastego lutego wszedł pan do mieszkania nadkomisarza Northwooda?

- Tak.

- Z jego żoną? - W jego głosie pobrzmiwała irytacja.

- Czy to przestępstwo? Połowa stołecznej polic...

- Proszę uważać.

- Proszę uważać - zawtórował Sacco.

- Pytasz z upoważnienia brata wolnomularza, Nigel?

- Nie jesteś kotem, Belsey, nie masz dziewięciu żyć. - Tak.

- „Tak” co? - spytał Gaunt.

- Tak, wszedłem do środka.

- Dlaczego?

- Z ciekawości.

Herring odwrócił się do okna z rękami w kieszeniach. Belsey myślał o praniu brudnych pieniędzy. Nawet jeśli dorwie się do skarbczyka Devereux, nie będzie mógł przelać tej forszy na rachunek, nie budząc przy tym podejrzeń. A nagle wzbogacenie się natychmiast uruchamia w banku dzwonki alarmowe. Podobnie jak przelewy zmarłych biznesmenów na rzecz policjanta bankruta. Będzie potrzebował jakiejś struktury finansowej, która pomoże w zatarciu śladów. Na kilka miesięcy przydzielono go do wydziału do spraw walki z praniem brudnych pieniędzy, więc wiedział, jak to działa. Cały proces odbywa się w trzech etapach: lokowanie, umiejscowienie i legitymizacja. Lokowanie polega na znalezieniu furki, przez którą można wprowadzić brudne pieniądze do legalnego obrotu. To inaczej wybielanie, wymagające współpracy podstawionych ludzi. Następna faza - umiejscowienie - to tkanie pajęczyny, płatanie śladów poprzez przelewanie pieniędzy na zagraniczne rachunki w rajach podatkowych tak, by nie dało się odtworzyć ich drogi. Wreszcie ostatni punkt - legitymizacja. Nikt nie chciał dostać czeku na okrągłą sumkę ze Śródmiejskiego Banku w La Paz. Za to przelew z londyńskiego City jest w

porządku. Każdy, kto zajmował się praniem brudnych pieniędzy, marzył o przelewie z kodem pocztowym w City. Za ledwie kilometr stąd...

- Northwood twierdzi, że to nie pierwszy incydent z twoim udziałem - podjął Herring.

- Doprawdy?

- Kłopoty w komendzie rejonowej. Znaki zapytania.

- Sam pan nadkomisarz też może się pochwalić niejednym, czyż nie tak?

Herring już nabierał powietrza, by mu odpowiedzieć, ale wpadła mu w słowo psycholożka:

- Trzymajmy się tej konkretnej sprawy - zaproponowała, tłumiąc westchnienie. - Niech pan spróbuje wyjaśnić, co się wydarzyło.

- Nic szczególnego. Przepraszam, że zabrałem radiowóz.

Przechodzę trudny okres.

- Pije pan?

- Jasne, że piję.

- Sądzi pan, że alkohol stanowi źródło pańskich problemów?

- Nie.

- Przyjmuje pan inne substancje?

- Ritalin. Gdybym chciał tu pracować - zapytał Belsey - czy musiałbym być bliżej emerytury? Znaczy się, starszy?

Herring zacisnął usta.

- Będzie nam potrzebna próbka pańskiego moczu.

- W czym mam przynieść? - spytał Belsey.

Gaunt otworzył szufladę i wyjął niedużą fiolkę. Ostrożnie położył ją na blacie po stronie Belseya, jakby się bał, że sam się zakazi. I tylko to tam trzyma? - zastanawiał się Belsey. Pojemniczki na mocz?

- Jasne, nie ma sprawy - oświadczył.

Wziął naczynie, ruszył w stronę łazienki, po czym minął ją, wsiadł do windy i wyszedł z budynku.

Rozdział jedenasty

Udał się do biblioteki publicznej Holborn, gdzie w czytelni wziął książkę telefoniczną i wyszukał dział „zakładanie firmy”.

Tam znalazł to, czego szukał.

OCEAN - OCHRONA MAJĄTKU I BANKOWOŚĆ
PRYWATNA.

WSZECHSTRONNA POMOC I USŁUGI. ZAŁÓŻ
NOWĄ FIRME W PIĘĆ MINUT ZA 32 FUNTY. RAJE
PODATKOWE I GWARANCJA DYSKRECCI.

Gwarancja dyskrecji - tego potrzebował. Wiedział, że IBC - międzynarodowe spółki biznesowe - działają w rajach podatkowych, na przykład w Antigui. Wystarczy jedno kliknięcie i człowiek staje się szczęśliwym posiadaczem firmy - łącznie z adresem biura i zarządem zapewnionym przez antiguańskie władze. Nazwisko właściciela nie figuruje w żadnych dokumentach, ale to on zawiaduje kontem. Ocean miał siedzibę przy Belsize Park, kilka minut od komisariatu Hampstead. Belsey znał tę ulicę: same agencje nieruchomości, kliniki chirurgii kosmetycznej i butiki. Zakładał, że biuro Oceanu będzie idealnie wtapiało się w tło. Nie mylił się.

Zaparkował porsche cayenne tak, by pracownicy doskonale je widzieli. Wysiadł, poprawił garnitur i zadzwonił do drzwi.

- Prosto na górę. - Głos w interkomie brzmiał zachęcająco.

Belsey wspiął się wąską klatką schodową i zatrzymał przed drzwiami z tabliczką „Ocean Ltd”. W środku znajdowało się dwóch mężczyzn - młody i stary - komputery i właściwie nic poza tym. Starszy miał krótko ostrzyżone włosy i muskularną sylwetkę byłego sportowca. Wyglądał jak złodziej napadający na banki, który przebrał się za bankiera. Młodszy pysznił się białą koszulą, szelkami i różowym krawatem z grubym węzłem.

Na ścianie wisiała mapa świata z kolorowymi chorągiewkami wbitymi w liczne wysepki. Duży stojący wentylator mełł powietrze. Zapach tytoniowy odpływał do okna, po czym odbijał się od niego i wracał nad biurko. Jeden z mężczyzn ruchem ręki pokazał Belseyowi krzesło przy pustym biurku na środku pokoju.

- Kawy?
- Chętnie. Czarnej.

Powiódł wzrokiem po ścianach. Wokół mapy wisiały dziesiątki tabliczek i certyfikatów, które nie świadczyły o niczym więcej poza umiejętnością robienia dobrego wrażenia. Starszy pracownik nalał kawy.

- Czym możemy służyć?
- Chciałbym kupić firmę - oświadczył Belsey. Wypił łyk dobrej, mocnej kawy. - Muszę zabezpieczyć sobie tyły.
- Myślał pan o czymś konkretnym?
- Ze dwie IBC gdzieś daleko, może w Antigui. Muszą mieć istniejący zarząd i historię transakcji. Do tego skrytka pocztowa, która nie doprowadzi do mnie, i anonimowy rachunek depozytowy wystawiony przez jedną z firm-krzaków. Gdzieś, gdzie nikt nie ruszy forsy, ale na tyle przyzwoity, żeby można było przelewać z niego na europejskie konto średnie sumy bez zwracania na siebie uwagi.

Odchylili się na krzesłach i potakiwali. Młodszy trzymał długopis w palcach wskazujących.

- Widzę, że zna się pan na tym.
- Chcę się tylko dowiedzieć, ile to może kosztować.
- To zależy od jurysdykcji. Brytyjskie Wyspy Dziewicze są dość atrakcyjne, bo należą do monarchii. Ceny zaczynają się od ośmiuset czterdziestu. Jersey jest dwa razy droższe. Nic dziwnego, w końcu to duże centrum finansowe. Poza tym pozostają Dominika, Seszele i Anguilla. Sprzedajemy wyłącznie firmy z co najmniej trzyletnią historią działalności. Dominika jest najtańsza, ale nadal godna polecenia.

- Co tam macie?

Agent otworzył laptop.

- Możemy sprzedać panu na przykład Dutch Export Import Trading A.G., założone w marcu dwa tysiące piątego. Albo starszą o kilka miesięcy American Auto Management Corporation. W każdej dyrektorium powierniczym jest kancelaria prawna, więc wszelkie transakcje pozostają poufne. Otrzymuje pan

powiernictwo, więc może zarządzać przedsiębiorstwem. Nie ma obowiązku składania raportów.

- A konto?

- Na pańskim miejscu wybrałby Cypr, ale to kosztuje półtora tysiąca. Ewentualnie Saint Vincent. Co prawda rachunki są prowadzone w dolarach amerykańskich, ale banki przyjmują wszystkie duże waluty. Wkład minimalny wynosi dwa tysiące, płaci go pan bankowi, nie nam. Gwarantują pełną anonimowość, ale żądają referencji. Panicznie boją się terrorystów. Pan mi nie wygląda na zamachowca, ale...

- A kto nie żąda referencji ani wpłaty minimalnej?

- Wyspa Niue. - Wymawiał ją „nijui”.

- Niue?

- Wyspa koralowa na środku Oceanu Spokojnego. Trzy godziny samolotem od Nowej Zelandii, niezależne terytorium stowarzyszone. Zasiedlone głównie przez mewy i, jeśli wierzyć adresom, japońskie firmy prowadzące sekslinie. No i przez filię banku South Pacific, bo tak się nazywa tamtejsza instytucja finansowa. Wystarczy, że poda nam pan dowolny adres. Wystawiamy rachunek i przesyłamy do nich faksem. To wszystko.

Pobierają jednorazową opłatę administracyjną w wysokości dwustu dolarów.

- Znakomicie.

- Świetnie. Coś jeszcze? Za dziewięćdziesiąt pięć funtów wystawiamy zaświadczenie potwierdzające istnienie firmy.

Zakładamy też wirtualne biuro w dowolnym mieście, gdzie będzie przekazywana pańska korespondencja oraz kierowane połączenia telefoniczne. Kosztuje to jakieś siedemdziesiąt funtów miesięcznie. Za dwadzieścia pięć funtów robimy też pieczęć służbową.

- Czyli?

- Tradycyjną gumową pieczęć z nazwą i adresem firmy.

- Poproszę o jedną.

- Załatwione.

- Jak wygląda przekierowywanie połączeń?

- To zależy od pana. Kiedy ktoś dzwoni pod podany numer, odbierają nasi pracownicy, przedstawiają się jako firma X i mówią, że Iksiński właśnie wyszedł na zebranie. Potem dzwonią do pana i przekazują wiadomość. Ale mogą też czekać na pański telefon albo raz w tygodniu przekazywać wiadomości.

Jeśli pan sobie życzy, mogą śpiewać rozmówcy najnowszy hit Lady Gagi. Pan o wszystkim decyduje. - Uśmiechnął się.

- Rozumiem. Mam sporo pieniędzy na austriackim koncie i chcę je przenieść. Które miejsce pan poleca?

- Niuie powinno się nadawać. Możemy wykorzystać jedną ze spółek międzynarodowych, żeby otworzyć rachunek. Będzie trzeba podać adres lokalnego biura. To wymóg, ale dorzucimy pakiet „wirtualny adres”, dzięki czemu firma może działać w dowolnym miejscu świata, a pan nie musi się przejmować biurokracją.

- Tak byłoby super.

- I tak właśnie będzie.

Belsey sączył kawę. Po raz pierwszy poczuł to, czego każdy zawodowy przestępca musiał doświadczyć chociaż raz i czego już nigdy nie zapomniał: prawdopodobieństwo, że ujdzie mu na sucho; świadomość, jak ograniczone są możliwości policji oraz międzynarodowej współpracy, co otwiera niesamowitą przestrzeń wolności. Wyrztał przez okno i pomyślał o tropikalnych morzach. „Obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję”. Tak to szło w psalmie? „Oczyść mnie z grzechu mojego”.

- Ile to będzie razem? - spytał.

- Adres, dwie firmy-krzaki i rachunek bankowy będą kosztowały góra sześć tysięcy. Pewnie coś koło pięciu tysięcy ośmiuset.

- Nie mam teraz tyle przy sobie.

- Jasne. Zapraszamy, kiedy pan będzie miał. Możemy to załatwić w każdej chwili.

Młodszy mężczyzna oderwał wzrok od monitora i uśmiechnął się do Belseya.

Belsey podarł mandat, który straż miejska zostawiła za

wycieraczką, skrawki papieru wyrzucił do kosza i pojechał do biura podróży przy Hampstead High Street. Wszyscy konsultanci byli zajęci, więc usiadł na krześle w poczekalni, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był za granicą: spontaniczny wypad na weekend do Palermo z blond agentką nieruchomości, świadkiem strzelaniny w klubie. Pojechali prosto z sali sądowej. To było w maju ubiegłego roku. Jego pierwszy urlop od pięciu lat. Wciąż jednak pamiętał gorączkową nadzieję tamtych dni: są miejsca, gdzie Londyn wydaje się tylko długim, mrocznym snem. Właśnie w takie miejsce się teraz wybierał.

Sięgnął po broszurkę i nabazgrał listę państw, z którymi Wielka Brytania nie zawarła umów ekstradycyjnych. Wiedział, z którymi krajami najtrudniej się współpracowało. Wielokrotnie próbowali nawiązać kontakt z policją libijską. Nijak nie szło: nikt nie znał angielskiego, nikt nie odbierał telefonów. Zatem Libia, a potem... jeszcze dalej. „Przeszkolą cię, jak korzystać z ich broni. Możesz codziennie grać w squasha. Wystarczy utrzymać jako taką formę...” - Czym mogę służyć? - wyrwała go z zadumy konsultantka.

- Ile kosztuje lot do Libii? - spytał Belsey.

Dziewczyna zaczęła szukać w komputerze.

- W tym momencie ceny zaczynają się od stu dwudziestu funtów w jedną stronę do Trypolisu. - Odchyliła monitor, żeby zobaczyć.

- Z podatkiem i opłatami? - Bez.

- Dokąd mają państwo najtańsze loty? To potrwało nieco dłużej.

- Do Dublina.

- Muszę pojechać trochę dalej.

- Może być Brema? To w Niemczech.

- Ile kosztuje bilet?

- Cztery funty. Z opłatami pewnie dwadzieścia osiem.

- Start ze Stansted?

- Zgadza się.

- Ile teraz kosztuje bilet kolejowy do Stansted?

- Powrotny?
- W jedną stronę.
- Chwileczkę. - Podjechała na krzesło do koleżanki i wróciła za biurko. - Dziewiętnaście.
- Dziękuję.

Z biura podróży przeszedł do kawiarni. Wyjął z kosza gazetę i na pustych miejscach napisał: „LOT, OPŁATY, POCIĄG”, obok podając cenę każdego. Z cichą satysfakcją popatrzył na sumę. Czterdzieści siedem funtów. Tyle kosztuje rozpoczęcie nowego życia. Potem dopisał jeszcze pięć tysięcy osiemset funtów - kwotę podaną przez pracownika Oceanu. To umożliwiłoby jeszcze drastyczniejszą przemianę. Wymagało jednak kapitału zakładowego.

Przewrócił stronę i na marginesie wynotował przedmioty Devereux, a obok, ile mógłby za nie dostać.

Rozdział dwunasty

W pracy nie znalazł swojego paszportu. A przecież musiał się nim posłużyć, kiedy leciał na Sycylię. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz go widział. Szukał od kilku minut, kiedy zadzwonił telefon.

- Belsey?
- Tak.
- Mike Slater. Podobno przy Bishops Avenue znaleziono ciało. Samobójstwo. Słyszałeś coś o tym?
Belseyowi na moment zabrakło tchu.
- Nie, kompletnie nic, Mike. Powiedz, co wiesz.
- Nie żartuję, Nick. Nie puściłem tekstu o twoich najnowszych wyczynach. Teraz potrzebuję czegoś w zamian.
- Trup to nic ciekawego.
- Ale trup przy Bishops Avenue - owszem.
- Odezwę się, jak się czegoś dowiem, Mike. I dzięki, że nie puściłeś tekstu o mnie. Tak trzymać.

Odłożył słuchawkę, przeklinając gadatliwych ratowników medycznych i nadgorliwych dziennikarzy. Mike Slater był naczelnym „Hampstead and Highgate Express”, nazywanym

czasem „Ham and High”. Pod maską niechlujnego uroku i znużenia światem ukrywał gorącą miłość do dziennikarstwa, dzięki której ten lokalny tygodnik od dwudziestu lat cieszył się niezagrożoną pozycją. Slater kumplował się z Belseyem, ale nie aż tak, żeby zrezygnować ze smakowitej historii. Do biura wszedł Trapping.

- Nick.

- Rob. Zatrzymałeś już naszego nożownika Johnny'ego Cassidy'ego?

- Jeszcze nie.

- Twierdziłeś, że to syn Nialla Cassidy'ego.

- Zgadza się.

- Stary nadal rozrabia?

- Cóż, powiem tak: nie stoi na czele straży sąsiedzkiej. - Trapping puścił do niego oko.

- Ale wciąż jest w dzielnicy?

- Nigdzie indziej by go nie przyjęli. Zdaje się, że to twoje dawne regiony, he, Nick?

- Tylko przelotnie.

- Lepiej nie zatrzymywać się tam na dłużej.

Wziął teczkę z dokumentami i wyszedł. Belsey myślał intensywnie. Wszystko rozbijało się o brak funduszy. Efektowny powrót do domu synalka Nialla Cassidy'ego może okazać się bardzo przydatny. Musiał błyskawicznie upłynnić sporą partię kradzionego towaru, a nie zamierzał korzystać z usług najnowszego lombardu przy głównej ulicy.

Chwycił płaszcz i kluczyki od porsche. Pora wrócić do przeszłości.

Rozdział trzynasty

Belsey przejechał na drugą stronę Tamizy mostem Blackfriars. Zachodziło słońce. W połowie Old Kent Road poczuł, że spada. Gumka trzymająca czas pękła i leciał na łeb, na szyję w przeszłość, przez swoją niegdyś tak obiecującą karierę aż do dzielnicy Elephant and Castle.

Zostawił za sobą blichtr nabrzeża. Za przebudowaną

częścią, w ponadczasowych cieniach wiktoriańskich kamienic wciąż odkrywał znajome punkty orientacyjne. Ulice, na których uczył się fachu, puby, gdzie próbował o wszystkim zapomnieć. Teraz jednak okna lokali były zabite pilśniowymi płytami. Miejsca, które już wtedy popadały w ruinę, a których przetrwanie stanowiło dowód na jakiś perwersyjny upór, z jakim życie nie chciało poddać się śmierci, zniknęły. Na Eagle, pubie gliniarzy, teraz wisiały tabliczki: „Zakaz wstępu. Grozi zawaleniem”. Jego ulubione wspomnienia, skapane w bursztynowej poświacie whisky i piwa, zostały zabite deskami. Miał ledwo dwadzieścia lat, kiedy patrolował te ulice. Dopiero co dostał się do wydziału kryminalnego i wciąż nie wierzył własnemu szczęściu.

Jakimś cudem przetrwał pub Wishing Well. Stał samotnie przy wiadukcie kolejowym wśród zamkniętych warsztatów i pustostanów. Legendarny napis „Odwagi!”, namalowany na ceglach szarych od XIX-wiecznego smogu, wciąż jeszcze był widoczny. W oknach ręcznie napisane afisze nadal obiecywały w sobotę muzykę na żywo.

Belsey zaparkował samochód i wszedł do środka.

Niall Cassidy i jego gang wianuszkami okrążyli puszkę z pitami oraz radio, w którym nadawano transmisję z gonitwy.

Wszyscy byli złomiarzami - w tym momencie to najbardziej się opłacało. Kradli pokrywy ze studzienek włazowych i przewody elektryczne, które po przetopieniu wysyłali za granicę. Wcześniej importowali też niewielkie ilości amfetaminy i, jeśli Belsey się nie mylił, nadal się tym zajmowali. Przestępcze portfolio większości z nich prezentowało się imponująco i było niezwykle urozmaicone. Przez brudne szyby do środka sączyło się światło ulicznych latarni. Transparent pod sufitem głosił: „Witaj w domu, Johnny”, ale Johnny'ego nie było. Co mówił Trapping? Dwa lata na Balearach, wrócił do domu i dźgnął faceta, który go wydał. Teraz najwyraźniej się gdzieś zaszły. Nici z imprezy powitalnej.

- Cześć, chłopaki - odezwał się Belsey.

- Beluś, syneczku.

- Kopę lat, Nicky.

- Nie tęskniłem.
- Jak tam życie w krainie bogaczy?
- Lepiej niż tutaj - odparł Belsey.

Mniejsza sala wyglądała obskurnie. W pomieszczeniu obok stół bilardowy tonął w posepnym mroku. Cassidy skinął głową na powitanie, ale milczał. Wyglądał jak ktoś, kto bezskutecznie próbuje się zalać w trupa; jak człowiek, którego przygniały jego drogocenne klejnoty.

- Co mnie ominęło? - spytał Belsey.
- Nic. Jest chujowo.

Szczerzyli się do niego w bezzębnych uśmiechach, gładzili spłowiałe tatuaże. Właściciel pubu Rod Thompson był wrakiem człowieka. Cierpiał na rozedmę płuc. Wyglądał jak trup, mimo to zachował intuicję roztropnego restauratora. Puszczając oko do Belseya, postawił przed nimi drinki.

Duży kufel stelli i porcja jamesona. Belsey wychylił whisky przy barze, obserwując grupę. Najwyraźniej przerwał im rozmowę, która niewątpliwie dotyczyła Johnny'ego oraz jego niefortunnego powrotu. „Konspirować” pochodzi od łacińskiego *conspirare*, oddychać razem. Przypomniało mu się to, kiedy wodził wzrokiem po pubie. W czasach, kiedy jeszcze w lokalach można było palić, unosiły się tu siwe smugi papierosowego dymu. Teraz gang siedział w czystym powietrzu, niczym ryby wyrzucone na brzeg: Dell Patterson, jeden z sześciu listonoszy poczty w Nine Elms, zamkniętych kilka lat temu za skimming kart kredytowych, Trevor Hart, który specjalizował się w nielegalnym handlu papierosami i paliwem, Brendan McCarthy, który dopiero co skończył dwuletnią odsiadkę w Wandsworth za ciężkie uszkodzenie ciała swojego szwagra. Więźniowie, którzy odbywali tam wyrok, tak bardzo zapadali się w siebie, że w głębi ich oczu można było dostrzec tylko ziemię niczyją, pustkę, a dopiero potem zatrzaśnięte drzwi pokoju, od drugiej strony zabarykadowane jeszcze meblami. Ćwoki z paki. A życie w Wandsworth było wyjątkowo trudne. Kiedyś Belsey dopilnowałby, żeby pogadać z Brendanem zaraz po jego wyjściu, wybać grunt. Przede

wszystkim ze względu na więzienne plotki, to jasne, ale poza tym, żeby mieć na niego oko. Ci prosto z więzienia bywali nieprzewidywalni. Odzyskana wolność uderzała im do głowy.

- Belsek, chłopie, przysiądź się.
- Nowy garniak, Nicky? - spytał Trevor.
- Dopiero co kupiłem.
- Jeden z nas najwyraźniej źle wybrał zawód.
- Pewnie obaj - odparł Belsey, przyciągając stołek.
- Co się stało?
- Awansowałem.
- Na kogo?
- Na el Presidente. Teraz to ja rządę.
- Co cię widzę, to coraz bardziej wyglądasz na alfonsa.

Belsey przez chwilę siedział, po prostu ciesząc się powrotem do Wishing Well. Studnia marzeń... Wolał nie myśleć, jakie marzenia snują klienci tego pubu. Do pisuarów wrzucali moniaki z ironią, której on osobiście nie potrafił przełknąć. Wodził wzrokiem po wypalonych wszędzie śladach niedopałków, po pożółkłych plakatach z atrakcjami turystycznymi hrabstwa Kerry. Kiedyś, wieki temu Wishing Well było pubem IRA, placówką nielegalnej siatki rozciągającej się pod estakadą trasy A40. Do dziś stanowił dobrą kryjówkę. Stali klienci pojawiali się o jedenastej. Ustawiali się przed drzwiami punktualnie jak w szwajcarskim zegarku, czekając na otwarcie swoich cel. Z takim zdyscyplinowaniem powinniście utrzymać każdą pracę - miał ochotę powiedzieć im Belsey. Hipokryta. - Słyszeliśmy już.

- O czym?
- O twoich kłopotach z Northem.
- Podobno zafundowali ci dyscyplinarę. Przypieprzają się.
- To nie przypieprzanie.
- Teraz to już nie ta policja, co kiedyś.
- Inny świat. Żeby takiego porządnego psa jak ty...

Plotki jednak błyskawicznie się rozchodzą, pomyślał Belsey.

Cassidy wciąż milczał. Wreszcie podniósł się, wziął piwo,

komórkę, kluczyki i fajki. Zerknął na drzwi.

- Masz ochotę na partyjkę, Niall? - spytał Belsey. Cassidy odwrócił się i twardo spojrzął na gliniarza.

- Skoro nalegasz.

Zapalili światła i przygotowali stół do gry. Cassidy zapalił papierosa ze świeżej paczki marlboro gold i położył go na krawędzi. Żaden inspektor BHP nie zapuściłby się na zaplecze pubu. Sam właściciel tam nie zaglądał. Na drewnianych półkach stały lepkie szklanki. Belsey rozbił i posłał do łuz sześć bil. Cassidy grał jak noga. Belseyowi szło jak marzenie. Sam był zdumiony swoją formą.

- Gdzie on jest? - spytał Belsey. - Kto?

- A jak sądzisz?

- Skąd mam wiedzieć?

- To twój syn. Dlaczego nie przyszedł na imprezę powitalną?

- Nie wiem.

- Co znaczy ta historia z napaścią pod pośredniakiem?

- Nie mam pojęcia, Nick.

- Za to niektórzy mają, i to niezłe.

- Nikt nie wskazał go palcem.

- Gówno prawda.

Belsey zakończył partię. Cassidy nie miał serca do gry.

Przypalił drugiego papierosa od niedopałka. Belsey obserwował jego twarz w świetle żarzącego się popiołu. Spotkał jego syna raz, może dwa razy. Johnny był dobrym piłkarzem. Zgłosił się na kwalifikacje do Arsenalu, a kiedy to nie wypaliło, przerzucił się na nielegalne walki na gołe pięści. Jego drużyna trenowała w siłowni na tyłach stacji metra North Lambeth. Aż wreszcie wyjechał na Ibizę i tam odkrył swoją prawdziwą miłość. Kilka miesięcy później szmugłował ją z Holandii. Belsey wrzucił do automatu pięćdziesięciopensówkę i znowu rozbił bile.

- Co mówią? - spytał Cassidy.

- Trzech świadków.

- Podali nazwisko?

- Łącznie z adresem domowym. Była piętnasta, pośredniak.
Trudno to nazwać zbrodnią doskonałą.
- Chłopak żartował.
- Śmieszne jak cholera. Pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mnie pochłastał, śmiałem się jak głupek. Myślałem, że się poszczam ze śmiechu, Niall. Rozumiesz, co mam na myśli?
- Czego chcesz?
- Podobno miał profesjonalny nóż. Takiego nie przemyciłby w samolocie. Skąd go wytrzasnął?
- Nie mam nic do powiedzenia, Nick. Nie widziałem go.
- Skąd masz te fajki?
- Co?
- Ostrzeżenie o szkodliwości palenia: „*Fumar puede matar*”. To po hiszpańsku, zgadza się? Paskudny nałóg w każdym języku.

Cassidy'emu mina się wydłużyła.

- Tę partię zagramy na pieniądze? - spytał Belsey.

Niall potarł czubek kija kredą. Normalnie już dawno wyzwałby Belseya od cholernych psów i opisał, jakież to rozkosze go czekają, kiedy wyląduje w więzieniu Pentonville. Tym razem jednak kompletnie sflaczał. Zdarza się nawet największym zadziorom.

- Najbardziej martwi mnie papierkowa robota - podjął Belsey. - Ostatnio wszystko opiera się na niej. Istne góry papierów. Dlatego już nas nie widujecie na ulicach.

- Wiem. Tak sobie myślę... Przydałyby ci się wakacje, Nicky. Co powiesz na to?

Wyjął z kieszeni rulon wyszmelcowanych banknotów i położył na stole trzysta funtów w dwudziestkach. Belsey przeliczył, zatrzymał jedną dwudziestkę, a resztę oddał.

- Owszem, wyjeżdżam. Ale będę potrzebował grubo więcej.

- Ile?

- Sześć patyków.

- Ocipiałeś, Nick?

- Daj mi skończyć. Pytam, czy chcesz, żebyśmy to ja tobie

wyświadczył przysługę.

Przerwali grę. Stali oparci na kijach. Lampa nad stołem oświetlała dolną połowę twarzy, ale nie oczy. Z sąsiedniej sali nie dobiegał żaden odgłos.

- Włącz szafę grającą - polecił Belsey. - Wybierz coś skocznego.

Cassidy wykonał polecenie. Już to stanowiło najlepszy dowód, że Belsey kontroluje sytuację. Owocowało doświadczenie z przesłuchań: najpierw namów kolesia do ustępstw w drobnych kwestiach, tańcz z nim, prowadź go. Czuł, że Cassidy zmiękł. Zresztą krzywdą wyrządzoną człowiekowi to nic w porównaniu z krzywdą wyrządzoną jego rodzinie.

Rozległa się muzyka. *Careless Whisper*. - Prosiłem o coś skocznego.

- Do rzeczy.

- Przed pubem stoi nowiutkie porsche cayenne. Dam ci je. Razem z telewizorem i odtwarzaczem DVD.

- Dlaczego?

- Bo jesteś moim milionowym klientem, Niall. Zrywam się stąd, rozumiesz? Dam ci plazmę, wideo, robot kuchenny, mikrofalówkę. Niezbędne wyposażenie nowoczesnego mieszkania. W komplecie dorzucę porszaka i czarodziejskie zaklęcie, które sprawi, że z komisariatu w Hampstead znikną wszystkie papiery dotyczące Johnny'ego. Moja w tym głowa, żeby chłopaka nikt nie ruszył. Za to do jutra wieczorem muszę dostać sześć patyków w gotówce.

- Sześć patoli? Chryste Panie, Nicholas, co ty kombinujesz?

- Zwijam manatki, Niall. Zaczynam od nowa.

Cassidy spojrział mu w oczy.

- Wyszedłem na prostą. Cała moja rodzina wyszła na prostą.

- Wiem - odparł Belsey. - Wiem. Ja też.

Rozdział czternasty

W korytku z korespondencją służbową leżała informacja z IPCC o możliwości wszczęcia postępowania dyscyplinarnego, ale

ani słowa o zawieszeniu w obowiązkach. Pod nią znajdowała się koperta z policyjnej poradni zdrowia psychicznego. Belsey wrzucił oba pisma do kosza. Do pokoju wkroczył Trapping, tuląc do siebie teczki ze starymi profilami przestępców.

- Nick. IPCC próbowała się z tobą skontaktować. I adwokat z kancelarii Riggsa. - Rzucił papiery na biurko.

- Dobra.

- Czemu tak na ciebie polują?

- Upatrzyli mnie sobie na szefa nowej jednostki antykorupcyjnej. Co to za papierzyska?

- Nie słyszałeś? Właśnie zgarnęliśmy Johna Cassidy'ego.

- Jest tu?

- Na dole. Nasz kumpel Tony składa zeznania.

Belsey zszedł do aresztu, klnąc pod nosem. Sprawdził rozpiszkę: John Cassidy, cela piąta. Zbliżył się do drzwi i zajrzał przez judasz. Johnny siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, plecami do ściany. Belsey zaskoczyła ta pozycja.

Chłopak miał zamknięte oczy. Wyglądał zdrowo, musiał być w dobrej formie. Ile czasu spędził na wolności? Jeden dzień w Hiszpanii, gdy czekał na samolot, dwa w Londynie, kiedy się ukrywał. Belsey usłyszał, jak na końcu korytarza jego adwokat kłóci się z sierżantem. Podeszedł do nich. Obrońcą Cassidy'ego okazał się otyły, wiecznie zaczerwieniony William Balls, nazywany Billym z jajami. Nosił wyświechtany granatowy garnitur i zawsze śmierdział stęchłym dymem papierosowym.

- Posterunkowy Belsey - powitał go Balls, dostrzegając w nim życzliwszą duszę.

- Szefie.

- Zna pan Tony'ego, prawda? Stukniętego Tony'ego. Chyba nie nazwałby pan kogoś takiego wiarygodnym świadkiem.

- Stuknięty Tony to tylko jego ksywka. Gdzie jest?

- Czeka przed salą przesłuchań - odparł strażnik.

Belsey zastał Tony'ego Cutiera na korytarzu. Siedział na podłodze. Kolana miał podciągnięte pod brodę. Cały się trząsał.

Kiedyś kradł w Tesco steki i sprzedawał je gospodyniom na

osiedlu. Co kilka dni trafiał na komisariat z kurtką wypchaną towarem i pomieszczenie wypełniało się zapachem psującego się mięsa. Teraz żył z żebraniny i pośrednictwa w handlu lekami na receptę. Psychoza i alkoholizm walczyły o to, które pierwsze go wykończy. Cuchnął straszliwie.

- Nick. - Twarz mu się rozjaśniła. Kąciki ust i resztki zębów miał żółte od papierosów.

- Tony. Jak leci?

- Widziałem wszystko, Nick. Właśnie piłem browar. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. To był palec Boży.

Belsey uważnie przyjrzał się jego źrenicom. Czarne jak atrament.

- Doprawdy?

- Bóg go pokarał. Powinien smażyć się w piekle, Nick.

- Na to wygląda.

Belsey wrócił do aresztu. Strażnik gdzieś się ulotnił. Balls siedział na plastikowym krześle, wycierając czoło niebieskim ręczniczkiem.

- Chodźmy się przewietrzyć - zaproponował Belsey. Wyszli na parking.

- Z Tonym nie będzie problemu - uspokoił.

- Nim się nie przejmuję. Gorzej, że w zamrażarce dziewczyny Johnny'ego znaleźli dwadzieścia gramów ketaminy i obrzyn. Dziewczyna od razu zaczęła śpiewać, zapominając o kochasiu. Belsey jęknął.

- Skąd Johnny wiedział, że ktoś go wydał?

- Nie trzeba być geniuszem.

- Wiedział, gdzie szukać kapusia.

- Większość zaczęłaby poszukiwania od pośredniaka.

- Może niech pan oświadczy, że to policja zdradziła nazwisko informatora? Narobi rabanu, zrobi wszystkim wodę z mózgu.

- A rzeczywiście zdradziła?

- Nie mam pojęcia. Wątpię. Wypuszczą go za kaucją?

- To się okaże.

- Jego stary wie?

- Jeszcze nie.

Wrócił do biura i zdruzgotany siadł przy biurku. Nawet najzmyślniejszy plan... Choć musiał przyznać, że nie był to najzmyślniejszy plan. Zapił zimną kawą tabletkę ChestEze. Koniecznie musiał zachować teraz szczególną czujność, pilnować każdego kroku. Wyśpisz się w samolocie - oto jego nowa mantra. Poszedł do dyżurki.

- Zatrzasnąłem drzwi do pokoju, zostawiając w środku klucz - powiedział. - Mogę pożyczyć uniwersalny?

Dali mu. Poszedł na górę, zakradł się do gabinetu Gowera i przeszukał dzisiejszą pocztę. W końcu znalazł kopertę z logo IPCC. Zabrał ją, zamknął drzwi i zwrócił klucz. Wyleci z roboty dopiero wtedy, gdy sam uzna, że już pora.

Zadzwoił do Wishing Well, ale nie zastał Nialla. Na razie nic nie mógł zrobić. Wrócił na Bishops Avenue. Przed posesją nie pojawiły się nowe ślady stóp - przynajmniej tak mu się wydawało w świetle latarni. Nie spieszył się. Przyczaił się, obserwując dom. Dwa razy przeparadował przed nim i dopiero wtedy zdecydował się wejść do środka.

Nie ma to jak na własnych śmieciach.

Przeszedł do kryjówki i przez chwilę wpatrywał się w zastygłe kropki krwi, wypukłą mapę namazaną na ścianach. Usiadł w fotelu obrotowym, wziął ulotkę Reflections i podziwiał łabędzie. Ptaki same wyśpiewywały sobie pieśń żałobną. Czyż nie tak głosiła legenda? Przez całe życie z ich gardeł nie wydobywa się ani nuta, dopiero konając, zaczynają śpiewać. Belsey odczepił czek, trzymał go przez chwilę, wreszcie z powrotem wsunął do broszury i odłożył na blat.

Przeszedł do salonu i zaczął odłączać sprzęt elektroniczny.

Pracował metodycznie: wieża hi-fi, głośniki, DVD, plazmowy telewizor. Z kuchni zabrał mikrofalówkę, z sypialni - prasowalnicę do spodni. Później z pomieszczenia gospodarczego wyniósł drabinkę i śrubokręt, po czym przystąpił do odkręcania kinkietów. Uświadomił sobie, że okna są odsłonięte. Podszedł je

zasłonić. Za późno, jak się okazało. W mroku wpatrywał się w niego ochroniarz z domu naprzeciwko.

Przy Bishops Avenue straż sąsiedzka nosiła mundury ochroniarskie. Belsey przeszedł przez ulicę. Willa naprzeciwko domu Devereux była z różowego marmuru inspirowana Akropolem.

Miała nawet nazwę: Letnia Siedziba. Belsey machnął strażnikowi przed nosem legitymacją policyjną.

- Jak długo tu pracujesz? - spytał.

- Od pięciu lat. Bo co? - Miał silny izraelski akcent i przeszywające szare oczy.

- Prowadzimy śledztwo w związku ze śmiercią mężczyzny z naprzeciwka. W tym momencie wygląda to na zwykłe samobójstwo, ale byłbym zobowiązany, gdybyś zwrócił uwagę, jeśli zacznie się tam kręcić ktoś podejrzany.

- Dobra.

- Widywałeś lokatora? - Nie.

- A raczej byś zauważył.

- Owszem.

- Jakież samochody wjeżdżające na posesję?

- Sprzątaczek, ogrodników. To wszystko.

Patrzyli, jak na poboczu zatrzymał się jakiś gość na skuterze.

Sprawdził mapę i potoczył się dalej.

- Zastałem twojego chlebobawcę? - spytał Belsey.

Strażnik machnął mu, żeby wszedł do środka, a sam przyłożył do ust krótkofalówkę. Kosztowny dzwonek wejściowy, pomyślał Belsey. Drzwi otworzył właściciel: mocno zbudowany, krępy, w płaszczu z wielbłądziej wełny i jedwabnym szaliku. W ręce trzymał kluczyki od samochodu. W tle słychać było rozgardiasz dzieci.

- Mam kilka pytań dotyczących sąsiada z naprzeciwka - odezwał się Belsey, pokazując odznakę.

- Co się stało?

- Umarł.

Mężczyzna wznosił oczy ku niebu i wymamrotał coś po hebrajsku. Bawił się kluczykami, ale nic nie mówił. Patrzył na Belseya, czekając na następny ruch.

- Znał go pan? - spytał Belsey.

- Nie. Rozmawiałem z nim tylko raz, może tydzień temu.

Sprawił wrażenie bardzo kulturalnego, dobrze wychowanego.

Zapraszał do siebie na drinka, ale rzadko tu bywam.

- Zapamiętał pan nazwisko?

- Devereux.

- Co pan o nim wie?

- Życie dało mu w kość.

- Dlaczego?

- Jeśli się nie mylę, cała jego rodzina zginęła w Rosji.

- Zginęła?

- W więzieniach. Nie wiem dokładnie. Wspominał mi o tym znajomy Rosjanin. Devereux do wszystkiego doszedł sam, ciężką pracą.

- Na czym się tak dorobił?

- Był przedsiębiorcą. Nie znam szczegółów. Ale wierzył w kapitalizm. - Gospodarz uśmiechnął się lekko. - Jeszcze zanim stał się tam modny.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- To był pierwszy i ostatni raz. Zapytam żonę, ona widzi, co się dzieje na ulicy.

Wyszedł spytać żonę i po chwili wrócił, wzruszając ramionami.

- Nigdy go nie widziała. Rozmawiał pan ze strażnikiem? -

Tak.

- Proszę dać znać, gdybym mógł być jakoś przydatny.

Belsey poszedł do sklepu, kupił klej, taśmę klejącą i talk.

Wydał dziewięć funtów z dwudziestki Cassidy'ego. Poprosił o reklamówkę. Miał już wszystko, czego potrzebował do zdjęcia odcisków palców. Po powrocie do domu wyjął z lodówki słoik.

„Szkło to największy sprzymierzeniec każdego detektywa”, podkreślał instruktor na zajęciach z technik śledczych. Belsey nigdy nie zapomniał tego zdania. Przyniósł z gabinetu przegubową lampę stołową, posmarował żarówkę klejem, włączył i obwiązał wokół klosza torebkę, do której włożył słoik z marmoladą. Opary kleju przylgną tam, gdzie był tłuszcz. Potem wystarczy oprószyć powierzchnię odrobiną talku i uzyska się odcisk równie wyraźny jak w laboratorium.

Nic. Belsey sprawdził następny słoik, potem szczoteczkę do zębów, wreszcie okładkę katalogu. Przykleił taśmę do włączników lamp i ekranów. Żadnych odcisków. Najwyraźniej Devereux nie lubił posługiwać się dłońmi. Wziął z garażu latarkę i przeszedł się po domu, oświetlając wszystkie powierzchnie, których nie dotknął: uchwyty szuflad, krawędź jacuzzi, ramy okienne, spód desek klozetowych. Nigdzie nie było śladów odcisków palców.

Usiadł w salonie i zamyślił się. Może Devereux nie wystarczała śmierć? Może postanowił usunąć też wszelkie ślady swojej obecności? „Uporządkowałem papiery i pozałatwiałem formalności, żeby nie przysparzać wam dodatkowych problemów”. Markiz de Sade w testamencie polecił, żeby pochowano go w zagajniku na terenie jego posiadłości. Wrzucono go do dołu, zakopano i posadzono tam żółędzie. „Niech miejsce to z czasem znów się zazieleni, a mój grób zniknie z powierzchni ziemi tak samo jak - w co nie wątpię - pamięć o mnie zgaśnie w umysłach ludzi...” Pieprzenie. Dom skrupulatnie wyczyszczono. Ktoś odwalił tu kawał niezłej roboty.

Powinien zacząć od sprzątaczkki. Obdzwonił trzy firmy sprząające z Hampstead. Wreszcie trafił na tę, która zatrudniała Krystynę - Sprint Domestic Cleaners - i dostał jej komórkę.

- Chodzi mi o dom pana Devereux przy Bishops Avenue.

Posprzątała go pani, zanim wezwała policję?

- Nie.

- A kiedy ostatni raz tam pani sprzątała?

- Nie wezwałam policji, to miałam na myśli.

- Nie wezwała pani?
- Nie.
- To kto?
- Nie wiem.
- To co pani tam robiła?
- Właśnie zastanawiałam się, co dalej. Wtedy zjawił się

pan.

To go zaskoczyło. Zadzwoił do dyżurki.

- Macie dane osoby, która we czwartek, dwunastego, zgłosiła zaginięcie?

Przeszukanie rejestru zajęło trzy minuty.

- Tak, wszystko tu jest.
- Dzwoniła sprzątaczką?
- Nie.
- A kto?

- Inspektor Philip Ridpath.

- Zaginięcie zgłosił policjant? - Tak.

- Co to za Philip Ridpath?

- Jakiś gość z Yardu.

Belsey poczuł, jak zanurza się w niepewność. Zanotował nazwisko na kopercie.

- Który wydział?

- Przestępczości gospodarczej, komórka do spraw przestępstw finansowych.

- Przestępstwa finansowe?

- Zgadza się.

Podziękował koleżce z dyżurki i odłożył słuchawkę. Sytuacja nagle stała się jeszcze bardziej niebezpieczna. Kręcił się tam, gdzie już węszył Scotland Yard. W pierwszym odruchu chciał jak najszybciej zwinąć manatki i dać nogę, ale intuicja mówiła mu, że skoro znalazł trop, warto iść jego śladem. Ostatecznie, tłumaczył sobie, to w jego dobrze pojętym interesie.

Będzie bezpieczniejszy, jeśli dowie się, na co się nadział. Dochodziło wpół do ósmej. Wybrał numer komórki do spraw przestępstw finansowych. A nuż jeszcze ktoś tam będzie? Odebrał

facet z nosowym głosem.

- Sierżant Midgley przy telefonie.

- Szukam inspektora Philipa Ridpatha. Jest może jeszcze w pracy?

- Tak sądzę.

- Może mnie pan z nim połączyć?

- Nie w tym momencie.

- Dlaczego?

- Nie odbiera telefonów.

- Nie odbiera telefonów?

- Jest zajęty.

- Jak my wszyscy - warknął Belsey. - Co jest, do cholery?

Rozdział piętnasty

Belsey jechał Victoria Street, która stanowiła niejako przedmieście dzielnicy rządowej. Zaraz potem zaczynała się szeroka Whitehall. Przytłaczające fasady siedzib urzędów państwowych przeplatały się tam z tanimi hotelikami i restauracjami sieciowymi. Nigdy nie przepadał za tą okolicą. Budynek albo kuliły się, jakby bały się, że ktoś je zobaczy, albo górowały nad okolicą niczym gigantyczne niszczyciele. Ludzie przemykali się między nimi, jakby one tu rządziły, a oni byli ich niegodnymi sługami. Belsey skręcił w Broadway, gdzie mieściła się siedziba Scotland Yardu.

Nazywano ją Kreml, choć porównanie z Rzymem było sensowniejsze. Niby nigdy nic się tu nie działo, ale równocześnie wiodły tu wszystkie drogi. Dla przeciętnego policjanta stanowiła nieruchome jądro gigantycznej maszyny, której niezliczone trybiki nieustannie zacinały się przez niezliczone kartki nieustannie do niej wpychane. Dwadzieścia identycznych pięter z lustrzanymi szybami tylko pogłębiało to wrażenie. Z zewnątrz budynek zawsze wyglądał na pusty. Ale pusty nie był nigdy.

Belsey zaparkował za rogiem, na tyle daleko, by porsche nie uznano za samochód-pułapkę. Przejrzał się w lusterku wstecznym, przycesał włosy, poprawił krawat, po czym udał się do budynku, mijając betonowe pachołki chroniące przed atakiem

terrorystycznym i uzbrojonych wartowników w kamizelkach kuloodpornych.

Komórki zajmujące się przestępczością białych kołnierzyków kwalifikowały się do kategorii podwyższonego ryzyka.

Belsey wiedział, że nie będzie łatwo się tam przebić. W budynku wydzielono specjalne strefy – tzw. sterylne korytarze - gdzie nawet pracownicy Scotland Yardu nie mogli wejść bez dodatkowej przepustki. Belsey podszedł do recepcji, podał swoje nazwisko i nazwę komisariatu i powiedział, że jest umówiony z Ridpathem na rozmowę w sprawie jegomości, który zwiął za granicę, żeby uniknąć płacenia podatków. Dostał przepustkę z przykazaniem, żeby cały czas mieć ją na szyi, po czym wjechał na czwarte piętro. Tam przy wejściu do Wydziału Przestępczości Gospodarczej pokazał ją strażnikowi i zrobił mu wodę z mózgu, tak że ten wreszcie wpuścił go za bramkę. Ruszył labiryntem korytarzy, mijając komórki do spraw piractwa filmowego, kradzieży pojazdów, przestępstw informatycznych, aż dotarł do wąskiego zaułka, gdzie rośliny doniczkowe przykrywała gruba warstwa kurzu. Tam właśnie mieściła się komórka do spraw przestępstw finansowych. W Scotland Yardzie pełno jest takich dziupli i zakamarków. Upodobali je sobie ci, których praca wymagała dyskrecji. Czasem jednak stawały się otchłanią pożerającą kariery; drogą prowadzącą w mrok.

Przy wejściu znowu posłużył się nazwiskiem Ridpatha jako przepustką.

- Mówił, że to pilne.

- Momencik. - Strażnik sprawdził listę. Przechodzący obok pracownicy w cywilu, którzy zasiedzieli się w robocie, zerkali na Belseya. - Spodziewa się pana?

- Z całą pewnością.

Wreszcie strażnik przeprowadził Belseya przez biuro. Mijali zamknięte drzwi, a zatrzymali się przed gabinetem z tabliczką „Przestępstwa finansowe”. Strażnik zapukał.

- Proszę!

Gabinet miał dodatkowe drzwi pancerne z masywnymi zasuwami. Na środku dużego, schludnego pomieszczenia siedział mężczyzna z nogami na biurku. Wypolerowane pantofle lśniły - podobnie zresztą jak jego przetluszczone włosy. Belsey zakładał, że to Midgley.

- Gość do inspektora Ridpatha - oznajmił strażnik.

- Inspektor jest zajęty... - zaczął Midgley.

- Tym bardziej należy mu się przerwa - wpadł mu w słowo Belsey.

W głębi pokoju znajdowały się drewniane drzwi. Midgley pokręcił głową i uśmiechnął się pod wąsem. Belsey minął go i ruszył do gabinetu Ridpatha. Zastukał.

- Kto tam? - rozległ się przytłumiony głos.

- Aleksiej Devereux - odparł Belsey.

Zapadła długa cisza. Wreszcie drzwi się otworzyły. W progu stanął Ridpath. Był wzrostu Belsey, ale nieco mocniej zbudowany. Miał na sobie białą koszulę i przedpotopowy krawat w arabeski. W niedużych ciemnych oczach tlił się ogień. Równie przystrzyżony wąsik - przejaw niegroźnego dziwactwa - podkreślał pulchne, gładko wygolone policzki i łysinę. Było w nim coś niedbałego, jakby ten, kto go składał, dostał kiepsko napisaną instrukcję. Za nim piętrzyły się papierzyska. Wszędzie - na podłodze, na szafkach, na blatach. Wypełniały cały gabinet.

Każdy skrawek wolnej przestrzeni wyglądał na cudem odzyskany.

- O co chodzi? - odezwał się Ridpath.

- Dzwonił pan w sprawie niejakiego Devereux.

- Z kim mam przyjemność?

- Posterunkowy Nick Belsey.

- Posterunkowy? - Uśmiechnął się. Spojrzał na asystenta, który też się uśmiechał.

- Przepraszam - zakończył tę zabawę Belsey, wchodząc do gabinetu i zamykając drzwi.

Midgley został po drugiej stronie.

- Czego pan chce? - spytał Ridpath.

- Dowiedzieć się jak najwięcej o Aleksieju Devereux.

Ridpath wrócił za biurko i opadł na stary wyściany fotel.

Bez szczególnego zapału wskazał Belseyowi puste krzesło. Ten usiadł i przyjrzał się inspektorowi. To straszne, pomyślał, XXI wiek, a wciąż wystarczy spojrzeć na kołnierzyk, żeby odgadnąć, że gość mieszka sam. Ridpath przełożył jakieś papiery.

- Rutynowe dochodzenie. Nawet nie pamiętam, o co chodziło.

Znalazł teczkę, przerzucił ją, potem się poddał.

- Czym zajmuje się AD Development? - spytał Belsey.

- Nie wiem. Nawet jeśli ma jakiś związek z Devereux, to ja nic o tym nie wiem.

W jego głosie został leciuteńki nalot wymowy z Yorkshire.

Facet przez pół życia próbował się jej pozbyć, a ona wciąż się go trzymała - lojalnie i uparcie. To oznaczało, że sam Ridpath również jest lojalny i uparty.

- Rozmawiał pan z nim? - Nie.

- Co się stało? Dlaczego pan zgłosił jego zaginięcie?

- Już nie pamiętam. Widocznie poradzono, bym się z nim skontaktowałem. Nie było go w domu, więc was zawiadomiłem. A w każdym razie wasz komisariat.

- Kiedy próbował się pan z nim skontaktować?

- Nie macie tych wszystkich informacji u siebie, w Hampstead?

- Kto mówił, że w Hampstead? - spytał Belsey.

- Nie rozumiem.

- Wspomniał pan o Hampstead.

- Nie jest pan z komisariatu Hampstead?

- Jestem, ale nie wspominałem o tym.

- On mieszkał w Hampstead. Devereux.

Mówił spokojnym tonem, ale spojrzenie miał lodowate. Coś ukrywał. Belsey podejrzewał, że rozpracowują jakąś sprawę i nie chcą, żeby ją im odebrał. Chodziło o coś znacznie poważniejszego niż jeden trup w willi.

- Podejrzanie szastał pieniędzmi - podjął Ridpath. -

Chciałem tylko zadać mu kilka pytań.

- W takim razie polecam seans spirytystyczny.

To było jak uderzenie obuchem. Ridpath zamknął teczkę i powoli przesunął ją na inne miejsce. Cmentarz. Tak pewnie jest nieustannie, pomyślał Belsey - śmierć podkrada mu obiecujące śledztwa.

- Cóż, nie powiem, żeby to mnie szczególnie zaskoczyło - stwierdził Ridpath.

- Dlaczego?

- Jeśli ktoś nosi w kieszeni pół miliona, musiał skądś zdobyć te pieniądze. A na ogół nie są to sympatyczne miejsca.

- Skąd pan wie, że tyle miał?

- Dziesięć dni temu otrzymałem SAR, raport bankowy o podejrzanej działalności z Christie's, domu aukcyjnego przy Old Brompton Road.

- Wiem, co to jest Christie's.

- Z SAR-u wynikało, że kupił obraz za pięćset patyków i zapłacił gotówką. Może tak lubi, ale oni mieli obowiązek mnie o tym poinformować, a ja miałem obowiązek to sprawdzić.

- Wiedział pan, kim był Devereux?

- Nie. Po prostu wykonywałem swoje obowiązki.

Belsey skinął głową. Być może idealny policjant nie analizuje, pomyślał. Wykonuje tylko swoją część zadania, jak przystało na porządny trybik w wielkiej maszynie wymiaru sprawiedliwości.

- Uważa pan jego śmierć za podejrzaną?

- Moim zdaniem sprawa jest banalnie prosta.

- Doprawdy?

- Szanowny panie, ja zajmuję się przestępstwami finansowymi. Śmierć do nich nie należy.

Odchylił się w fotelu z zadowoleniem człowieka, który rozwiązał swoją część zagadki. Belsey już go lubił. Odczuwał instynktowną sympatię do ludzi, którzy nie chcieli budzić ciepłych uczuć. Ridpath był całkowicie pozbawiony wdzięku osobistego.

- Co kombinuje AD Development? - dążył.

- Tak się nazywa jego firma? Nie mam pojęcia. - Ridpath zerknął na zegarek.

- Kiedy po raz pierwszy próbował się pan z nim skontaktować?

- W poniedziałek. Próbowałem kilkakrotnie w poniedziałek i we wtorek. Potem zadzwoniłem na wasz komisariat.

- Co jest w tej teczce?

- Nic. Wstępny raport.

- Proszę mi go pokazać. Ridpath spojrział na niego twardo. - Nie.

- Dlaczego?

- Nie ma pan uprawnień.

Wyjął z szuflady jakąś torebkę i wstał. Okazało się, że to stary bochenek białego chleba, który już zaczynał się kruszyć.

Najwyraźniej rozmowa dobiegła końca. Ridpath podszedł do drzwi i otworzył je. Kilka kroków dalej stał Midgley usiłujący ukryć ciekawość. Belsey ruszył za Ridpathem przez gabinet, na korytarz, a potem do uchylonego okna z widokiem na ciemną o tej porze Tamizę.

Ridpath wysypał okruchy na parapet i patrzył, jak gołębie zlatują się do jedzenia. Ciekawe, czy przynosił chleb z domu.

Ciekawe, czy w ogóle do niego wracał.

- Nie wiem, jak pan się tu dostał - odezwał się chłodno - ale radzę poprosić strażnika, żeby wyprowadził pana do windy.

Łatwo się zgubić w tym labiryncie.

- Zauważyłem.

Inspektor podszedł do automatu i poczekał na coś, co zostało opisane jako cappuccino. Na plastikową łyżeczkę nabrał odrobinę spienionego mleka. Oblizął się.

- Nie ma pan innych zajęć? - odezwał się, kiedy Belsey się nie ruszył. W jego głosie jednak brzmiała ciekawość, nie rozdrażnienie.

- Jeśli dowie się pan czegoś o Devereux, da mi pan znać? - spytał Belsey.

- Wątpię.

- Ja też.

Rozdział szesnasty

Belsey pojechał do Kings Cross i zaparkował kilka przecznic od kostnicy. Szedł ruchliwymi ulicami ze wzrokiem wbitym w chodnik i zastanawiał się, co właściwie kombinuje Ridpath. Co było w teczce? Cóż, niektórzy lubią płacić gotówką, myślał dalej. Nawet sumy sześciocyfrowe. Nawet w Christie's.

Zwłaszcza w Christie's. Dopiero niedawno domy aukcyjne przestały przymykać oko na taki proceder.

Ważniejsze jednak było co innego, coś, czego nie mógł zignorować. Devereux nie był już jego małą słodką tajemnicą.

Został wprowadzony do systemu, a system nigdy nie zapomina.

System nie odróżnia ważnych spraw od nieważnych, co oznacza, że nie można mu powiedzieć, że coś nie ma znaczenia. To zaś fatalnie wróżyło Belseyowi. Musiał się liczyć z tym, że w każdej chwili ktoś zainteresuje się Devereux - jego forszą, jego zwłokami, jego przyjemnym lokalikiem przy Bishops Avenue.

Minął siedzibę biblioteki narodowej, skręcił w Midland Road, a kiedy podniósł głowę, okazało się, że stoi niedaleko terminalu Eurostara. Wpatrzył się w wyżwirowany pas za metalową siatką - pomiędzy ogrodzeniem a torami. Gdyby się udało...

Gdyby doskoczył do pociągu, który wolno toczy się w stronę Brukseli...

W końcu dotarł do kostnicy i zakładu medycyny sądowej St Paneras. Jeśli wierzyć kamieniowi węgielnemu, John William Dixon oraz Samuel Richard Lambie byli uradowani i zaszczyceni, że w 1867 roku ukończyli budowę tego niedużego budynku w stylu neogotyckim, które to zadanie powierzyła im komisja sanitarna. Belsey wszedł po popękanych betonowych stopniach. W głębi nagie gałęzie drzew tworzyły baldachim nad ogrodami St Paneras. Scenografię uzupełniały stare poważne kamienice robotnicze z czerwonej cegły. Cienie dzieci slumsów szeleściły wśród gałęzi i odbijały się w wysokich, smutnych oknach. Belsey nabrał głęboko

powietrza i nacisnął klamkę. Całe otoczenie nosiło piętno śmierci. Nie żałoby ani przerażenia, które jej towarzyszą, ale jej ciszy i chłodu. Śmierć z palcem przyłożonym do ust. Tak, to miejsce idealnie nadawało się na zakład medycyny sądowej.

Belsey zastukał do brudnych przeszklonych drzwi. Ciekawe, kto miał dzisiaj dyżur? Po chwili zjawiała się ubrana w biały kitel doktor Angela Hawks. Pokręciła głową.

- Lokal już zamknięty, Nick.

- Wpadłem jeszcze się zabawić po imprezie. Westchnęła i wpuściła go, zamykając drzwi na klucz. Już miał ją pocałować w policzek, ale uchyliła się i zanurzyła w mroczny świat boazerii i formaldehydów.

Szedł za nią do kostnicy - niewielkiego pomieszczenia z metalowym stołem sekcyjnym na środku. Podłoga była wyłożona płytkami linoleum, a ściana po prawej popękana, niegdyś zapewne białą glazurą. Po lewej zaś znajdowało się trzydzieści ponumerowanych szuflad. Na stole leżał mocno sfatygowany szkielet pozbawiony dolnej szczęki.

- Spójrz na tego kolesia - powiedziała Hawks. - Co o nim sądzisz?

Belsey obszedł stół, dokładnie przyglądając się szczątkom: skrawki tkaniny w tym samym burym odcieniu co kępka włosów przyklejona do kości pokrytych zielonkawym nalotem i resztkami gliny.

- Mężczyzna - zawyrokował. - Na kościach widać zmiany.

Niewykluczone że to robota syfilisu. Ukruszony rdzeń w górnej części kręgosłupa, ślad po ostrzu. Prawdopodobnie zginął od rany nożem, możliwe że poderżnięto mu gardło.

- Kiedy?

- A gdzie go znaleźliście?

- W okolicach Whitechapel.

- Zielone przebarwienia na zębach i czaszce to ślady osadu miedzianego, czyli został pochowany przed powstaniem mennicy. W czym był pogrzebany?

- W ołowiu.

- Dlatego zachowały się resztki włosów.
- To Rzymianin. Przełom II i III wieku naszej ery.
- Co go sprowadza do krainy żywych?
- Budowa nowego centrum handlowego. Dokopali się do średniowiecznego cmentarza, a teraz okazało się, że założono go na rzymskim.

Belsey zajrzał w puste oczodoły Rzymianina.

- W śledztwie dotyczącym morderstwa kluczowe jest pierwsze tysiąc lat - stwierdził. - Chyba już nie ustalimy sprawcy. Jak ma na imię?

- Hadrian. Pochowamy go, kiedy znajdziemy kogoś, kto zna rzymski rytuał pogrzebowy.

Zgodnie z wytycznymi samorządu traktowali zwłoki z ogromnym szacunkiem, choć nikt ani nie dostrzegał, ani nie doceniał ich starań.

- Koroner przygotował raport z sekcji tego samobójcy, którego wam podesłałem?

- Nie zdążył. Musiał jechać do pożaru na trasie Mil.

- Znaleźliście coś ciekawego?

Przykryła szkielet Rzymianina niebieską płachtą, zajrzała do rozpiski i otworzyła szufladę z numerem 29. Belsey wziął z pudełka parę rękawiczek chirurgicznych i pomógł odsłonić ciało Aleksieja Devereux.

Hawks zgoliła część włosów, żeby zbadać czaszkę. Na torsie pojawiło się charakterystyczne rozcięcie w kształcie litery Y.

Gardło zostało zaszyte, powieki zamknięte. Belsey dziwnie się czuł, patrząc na ciało człowieka, którego życie zaanektował. Na moment ogarnęły go wyrzuty sumienia, ale silniejsze było poczucie więzi. Devereux, stary druhu, pomyślał. Ja i ty.

- Jakaś treść pokarmowa?

- Trochę tłustego czerwonego mięsa. Nie jadł przez wiele godzin. We krwi nieco alkoholu, ale śladowe ilości.

- Sekretarka go rozpoznała? - Tak.

- Jak zareagowała?

- Młoda, więc dość emocjonalnie. Była poruszona, trochę

zbierało jej się na mdłości. Szlochała i powtarzała, że to nie mieści jej się w głowie.

- Nazywała go panem D.?
- Bo co?
- Tak o nim mówiła.
- Sympatyczne. Pozwolisz, że zapalę?

Hawks zdjęła kitel i wyszli na dach. Było wietrznie. Między kominami i patelniami anten satelitarnych stały trzy fotele pokryte pleśnią i popielniczka. Lekarka zapaliła dwa papierosy, jeden podała Belseyowi. W przygnębiający przemysłowy krajobraz Kings Cross idealnie wypisywały się dźwigi wyrastające ze zwirowiska. Na pociechę jednak mieli Regent's Canal, na którym kołysały się barki, a na atramentowoczarnej wodzie migotały pomarańczowe refleksy.

- Chryste, jakie to piękne - odezwał się Belsey.
- Tak sądzisz?
- Zakosiłaś kiedyś barkę?
- Nie przypominam sobie.
- To wykonalne. Raz aresztowałem kogoś, kto próbował.

Hawks paliła, dłonią otulając łokieć. Opierała się o gliniany wiktoriański komin. Jasne włosy w kolorze piasku miała przycięte tuż nad ramionami. Belsey przypomniał sobie pożegnalne przyjęcie patologa odchodzącego na emeryturę. On i Angela wyszli na zewnątrz i patrzyli na księżyc, a ona wzięła go pod rękę. Gest był instynktowny i niewinny. Może dlatego nie posunął się dalej. Dopiero kiedy wychodzili, niezręcznie próbował się do niej przystawiać. Śmieszne słowo, pomyślał. Przystawiać. Odstawiać. Ustawiać rufą do wiatru.

Na wodzie kołysała się barka. Na dziobie miała wypisane:

Księżna. Przez bulaje widać było miniaturowy salon, fotel i starą kuchenkę. Na zewnątrz stały doniczki z kwiatami. Wizja życia na pokładzie *Księżnej* nagle wydała się aż nadto realna.

- Moglibyśmy tam wskoczyć i zmyć się - powiedział.
- Czyżby?
- Wystarczy popłynąć kanałem do Limehouse, a stamtąd

Tamizą przez Essex prosto na otwarte morze.

Hawks zaciągnęła się papierosem i uważnie przyjrzała się Belseyowi.

- Podobno wezwali cię na jakąś rozmowę.
- Kto ci mówił?
- Nie pamiętam. To prawda?
- To ja prowadzę rozmowy. Przeżywam okres przejściowy.
- Przejściowy? Od czego do czego?
- Jeszcze nie wiem. Doświadczam absolutu. Absolutnego

braku pieniędzy.

Hawks parsknęła śmiechem. Na moment odmłodziła, straciła swoją nieufność. Potem zgmiotła niedopałek obcasem.

- Wyglądasz jak z krzyża zdjęty.
- Męczy mnie bezsenność.
- Chodźmy.

Wrócili do kostnicy i stanęli po obu stronach szuflady z denatem.

- Napatrzyłeś się?
- Jeszcze chwilę.

Hawks usiadła na stołku przy stoliku.

- O czym myślisz?
- Jaki błąd popełniają ludzie, próbując poderżnąć sobie gardło?

- Czy to żart?
- Może.
- Nie wiem. Jaki?
- Odchylają głowę.
- Nie rozśmieszylesz mnie.
- Odchyl głowę.

Zrobiła, o co prosił. Podszedł, dotknął jej szyi, powiódł palcem po mięśniu.

- To mięsień szeroki szyi. Niełatwo go przeciąć.
- Może nie przecinał?
- Zastałem go z odchyloną głową - powiedział Belsey. - I co z tego?

- Dopuszczasz możliwość, że to było morderstwo?

- Nie jestem śledczym, ale nic nie budzi tu moich podejrzeń. Są pierwsze próbne nacięcia, rana zwięza się ku końcowi, brak innych obrażeń. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Co wiesz o Budyce?

Lekarka spojrzała na niego zdumiona.

- Maczała w tym palce?

- Nie wykluczam tego.

- Królowa plemienia Icenów. Spaliła Londyn. Do tej pory archeolodzy trafiają na rzymskie monety, które stopiły się w pożarze. - Spojrzała na zegar. - Jest za piętnaście dziewiąta, Nick. Dlaczego funduję ci lekcję historii?

- Staram się poszerzyć horyzonty.

- Przyjdź jutro do koronera. Może on je poszerzy.

Belsey wyrzucił do kosza rękawiczki. Razem umyli ręce nad umywalką.

- Wiesz, że pierwsi koronerzy udawali się na wraki okrętów, żeby sprawdzić, ile skarbów ocalało dla króla? Na tym polegała ich rola.

- Tego nie wiedziałam. Co mam zrobić z panem Devereux?

- Nic, pozbadź się go.

Wytarła ręce i spojrzała na Belseya ze znużeniem.

- Albo nie - rozmyślił się. - Potrzyмай go jeszcze przez jakiś czas.

Rozdział siedemnasty

Wrócił do samochodu i ruszył na północ, próbując uciec przed narastającym poczuciem nieuchronnej klęski. Brak paszportu, zero forsy, denat, który aż się prosi o dochodzenie w sprawie okoliczności jego zgonu, porsche cayenne całe w odciskach palców Belseya. Nawet siedmiolatek by się kapnął, że to po prostu nie może dobrze się skończyć.

Teraz jeszcze zaczęło padać: złośliwy deszcz, którego ciężkie zimne krople zalewały szybę. Świat nie wydawał się szczególnie życzliwym miejscem do osiedlenia się.

Nadchodzi sąd.

Wody, które ocalają mieszkańców arki, całą resztę skazują na zagładę.

Belsey jechał przez Hampstead Village. Przez moment wydawało mu się, że ma ogon, ale po chwili samochód zniknął.

Jutro do wszystkiego się przyznam, postanowił. Może jeszcze zgodzą się ukarać go tylko zawieszeniem w obowiązkach?

Weźmie urlop zdrowotny, potem dyskretnie skierują go do roboty gdzieś pod Londynem. Wskoczy znowu w mundur i będzie krawężnikiem. Dostanie mieszkanie służbowe, pójdzie na ugodę z bankami i będzie spłacał długi. Do końca życia. Zgodzi się na czas odmierzany spłatą długu. Na bycie policjantem.

Skręcił z Heath Street w Church Row prowadzącą do kościoła St John's. Potrzebował chwili spokoju, a miejsce było piękne. Ciemno, deszcz powoli ustępował. Przy kościele znajdował się cmentarz jak z gotyckiej powieści: opuszczony, zarośnięty, z labiryntem ścieżek zakończonych gęstwiną ostrokrzewów, za którymi czasem ukrywała się stareńka ławeczka.

Belsey przysiadł na jednej z nich, przy ogrodzonym grobowcu. Nagle uświadomił sobie, że wcale się nie przyzna i że wciąż zamierza uciec z Londynu. Pierwsza reakcja zawsze jest najlepsza. Musi zmyć się jak najszybciej. Właściwie to już nie był plan, to przeznaczenie. Cokolwiek się wydarzy, w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin musi zniknąć z Londynu. Szkoda czasu na jakieś tajne konta, samobójstwo, które coraz bardziej pachniało morderstwem, na jakichś nadgorliwych gliniarzy z nerwicą natręctw ze Scotland Yardu, którzy będą się wtrącać. Zresztą, Bóg jeden wie, ile jeszcze międzynarodowych agencji śledziło tę sprawę. Opchnie wóz i telewizor Cassidy'emu, a potem kupi najtańszy bilet dokądkolwiek.

Z chwilą gdy podjął to postanowienie, wszystko się zmieniło. Znalazł się w krainie ostatnich razów, ostatecznych rozstań i pożegnań.

Ostatnia jego noc w roli miliardera.

Hampstead nie oferowało szczególnie dużego wyboru lokali z łatwymi dziewczynami. Belsey w myślach szukał miejsca,

gdzie będzie najłatwiej o podrywkę. Ostatnia szalona noc.

Chciał wykorzystać swoją wilgę i jej wielkie małżeńskie łóżce.

Adresy, które przychodziły mu do głowy, wydawały się krokiem wstecz - wiecznie te same, przećwiczone na wszelkie sposoby bary i kluby. Poza tym, uświadomił sobie ze smutkiem, cały jego majątek wynosił teraz jedenaście funtów. Odchylił głowę. Może spędzić noc na cmentarzu? - pomyślał. W tej samej chwili zauważył między grobowcami światło padające z kruchty kościelnej.

Podszedł bliżej i zajrzał przez okno. Za dnia pomieszczenie musiało służyć za przedszkole. Dziecięce krzeselka ułożono w wieżę i zepchnięto w kąt, a na środku rozstawiono krąg dwudziestu krzesel dla dorosłych, z czego szesnaście było zajętych - w większości przez kobiety. Uczestnicy siedzieli zadumani pod zapalonymi świetlówkami.

Belsey odsunął się, przyglądził włosy, porządnie zawiązał krawat i kamiennymi schodami zszedł do krypty.

Do przedszkola wchodziło się przez nieduże drzwi z łukowym sklepieniem. Na ścianach wisiały malunki podopiecznych.

W słoikach na parapecie moczyły się brudne pędzle. Belsey podszedł do stolika ze stalowym termosem i talerzem herbatników. Zaparzył sobie kubek mocnej kawy rozpuszczalnej. Będzie smakowała jak smoła, ale może da mu kopa. Usiadł na wolnym krześle, nie rozglądając się po otoczeniu.

Spotkanie właśnie się zaczynało.

- Witajcie - odezwał się prowadzący. - Mam na imię Aidan.

Aidan przywitał stałych bywalców i tych, którzy przyszli pierwszy raz. Nosił okulary w grubej oprawce i trzymał zestaw literatury samopomocowej. Agenta nieruchomości, którym co chwila wstrząsały silnie dreszcze, przedstawiła żona. Pomagała mu wyjść z uzależnienia. „Za wszelką cenę”, powtarzała raz za razem. Przyniosła keks dla uczestników. Poczęstowała Belseya, wzięła kawałek. Obok agenta nieruchomości siedział spięty osiemnasto-

dziewiętnastolatek w niebiesko-pomarańczowym kombinezonie sieci supermarketów, dalej starszy mężczyzna z tygrysem wytatuowanym na ramieniu. Pod krzesłem położył kurtkę lotniczą. Już w trakcie spotkania dotarło jeszcze pięć, sześć osób: pijacy z Hampstead - emerytowani sędziowie, stary aktor, kobiety z Partii Konserwatywnej. Belsey starał się nie przyglądać im zbyt nachalnie.

Kobieta, która bardzo się spóźniona, usiadła naprzeciwko Belseya. Była mniej więcej w jego wieku. Przyglądziła kasztanowe włosy, założyła nogę na nogę. Miała kusą spódniczkę i nieprzyzwoicie długie nogi zakończone czarnymi eleganckimi szpilkami. Ale Belsey patrzył na jej twarz, bo jej zielone oczy wyglądały, jakby niedawno płakała, a kiedy na niego zerknęła, przeszedł go dreszcz. Była piękna, opanowana, a zarazem skrepowana jak ktoś, kto swój alkoholizm odkrył z takim samym zdumieniem jak plamę na koszuli.

- Cześć - odezwała się cicho. - Przepraszam za spóźnienie.

Uczestnicy spojrzeli na nią i szybko odwrócili wzrok. Mężczyźni trochę szybciej niż kobiety. Ona tymczasem wodziła oczami po otoczeniu, o sekundę za długo zatrzymując je na Belsey. W pamięci zrobił błyskawiczny przegląd ostatnich ofiar, świadków i podejrzanych, a potem koleżanek po fachu oraz adwokatek. Dziś widział ją pierwszy raz.

Kiedy przyszła jej kolej, przedstawiła się jako Charlotte. Najpierw zadeklarowała, że nie piła od dwudziestu czterech godzin, a potem przyznała, że od pięciu. Nie wytrzymała, ale gorąco wierzy, że tym razem się uda. Wie, że sama sobie nie poradzi.

Kupuje kolekcje „dla popularnego sklepu odzieżowego w modnej dzielnicy”. Ma trzydzieści dwa lata. Została nagrodzona oklaskami. Belsey obserwował jej oczy, szukał poszlak: delikatny makijaż, prosty srebrny wisiorek. Z zadowoleniem odnotował brak obrączki, choć z drugiej strony obrączka nigdy nie stanowiła przeszkody, a nawet czasem ułatwiała sytuację.

Kiedy przyszła jego kolej, przedstawił się jako Jack, który

nie pije od dziesięciu lat. Powiedział, że przyszedł na mityng, bo jego przyjaciel się zabił. Podczas tej pierwszej części spotkania kilkakrotnie podnosił wzrok i kobieta ciągle mu się przyglądała. Za każdym razem jednak odwracała oczy.

- Na czym polega obrachunek moralny? - spytał prowadzący.

- Po pierwsze wymaga od nas skrupulatności. Żaden zakątek duszy nie może zostać pominięty, zaśmiecony wymówkami.

W czasie przerwy Belsey podszedł do Charlotte stojącej przy termosie.

- Miło cię widzieć - powiedział.

- Dziękuję - odparła. - Dziesięć lat. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym przez dziesięć lat czegoś nie robić.

- Cóż, szczerze powiedziawszy, nie warto sobie tego wyobrażać.

Uśmiechnął się, ona też. Wsypała kawę do plastikowego kubka.

- Za tobą już najtrudniejszy krok. To, że dzisiaj tutaj przyszłaś.

- Naprawdę?

- Nie.

- Jestem Charlotte. - Podała mu rękę. - Ale to już słyszałeś.

- Jack.

Zalała kawę i trzymała kubek, opierając się biodrem o stolik.

Belsey zastanawiał się, czyjej pięć godzin trzeźwości to również przesada. Delikatnie dmuchała na parujący napój i rozglądała się po pomieszczeniu.

- Jesteś tutejszy? - spytała.

- Można tak powiedzieć.

- Szczęściarz.

- Fakt, wyjątkowo piękna dzielnica.

- To bardzo podnosi na duchu, kiedy widzisz, że można wytrzymać aż tak długo - powiedziała Charlotte.

- Fakt - przytaknął Belsey, popijając swoją kawę. - Szczerze? Sądziłem, że to mityng anonimowych seksoholików.

- Serio?

- Żartowałem. Parsknęła śmiechem.

- Pewnie czujesz się fantastycznie, nie pijąc tak długo.

- Czuję się beznadziejnie. A kawa wcale nie zaczęła lepiej smakować - stwierdził, wylewając zawartość kubka do zlewu.

Charlotte przysiadła się do niego na drugą część spotkania.

Czytano fragmenty *Dwunastu kroków*, rozpoczęła się kolejna dyskusja. Belsey jednak nie potrafił się już skupić. Na zakończenie wstał agent nieruchomości. Opowiedział grupie, czego doświadczył w rodzinach zastępczych, i zapewnił, że przebaczył swoim winowajcom tak samo, jak Bóg przebaczył jemu.

- Sądzimy, że jesteśmy silni - mówił. - Potem jednak przekonujemy się, że jesteśmy słabi. Myślimy wtedy, że wszystko przepadło...

Charlotte zaczęła płakać. Belsey objął ją po bratersku.

Uczestnicy uspokajali, żeby nie próbowała robić wszystkiego naraz. Trzeba pracować nad sobą, jak najczęściej chodzić na mityngi. Potem wszyscy wstali i wzięli się za ręce, by wspólnie odmówić modlitwę. Belsey czuł w dłoni jej delikatne kostki.

Na koniec kilka osób podeszło do Charlotte, żeby ją uściskać. Zaczęła się wymiana ulotek i kartek z hasłami podnoszącymi na duchu. Żona agenta nieruchomości wciskała jej resztki keksu. Powiedziała, że Bóg jej pomoże. Kiedy chwilę później Belsey rozejrzał się za dziewczyną, już jej nie było.

Pomógł opróżnić termos, zabrać duże krzesła i rozstawić z powrotem dziecięce. Ciekaw był, czy przedszkole wie, w co zmienia się wieczorami. Wyobraził sobie słupek dorosłych krzesel, czekających za dnia w kącie niczym nieodrobione lekcje. Wyszedł przez kościół. Ze swojej jedynej wizyty w tej świątyni - kiedy nieznanemu sprawcy ukradli skrzynkę z ofiarami - zapamiętał obraz. Przedstawiał Chrystusa wśród pasterzy. Na górze i na dole biegł

napis: „Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach, prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć”.

Wody, gdzie można odpocząć, kojarzyły mu się tylko z rozlewiskami w Walthamstow. Uczestniczył tam w poszukiwaniach utopionego kilkulatka.

Wyszedł z kościoła. Pod latarnią stała samotna postać.

- Cześć - odezwała się.

- Charlotte.

- Co za towarzyszo.

- Teraz już wiesz, dlaczego wolą zachować anonimowość.

Uśmiechnęła się rozbawiona, potem wzdrygnęła się i rozejrzała po ulicy. Church Row opustoszała. Deszcz już nie padał.

- Wracasz samochodem? - spytał.

- Chyba nie powinnam. - Zerknęła na kluczyki, które trzymała w dłoni. - Zabronisz mi siadać za kierownicę?

- Nie.

- Wspominałeś chyba, że mieszkasz w okolicy.

Oczy miała błyszczące, szeroko otwarte. Popatrzyła na latarnie. Każda miała aureolę i światłem niczym deszczem spryskiwała wilgotne kamienie.

- Tak. To niedaleko. - Poklepał porsche. - To mój wóz.

Masz ochotę na chwilę do mnie wpaść?

Rozdział osiemnasty

Pojechali Heath Street do Whitestone, mijając prywatne galerie sztuki i restauracje serwujące kuchnię śródziemnomorską.

Niebo się przetało. Staw pokrywała warstewka lodu. Samochód nie zrobił na Charlotte większego wrażenia. Cóż, przyznał w duchu Belsey, w końcu to kobieta z klasą. A on? Na jak bogatego wyglądał? Minęli przewoźny bufet, który serwował hamburgery grupce mężczyzn szukających wśród drzew innych mężczyzn, a potem skręcili w Spaniards Road.

- Mieszkasz tutaj? - spytała Charlotte.

Ulica była ciemna. Jeśli zna okolicę, wie, że dalej są już tylko rezydencje. A jeśli nie, będzie przekonana, że wywozi ją w jakieś pustkowie.

- Dosłownie minutkę stąd. Ale jeśli chcesz, możemy się zatrzymać i złapię taksówkę. Zapłacę za nią.

- Nie trzeba. I tak musiałabym tędy przejechać. Przepięknie tu. Zapomniałam, jak cudownie wygląda nocą Hampstead.

- To niegdysiejsze królestwo Dicka Turpina - próbował podtrzymać rozmowę Belsey. - Rozbójnika. Tę drogę nazywano aleją szubieniczków, bo na więzach wzdłuż traktu wieszano ciała przestępców.

- Urocze.

Wyczuwał jej skrzępowanie. Ale w końcu to nie on czekał po mityngu cały chętny i gotowy. Starał się zachować lekki i niezobowiązujący ton.

- Wszystkie te stare latarnie są objęte nadzorem konserwatorskim - ciągnął. - Przepadam za nimi. Wiesz, że w czasach latarni gazowych co wieczór na ulice Londynu wychodziło dziesięć tysięcy mężczyzn, by je zapalić?

Ciekawe, co się potem z nimi stało? - zastanawiał się. Pewnie kiedy zobaczyli pierwszą elektryczną latarnię, zrozumieli, że to koniec. Zbierali pieniądze na miejsca na statku i ruszali tam, gdzie wzywał ich horyzont mroku.

- Och, te lampy są rzeczywiście przepiękne.

- Skoro nie jesteś tutejsza, jak trafiłaś na mityng akurat do nas?

- Byłam służbowo w okolicy.

- Polując na kolekcje odzieżowe...

- Właśnie - potwierdziła bez przekonania.

Minęli Spaniards Inn. Belsey zastanawiał się, kto kogo próbuje tutaj zrobić w konia. Przecznicę dalej skręcił w lewo w Bishops Avenue.

- Chryste Panie! - roześmiała się. - Kim ty właściwie jesteś?

Zaparkował kilka domów od numeru 37 i przeszli ten odcinek pieszo. Belsey dyskretnie obserwował budki ochroniarzy po drugiej stronie ulicy, rozglądał się za innymi zaparkowanymi wozami i próbował przeniknąć wzrokiem krzaki i cienie

prowadzące do domu Devereux. Dotarli do furtki.

- Jesteśmy na miejscu.

- Co to?

- Dom.

Szli podjazdem w stronę budynku. Charlotte milczała. Bogactwo wzniosło między nimi mur. Belsey otworzył drzwi.

- Mieszkasz tu zupełnie sam? - zdumiała się, kiedy po wejściu zobaczyła schody i fontannę.

Dopiero teraz uswiadomił sobie, jak nienaturalnie wygląda hol, zupełnie jak teatralna scenografia.

- Chwilowo.

- Nie doskwiera ci samotność?

- Ogromnie. Poczekaś tutaj? - spytał.

Poszedł do sypialni i zamknął wejście do kryjówki. Smród już wywietrzał. Zamknął okno. Co on właściwie wyprawia? To było tak lekkomyślne, że aż samobójcze. A może próbował w ten sposób doprowadzić do zakończenia tej gry? Wielu kryminalistów popełnia przestępstwo, by mieć pretekst do ucieczki.

Doskonale to rozumiał. Znacznie łatwiej byłoby zrezygnować z bogactwa, gdyby już nie mógł z niego korzystać. Zawsze uważał, że najskuteczniej walczy się z wadą, eksploatując ją aż do końca. Musi do końca wyeksploatować ducha Devereux.

Zajrzał do salonu, schował puste butelki i wsunął pod kanapę koniak. Ostentacyjnie za to rozłożył koperty i pisma z nazwiskiem Devereux. W mieszkaniu pozostaną ślady poprzedniego właściciela. Nie mógł kompletnie pozbawić go osobowości. Belsey już dawno przygotował zestaw bajeczek. Bogaci wujowie, nieobecni szefowie. Co więcej, miał determinację człowieka, któremu zostały dwadzieścia cztery godziny do ucieczki z kraju, a który za wszelką cenę chciał zaliczyć panienkę. Reszta nie miała znaczenia.

- Wejść! - zawołał.

Charlotte ostrożnie weszła do środka i aż się zachłysnęła na widok półek, wykładziny i książek.

- Ile książek! I dzieł sztuki.

- Gdzie usiądziemy? - spytał.

Wybrała kanapę. Jej niedawne przygnębienie gdzieś się ulotniło. Zsunęła płaszcz. Belsey podziwiał jej smukły kark.

- Masz psa? - zapytała.

- Nie. Nie sądzę. A bo co?

- Na kanapie została psia sierść. Jestem na nią uczulona.

- Pokaż.

Pokazała. Podniósł włos i przysunął do lampy. Miała racje.

- W mieszkaniu nie trzymam psa - powiedział. - Nie mam pojęcia, skąd ta sierść.

- Mogę się napić? To znaczy wody albo kawy - dodała pośpiesznie.

Przeszedł do kuchni i zaparzył kawę, myśląc o psiej sierści.

„Najlepszy przyjaciel człowieka”. Płatność potwierdzona PINem, Golders Green. Czy to ci coś daje? Myślał też o podejrzenie spostrzegawczej dziewczynie polującej na kolekcje odzieżowe, która wprosiła się do jego domu. Do jego pożyczonego domu.

Kiedy wszedł z kawami, Charlotte oglądała półki.

- Jak się tego wszystkiego dorobiłeś? - spytała z dziecięcą szczerością.

- Chcesz znać prawdę?

- Tak.

Belsey usiadł, popijając kawę. Patrzył na jej obcasy wbijające się w mięsistą wykładzinę.

- Kiedyś nie miałem zupełnie nic. Nawet mniej niż nic. Piłem. Tylko to robiłem. Aż pewnego dnia powiedziałem sobie, że przestanę chlać. I równocześnie obiecałem sobie, że w zamian za każdą flaszkę, której nie opróżnię, zrobię interes. Zdobędę dodatkowego pensa. Dodatkowego funta. I tak zamiast zapić się na śmierć, stałem się bogaty.

- Naprawdę? Fantastyczne.

- Tak. - Wypił jeszcze łyk. Zawsze marzył o karierze w amerykańskim stylu: od pucybuta do milionera. - Przekonałem się też, że ilekroć robisz coś, bo tego chcesz, bo widzisz, że to ma

sens, to cię zmienia. Musisz tylko bez reszty się w to zaangażować, całym sercem.

Siadła przy nim i wzięła od niego kawę.

- Dzięki.

- Służyłem w wojsku. Tam się nauczyłem, co naprawdę się liczy. Teraz zajmuję się głównie dziećmi pokrzywdzonymi przez los.

- Służyłeś w wojsku?

- W wysuniętej bazie operacyjnej. Coś w rodzaju zwiadowcy. Podawałem pilotom współrzędne.

- Jesteś wierzący?

- Bo co? - spytał.

- Mówią, że trzeba uwierzyć w siłę większą od nas samych.

To drugi krok.

- Tak powiadają.

- A ty w co uwierzyłeś?

- Łatwo znaleźć siłę wyższą - odparł Belsey. - Gorzej z niższą. To już znacznie trudniejsze.

Wyciągnął ramię na oparciu kanapy tak, że prawie dotykał barku Charlotte. Myślała nad jego słowami, znowu rozglądając się po pokoju.

- Nie chcę być bezczelna - odezwała się - ale odnoszę wrażenie, że posiadasz znaczne wpływy i władzę.

- Jestem bogaty i znam ludzi, a oni robią to, co im każę. - W głowie mu szumiało od własnych słów. Palcami muskał jej ramię. - Ale to nie jest władza. Latami miałem bogactwo, ale nie potrafiłem się powstrzymać od picia, chociaż to mnie niszczyło. Tak więc pieniądze nie dają władzy. Niczego nie zmieniają. - Próbował sobie przypomnieć frazesy z ulotek.

- Alkohol pogłębi każdy problem.

- Z wyjątkiem trzeźwości.

- Oaza spokoju...

- Chyba nie jesteś ze mną całkiem szczerzy - odezwała się nagle, patrząc mu prosto w oczy.

Jego dłoń znieruchomiała, choć była tuż-tuż od jej skóry.

- Dlaczego tak sądzisz?
- Nie żyjesz w trzeźwości od dziesięciu lat.
- Czemu tak uważasz?
- Poznam ludzi, którzy tyle wytrzymali.

Kiwnął głową. Wypił łyk kawy i spojrzał na towarzyszkę.

- Otóż, Charlotte... A gdybym udowodnił, że wcale nie zajmujesz się kupowaniem kolekcji odzieżowych?

Teraz ona ściągnęła brwi.

- Śmiało, udowodnij.
- Ile pisania wymaga twoja praca?
- Bo co?
- Masz „reporterski odcisk” na prawej dłoni.
- Może prowadzę pamiętnik.
- Może.
- To kim w takim razie jestem? - spytała.
- Dziennikarką.
- Jak na to wpadłeś?

- Zdradził cię odcisk i ten zwrot „popularny sklep odzieżowy w modnej dzielnicy”. Nikt tak nie mówi. To typowo dziennikarskie: nie ujawniać szczegółów. Poza tym przyłapałaś mnie na kłamstwach, mimo to nie odwróciłaś się na pięcie i nie wyszłaś. Nie jesteś z policji, bo wciąż nie zatraciłaś starannej wymowy absolwentki prywatnej szkoły. Dlatego podejrzewam, że prowadzisz dochodzenia, ale dziennikarskie. Zbierasz materiały do artykułu o pijakach z Hampstead.

- W takim razie po co ty tam przyszedłeś?
- Szukałem podrywki.

Wolno wciągnęła powietrze, jakby odzyskując równowagę.

- Dobra. Która redakcja?
- Jeśli trafię, rozbierzesz się. Zastanowiła się.
- Łącznie z bielizną?
- Oczywiście.
- A jeśli spudłujesz?
- Ja się rozbiore - obiecał Belsey. - Strzelaj.
- „Daily Mail”.

Bacznie mu się przyglądała.

- Dlaczego?

- Strzeliłem.

- Powiedz dlaczego. - Trafiłem?

- Najpierw odpowiedz.

- Ubrania, styl. Jakiś nieszczęsny sukinsyn ma problem alkoholowy, a ty zamierzasz go zdemaskować.

Uśmiechnęła się.

- Byłeś tak blisko. Która to gazeta?

- „Mail on Sunday”.

Spojrzał na nią i zaczął rozpinać koszulę.

- Czekał - zachichotała.

- Na co?

- Po prostu poczekaj - śmiała się.

- Skoro tak... - Wyciągnął koniak.

Charlotte przyniosła z kuchni kieliszki i wróciła na kanapę, zrzucając pantofle i podwijając nogi. Wypili mnóstwo koniaku.

Z każdą dolewką przysuwali się coraz bliżej.

- To bardzo konkretny sukinsyn z problemem alkoholowym - przyznała po trzecim kieliszku. - I nie tylko alkoholowym.

- Mianowicie?

- Nie powinnam ci mówić. Niewykluczone że to twój sąsiad. Milton Granby, odpowiada za finanse Korporacji Londyńskiej, czyli samorządu City.

- Jeśli dobrze się orientuję, nie jest moim sąsiadem.

- Tak czy inaczej, to jego szukałam.

- Po co?

- Widywałeś go w okolicy?

- Nie mam pojęcia. Musiałbym wiedzieć, jak wygląda.

- Tylko nieliczni wiedzą.

- To o co właściwie chodzi, skoro nie tylko o problem alkoholowy?

- O to, dlaczego pije.

- Mów dalej.

- Och, historia stara jak świat. Plotki o gigantycznej dziurze

w finansach City. Jak ci zapewne wiadomo, to zamknięty światek, hermetyczne środowisko. Starsze od Parlamentu, specyficzne. Zdaniem niektórych bardziej wpływowe niż sam rząd.

- Owszem, coś o tym wiem.

Podobnie było w policji. Policja City działała niezależnie do stołecznej i relacje między nimi były dość skomplikowane.

Kiedy Belsey po raz pierwszy zjawił się w komendzie City, siwowłosy inspektor zabębnił palcami w jego odznakę: „Nawet królowa musi nas prosić o pozwolenie, zanim wejdzie w bramy City...”.

- Człowiek czuje się tam, jakby się cofnął do XII stulecia, a równocześnie obowiązują tam reguły bezwzględnego, brutalnego kapitalizmu - podjęła Charlotte. - Krążą pogłoski, że Korporacja zainwestowała w mocno podejrzaną fundusze. W księgach rachunkowych pojawiła się dziura, z której nie potrafi się wytłumaczyć. Milton Granby to jeden z najbardziej wpływowych ludzi w City, a prawie nikt o nim nie słyszał. Powiadam ci, moim zdaniem gość jest zepsuty do szpiku kości, skorumpowany. Nie chcę go uziemić tylko ujawnieniem jego pijaństwa.

Ponoć planuje jakieś drastyczne posunięcie. Po co ja w ogóle ci o tym mówię?

- Przykro mi, że zawiodłem jako źródło informacji.

- Och, z tym pogodziłam się już jakiś czas temu.

Dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem nachylił się i pocałował ją.

Otwierają się kolejne drzwi, pomyślał. Do największej tajemnicy. Charlotte przyciągnęła go mocno do siebie, a po chwili odsunęła się, spojrzała na niego. Polowała na prawdziwe ścierwo, pomyślał, a znalazła tylko to. Przypomniawszy sobie swoich skorumpowanych kumpli: rozczarowani, niepozbawieni talentu, twardsi niż przestępcy, których ścigali. Zwykle pojawiała się luka w jednych czy drugich aktach, słabość do alkoholu albo szybkich samochodów, albo kobiet. Zaczynały krążyć plotki, a pewnego dnia jegomość po prostu znikał: przenoszono go za biurko lub wysyłało na chorobowe. Albo kończył jak inspektor Neil Tanner,

który powiesił się w garażu w Dalston, zanim zdążyli go wylać.

Belsey dolał koniaku. Wypili jeszcze po trzy kieliszki, zanim poszli na górę do sypialni i usiedli na łóżku. Charlotte patrzyła na swoje odbicie w drzwiach do kryjówki.

- Klęknij za mną - powiedziała. - Obejmij mnie. Tylko spójrz. Wyglądamy, jakbyśmy się znali. - Roześmiała się.

Kłęczał za nią, obejmując ją, podtrzymując dłońmi jej piersi.

Była pijana.

- Podoba ci się tak? Przed lustrem? Kiedy możesz podziwiać, jaką zdobycz przywlokłeś do nory?

Położyła się na wznak z głową za krawędzią łóżka, żeby widzieć ich odwrócone sylwetki. Powiódł ręką po jej udzie.

- Jesteś zły, bardzo niegrzeczny.

- Naprawdę? - Tak.

Podciągnął jej bluzkę i całował jej brzuch.

- Dlaczego?

Wygięła się aż do podłogi, potem podciągnęła się, pokazując mu spinkę do włosów.

- To raczej nie jest twoje.

Zabrał od niej spinkę i położył się na wznak, zastanawiając się, w co się właściwie wpakował. Cmoknęła niezadowolona.

Potem przeczołgała się na niego, szukając guzików koszuli.

Przestał myśleć.

Obserwowali się w lustrze, jakby podglądali parę nieznanym. Po wszystkim zamknęła oczy, a on przytulił ją i słuchał jej coraz spokojniejszego, równego oddechu. Idealnie się w niego wpasowała. Dawno już nie spał z kobietą, która nie wiedziała, że jest policjantem. Z jednej strony zrodziło to smutek, swoistą melancholię, z drugiej zaś odnowiło niecierpliwe pragnienie, by ruszać w drogę. Czuł, że będzie musiał wymyślić sobie na nowo jeszcze bardziej. Wyplątał się z pościeli i poszedł do łazienki. Przyjrzał się spince do włosów. Wsunął głowę pod zimny strumień wody, a kiedy wrócił do sypialni, Charlotte już szczerlnie owinęła się kołdrą i spała jak zabita. Otworzył jej

torebkę. Wyjął portfel, a z niego kartę bankową wystawioną na Charlotte J. Kelson. Wsunął je z powrotem do torebki.

Zszedł na dół i nalał sobie dużą whisky. Dawno już nie czuł się tak dobrze. Alkohol przyjemnie go rozgrzewał. Przez dłuższą chwilę podziwiał gabinet - kominek, mahoniowe biurko, podniszczony perski kobierzec - i z pełną wdzięczności serdecznością myślał o bogaczach. Byli strażnikami piękna, z pokolenia na pokolenie przekazywali te eleganckie siedziby, uroczne dzielnice. Czuł, że majątek znacznie poprawiłby mu charakter.

Szperał po półkach z książkami: biografie mężów stanu, przewodniki po Londynie, książki o antykach, angielskich rezydencjach i historii Rosji. Wyjął pozycje o rosyjskiej kawalerii.

Długie godziny spędzone w siodle stanowiły najszcześniejsze, najbardziej błogie chwile tej dziwnej, niespokojnej egzystencji. Niepewność, co przyniesie dzień i co szykuje los... Kto by się tym przejmował wczesnym rankiem, kiedy szwadron zbierał się na apel, kiedy rześki wiaterek targał grzywami wierzchowców i łopotał w sztandarach.

Belsey chętnie służyłby w kawalerii. Właściwie dlaczego nie zgłosił się do konnej policji? Zamieszki, mecze piłkarskie - tam ostatnio pojawiali się policjanci na koniach. Przypomniawszy sobie szkolenie, które jako kadet przeszedł w wymarłym miasteczku w Staffordshire, gdzie ćwiczono rozpędzanie manifestacji. Widział przed sobą puste ulice, makiety domów, sklepów i pubów, od których echem odbijał się chrzęst plastikowych tarcz. Starsi funkcjonariusze, kumple jego ojca, wspominali czasem strajk górników, Brixton, Broadwater. To były ich rany wojenne, ich doświadczenie pokoleniowe.

Wyjął *Ilustrowaną historię Londynu*. Wyobrazził sobie, jak Devereux kupuje album zaraz po przyjeździe, jeszcze podekscytowany nowym domem, nowym miejscem. Ktoś zagiął jeden róg. Potem go wyprostował, ale książka zachowała wspomnienie tego i otworzyła się w zaznaczonym miejscu.

Budka.

Raz w swoich dziejach Londyn był bliski niemal całkowitego unicestwienia. A to za sprawą walecznej królowej Budyki.

Devereux podkreślił imię. Autor pisał dalej:

Budyka była królową celtyckiego plemienia Icenów, która stanęła na czele powstania przeciwko rzymskiej okupacji kraju.

Belsey przeleciał opis. Kiedy jej córki zostały wychłostane i zgwałcone przez rzymskiego cesarza, Budyka zbuntowała się przeciwko Rzymianom. Lata 60-61 n.e.

Icenowie zniszczyli Camulodunum (Colchester), okrążając rzymski legion wysłany na pomoc osadzie. Kiedy rzymski gubernator Swetoniusz usłyszał o buncie, pospieszył do Londinium. Ten założony dwadzieścia lat wcześniej port handlowy stanowił następny cel powstańców. Swetoniusz uznał, że jego wojska nie zdołają obronić miasta, dlatego kazał je ewakuować. Budyka doszczętnie spaliła opustoszałe miasto.

Czytał dalej, aż doszedł do jej klęski podczas walki na Watling Street.

Waleczna królowa otruła się, by uniknąć niewoli. Legenda głosi, że została pogrzebana na terenach dzisiejszego parku Hampstead Heath.

Belsey zamknął książkę. Potem jeszcze raz przerzucił kartki, ale nie znalazł już ani jednego zagięcia, żadnych podkreśleń.

Włożył spodnie od garnituru, jedną z kurtek przeciwdeszczowych Devereux i wymuskaną zwirowaną alejką wyszedł do ogrodu. Stał przy altanie. Księżycowa poświata odbijała się w wilgotnej trawie. W ciągu ostatnich dni trawa wyraźnie podrosła. Wyobrażał sobie, jak Devereux spacerował tutaj nocą, a potem przypomniał sobie jego ciało w szufladzie w kostnicy, zaszyte poderżnięte gardło. Dotknął ubrań zmarłego na swoim żywym ciele. Potem zaś zaczął sprawdzać, czy i jak ktoś mógłby się dostać na teren posesji. Uważnie oglądał mury, kalkulował, co się za nimi znajdowało: inne ogrody, tereny pobliskiej szkoły, tył domu starców? Nie jest całkiem

niewykłuczone, że ktoś zakradł się do ogrodu, wyważył drzwi balkonowe i poderżnął gardło śpiącej ofierze. Belsey okrążył kort i sadzawkę. Deszcz zmył część liści ze spłachetka świeżo przekopanej ziemi w rogu, gdzie dwa metry od siebie posadzono przy palikach dwa anemiczne iglaki. Belsey przykucnął, zanurzył dłonie w ziemię i wyciągnął cebulki, które posadzono wokół drzew. Jeszcze nie wypuściły kielków.

Na wierzchu znajdowała się świeża ziemia ogrodnicza, głębiej gleba była jaśniejsza, miała konsystencję gliny i lepła się do palców.

Podszedł do sadzawki, opłukał dłonie i zastanawiał się, co to może oznaczać. Nie miał szczególnej ochoty bardziej w to wnikać. Przeszedł do szopy, w której stały dwa szpadle, leżał zwinięty szlauch i siedem worków torfu - poza tym nic. Przy północnej stronie domu odkrył werandę, której wcześniej nie zauważył - z huśtawką i porzuconym wiaderkiem na lód. Wrócił na kort.

Wtem rozległ się łomot.

Obejrzał się. Trzy następne uderzenia - łomot pięści walącej w drewno.

Ktoś dobijał się do drzwi wejściowych.

Belsey bezszelestnie wrócił do mieszkania. Nie zapalił świateł. Namacał ręcznik i wytarł z dłoni resztki gliny. Kolejne trzy łupnięcia.

Musiał to być ktoś uparty. Kto wiedział, że dom nie jest pusty. Widocznie Belsey zostawił otwartą furtkę. Zastanawiał się, jak dom może wyglądać od ulicy. W gabinecie paliło się światło, ale w pomieszczeniach od frontu było ciemno. Czy widać je od frontu? Przemknął do korytarza, gdzie stała Charlotte owinięta w prześcieradło.

- Kto to? - spytała.

- Nie wiem.

Uświadomił sobie, że mówi przyciszonym głosem. Wpatrywała się w jego wilgotne ubrania.

- Zawsze możesz otworzyć.

- Niechętnie. Nie wiem, kto to ani czego chce.
- Nie chcesz sprawdzić?
- Sam dom może przyciągać uwagę.

Popatrzyła na niego zaintrygowana, ale wróciła do łóżka.

Belsey podszedł do monitora w przedpokoju. Widać było na nim młodego mężczyznę w okularach bez oprawek i w droгим płaszczu. Osłaniał się przed deszczem rozłożoną gazetą. Przy krawężniku stało audi kabriolet z włączonymi światłami awaryjnymi. Mężczyzna niespokojnie oglądał się, sprawdzając, co się dzieje na ulicy. Krople deszczu padały na szkła okularów.

Nie zachowywał się, jakby trafił tu przypadkiem.

Belsey wyjął z portfela Devereux wycinek z arabskiej gazety. Rozłożył. Spojrzał na zdjęcie i na jasnowłosego mężczyznę po lewej stronie. Jeszcze raz zerknął na monitor. Być może to ten sam człowiek, choć naprawdę trudno powiedzieć. W końcu usłyszał warkot audi. Kiedy znowu sprawdził monitor, nikogo już tam nie było.

Wrócił z wycinkiem do gabinetu Devereux, położył go na biurku pod lampą. Z fotografii uśmiechali się do niego dwaj mężczyźni. Wypełniali niemal cały kadr, ale w tle można było dostrzec sylwetki budynków, biurowce, wieżę kościelną. Wcale nie byli na Bliskim Wschodzie. Okolica przypominała raczej Londyn. Na samym brzegu zdjęcia Belsey zauważył kamienną krawędź, jakby pozowali w drzwiach kościoła na tle miasta.

Odchylił się w fotelu. Po raz kolejny dobytek zmarłego próbował coś mu powiedzieć. Tym razem z większym naciskiem.

Dzieła sztuki, śmieciowa poczta, nagie gałęzie drzew uderzające w okna - wszystko to próbowało przekazać mu wiadomość, której nie słyszał, choć bardzo wyteżał słuch.

Wrócił do sypialni, gdzie zobaczył biały półksiężyc uchylonego oka.

- Kto to był? - spytała Charlotte.
- Nikt - odparł Belsey.

Owinęła się kołdrą. Cicho zamknął za sobą drzwi, zszedł na dół i położył się na podłodze. Kłamstwa - jego i nieboszczyka -

skradały się coraz bliżej.

Rozdział dziewiętnasty

Belsey obudził się wcześniej. Przez szparę w zasłonach widział noc. Czyli nie ma jeszcze szóstej. Przypomnił sobie swoją przygodę na jedną noc. Wrócił do sypialni. Charlotte spała owinięta w pościel jak w kokon, wysunęła tylko jedną nogę.

Wycofał się na dół, zaparzył kawę i próbował wyrzucić z pamięci ostatnie sny. Obrazy jednak uporczywie się go trzymały: Gower, Northwood, las. Byli w cywilu, nieśli szpadle i szli energicznym krokiem jak ludzie, którzy mają coś do załatwienia. Ciekawe, czy kiedykolwiek przyśniłem się Northwoodowi?

- zastanowił się przelotnie. Jak on pojawił się w jego śnie? Jak będzie się pojawiać, kiedy Belsey ucieknie z kraju? Dziwne, pomyślał. Część naszego życia toczy się w snach innych ludzi.

Teraz już swobodnie poruszał się po kuchni. Oswoił się z domem. Uprawiał w nim seks. To było coś więcej niż czynność fizjologiczna. W ten sposób zawłaszczył dom. Jeśli nie tak potwierdza się swoją dominację, prawo do miejsca - to jak? Dziś musi jeszcze zdobyć sześć tysięcy ze sprzedaży rzeczy Devereux i stworzyć konstrukcję finansową, która pozwoli wyczyścić rachunki nieboszczyka. Czuł, że coś niebezpiecznie zbliża się do Bishops Avenue numer 37. Najlepiej byłoby zwiać ze Zjednoczonego Królestwa jeszcze przed wieczorem, ale wiedział, że musi poczekać do następnego ranka. Właśnie pił drugą kawę, kiedy usłyszał, jak drzwi na górze się otwierają. Wyszedł do przedpokoju. Charlotte schodziła po krętych schodach w jednym ze szlafroków Devereux. Uśmiechała się rozespana.

- Cudowne są te schody - powiedziała. - Fantastycznie poprawiają humor z samego rana.

- Czasem zjeżdżam po poręczy - przyznał się Belsey. - Co tak wcześnie wstałaś?

- A która jest?

- Parę minut po szóstej. Pośpij jeszcze.

- Nie chce mi się. Wrócę do domu i przebiorę się przed pracą.

- Może najpierw napijesz się kawy?

Szła do niego. Nie wiedział, czego się spodziewać. Pocałowała go w policzek. Usiadła na stołku przy barku śniadaniowym i wypili kawę. Za oknami wciąż czaiła się noc, w ciemnych oknach odbijała się kuchnia.

- Jak się czujesz? - spytał Belsey.

- Dobrze. Zdumiewająco dobrze. Dawno tak świetnie się nie bawiłam.

- Ja też.

- Choć było to trochę zaskakujące.

- Właśnie takie noce najbardziej lubię. Zjadłabyś śniadanie?

Nawet nie wiem, co tam mam.

Na wyświetlaczu lodówki migotała lista produktów: mleko, jajka, owoce. Zajrzał do środka. Nie dostrzegł w niej śniadania.

- Kim jest Aleksiej Devereux? - spytała Charlotte.

Belsey się odwrócił. Odczytywała nazwisko z zafoliowanego katalogu firmy odzieżowej.

- Poprzedni lokator - odparł. - Gdzie go znalazłaś?

- Leżał na krześle.

- To gość, który mieszkał tu przede mną. Wciąż przychodzą do niego katalogi.

- Dlatego na moim szlafroku są inicjały A.D.?

- Wyprowadził się w pośpiechu.

Uniosła brwi z niedowierzaniem, wreszcie rzuciła katalog.

- Co przede mną ukrywasz?

Belsey usiadł naprzeciwko niej.

- Wiele przed tobą ukrywam, Charlotte, ale w końcu znamy się tylko dziesięć godzin. A większość tego czasu przespałaś.

Dopiła kawę, zerknęła na zegarek. Przyglądał się jej póty, póki mógł. Tak uporczywie, że roześmiała się i spytała, co właściwie wyprawia.

- Nie mam nic do jedzenia - powiedział. - Odwieźć cię do samochodu?

- Jakiego samochodu?

- Tego, który zostawiłaś... - Wtedy zobaczył, że się

uśmiecha. - Nie przyjechałaś samochodem?

Triumfalnie wyszczerzyła zęby.

Belsey odwiózł ją do domu. Na ulicach było jeszcze pusto, świt zgrzytał o nagi beton Archway. Charlotte kazała mu skrócić w jedną z przecznic Holloway Road. Spokojna, przyzwoita ulica, przy której stały domy z ciemnej cegły. Sam chętnie by na takiej zamieszkał, gdyby zdołał dźwignąć swoją karierę i poczucie przyzwoitości.

- Nie jest to Bishops Avenue - roześmiała się zażenowana.

- Fakt - przyznał.

- Zatrzymaj się przed numerem dwunastym. Stał, ale nie wysiadła od razu.

- Może jeszcze kiedyś się spotkamy - rzuciła.

- Będę trzymał kciuki.

- Sądzisz, że mnie znajdziesz? - spytała z błyskiem w oku.

- Bez problemu.

Wysiadła z samochodu. Odprowadził ją wzrokiem, ale się nie obejrzała.

Wrócił na Bishops Avenue. Powoli się rozjaśniało. Minęła siódma i północny Londyn budził się do życia: osobiści trenerzy trenowali podopiecznych, budowlańcy w furgonetkach nalewali sobie herbatę z termosów. Właśnie tak, czuł Belsey, będzie wspominał Londyn z wygnania, kiedy pamięć zakończy brutalne filetowanie zdarzeń i odwiesi ich zakrwawiony fartuch.

Zostanie z widokiem Hampstead o poranku: parkingowi i dzieci w słomkowych kapeluszach. Z czasem nawet nauczy się za tym tęsknić, odezwie się ta cząstka duszy, którą tu zostawi. Być może będzie wspominał poranek z Charlotte, całą tę maskaradę i oszustwo, i pomyśli: „Wtedy bardziej niż kiedykolwiek byłem sobą. A kim jestem teraz?”.

Kilka minut porządkował mieszkanie Devereux, mył kubeczki po kawie... Ale rzucił to pod wpływem impulsu, by zadzwonić do redakcji „Mail on Sunday”. Połączono go z recepcją. Spytał, czy pracuje tu niejaka Charlotte Kelson. Pracuje.

- Może mnie pani przełączyć na jej pocztę głosową?

- Nie.

Odłożył telefon, wyjrzał przez okno i przez chwilę marzył o przyszłości, której nie będzie.

Wziął czek wystawiony na Reflections Ltd i znowu mu się przyjrzał. Przez te drzwi Devereux miał opuścić ten świat, a Belsey je zablokował. Chciał wykorzystać to samo wyjście, by uciec z Londynu. Wrócił do kuchni zaparzyć kolejną kawę, ale słoiczek okazał się pusty. To wydawało się znaczące. Obok bramy wolno przechodziła dziewczyna w mundurku miejscowej szkoły prywatnej. Patrzyła na dom, zatrzymując wzrok na kuchni.

Belsey zarzucił marynarkę Devereux i wyszedł na zewnątrz.

Nie zamierzał śledzić małej, ale tak się złożyło, że zdążyli w tę samą stronę: Hampstead Lane do stawu. Daleko ma do tej szkoły, pomyślał. Skręciła w East Heath Road. Szedł za nią. Przy South End Green zniknęła, a on zatrzymał się przed Starbucksem, po raz ostatni chłonąc widok porannego ruchu na skwerze.

Na północ od siebie miał Hampstead Heath, na południe - betonowe ściany szpitala Royal Free. W promieniach porannego słońca kursowały samochody dostawcze supermarketów i ciężarne matki.

Już wtedy czuł, że wydarzy się coś strasznego.

Kilka minut później dziewczyna zmaterializowała się po drugiej stronie ulicy. Zerknęła na Belseya i szła dalej w kierunku dworca Hampstead Heath. Nagle skręciła i przeszła na drugą stronę prosto na niego. Wreszcie zobaczył jej twarz. Znał ją.

Tylko skąd? Osiemnaście lat, obcasy, makijaż, pikowana torebka Chanel i papieros. Tylko złoto-niebieski żakiet liceum South Hampstead zdradzał, że wciąż się uczy. Dodatki miały stanowić głośny sprzeciw wobec mundurka. Wchodząc na chodnik, patrzyła na garnitur Belseya - garnitur Devereux. Wpatrywała się w niego. Belsey poczuł w krzyżu lodowaty dreszcz, a potem zimno rozlało się do brzucha aż po płuca.

- Dzień dobry - powiedział z uśmiechem i skinął jej głową.

Coraz bardziej był przekonany, że skądś zna tę dziewczynę,

ale mózg wciąż nie potrafił połączyć osoby z miejscem. Coś tu nie grało. Spojrzała mu w oczy ostatni raz, potem rzuciła na drogę niedopałek, który zaświecił niczym flara ratunkowa. Minęła go i weszła do kawiarni.

Przysunął się, żeby usłyszeć jej głos.

- Latte waniliowe - mówiła. - Na wynos.

- Duże?

- Tak.

Pierwszy strzał rozwalił szybę. Belsey instynktownie rzucił się na ziemię. Trzask pękającego szkła był głośniejszy od samego wystrzału, ale Belsey świetnie rozpoznawał odgłos strzelby. Zaraz potem, w sekundowych odstępach padły trzy kolejne strzały. Potem zaczął się krzyk. Belsey wypadł z lokalu, próbując ułożyć jakiś plan działania. Usłyszał piąty i rzucił się na brzuch przy przystanku autobusowym. Potem szósty. To była potężna broń, strzały padały z daleka, a każdy odbijał się echem od bloku po drugiej stronie skrzyżowania. Belsey rozejrzał się po ulicy. Ludzie ukrywali się, gdzie mogli. Pasażerowie na przystanku kucali, osłaniając głowę. Nikt nie mierzył z broni. Rozległ się szum gwałtownej ulewy - to posypała się reszta szkła z witryny Starbucksa. Zniknęła przeszkoda. Dwa następne pociski wpadły do środka. Belsey właśnie próbował ustalić kąt, pod jakim zostały wystrzelone, kiedy broń ucichła. Odczekał moment i przez rozbitą witrynę przeczołgał się do lokalu.

Na podłodze leżała półka, wokół wały się rozsypane pudełka kawy. Na przewróconym stoliku widać było ślady krwi.

Alarm był przenikliwie i nadaremnie, zagłuszając delikatną muzykę jazzową i szmer wody z kranu. Za kontuarem ukrywała się pracownica w mundurku Starbucksa.

- Policja - odezwał się Belsey, na wszelki wypadek jeszcze raz dokładnie wodząc wzrokiem po pomieszczeniu, sprawdzając, czy za meblami ktoś się nie ukrywa. - Odsuńcie się od okien, przejdźcie na środek.

Ekspedientka spojrzała na niego tępo, nie rozumiejąc. Belsey znowu zlustrował otoczenie: staruszka kulila się w kącie,

pracownik kawiarni - młody chłopak o azjatyckich rysach - trzymał się za krwawiące ramię. Za krzesłem klęczał klient w niebieskim kombinezonie, a uczennica leżała na boku przy wejściu na zaplecze. Widocznie szukała schronienia. Nigdzie nie widział broni. Nie padły też następne strzały. Słychać było tylko alarm, jazz, a pod tym wszystkim tę niesamowitą ciszę.

Podszedł do dziewczyny. Z reklamy „Twoja chwila błogostanu” ściekała krew. Naboje przeszły przez karton i rozpruły kanapy, aż wyszedł z nich żółty wypełniacz.

Dziewczyną wstrząsały drgawki. Ciemna, wilgotna pustka ziała w miejscu, gdzie powinno być lewe ramię. Plama krwi rozszerzała się na frontonie szkolnej bluzki.

- Nie próbuj mówić - odezwał się Belsey, klękając przy niej.

Rozpiął bluzkę. Wśród krwi zobaczył ciemniejsze rany wlotowe na brzuchu oraz klatce piersiowej i wiedział, że nie ma dla niej ratunku. Dzielilo ich zaledwie kilka centymetrów. Patrzyła mu w oczy. Obiema dłońmi nacisnął na ranę na klatce piersiowej. Choć doskonale zdawał sobie sprawę, że to na nic, próbował powstrzymać krwotok, myśląc równocześnie: To musiały być naboje z wydrążonym czubkiem. Inne nie zrobiłyby takich spustoszeń. Kto krąży po Hampstead z taką strzelbą i nabojami?

- Nic nie mów.

Dziewczyna jednak próbowała coś powiedzieć. Macała wokół dłonią i natrafiła na przewrócony słupek kubeczków. Zacisnęła na nich dłoń. Znów otworzyła usta. Na wargach zakwitła krwawa bańka i pękła. Zamknęła oczy. Czy powinien dokonać teraz jakiegoś obrzędu? - myślał Belsey, kiedy po brodzie zaczęła sączyć się krew; może rytualna policyjna formułka?

„Masz prawo zachować milczenie...” Kiedy już umarła, wyjął jej z ręki kubeczki. Resztę zostawił technikom z ekipy kryminalistycznej.

Z telefonu w kawiarni zadzwonił do biura operacyjnego.

- Kod trzy, lokal Starbucks przy South End Green, padły strzały. Na miejscu obecny posterunkowy Nick Belsey. Pilnie

potrzebuje wsparcia. Jedna ofiara śmiertelna, co najmniej jeden ranny.

- Grozi powtórzenie ataku? - spytał dyspozytor.

- Nie sędę.

W powietrzu rozległo się wycie radiowozów nadciągających z Hampstead, Kentish Town, Camden i Highgate. Na razie jednak ciągle jeszcze on tu dowodził. Wokół rozbitej witryny gromadzili się gapie. Belsey kazał dwójce najbliższej stojących mężczyzn, by kierowali wszystkich na drugi koniec skweru. Obok nich stali facet w kombinezonie służb miejskich, gość w mundurze i kobieta w stroju do biegania.

- Zatrzymajcie ruch - polecił Belsey. - Pan niech idzie na Pond Street. Pani - zwrócił się do biegaczki - na Keats Grove, a pan na Fleet Road. Natychmiast.

Przed wejściem do szpitala tłoczyli się ratownicy w zielonych ubraniach, czekając na sygnał. Z górnego poziomu parkingu wychylały się pielęgniarki i pacjenci w szlafrokach.

Chwilę później pojawiły się pierwsze dwa radiowozy. Lawirowały między pojazdami. Wytrysnęły na chodnik, przewracając złożone stoliki sąsiednich kafejek i skrzynki z warzywami przed sklepem ze zdrową żywnością. Kilka minut później Belsey zobaczył, jak z forda S-Max wyskakuje jego przełożony inspektor Gower w cywilnym ubraniu i biegnie na miejsce jatki.

Ośmioletnia blondyneczka z kolorowanką wychyliła się z tylnego siedzenia. Gower zobaczył Belseya.

- Jesteś ranny?

Belsey uświadomił sobie, że jest cały we krwi.

- Nic mi się nie stało.

- Co tu się wydarzyło?

- Ktoś zaczął ostrzeliwać Starbucksa. Broń brzmiała jak strzelba.

- Widziałeś sprawcę? - Nie.

- Domyślasz się, skąd padły strzały?

- Nie mam pojęcia.

Gower wydał rozkaz: żadnych nowych radiowozów, zanim nie dotrą uzbrojeni funkcjonariusze. Belsey szybko podsumował sytuację: osiem strzałów pięć minut temu, sprawca nieznan.

- Nigdzie się nie ruszaj - polecił Gower. Kazał funkcjonariuszom odgrodzić miejsce taśmą i ryknął na cywilów, żeby się rozeszli.

Trzy minuty później zjawili się komandosi, zaraz potem ekipa z wydziału zabójstw i z jednostki do spraw walki z terrorem kryminalnym. Dziesięć minut po tym, jak chłopcy z karabinami dumnym krokiem wkroczyli na miejsce zbrodni, pozwolono tam wejść ratownikom i technikom kryminalistycznym. Pięć minut później przed wejściem do kawiarni wyrósł biały namiot niczym spóźniona poduszka powietrzna. Technicy oznaczyli najważniejsze miejsca ponumerowanymi chorągiewkami. Patrzyli w niebo i zastanawiali się, czy będzie padać. Dziewczynę wyniesiono na noszach. Na twarzy miała maseczkę tlenową. Na pół minuty zapadła niezręczna cisza, a potem wszyscy wrócili do pracy.

Belsey relacjonował przebieg wydarzeń sierżantowi Josephowi Banksowi z wydziału zabójstw.

- Nie widziałem, żeby ktoś podjeżdżał do lokalu ani żeby z niego uciekał.

- Ile strzałów słyszałeś?

- Osiem. Broń brzmiała jak strzelba myśliwska. Strzelano ze sporej odległości.

- Inni mówią o dziesięciu i więcej strzałach.

- Nie. Było echo. Moim zdaniem najwyżej osiem.

- Skąd?

- Nie wiem. Ale sprawca mierzył do dziewczyny.

- Uczennicy?

- Trzy strzały. Jeden w ramię, dwa w tułów.

- Jeśli tak rzeczywiście było.

- Widziałem rany.

- Jakie miałeś plany na dzisiaj?

- Wybierałem się do pracy - odparł Belsey.

Patrzył, jak z tylnego siedzenia szarego pancernego bmw

wysiada nachmurzony nadkomisarz Northwood w pełnym rynsztunku: mundur, czapka policyjna... Szofer został za kierownicą. Wszyscy przerwali pracę, jakby cała scena została zaaranżowana specjalnie z myślą o nim. Ci, którzy go znali, przyłożyli palce do daszków, reszta dyskretnie się cofnęła. Northwood wodził wzrokiem po otoczeniu, aż wreszcie zahaczył spojrzeniem o Belseya. Ten element scenografii najwyraźniej go nie oczarował. Podszedł energicznie.

- Cóż za niespodzianka - wyszczał z zimną furią.

- Panie kapitanie.

- Skąd tu się wzięłeś, do cholery?

- Kupowałem kawę.

Przez chwilę mierzył Belseya wzrokiem, potem odszedł obejrząc miejsce zbrodni.

- Znasz go? - spytał Banks.

- Kumplujemy się.

- Idź doprowadzić się do porządku. Wszelkie instrukcje prześlemy twojemu komisariatowi.

Rozdział dwudziesty

Ze Starbucksa do komisariatu Hampstead było pięć minut spacerkiem. Belsey wybrał trasę przez Pond Street na tyłach szpitala, żeby ominąć zakorkowaną przez karetki South End Road. Na miejscu umył się, pożyczył czystą koszulę i udał do sali odpraw. Zamiast jutrzni - spotkania na rozpoczęcie zmiany- trwała dyskusja na temat strzelaniny. Gower przekazał podwładnym dotychczasowe ustalenia, potem odczytał listę funkcjonariuszy, którzy mają udać się do centrum koordynacyjnego, oraz tych, którzy zostaną na Rosslyn Hill, by pomagać na miejscu. Belseya nie ujęto w żadnej z nich.

- Zrozum - tłumaczył się inspektor, kiedy już wszyscy wyszli - wciąż czekam na decyzję IPCC. Sądzę, że najlepiej będzie, jak ograniczę ci zakres obowiązków. Jak najdalej od Northwooda. Ktoś musi pilnować gospodarstwa.

Belsey wrócił do swojego pokoju i usiadł za biurkiem. Tego się nie spodziewał. Odchylił się w fotelu i z zamkniętymi oczami

słuchał syren wokół Rosslyn Hill. Identycznie się czuł, kiedy miał jedenaście, dwanaście lat i nasłuchiwał, jak ojciec pije z kumplami na parterze: odsunięty na boczny tor. Przez całe swoje policyjne życie próbował się dowiedzieć, co kombinują ci na parterze; stukał do drzwi poszczególnych osób i zaglądał do środka. Nie podobało mu się, że odsuwają go od dochodzenia w sprawie morderstwa. Zwłaszcza że krew ofiary wciąż była na jego butach. Na butach Devereux.

Wcześniej zamierzał tego wieczoru uciec z kraju. Teraz wiedział - choć nawet się nad tym nie zastanawiał - że musi zmienić plany. To wyglądałoby okropnie. Zresztą nie mógł obrócić się na pięcie i ot, tak zostawić dziewczyny, która umarła na jego rękach. Poczucia winy w człowieku nie budzą jego złe uczynki, ale to, przed czym ucieka - nawet jeśli nie maczał w tym palców. Belsey nie mógł uciec dopóty, dopóki miał przed oczami twarz konającej. Jeszcze nie teraz.

Poza tym rozpoznał ją.

Kantyna była pusta. Belsey włączył telewizor. W Sky News pokazywano ujęcia białego namiotu oraz kobiet i mężczyzn rozmawiających z reporterami. Z ich ust unosiły się obłoczki pary. Na pasku informowano, że w stolicy panuje „szok i chaos” po „strzelaninie w zamożnej dzielnicy Londynu”. Wciąż jeszcze nie pojawiło się zdjęcie dziewczyny.

Zaczął rozpatrywać najczęstsze warianty: zemsta zakochanego faceta albo zwolnionego pracownika. Na pięć osób siedzących w kawiarni jedna okaże się dłużnikiem, a inna będzie miała pozamałżeński romans. Ale żaden ze schematów tutaj nie pasował. Belsey odtwarzał w pamięci wydarzenia, wykorzystując te same metody wizualizacji, jakie stosował wobec świadków. Zaczął od odtworzenia przyjemnego poranka: słońca, gałęzi na tle nieba. Potem skupił się na detalach: szron na środku każdej płyty chodnikowej, klakson trąbiący gdzieś na Fleet Road. Wreszcie pozwolił pokazać się dziewczynie. Tym razem przyjrzał się jej uważniej. Widział kosmyki ciemnobrązowych włosów, czarne pikowanie na torebce, złamany paznokieć na jednym z palców,

którymi przytrzymała papierosa. Prawa dłoń. Dziewczyna spojrzała na niego, przeszła go wzrokiem. A im intensywniej myślał, tym bardziej się w niego wpatrywała.

Teraz też. W tej właśnie chwili.

Widział ją już. I to całkiem niedawno. Kiedy ostatnio był w szkole albo rozmawiał z nastolatkami?

W budynku komisariatu pojawił się Tony Cutter. Musiał przechodzić kolejną fazę urojeniową, bo rozdygotany przyznał się do winy. Belsey zgodził się z nim pogadać.

- Już wcześniej cię podejrzewałem, Tony.

- Wybacz, Nick. Mam krew na rękach.

- Zdarza się. Do rzeczy. Gdzie ostatnio nocujesz? - U Alice. Tak nazywano oddział psychiatryczny szpitala Royal Free.

Tony regularnie tam bywał.

- Wydawało mi się, że ostatnio mieszkałeś głównie na ulicy - powiedział Belsey.

- Bo mieszkałem. Ale teraz dostałem łóżko u Alice.

- Tańsze od schroniska.

- Tańsze od schroniska! - roześmiał się. - Nie do schroniska mnie teraz wysła.

Belsey odprowadził go z powrotem do szpitala. Ludzie oglądali się za nimi na ulicy. Po tym, jak policja zablokowała Pond Street, korek objął całą dzielnicę, niczym postępujące stężenie pośmiertne.

- Mogę cię o coś spytać? - odezwał się Belsey, kiedy zbliżali się do celu.

- Wpadłem jak śliwka w kompot. Tak, Nick?

- Czy kiedykolwiek pracowałeś? - Ja?

- Miałeś kiedyś robotę?

- Dorabiałem jako złota rączka. A potem, kiedy się ożeniłem, myłem autobusy.

- Byłeś żonaty?

- Przez siedemnaście lat, Nick.

Taśma dochodziła prawie do izby przyjęć ostrego dyżury.

Policja zostawiła tylko wąski korytarz dla karettek. Obok

szpitala wciąż stał tłumek gapiów: pielęgniarki, odwiedzający, pacjenci z kroplówkami. Wszyscy obserwowali ekipę kryminalistów. Co prawda widzieli najwyżej szczelinę w rozdartej tkaninie rzeczywistości, ale już to działało na nich niemal jak hipnoza.

- Dalej pójde sam - oświadczył Tony.

- Dobrze. Prawdopodobnie wyjadę niedługo na urlop - powiedział Belsey - więc możemy się już nie spotkać. A gdybyśmy się nie zobaczyli... trzymaj się. I nie rozrabiaj.

- Wyjeżdża się na wakacje! - wyszczerzył się Tony.

- Cześć, Tony.

Belsey wrócił na komisariat i zadzwonił do dyżurki.

- Gdzie jest centrum operacyjne?

- W St John's na Downshire Hill.

Zajęli najbliższy kościół, co stanowiło powszechnie przyjętą procedurę w takich sytuacjach. Liczyła się każda minuta, a komisariat Hampstead nie pomieściłby całej ekipy. Dyżurny podał mu numer. Belsey zadzwonił.

- Ustaliliście już tożsamość dziewczyny?

- Jessica Holden, osiemnaście lat. Szpital właśnie potwierdził zgon na miejscu.

Nazwisko ani imię nic mu nie mówiły. Jego wrażenie, iż ją znał, stało się tym bardziej zagadkowe.

- Wiadomo o niej coś więcej? - Nic.

- Kiedy odbędzie się konferencja prasowa?

- Pierwszą planują na dziesiątą w domu kultury. Media już narobiły wokół tego szumu i Northwoodowi zależy, by naprostować nieścisłości.

- Northwoodowi?

- Chce jak najszybciej wygłosić oświadczenie.

Belsey usiadł wygodniej. Przypomniał sobie scenę z kawiarni. Panika, ludzie ukrywający się przed strzałami, ostatnie spojrzenie dziewczyny. Wrzucił nazwisko Jessiki do policyjnej bazy danych. Nic. Nieletnie notowane przez policję. Nic. Zadzwonił do urzędu kontroli granicznej.

- Biuro nadkomisarza Northwooda - przedstawił się. - Tak, pewnie już państwo słyszeli... Zgadza się, ustaliliśmy dane ofiary i sprawdzamy dziewczynę.

Okazało się, że Jessica Holden pięć dni wcześniej złożyła wniosek paszportowy w trybie ekspresowym.

- Paszport wystawiony w ciągu czterdziestu ośmiu godzin?

- Właśnie. A jeszcze z niego nie skorzystała - potwierdził urzędnik.

- Ile ją kosztowała ta przyjemność?

- Dwie stowy.

- Kiedy ostatni raz opuszczała Anglię?

- Trzy lata temu.

- I nagle zamarzyły jej się wakacje.

- Na to wygląda.

Belsey minął szpital, kierując się do skweru. Wszędzie stały wozy transmisyjne. Czuł, że sprawa Jessiki Holden nabiera rozpędu niczym fala, która z hukiem runie im wszystkim na głowy. Krew to zawsze najpewniejszy trop. Pytanie tylko, dokąd ich doprowadzi.

Poczuł skurcze żołądka. Ostatni przyzwoity posiłek jadł w Wetherspoons.

Dziesiąta. Reporterzy tłoczyli się w domu kultury Hampstead. Przerwali tutejsze przygotowania do kiermaszu używanych książek i rozpanoszyli się w sali ze swoimi przewodami, kamerami i plastikowymi pomarańczowymi krzeselkami. Zjawił się spocony Northwood, pięć minut spóźniony. Podeszedł do stolika. Belsey dyskretnie stanął w drzwiach. W pomieszczeniu zgromadził się spory tłum zainteresowanych, ale zachowywali się na tyle cicho, że słychać było mruczenie sprzętu elektronicznego. Przez moment liczył, że zobaczy Charlotte, lecz nigdzie jej nie widział. Northwood odchrząknął.

- Nie będę przedłużał. Bardziej szczegółowych informacji udzielię podczas konferencji w południe. Dziś o godzinie siódmej czterdzieści pięć doszło do strzelaniny w kawiarni Starbucks przy South End Green. Ranny został jeden pracownik lokalu oraz jedna

klientka, młoda kobieta. O godzinie ósmej trzydzieści lekarze szpitala Royal Free potwierdzili jej zgon i od tej pory prowadzimy śledztwo w sprawie o morderstwo.

Reporterów opanował dreszczyk podniecenia: śmierć, będzie z tego materiał. Materiał na opowieść o zabitej dziewczynie.

- Dopóki nie powiadomimy rodzin, dopóty nie mogę ujawnić żadnych nazwisk. Nie znamy też jeszcze dokładnego przebiegu zdarzeń. Najprawdopodobniej padło co najmniej pięć strzałów. Oddano je z zewnątrz, z pewnej odległości. Nasi funkcjonariusze koncentrują się teraz na grupie osób, które wkrótce po strzelaninie opuszczały pieszko okolicę. Prosimy o kontakt każdego, kto widział cokolwiek podejrzanego.

Belsey ściągnął brwi. Czyżby się przestyszał? Ale Northwood ciągnął swoje:

- Apelujemy do znajomych osób odpowiedzialnych za ten straszliwy postępek, by śmiało się do nas zgłosili. Nie bójcie się postąpić zgodnie z sumieniem. Gdzieś tam ktoś wie, dlaczego dziś rano młoda dziewczyna tak tragicznie straciła życie. Proszę, niech się z nami skontaktuje. Gwarantujemy absolutną dyskrecję.

Nadkomisarz podał numery do Crime Stoppers oraz centrum koordynacyjnego i poprosił o pytania dziennikarzy.

- Ile pocisków wystrzelono?

- Wciąż czekamy na potwierdzenie.

- Wiadomo już, z jakiej broni padły strzały?

- Nie. Sprawą zajmują się nasi eksperci od balistyki.

- Ranny pracownik to kobieta czy mężczyzna?

- Mężczyzna, jeszcze nie znam wieku.

- Wiadomo, ile lat miała dziewczyna?

- Nie ujawnimy szczegółów przed powiadomieniem rodziny.

- Czy istnieje związek z ubiegłotygodniową strzelaniną w Chalk Farm?

- Tego też nie mogę potwierdzić. Ale niewątpliwie tę hipotezę też sprawdzimy. Naturalnie cały wysiłek oraz wszystkie dostępne środki skupimy na wyjaśnieniu tej tragedii. Media z

pewnością odegrają w tym ważną rolę, ale na razie muszę państwa prosić o cierpliwość. - Northwood zerknął na zegarek i zaczął odpinać mikrofon. - Mam nadzieję, że wieczorem będę mógł udzielić więcej informacji. - Zignorował pozostałe pytania wykrzykiwane przez reporterów.

Belsey szybko się wycofał, by uniknąć tłumu. Ktoś chwycił go za ramię.

- Nick.

Zobaczył przed sobą blade oczy Mirandy Miller z wiadomości Channel Five. Znał ją z baru w Soho, do którego kiedyś oboje często wpadali. Lokal był tak nędzny, że już nawet obecność policjanta dodawała mu splendoru. Belsey był wtedy młodym, pełnym zapału policjantem, a Miller stażystką w „Camden New Journal”.

- Co, u licha, jest grane? - spytała.

- Nie wiem, ale to wielka ściema.

- Postawię ci drinka.

- Wolałbym śniadanie.

Siedli w głębi kafejki Coffee Cup. Belsey zamówił jajka, tost i podwójne espresso, Miller tylko sok pomarańczowy. Natychmiast przeszła w tryb „dziennikarka prowadząca wywiad”.

- Potwierdzasz, że chodzi o porachunki gangsterskie?

- Nie. Ale na pewno wpłynie to na ceny nieruchomości.

- Przestań się wygłupiać. Słyszałam, że jedna z ofiar miała najwyżej osiemnaście lat.

- Za to cię lubię, Miranda. Od ciebie wszystkiego się dowiem.

- Mam też przeciek od samego nadkomisarza, że to robota trzech nastolatków.

- A konkretnie od kogo?

- Od niego samego. Nieudany napad.

- To nie był napad.

Belsey sączył kawę, a kiedy zjawilo się jedzenie, rzucił się na nie łapczywie.

- Zdaniem Northwooda tak - upierała się Miller.

- Northwood nie ma pojęcia, jak prowadzić tego rodzaju śledztwo. Szykuje się na zastępcę komendanta i wyobraża sobie, że to banalna sprawa, która zapewni mu rozgłos w mediach.

- A nie?

- Fakt, będzie się pojawiał w mediach, ale sprawa nie jest ani prosta, ani banalna. Masz jakieś szczegóły na temat dziewczyny?

- Ofiary? Na razie nic. Skąd pewność, że to nie był napad?

- Nikt nawet nie próbował niczego ukraść.

- Co masz na potwierdzenie tej hipotezy?

- Nic, Miranda, oprócz przecucia. A ono mówi mi, że nadkomisarz jest zdesperowany i plecie, co mu ślina na język przyniesie. To samo przecucie mówi mi też, że na przystanku przed kawiarnią stały dwa autobusy, a przed nimi nie było nikogo z bronią. Nie mam jednak dowodów, nikt też nie kazał mi ich szukać. Będziesz jeszcze piła ten sok?

- Za dziesięć minut nadaję relację na żywo. - Miller otworzyła puderniczkę. Sprawdziła w lusterku makijaż i zęby. - Zrób coś dla mnie. Przekaż rodzicom moją prośbę. Tę samą, co zawsze. Niech skontaktują się ze mną, jeśli będą chcieli udzielić wywiadu albo zwrócić się z apelem do sprawy.

- Jaka jest teraz stawka wyjściowa?

- Dwa patyki.

- Za ich cierpienie?

- Za rozmowę. Cierpienie wszyscy sobie zobaczą. Gdyby dorzucili zdjęcie córki, byłoby cudownie.

- A co ja będę z tego miał?

Miller zatrasnęła puderniczkę. Z kieszeni żakietu wyłowiła banknot pięćdziesięciofuntowy i położyła go na stole razem z wizytówką. Dopiła sok i wytarła usta.

- Wiesz, że Starbucks już poprosił, żebyśmy nie mówili o strzelaninie w ich lokalu? - Uśmiechnęła się bez wesołości. - Ani o mordercy ze Starbucksa, ani o ofierze ze Starbucksa.

- Szybcy są. Chyba obiecywałaś kiedyś, że pogadasz z producentem, żeby załatwił mi program autorski.

- Mój znajomy filmuje pościgi policyjne. Mogę go zahaczyć.

- To będzie tak - powiedział Belsey, biorąc pieniądze - zawrotna szybkość, ale myślenia, nie radiowozów. Nie zabraknie za to przemocy i łomotu.

- Obiecuj, że zadzwonisz, jeśli namierzysz podejrzanego.

Nawet jeśli okaże się, że to pudło.

- Dobra.

- Źródła policyjne podają w wątpliwość hipotezę, jakoby strzelanina miała związek z porachunkami gangsterskimi. Jak to brzmi?

- Pierwsza klasa.

- Zadzwoń, Nick. Naprawdę mnie zaintrygowałeś.

Tymczasowe centrum operacyjne: kościół St John's, Downshire Hill.

To była jedna z najbardziej urokliwych ulic Hampstead. Za wysokimi kamiennymi murami rosły stare zapuszczone drzewa.

W oknach domów odbijał się teraz strumień policjantów zdążających do białej świątyni, stojącej u zbiegu Dowshire Hill i Keats Grove.

W środku kłębili się pracownicy wydziału do spraw walki z terrorem kryminalnym, co oznaczało, że rozpatrywano hipotezę o morderstwie na zlecenie. Widać też było speców od gangów, rzeczników prasowych, szefów ekip technicznych. Belsey wszedł, pokazując odznakę. Całe przestronne klasycystyczne wnętrze zaanektowała policja. Na środku stała biała duża tablica z nazwiskami funkcjonariuszy sprawdzającymi właśnie każdy lokal Starbucksa w okolicy i przepytującymi każdego biegacza, mleczarza i bezdomnego, który mógł zauważyć coś podejrzanego.

- Nick, a ty skąd się tu wzięłeś?

Obok niego wyrósł sierżant Karl Munroe, spec od ucieczek.

Trzymał dwa telefony i notatnik. Munroe wiedział, dokąd wyjeżdżali ci, którzy chcą zniknąć, jak zdobywali pieniądze, z jakiego środka transportu korzystali. Był niski, nosił przyciemnione okulary i kilkudniowy zarost.

- Karl. Kope lat. Gdzie zwał?
- Snajper? Niedaleko.
- Mają już adres dziewczyny?
- Mieszkała z rodzicami przy Lymington Road. Pod osiemnastką. Na razie więcej nie mamy.

Belsey kojarzył ulicę, ale nigdy nie był pod tym adresem.

- Co mówią ludzie?

- Jeden wielki pieprznik, Nick, słowo daję. Jedyne, co do tej pory udało się wyciągnąć, to informacja o czerwonym motocyklu jadącym Willow Road.

- Świadkowie?

- Żadnych konkretów. Jeden widział dwóch mężczyzn wchodzących do Starbucks. Innemu wydaje się, że to była trójka. Kolejny twierdzi, że snajper był Murzynem albo Azjata.

Wpadł z zaplecza, wrzeszcząc coś po arabsku. Być może jakąś modlitwę.

- Innymi słowy, do wyboru, do koloru.

Munroe uśmiechnął się blado. Belsey przeszedł do salki parafialnej, gdzie powieszono fotografie. Stały tam też rzędy stolików z telefonami obsługiwanymi przez cywilów. Aparaty dzwoniły bez przerwy. Jak zawsze, kiedy ginęła młoda dziewczyna. Za stanowiskami wisiały zdjęcia ze Starbucks. Z boku - przedstawiające dziewczynę na noszach.

Jessica Holden, pomyślał Belsey. Przyjrzał się uważniej.

Wtem uświadomił sobie, skąd ją zna, i świat się zakółsał.

Wskoczył do metra czarnej linii, dojechał do stacji Bank.

Wynurzył się przy pomniku, minął kościół St Clements i zatrzymał przed biurem AD Development.

Światło było zgaszone, drzwi zamknięte na klucz. Mosiężna tabliczka zniknęła, zostały po niej tylko cztery dziurki i jaśniejszy prostokąt drewna. Oparta o drzwi frontowe stała tablica agencji nieruchomości „Do wynajęcia”. Wcześniej jej tu nie widział, a przecież nie wyglądała na nową. Prawdopodobnie ktoś zabrał ją i ukrył. Belsey wdrapał się na mur kościelny i zajrzał do gabinetu. Próbował przeanalizować, co widzi. Puste pomieszczenie

- bez pracowników i bez mebli. Zeskoczył, na cmentarzu znalazł kamień i wybił szybę. Uruchomił się alarm.

Belsey wsunął rękę przez okno, otworzył je i wdrapał się do środka, ładując ciężko między odłamkami szkła i kawałkami gipsu.

Wszystkie szafki i półki zniknęły. Stojak na kapelusze, biurka i fotele też. Nawet wykładzinę usunięto, odsłaniając stare kamienne płyty.

Wyszedł na zewnątrz. Uliczką biegło dwóch posterunkowych policji City, pokrzykując coś do krótkofalówek. Wyciągnął odznakę.

- Nie widziałem sprawców. Usłyszałem alarm i zajrzałem: wybita szyba. Wątpię, żeby cokolwiek stąd wyniesiono, i tak nic tam nie ma.

Funkcjonariusze podeszli do wybitego okna i poświecili latarką.

- Od dawna stoi puste?

- Od miesięcy. Jak większość opuszczonych biur w okolicy.

- Właściciel powinien zadbać o lepsze zabezpieczenia - zwrócił uwagę Belsey.

Odszukał wizytówkę Devereux i z budki na końcu uliczki zadzwonił pod londyński numer. Odebrała młoda kobieta.

- AD Development.

- Mogę prosić pana Devereux? - spytał Belsey.

- Niestety, nie ma go w biurze. Czy coś przekazać? - Dźwięczny głos z liverpoolskim zaśpiewem wygłosił dyżurną formułkę.

- Czy to agencja przekazująca połączenia?

- To biuro AD Development. Mogę przyjąć wiadomość dla pana Devereux.

- Zastałem Sophie?

- Nie, proszę pana.

- A Jessicę?

- Proszę zostawić wiadomość, przekażę ją i ktoś na pewno do pana oddzwoni.

- Chcę porozmawiać z kimś z biura.
- Niestety, wszyscy są na odprawie.
- To RingCentral, prawda? - naciskał Belsey.
- To numer AD Development. Czym jeszcze mogę panu służyć?

Rozłączył się i zadzwonił pod numer z tablicy z ogłoszeniem o wynajmie biura.

- Tak, tylko nasza agencja obsługuje tę nieruchomość.
- Od dawna stoi pusta?
- Od pół roku. Poprzedni lokator potrzebował większego biura. Taka okazja może się nie powtórzyć. To wyjątkowe miejsce, z pięknymi tradycjami. Chciałby je pan obejrzeć?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Lymington Road odchodziła od Hampstead, łącząc mniej malowniczą stronę Finchley Road z West End Lane. Od północy przylegały do niej tereny klubu krykietowego, od południa stały niskie ceglane budynki czynszowe. Nieco na zachód ulica gwałtownie skręcała. W tej części pozostały oryginalne przedwojenne domy, za którymi biegiły tory kolejowe.

Belsey bez trudu zlokalizował dom ofiary. Nieruchomość z numerem osiemnastym rzucała się w oczy. Po pierwsze: zaniedbany ogródek. Po drugie: policjant w odbłaskowej kamizelce przed drzwiami.

- Posterunkowy Belsey, komisariat Hampstead - przedstawił się, wyjmując odznakę. - Zastąpiłem rodziców?

- Są w środku.

- Byłem wcześniej. Poproszono, bym z nimi porozmawiał.

Wartownik popatrzył na niego sceptycznie.

- Zgoda - powiedział wreszcie. - Ale nie możemy wpuszczać każdego. To nie atrakcja turystyczna.

Scena była przejmująca, niemal surrealistyczna. Matka siedziała na kanapie, mówiąc coś bez ładu i składu. Ojciec w fotelu gapił się w przestrzeń. Nawet nie spojrzeli na wchodzącego Belseya. Dyżurny psycholog policyjny stał na podwórku, paląc papierosa.

W mieszkaniu było pełno zakurzonych bibelotów i podniszczonych książek. Belsey jeszcze przed wejściem rozpoznał ten charakterystyczny zapach ubóstwa, które niszczy od środka, rozpadu ukrywanego rozpaczliwie pod mnóstwem bezwartościowych przedmiotów, obrazów, gazet, jakby w nadziei, że one powstrzymają pęknięcie fasady. Tapeta zaczynała się łuszczyć.

Wszystko, nawet meble, przeszło atmosferą niechęci i przygnębienia. Belsey nie zliczyłby już, ile razy wzywano go do rzekomych włamań. Wchodził, rozpoznawał zapach, podnosił gazetę, a pod nią widział nietknięte listy. Zawsze zaklejone koperty.

Potem sprawdzał, na ile właściciele wyceniali straty, i decydował, czy przyjąć zgłoszenie o włamaniu, czy zawiadomić ubezpieczyciela o próbie wyłudzenia odszkodowania.

Wycofał się i bezszelestnie ruszył na górę.

Policjanci i złodzieje: jedni i drudzy potrafili z zamkniętymi oczami poruszać się po cudzych mieszkaniach. Życie domowe tak idealnie wpasowywało się w schematy, jakby rządziło nim jakieś niewidzialne pole magnetyczne.

Wszedł do pokoju zabitej dziewczyny. Nic się nie zgadzało.

Gwiazdy popu na ścianach. Gazety o muzyce. Sprawdził daty. Sprzed dwóch, trzech lat. Dziecięcy notes, zeszyty szkolne.

Przeciągnął palcem po szafce nocnej i patrzył na linię, jaką zostawia wśród kurzu. Przejrzał szafę i szuflady. Mnóstwo starych tandetnych ubrań i właściwie nic poza tym.

Schodząc do salonu, myślał o szykownej kobiecie, którą widział tego ranka. Matka milczała wyczerpana. Ojciec ani drgnął.

Na półce stały zdjęcia Jessiki: na koniu, w parku tematycznym, z dziadkami. Najwyraźniej była jedynaczką. Belsey wziął oprawione szkolne zdjęcie portretowe. Wszelkie wątpliwości zniknęły. Jessica to Sophie, asystentka Aleksieja Devereux.

Odstawił ramkę.

- Proszę państwa - odezwał się.

Ojciec spojrział na niego niewidzącym wzrokiem.

- Nazywam się Nick Belsey. Jestem policjantem z komisariatu Hampstead.

Potrzebowali chwili, by to przetrwać. Belsey nalał całej trójce whisky z butelki stojącej na bufecie. Czuł się niezręcznie. Postawił szklanki na stole. Matka się trzęsła. Czy w ogóle zamierzał coś im powiedzieć? Ojej ostatnich chwilach. Ojej spokoju. Mówiła o państwie. Nie cierpiała. Jednym haustem opróżnił szklankę. Tania słodka szkocka. Potem rozpoczął mowę:

- Chcę, żeby państwo wiedzieli, że Jessica umarła szybko.

Byłem przy tym. Prawie nie cierpiała. Tak sędzę. Nikt nie zdoła ogarnąć głębi państwa cierpienia. Moim obowiązkiem jednak jest doprowadzenie sprawcy przed sąd. Liczy się każda chwila.

Dlatego proszę wybaczyć, jeśli moje najście wydaje się niestosowne.

Nie odpowiedzieli. Nie sięgnęli też po whisky. Usiadł.

- Mogę zadać państwu kilka pytań?

Dopiero po dłuższej chwili kobieta prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

- Od jak dawna Jessica pracowała w tamtym miejscu?

- Nie pracowała - odparła matka chrapliwie.

- Nigdzie? - dopytywał się. - Nawet na pół etatu? Ani dorywco?

- Nie. - Pokręciła głową. - Chodziła do szkoły. Uczyła się, to wszystko.

Belsey przetrwał to przez moment. Ludzie potajemnie pracują, jeśli potrzebują pieniędzy na potajemne zakupy. Wtedy też na ogół nie podają prawdziwych informacji o sobie. Nastolatkom szkoła wydaje się nieciekawa, wagarują, szukają zatrudnienia. A może matka miała rację i Jessica nie pracowała? Co w takim razie robiła?

- Miała chłopaka?

Matka znowu się rozplakała. Ojciec odzyskał mowę.

- Nic nam o tym nie wiadomo.

- Kiedy ostatnio z kimś się umawiała?

- Była za młoda na chłopaków - odparł ojciec. - Z nikim się

nie spotykała.

- Ale chyba czasem wychodziła? Chociażby na imprezy.

- Oczywiście.

Belsey dolał sobie whisky. Niewiele brakowało, a zapomniałby o prośbie Mirandy Miller.

- Rozmawiali już państwo z dziennikarzami? - spytał.

- Nie chcemy żadnych reporterów - zaprotestował ojciec.

- Bardzo słusznie. Najważniejsze to znaleźć kogoś, kto nie przeinaczy każdego słowa. Gdyby chcieli państwo z kimś porozmawiać, ta kobieta ma rekomendację policji. - Podał wizytówkę Miller. - Apel rodziców często pomaga w śledztwie.

Ludzie coś sobie przypominają, zgłaszają się świadkowie. To kontakt do Mirandy Miller z Channel Five. Chętnie państwu pomoże.

Matka wpatrywała się w kartonik, jakby on sam miał jej coś wyjaśnić. Belsey wstał. Resztki przyzwoitości nie pozwalały mu poprosić o fotografię. I tak skaził już ich żalobę. Może odejść. Na palcu wciąż został ślad kurzu.

- Może też pomóc finansowo - dodał, ruchem głowy wskazując wizytówkę.

Usłyszeli, ale nie podnieśli wzroku.

Skierował się do drzwi. Ale jeszcze z nimi nie skończył.

- Jaka była Jessica? - spytał, odwracając się. Teraz na niego spojrzeli.

- Jak to? - spytała matka.

- Była towarzyska?

- Dość cicha. Zawsze skupiona, dużo myślała.

- Przyjaciółki?

- Tak, sporo.

Teraz matka wbiła wzrok w spojenie ścian i sufitu. Belsey często widywał taką reakcję podczas przesłuchań. Oznaczała, że podejrzany usilnie próbuje coś sobie przypomnieć.

- Ostatnio rzadko bywała w domu, prawda? - powiedział.

Cisza. Mąż pytająco zerknął na żonę.

- Pojawiała się i znikła - przyznała.

- Trudne dziecko? Dużo kłótni? Nie mogli się zmusić, by przytaknąć.

- Kiedy ostatni raz tu była?

- Kilka tygodni temu. - Głos jej drgnął. Znowu zbierało jej się na łzy.

- Powiedzieli państwo o tym moim kolegom?

- Wiedziała, że jej pokój zawsze na nią czeka - ciągnęła matka. Zasłoniła twarz dłońmi.

Wyrzuty sumienia, nieodłączni towarzysze żałoby, pomyślał Belsey.

- Była młoda. Nie byliśmy w stanie jej kontrolować, śledzić każdego ruchu - odezwał się ojciec.

- Przyznali się państwo, że uciekła z domu?

- Nie uciekła.

Belsey odwrócił się. Tym razem naprawdę wychodził.

- Powie im pan? - poprosiła matka.

- O czym? - O tym.

- Jeśli nadarzy się okazja.

- Sądzi pan, że to ma jakiś związek? - ciągnęła, jakby go nie słyszała. - Strzelanina miała jakiś związek z Jessicą?

- Nie przypuszczam - skłamał Belsey.

Rozdział dwudziesty drugi

Solidny ceglany budynek liceum South Hampstead stał na końcu ulicy za Finchley Road, teraz obleżonej przez ekipy telewizyjne, które rozbiły się obozem przy bramie i dopadały każdą dziewczynę, która zgodziła się z nimi rozmawiać. A chętnych nie brakowało. Niektóre płakały, inne poprawiały makijaż, jeszcze inne skorzystały z przerwy obiadowej, żeby wyskoczyć na papierosa. Oznaczało to tyle, że wszyscy byli zajęci i Belsey mógł niepostrzeżenie wejść na teren szkoły.

Jego kroki odbijały się echem w wysokich korytarzach.

Uczennice oglądały się za nim. Czy prezentował się na tyle przyzwoicie, by można go było wpuścić do szkoły? Miał nadzieję, że nie było widać, jak bardzo jest spięty. Pamiętał to uczucie. Dopadało go, gdy ślęczał nad sprawą morderstwa: ciało sztywne ze

zmęczenia, dnie i noce szare od stresu.

Szedł przez szkołę, pytając o drogę. Wreszcie dotarł przed gabinet dyrektorki. Drzwi były otwarte. Gabinet nie wyglądał groźnie: kolorowe prace absolwentów, dużo zadbanych roślin doniczkowych. Na parapecie stało radio, z którego płynęły najświeższe informacje o strzelaninie. Dyrektorka skinęła Belseyowi głową i dalej rozmawiała przez telefon. Elegancka, w garsonce, starannie uczesana. Była młodsza, niż się spodziewał, ale emanowała autorytetem.

- Nie... Tak... Nie, nie sądzimy, by szkole coś zagrażało...

Tak, powiadomimy rodziców jak najszybciej. Dziękuję. - Rozłączyła się i westchnęła ciężko.

Telefon natychmiast znów zadzwonił. Wyłączyła go. Belsey pokazał odznakę. Skinęła głową ze znużeniem i zaprosiła go do środka.

- Mamy tu prawdziwe oblężenie - powiedziała.

- Postaram się nie zająć pani wiele czasu.

- ...*Wzorowa uczennica, szóstki od góry do dołu* - mówiła reporterka.

- Skąd oni biorą te bzdury? - Pokręciła głową i wyłączyła radio.

- Od pani?

- Na pewno nie. I nie od nauczycieli. Bardzo mi żal dziewczyny. Nie wątpię, że mogła być naprawdę sympatyczna, zwłaszcza jeśli bliżej się ją poznało, ale na pewno nie miała szóstek od góry do dołu. Nie w ostatnim czasie.

Belsey usiadł. Co mu dawały te informacje?

- Ma pani chwilę? Chciałbym zadać kilka pytań.

- Domyślam się.

- Czesne za nią regulował samorząd, prawda?

- Zgadza się.

- Jej rodzice od półtora roku mają problemy finansowe i nie było ich stać na opłacanie nauki.

- Tak. Skąd pan wie?

- Bo jestem z komisariatu Hampstead i pracuję w

dochodzeniówce. Jak pani ją zapamiętała?

- Była uparta, nastawiona na nie. Typ uczennicy, którą uważa się za grzeczną, bo nie rzuca się w oczy. A potem okazuje się, że regularnie okrada koleżanki. Stopnie miała przeciętne, nie nadzwyczajnego. Żadnych zainteresowań. Zapamiętałam tylko jej jedną rozprawkę o pierwszej wojnie światowej. Nie wiem, dlaczego tak utkwiała mi w pamięci, ale była naprawdę dobra. W pewnym momencie myśleliśmy, że mogłaby złożyć papiery do Oksfordu albo Cambridge, ale nie chciała.

- Gdzie chciała iść?

- A gdzie każdy chce iść?

- Nie wiem.

Dyrektorze to dało do myślenia. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Jessica też nie wiedziała - powiedziała wreszcie.

Belsey czuł, że mógłby się z nią dogadać - w innej sytuacji, w innym życiu.

- Nie orientuje się pani, czy Jessica pracowała? Chodzi mi o płatną pracę poza szkołą.

- Nie sądzę. W każdym razie nie udzielała się w żadnym wolontariacie. Najprawdopodobniej niedługo byśmy ją wyrzucili.

- Za oceny?

- Za frekwencję. W takich sytuacjach nie tracimy czasu.

- Dużo wagarowała?

- Ostatnio pojawiała się góra dwa razy w tygodniu. Rodzice nie wiedzieli, gdzie jest. Najgorszy był ubiegły tydzień. Uznała, że ma wakacje. Dlatego uważam, że prasa idzie fałszywym tropem.

- Zgadzam się z panią - skinął głową Belsey. - Jak pani sądzi, co robiła, kiedy nie było jej w szkole?

- Nie mam pojęcia. Ale dziewczyna jak ona... - Wzruszyła ramionami.

- Nie rozumiem.

- Od ponad pięciu lat prowadzę żeńskie liceum.

- Dziewczyna jak ona. Czyli...? - drążył Belsey.

Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, jakich słów użyć.

Wreszcie wybrała:

- Taka, dla której dorosłość oznacza pakowanie się w kłopoty ze starszymi mężczyznami. Powinna przysiąc fałdów i skupić się na nauce. Ale ona uważała, że jest na to za dobra.

- Nie bez powodu mawia się, że szkoda szkoły na młodych.

- Niezupełnie. - Dyrektorka z powrotem podłączyła telefon.

Natychmiast zaczął dzwonić. - Przekaze pan choć część swoim kolegom? A może boi się pan, że przez to media stracą zainteresowanie?

- Przekażę wszystko, co do słowa - obiecał Belsey. - Przypuszczam, że Jessica wplątała się w jakąś aferę. Gdyby ktoś coś o tym wiedział, byłbym wdzięczny za skierowanie go do mnie.

Wziął z blatu długopis, kartkę i zapisał na niej swój bezpośredni numer. Dyrektorka chwilę się zastanawiała, wreszcie skinęła głową.

- Oczywiście. Pomyślę o tym. A teraz, jeśli pan pozwoli, mam na głowie osiemset pięćdziesiąt jeden żyjących dziewcząt.

Rozdział dwudziesty trzeci

Belsey wrócił na Hampstead High Street do sklepu z torebkami. Mijał go może tysiąc razy. Najwyższy czas wejść do środka.

Sklep był jasno oświetlony, urządzony po spartańsku. W środku znajdował się tylko on, troje sprzedawców, ochroniarz i torebki. Belsey wodził wzrokiem po rzędach towaru. Każda stała na własnym cokole niczym dzieło sztuki w muzeum. Zobaczył torbę Chanel, którą miała zastrzelona dziewczyna.

- Ta mi się podoba.

- Tak, proszę pana.

- Ile kosztuje?

- Tysiąc sześćset dziewięćdziesiąt pięć.

- Da się targować dziewięćdziesiąt pięć?

- Nie, proszę pana.

- Żartowałem. Dużo takich sprzedajecie?

- Niewiele.

Ochroniarz zbliżył się dyskretnie, prawą dłonią przykrył

lewą. Belsey pomyślał o zubożałej rodzinie przy Lymington Road, o pokoju nastolatki. Ciekawe, gdzie chowała swoje cacka?

Gdzie mieszkał sztafaż jej drugiego życia? I co to za trop? Dokąd go doprowadzi?

Sprzedawczyni zaczęła układać portfele. Belsey wyjrzał przez witrynę. Przed sklepem stał ford transit z napisem:

„Usługi hydrauliczne, Pimlico”. Kierowca w przyciemnianych druciakach gapił się prosto na niego. Nagle wrzucił wsteczny i odjechał.

- Bardzo dziękuję - powiedział Belsey, kierując się do drzwi.

- To my dziękujemy - odparł ktoś z obsługi.

Rozdział dwudziesty czwarty

Wydział zabójstw zaanektował pub Old White Bear - lokal wielkości znaczka pocztowego na skrzyżowaniu dwóch zacisznych uliczek. Obowiązywała zasada, że wybiera się trzeci bar od centrum operacyjnego. Żaden policjant nie chciał zostać przyłapany na picu w pobliżu miejsca zbrodni. Old White Bear znajdował się w połowie drogi od stacji metra Hampstead i był dobrze ukryty.

Dlatego Belsey wiedział, że ich tam zastanie. Funkcjonariuszy wydziału kryminalnego, który zbiorą się tutaj, by coś zjeść i pogadać w spokoju ducha. Nie mylił się. Okrążyli stolik przed wejściem. Palili z kurtkami narzuconymi na ramiona. Tu właśnie toczyły się najbardziej pouczające rozmowy.

Właściciele pubu serwowali bułki ze smażonym boczkiem za okazaniem legitymacji policyjnej. Funkcjonariusze wyglądali na skonanych. Wielu oderwano od śledztw, które właśnie prowadzili. Teraz szybko słodzili herbatę. Nieliczni zatrzymali się na dłużej.

- Przydałbyś nam się tutaj, Nick.

Posterunkowy Tom Shipton, stojący w grupce przed wejściem, pokręcił głową. Belsey prowadził pod jego okiem swoje pierwsze śledztwo w sprawie o morderstwo: emeryt zabity mieczem samurajskim w centrum handlowym Elephant & Castle.

Obok Shiptona stał przygarbiony oficer w średnim wieku

ze śladami zacięć na brodzie, którego Belsey nie znał, i June Glasgow. Glasgow należała do najbardziej szanowanych śledczych w północnym Londynie. Miała długie ciemne włosy, czarną garsonkę, paznokcie w kolorze śliwki. Żadnej biżuterii, nawet obrączki, choć Belsey wiedział, że zawarła kontrakt partnerski z młodą dziewczyną z MSW. Mimo to dbała, by wygląd nie mówił nic o jej życiu osobistym. To wchodziło w krew: karty przy sobie.

- Na co stawiają? - spytał Belsey.

- Napad rabunkowy - odparł Shipton. Wyglądał na zmarniętego, ręce schował w kieszenie płaszcza.

- To nie był napad - oświadczył Belsey.

- Tak powiedział. „To napad”. - Kto?

- Snajper. Dzieciak.

- A ja słyszałem, że to cały gang.

- W tym momencie nie wiadomo. Ale wcześniej w okolicy grasował gang. W pobliżu Gospel Oak.

- Chryste Panie.

Belsey czuł, jak śledztwo zapada się pod ciężarem fałszywych tropów i błędnych interpretacji. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Glasgow obserwowała go bacznie z ciekawością wytrawnego śledczego. Ta kobieta była ostra jak brzytwa.

- A zapis z kamer? - spytał.

- Nic konkretnego - powiedział Shipton.

- Nastoletni gangster wpada z gnatem i ostrzeliwuje Starbucks, a żadna kamera tego nie zarejestrowała? - Belsey pokręcił głową.

- Ludzie widzieli. Powiedział: „Otwierać kasę”.

- Kto?

- Były jeszcze inne nieduże cele - wyjaśnił Shipton bez przekonania. - KFC.

- Kto by robił skok na Starbucks? - wściekł się Belsey. - Co chciał rąbnąć? Mufinkę? Ile oni mają w kasie?

- Góra stówę, ale szczeniak nie musiał o tym wiedzieć.

- Jak uciekł?

- Pieszo.

- Z bronią? Munroe wspominał o czerwonym motocyklu.
Co z tym tropem?

- Nie słyszałem o nim.

Belsey się skrzywił. Brak komunikacji między poszczególnymi grupami. W ten sposób traciło się cenne godziny, a przestępcy śmiali się im w twarz.

- Nie było żadnego dzieciaka, a to nie był napad - powiedział.

- Skoro nie napad, to co?

- I co cię to w ogóle obchodzi? - spytała Glasgow z naciskiem.

- Co mnie to obchodzi?

- Dlaczego nie przydzielono cię do śledztwa?

- Skierowano mnie do innych zadań.

Wszyscy gładko to przełknęli. Nikt też się nad nim nie użalał. Zaczęło się nerwowe gaszenie papierosów, kręcenie głowami i spoglądanie na zegarki.

- Z której strony przyszła do Starbucks? - zapytał jeszcze Belsey.

- Widziano ją w okolicach Kenwood.

- Gdzie?

- Bishops Avenue - wyjaśniła Glasgow.

Belsey głęboko zaczerpnął powietrza. Miał wrażenie, jakby ktoś go poklepał po ramieniu. Glasgow przenikliwie spojrzała mu w oczy.

- Ktoś jej towarzyszył? - upewnił się. - Nie.

- Co robiła na Bishops Avenue?

- Przechodziła tamtędy. Nie wiem. Później wysłemy ludzi, żeby popytali mieszkańców.

- Później, czyli kiedy?

- Kiedy uzbieramy ekipę.

- Podacie tę informację do wiadomości publicznej?

- Spytaj Northwooda.

Belsey wytrząsał papierosa z pudełka Glasgow i przypalił swoją nową zapalniczką.

- To nie było po drodze do jej szkoły - powiedział cicho.
Bardziej do siebie niż do kolegów.

Rozdział dwudziesty piąty

Mniej więcej raz w tygodniu jakiś mężczyzna obnażał się w Hampstead Heath. Wydział kryminalny już od pewnego czasu gromadził o nich materiały. Ekshibicjonistami nie przejmowano się do czasu, gdy dopuszczali się poważniejszych przestępstw na tle seksualnym. Zboczeniec bowiem potrzebuje coraz silniejszych bodźców. Nic więc dziwnego, że wracali i nabierali śmiałości. Wszyscy wiedzieli, że takie zachowania prowadzą tylko do jednego. Dlatego po powrocie na komisariat Belsey przekonał się, że właśnie to zadanie mu powierzono. Gabinet świecił pustkami, a na biurku leżała kartka: „Ekshibicjonista z Hampstead Heath - 11.30”.

Trzy godziny temu. Belsey przedarł wiadomość na pół. W pierwszej chwili potraktował to jak obelgę świadomie wymierzoną w niego. Potem jednak uznał, że właściwie może to będzie mu na rękę. Na zachodzie gromadziły się ciężkie chmury deszczowe. Kiedy lunie, w parku będzie pusto. Nikt mu nie przeszkodzi. Zyska czas do namysłu.

Przeczekał deszcz pod dębem, głęboko w lesie, jeszcze za Spaniards Road. Uświadomił sobie, jak bardzo potrzebował tej chwili spokoju. Powracały obrazy: oczy konającej dziewczyny, usta układające się w jakieś słowo. Imię? Widział Jessicę w gabinecie AD Development, widział opustoszałe biuro w St Clements Court, a potem Charlotte Kelson ze spinką w ręce.

Kobieta w życiu pana D. Teraz martwa jak on.

Kiedy przestało padać, poszedł do zagrody ogrodników doglądających Hampstead Heath. Jeden z nich, Peter Scott, właśnie wsypywał do ogniska worek zgniłych liści. Miał chudą, dziobatą twarz, a na dłoniach blizny zabarwione atramentem, które Belsey widywał je nieraz u mężczyzn odsiadujących wyroki w zakładach o zaostrowym rygorze. Nigdy nie poruszał tego tematu ze Scottem. Gęsty jak wełna dym snuł się między wilgotnymi gałęziami.

- Od czego macie własny posterunek policji? - spytał Belsey.

- Powiedzieli, że mam się z tobą skontaktować. To znowu ten sam ekshib.

- Skąd wiesz?

- Wszystkie zwracały uwagę na jego paznokcie. Długie brudne szpony.

- Powinieneś być detektywem.

- Nie chciała podać nazwiska.

Belsey westchnął. Kucnął przy ognisku i ogrzał dłonie.

- A co w ogóle słyhać?

- Jest super.

Dorzucił do ognia kilka suchych gałęzi i patrzył na krzątającego się Scotta. Często tak spędzali czas. Lubił ogrodnika - dobrze się z nim milczało. Scott opróżnił ostatni worek i poszedł do szopy. Wynurzył się kilka minut później z dwoma kubkami herbaty. Podał jeden Belseyowi. Siedli na pniu przed komórką.

- A co z tą strzelaniną? - zapytał Scott.

- Słyszałeś?

- W radiu. Nie skierowali cię do tego?

- Nie. Co mówili?

- Uczennica, przypadkowa ofiara, miała przed sobą świetlaną przyszłość.

- Zostałem, żeby pilnować gospodarstwa.

- To jest gospodarstwo?

- Jedno z wielu.

Wypili kawę. Potem Scott wstał i spojrzął na niego.

- Chcę ci coś pokazać.

Zaprowadził go głębiej. Krawędzie świata wydawały się ostrzejsze i wyrazistsze, jakby deszcz je wypolerował. Minęli Athlone House, gdzie w czasie II wojny światowej mieścił się wywiad RAF-u. Belsey wyobraził sobie sale lekcyjne z czarnymi tablicami i zdjęciami lotniczymi miast z zaznaczonymi celami i pilotów, którzy skrupulatnie wszystko notowali. Za rozpadającym się budynkiem z czerwonej cegły wspięli się do zagajnika

kasztanowców.

- Spójrz.

Na kilku pniach zobaczył jaskrawożółte ikсы. Takie same zwykle robili robotnicy kopiący drogę.

- Co to?

- Nie wiem. Pojawiły się kilka tygodni temu. Pewnie oznaczenie trasy biegu. Ludzie tu biegają, zaznaczają drogę. Nie pytają.

- Pokaż mi następne.

Przeszli jeszcze dobry kilometr. Wszędzie były drzewa z żółtymi ikсами.

- Nie ma planów wycinki? Nie są chore?

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

- To nie jest trasa biegu - stwierdził Belsey.

- No, ja w każdym razie nie wiem, co to jest. Z tej strony kończą się przy basenach, a z tamtej aż przy East Heath.

Belsey oderwał łuszczący się fragment srebrnoszarej kory.

Właśnie dlatego platany idealnie nadawały się do Londynu, wyjaśnił mu kiedyś Scott. Zrzucając wierzchnią warstwę kory, pozbywały się też zanieczyszczeń, które w niej zostawały. To cenna lekcja. Chwilę potem znowu trafili na zagęszczenie żółtych ikсов.

- Zawiadomiłeś kogoś o tym? - spytał Belsey.

- Właśnie to robię - odparł ogrodnik.

Rozdział dwudziesty szósty

Belsey wrócił Heath Street do centrum Hampstead. Minęła szesnasta. Zimą o tej porze dzielnicę otulała niezwykła srebrnofioletowa poświata. Jej odcień przywodził na myśl worki pod oczami kogoś, kogo się kocha i komu nie daje się spać przez całą noc. Podnosiła się znad stawów i rozciągała się aż po Downshire Hill oraz Fiask Walk, sprawiając, że domy - na co dzień tylko piękne - teraz zapierały dech w piersiach.

Pod stacją metra podjechała furgonetka „Evening Standard” z wielkim tytułem na boku: „Krwawa rzeź w Hampstead”. Przy dystrybutorze leżała sterta popołudniówek. Jakiś przechodzień

kupił gazetę, nawet nie zwalniając kroku. Belsey obserwował tę scenę z zachwytem: miasto jak maszyna poruszająca się w rytm niezdrowej fascynacji. Wziął gazetę i czytał, idąc.

Dziś w wyniku strzelaniny w lokalu Starbucks w północno-zachodnim Londynie zginęła uczennica szkoły w Hampstead...

Wciąż trzymali się oficjalnej wersji o jej prymusostwie i nadzwyczajnej popularności. Cała szkoła w szoku. Uczennice otrzymają pomoc psychologów. Wciąż nie było zdjęcia Jessiki.

Szedł dalej Hampstead High Street prosto do centrum operacyjnego.

Atmosfera trochę się uspokoiła. W centrum już nie kipiało, tylko delikatnie bulgotało. Śledztwo się przesuwało z epicentrum. Belsey rozglądał się za June Glasgow, ale nigdzie jej nie widział.

- Gdzie znajdzie inspektor Glasgow?

- Powinna być z tyłu, na zewnątrz. Właśnie skończyła przesłuchiwać świadków.

Z dzbanka przy stanowisku informacyjnym nalał kawę do dwóch kubków i wyszedł z nimi przed kościół. Glasgow stała oparta o ścianę zagubiona w myślach.

- Nick - powiedziała. Podał jej kubek.

- Skąd wiedziałeś, że o tym marzę?

- Jak przesłuchania?

- Strata czasu. - Sączyła napar. - Same świry. - Podała mu paczkę papierosów i ogień. - Dałam się wciągnąć w jakieś gówno - odezwała się po chwili.

- Na to wygląda.

- Northwood traktuje to jak własne śledztwo.

- To jego terytorium.

- Ale on nie jest od prowadzenia sprawy. Nie powinien się wtrącać. Widziałeś konferencję? Teraz piętnaście gazet podaje wersję o gangu ulicznym.

- A jakie są wasze hipotezy?

- Nie mamy żadnej. I o to chodzi. To powinno dać nam do myślenia.

- W sensie...?

- Że miałaś rację. To nie był napad rabunkowy. Ale jeśli nie napad, to co? Nie mam pojęcia. W życiu nie zetknęłam się z czymś takim.

- Musisz mieć jakieś pomysły.

- Na pewno nie ma logicznego wytłumaczenia, więc nawet nie próbujmy go szukać. Może jakiś świr?

- Świry rzucają się w oczy. Kolejka świadków ciągnęłaby się od Charing Cross po Highgate.

- Psychopata.

- Jak wyżej.

- A jak ty sądzisz, Nick? - spytała znudzona tą grą.

- Morderstwo - odparł Belsey.

- Kto stanowił cel?

- A kto był w środku?

- Siedemdziesięcioletnia staruszka, które odwiedzała siostrę w szpitalu. Ugandyjski śmieciarz w drodze do pracy.

Chińczyk student, dwadzieścia jeden lat, który pracował w Starbucksie od dwóch miesięcy. Kierowniczka lokalu - Polka, która wyraźnie zasłużyła się komuś na gorze - i licealistka, która miała pecha, pojawiając się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim momencie. Wszystkich sprawdziliśmy. Żadnych wcześniejszych incydentów, żadnych podejrzanych związków.

- Ale snajper mierzył tylko do jednej osoby.

- Do licealistki?

Glasgow pomachała zapałką i upuściła ją na ziemię. Belsey wiedział, o czym myślała - takie spekulacje nie przekonałyby jej bezpośrednich zwierzchników. Z kościoła wysunął się policjant w cywilu. Wyglądał na starszego oficera. Zszedł po kamiennych stopniach. Mijając kobietę, puścił do niej oko.

- Magdala - powiedział, unosząc rękę z wymyślnym kieliszkiem.

Glasgow w odpowiedzi podniosła kciuk. Belsey odprowadził go wzrokiem.

- Kto to?

- Ken Barber. Spec od ataków z użyciem broni - odparła

Glasgow z roztargnieniem. Wciąż przetrawiała hipotezę Belseya.

- Powiadasz, że Jessica Holden zginęła na czyjeś zlecenie?

- Na pewno nie da się jej z czymś połączyć? - Z czym?

- Może z typkami z zamazaną hipoteką?

- Na razie nie znaleziono żadnych powiązań. - Spojrzała na niego przenikliwie. - Za to słyszałam, że ty miałeś kłopoty - stwierdziła, jakby powątpiewała w jego poczytalność.

- Nic mi nie jest.

- Prosiłam, żeby cię włączyć do ekipy.

- I oto jestem.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Tylko jednego dowiedzieliśmy się o dziewczynie.

- Czego?

- W torebce znaleźliśmy list. - A w nim...?

- „Przepraszam”.

- Za co?

- Napisała coś w rodzaju: „Jednak nie mogę. Przepraszam”.

Jakby odmowę.

- Czego nie może?

- Nie wiem. Nie było adresata.

- Idziecie tym tropem?

- Rozmawiamy z każdym, kto ją znał. Na razie nie trafiliśmy na ślad romansu. Jeśli okaże się, że właśnie z kimś zerwała, sprawdzimy ten trop, ale to mi nie wygląda na robotę obrażonego nastolatka.

- Raczej nie.

- Muszę wracać. Dziękuję za kawę, Nick.

Ale za pomysły już nie podziękowała.

Belsey odprowadził ją wzrokiem, a kiedy zniknęła w kościele, udał się do pubu Magdala, gdzie przedstawił się inspektorowi Barberowi. Siedział w głębi lokalu z chłopakami z wydziału zabójstw. Mieli szklany wzrok i wściekłe miny - pierwszy drink od alarmu. Inspektor jednak - właściciel opadających powiek i licznych złotych sygnetów - wyglądał na całkiem przytomnego.

Przystawił krzesło dla Belseya. Belsey rozmienił pięćdziesiątkę Mirandy Miller, zamawiając cztery piwa.

- Jak wyglądały ruchy Jessiki Holden w ostatnich dniach? - spytał. - Wiadomo, gdzie była wczoraj?

- Wczoraj? Poszła na siłownię. Tam widziano ją po raz ostatni. Potem dopiero na Bishops Avenue. Tylko tyle ustaliliśmy. - Inspektor uniósł kieliszek. - Zdrówko.

- Która siłownia? - dążył Belsey.

- Ta najbardziej szpanerska, niedaleko Belsize Avenue.

- Sprawdziliście już ją?

- Rozmawialiśmy z pracownikami i klientami. Podobno wpadała tam dwa, trzy razy w tygodniu, ale trzymała się z boku.

- To fajne miejsce - powiedział Belsey.

- I fajne klientki.

Mężczyźni parsknęli śmiechem.

- Kogo tam wysłaliście?

- Do siłowni? Nie pamiętam. Dlaczego? Sądzisz, że to była przyczyna ataku? Zepchnęła kogoś z bieżni?

Chłopaki z wydziału zabójstw zarechotali. Belsey też.

Rozdział dwudziesty siódmy

To nie była zwykła siłownia, tylko jej luksusowa odmiana, klub zdrowia - Klub Zdrowia Belsize - co podkreślała wymuskana zieleń i ekrany z każdym kanałem satelitarnym, jakiego zażyczył sobie klient. Budynek znajdował się w głębi ślepej ulicy, skądinąd też luksusowej. Zapach chloru tłoczony na zewnątrz niósł się po bruku w stronę High Street. Karta członkowska dawała gwarancję, że do środka nie wejdzie nikt, kogo nie stać, żeby wykładać trzy patyki rocznie tylko na pilates.

Bogacze przybywali tu tłumnie po ciężkim dniu pomnażania majątku.

- Chciałbym poznać warunki członkostwa - zwrócił się Belsey do recepcjonistki.

- Momencik. Mark! - zawołała.

Zaraz pojawił się mężczyzna w spodenkach z logo klubu i koszulce odsłaniającej imponujące bicepsy - najlepszą reklamę

skuteczności siłowni. Uścisnął Belseyowi rękę.

- Chcesz się rozejrzeć?

- Bardzo.

- Proszę za mną. - Poklepał Belseya po ramieniu i wprowadził go do pierwszej sali. - Jak masz na imię?

- Nick.

- Nick, wyglądasz, jakbyś potrzebował relaksu.

- Która z tych maszyn na to pomaga? Mark się roześmiał.

- Co chciałbyś udoskonalić?

- Chcę mieć kaloryfer.

Pokazał Belseyowi najnowsze sprzęty, basen, salę z rowerkami treningowymi. Armia mężczyzn i kobiet biegnących bez wytchnienia do swoich odbić w lustrze robiła wrażenie. Pracownik omawiał przywileje członka klubu.

- A jeśli ma pan nianię do dziecka czy kogoś takiego, może przychodzić tu za połowę stawki.

- Świetnie. Skoro już tu jestem, mógłbym wziąć prysznic albo skorzystać z sauny?

- Załatwię panu wejściówkę dla gościa.

- Będę zobowiązany. I poproszę jeszcze o ręcznik - powiedział Belsey.

Poszedł z ręcznikiem do szatni, rozebrał się, złożył ubrania.

Niektórzy członkowie mieli własne szafki - większe, ze złotymi numerami i dyskretnym podpisem „Premium”. Osoby z jednorazową wejściówką, jak on, musiały wrzucić funta, a on nie miał bilonu. Wszedł do sauny i wdychał zapach sosny, czekając, aż ktoś otworzy szafkę. Chciał przekonać się, czy są duże.

Wyszedł z sauny i wziął prysznic. W szatni zrobiło się tłoczno. Nie żałował sobie darmowego dezodorantu i mleczka do ciała. Ubrał się i wrócił do recepcji.

- Jakie przywileje daje karta Premium?

- Polecamy ją osobom, które naprawdę chcą nad sobą popracować. Otrzymuje się osobistego trenera, darmowe zajęcia, solarium, dwa ręczniki i własną szafkę.

- Czy Jessica Holden miała taką kartę?

Chwilę trwało, zanim skojarzyli nazwisko. Wyglądali na speszonych.

- Dlaczego pan pyta?

Belsey pokazał legitymację policyjną.

- Jeśli dobrze się orientuję, byli tu już moi koledzy. W sprawie Jessiki Holden.

- Zgadza się.

- Zajrzeli do jej szafki? - Nie.

- Chciałbym ją zobaczyć.

Schował legitymację. Gapili się na niego bez słowa. Wkroczył do damskiej szatni.

- Proszę się nie krępować - obwieścił na wpół nagim kobietom. - Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Proszę otworzyć szafkę Jessiki - zwrócił się do pracowników.

Odszukali klucz, podeszli do szafki i otworzyli ją. W środku wisiały trzy pokrowce na ubrania i trzy torby z Selfridges z zestawem ubrań biurowych, dwiema baskinkami, bielizną od La Senzy oraz Agent Provocateru, kajdanki, saszetki z lubrykantami, szpilki na piętnastocentymetrowych obcasach, niebieskie i różowe opaski na oczy, nowy paszport i zestaw wizytówek, na których przedstawiała się jako Emerald, która odgadnie wszystkie twoje pragnienia. W każdym razie w okolicach trasy M25.

Szafka okazała się na tyle przestronna, że pomieściła drugie życie. I to całkiem niczego sobie. Belsey jeszcze raz popatrzył na wizytówkę, po czym oświadczył, że musi zadzwonić.

Pozwolili mu skorzystać z aparatu w recepcji. Wybrał numer centrum operacyjnego.

- Czy zgłosiła się jakaś agencja towarzyska, informując, że pracowała u nich Jessica Holden?

- Nie. A pracowała?

- Właśnie to sprawdzam.

Pracownicy siłowni tłoczyli się w pobliżu, udając, że nie słyszą. Belsey wybrał numer z wizytówki Emeraldy.

- Dzień dobry panu. Połączył się pan z Towarzystwą od Serca. Czym mogę służyć?

- Jaki region państwo obsługują?
 - Szuka pan towarzystwa?
 - Zgadza się.
 - Mogę prosić o nazwisko?
 - Najpierw muszę porozmawiać z kierownikiem. Mam nietypową sprawę. Połączy mnie pani?
 - Czego dotyczy?
 - Ta sprawa?
 - Tak.
 - Martwych licealistek.
- Rozłączyła się.

Belsey podziękował pracownikom siłowni za pomoc i wyszedł. W kafejce internetowej przy Finchley Road odszukał stronę internetową Towarzyszki od Serca. Można było oglądać dziewczęta według różnych kryteriów: cena, wiek, narodowość.

Reklamowały się profesjonalnymi zdjęciami, tylko częściowo odsłaniającymi okolice intymne. Dla tych, którzy resztę chcieli sobie dośpiewać sami, podawały swoje wymiary. Połowa miała też rozmyte twarze. Na stronie głównej nie precyzowano, jakie usługi oferują, podkreślano jedynie, że - aby uniknąć rozczarowania - lepiej umawiać się z wyprzedzeniem. Łącznie znajdowały się tu pięćdziesiąt trzy foldery dziewczyn różnych narodowości i o różnych cenach. Wszystkie potrafiły - albo nie - odgadnąć pragnienia klienta. Wśród nich jednak nie było żadnej Jessiki. Ani Emeraldy. Belsey sprawdził adres agencji i postanowił zjawić się tam osobiście.

Rozdział dwudziesty ósmy

Towarzyszka mieściła się w Soho, na najwyższym piętrze ciasnego budynku przy Poland Street. Wąskie schody prowadziły także do biur grafiki komputerowej i jakiegoś producenta filmowego. Wchodziło się prosto do poczekalni z przeszklonym dachem. Z boku stało biurko, na ścianach wisiały zdjęcia gwiazd kina z lat pięćdziesiątych. Dochodziła dziewiętnasta, ale w końcu w tej branży pracowało się głównie nocą. Za biurkiem siedziała zadbana kobieta w średnim wieku. Pojawienie się Belseya nie

zrobiło na niej wrażenia.

- Chciałbym rozmawiać z kierownikiem - oświadczył.

Uśmiechnęła się, ruchem głowy wskazując mu krzesło.

Po minucie drzwi do gabinetu otworzyły się i został zaproszony do środka.

Czekali na niego kobieta w czarnym spodniemie i opalony mężczyzna w rozpiętej koszuli dżinsowej. Kobieta miała notes, mężczyzna - siwiejącą kozia bródkę. Kobieta uśmiechnęła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Kozia bródka uśmiechnął się i puścił do Belseya oko. Męskie towarzystwo. Między nami, facetami.

- Freddie Garth. - Podał Belseyowi rękę. - Napijesz się?

- Tego samego co ty.

Gospodarz poprosił o piwo i wodę. Z gabinetu rozciągał się widok na dachy Soho i Greek Street. Wszędzie stały oprawione zdjęcia samochodów wyścigowych, na ścianie wisiały biała blenda fotograficzna i miarka. Biurko było czarne, fotele - skórzane.

- Mieszkam w Londynie już od jakiegoś czasu - zagaił Belsey.

- Jasne.

- I brakuje mi towarzystwa.

- Tak, samotność potrafi dać tu w kość.

- Problem polega na tym, że szukam kogoś młodego.

Dziewczyny, która mogłaby być moją córką.

Mężczyzna skinął głową.

- Czemu nie?

- Jak młode macie dziewczyny?

- Przekonasz się, że wszystkie nasze dziewczęta są bardzo świeże.

- Co robią?

- Nam płacisz za ich towarzystwo. Cała reszta to już do ustalenia między tobą a dziewczyną. My się nie wtrącamy. Sądzę jednak, że nie będziesz zawiedziony. Od dwóch lat nie mieliśmy żadnej skargi.

- Powiedzmy, że chciałbym dziewczynę o imieniu

Emeralda.

Twarz Gartha skamieniała.

- Powiedzmy - powtórzył.

- Są jakieś o tym imieniu?

- Nie u nas.

- Już nie?

- Nigdy.

- No więc? Kiedy zaczęła? - spytał Belsey.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. Belsey wyciągnął odznakę.

- Skup się porządnie, to może zrozumiesz.

Garth zamknął oczy i po chwili je otworzył. Był rozdrażniony. Fakt, to denerwujące, gdy człowiek nagle zostaje wplątany w przestępstwo, chociaż jest tylko Bogu ducha winnym alfonsem.

- Na początku ubiegłego roku - powiedział, siadając wygodnie, jakby chciał dać do zrozumienia, że traci teraz cenny czas.

- Cóż, osiemnaście lat skończyła dopiero we wrześniu.

- Ma pan nakaz?

- A ty zezwolenie?

- Działamy legalnie.

- Sprzedawanie siedemnastolatek nie jest zgodne z prawem.

- Nie powiem ani słowa, jeśli nie przedstawi pan nakazu.

Nie mamy nic wspólnego z tą sprawą.

- Zabawne, ja też nie mam z tym nic wspólnego. To dlaczego miałbym mieć nakaz? - Belsey się roześmiał. - Ja nie mam z tym nic wspólnego, wy nie macie z tym nic wspólnego.

- Zastanawiał się, gdzie, do diaska, podziało się piwo.

- W takim razie może będzie pan łaskaw opuścić biuro.

- Mimo to błyskawicznie usunęliśmy jej profil ze strony.

Weszła kobieta z drinkami. Zobaczyła ich miny, spojrzała pytająco na Gartha, który odprawił ją machnięciem ręki.

- Usunęliśmy go pięć tygodni temu.

- Nie pogardziłbym tym piwem.

- Nie przeciągajmy już, dobrze? To okropne, co się stało, ale nie mamy z tym nic wspólnego. Tylko traci pan czas.

- Dlaczego usunęliście jej profil?

- Wylaliśmy ją.

- Za co?

- Twierdziła, że się zakochała. - Oczy Gartha błysnęły.

- Czy to źle?

- Wiedzieliśmy, co to znaczy.

- A co to znaczy?

- To znaczy, że komuś się wydaje, że dostaje za darmo.

Belsey pomyślał chwilę.

- Może naprawdę się zakochała?

- To znaczy, że próbowała dorobić na boku. Jasne, może to nawet jej się podobało. To się zdarza częściej, niż pan sądzi.

Ale nie ułatwia prowadzenia interesu.

- Skąd wiedziałeś, że się zakochała?

- Nie można było na niej polegać. Klienci narzekali. Nie przychodziła na spotkania. - Wzruszył ramionami.

Biedna Jessica, pomyślał Belsey. Urywała się ze szkoły, urywała się z roboty. Dziewczyna, która słuchała głosu serca.

- Robiła za sekretarkę? Garth ściągnął brwi.

- Nie rozumiem?

- Wkładała garsonkę, pisała na maszynie.

- Gdyby klient otworzył portfel, przebrałaby się nawet za Myszkę Miki. To nie klasztor.

Belsey skinął głową. Wstał, nalał sobie wody z dystrybutora.

- Spotykała się z niejakim Aleksiejem Devereux. Opowiedz mi o nim.

Stał przy dystrybutorze, więc Garth musiał się wykręcić, żeby na niego spojrzeć.

- Nie prowadzimy rejestru klientów.

- Gówno prawda - powiedział Belsey. - I rejestru wpłat może też nie?

- Ja nie kłamię. - Garth pojednawczo rozłożył pulchne ręce.

- Jestem prostym gościem, nie kombinuję.
- A to nie jest nic skomplikowanego.
- My tylko sprzedajemy facetom możliwość odprężenia.

Większość chce po prostu towarzystwa. Kogoś, z kim wyskoczą do restauracji albo do baru.

- Serce mi zaraz pęknie ze wzruszenia.
- Reszta to sprawa między nimi a dziewczętami.

Freddie Garth wyglądał na wyczerpanego. Wyczerpała się jego siła woli, wyczerpały informacje. Belsey mógł mu powiedzieć znacznie więcej niż on jemu. Następnym policjantów, którzy pojawią się w biurze Towarzystek, rewelacje alfonsa bardziej zaskoczą. W ten sposób znajdują się już o krok od Devereux i dwa kroki od Belseya.

Dziewczyny wplątują się w układy z nieuczciwymi biznesmenami - dziewczyny umierają. Mógłby spędzić wiele czasu na próbach połączenia tych punktów. Ale zamiast tego powinien zająć się pilniejszą sprawą: wyciągnąć się z tego szamba, zanim przyjadą kumple z wydziału zabójstw.

Opuścił biuro agencji towarzyskiej i wyszedł na ulicę.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Hampstead przechodziło kolejny atak nerwowy. To się zdarzało. Mieszkańcy ukryli się w domach, mroczny spokój Heath rozpełzał się po ulicach niczym mgła. Atmosfera taka, jakby ogłoszono kwarantannę. Czasem, idąc tędy nocą, Belsey miał wrażenie, że bogactwo dzielnicy jest jak choroba. Powodowało izolację, sprawiało, że mieszkańcy żyli w ciągłym lęku odgradzeni od innych. Wiatr szarpał liśćmi, które spadły na idealnie czyste chodniki. Nigdzie żywego ducha, jeśli nie liczyć nastolatków w zaparkowanych wozach sportowych, z których unosił się duszny i słodkawy zapach trawki.

Belsey zmierzał do Bishops Avenue. Myślał o świeżo wyrobionym paszporcie Jessiki i o liście w torebce: „Jednak nie mogę. Przepraszam”. Spotykała się z kimś. Spotykała się z Devereux, dopowiedział w duchu. Czyżby zamierzali razem uciec?

Tyle że Jessica się przestraszyła, a Devereux wybrał

bardziej definitywną formę ucieczki. No, a potem jeszcze strzelanina.

Może mylił się, próbując to jakoś powiązać? Czuł jednak, że nie. Upadek biznesowego imperium u niejednego musiał wzbudzić gniew. On zaś też nieopatrznie wplątał się w życiorys człowieka, który miał związek z ofiarą morderstwa. Kto wie?

Może policja już go szuka? Uciekaj, ale już! - pomyślał. Zwiewaj! Ale żeby zwiać, trzeba mieć pieniądze. Cassidy czekał na towar od niego, musi zatem go dostarczyć.

Pusty radiowóz stał przy wlocie do Bishops Avenue od strony Hampstead Heath. Belsey widział parę policjantów chodzących od domu do domu i przepytujących sąsiadów. Minęli willę Devereux. Belsey przeszedł na drugą stronę ulicy.

Upewniwszy się, że są już na tyle daleko, że go nie zauważą, energicznie ruszył do drzwi.

Otworzył zamek i schował się w kryjówce. Siadł w fotelu.

Przeszywały go dreszcze.

Wrócił do salonu, włączył telewizor i usłyszał zapowiedź materiału: „Chaos po strzelaninie w kawiarni”.

Sky poświęcało sprawie wiele czasu antenowego. Podawano w wątpliwość pierwsze doniesienia o rabunkowym charakterze zbrodni. Ktoś złożył wizytę rodzicom Jessiki i dorwał się do ich albumów rodzinnych: materiał ilustrowały zdjęcia dziewczynki w satynowej sukience, w szkolnym przedstawieniu, z przyjaciółkami w Pizza Hut. Nie udało się jednak zdobyć pewniaka, który jak zawsze budziłby wzruszenie: fotki ze smutnym uśmiechem. Belsey przykucnął przy ekranie. Faworyzowali zdjęcie Jessiki z przyjaciółkami. Taka sobie. Wyglądała na nim tak, jakby zrobiono je z zaskoczenia.

Wyłączył i zajął się ładowaniem dobytku Devereux do porsche. Utykał w bagażniku koszule, garnitury; krążył po domu w poszukiwaniu sprzętu, który najłatwiej upłynąć. Wszystkiego i tak nie zdołałby zabrać naraz, więc układał w garażu stertę na później. Wreszcie zatrzymał się w gabinecie. Perski kobierzec mógłby przynieść trochę grosza. Wrzuciłby go na dach i przywiązał. Po

pięciu minutach szarpaniny udało mu się przesunąć stół bilardowy. Zrolował dywan i spojrzął na odsłoniętą wykładzinę.

Duża, ciemna plama kończyła się tuż przy jego stopach.

Przykucnął i potarł włókno. Potem przyniósł z pomieszczenia gospodarczego wybielacz.

Wylał trochę na plamę i patrzył, jak płyn się pieni. Stara sztuczka, której nauczył się od kumpli z wydziału zabójstw.

Nadtlenek wchodził w reakcję z katalazą, enzymem powodującym, że rozpadał się na wodę i tlen. To zaś znaczyło, że plama na wykładzinie to krew. Wpatrywał się w nią ze znużeniem pomieszanym ze zdumieniem. Walczyła w nim chęć dokończenia śledztwa z pragnieniem ucieczki. Zaklął wściekły. Wreszcie wziął watę i przeszedł do kryjówki. Wdrapał się na krzesło i zebrał na nią zasuszoną krew z sufitu. Potem znalazł w kuchni nożyczki oraz dwa woreczki do zamrażania i wyciął fragment zakrwawionej wykładziny. Starannie zamknął woreczki. Pierwszy podpisał: „Krew: kryjówka”, drugi: „Krew: gabinet”. Najpierw jednak sprzedał dobytek Devereux, postanowił. Potem będzie musiał złożyć wizytę w laboratorium kryminalistycznym. Dla czystego sumienia i zaspokojenia ciekawości.

Po atmosferze zawołanego zagrożenia, panującej w Hampstead, w południowym Londynie oddychał spokojniej. Tu przynajmniej niebezpieczeństwo było widoczne. Jadąc szemranymi ulicami, zastanawiał się, jak wytłumaczy zaniepokojonemu Cassidy'emu seniorowi aresztowanie Johnny'ego.

W Wishing Well panował ruch, jak to w piątek. W powietrzu unosił się zapach przypalanej kokainy. Faceci w jaskrawych koszulach poklepywali się po plecach, przy barze śmiała się grupka kobiet, partnerek zaprawionych w bojach. W kącie Belsey wypatrzył stałych bywalców, którzy bacznie obserwowali kryminalistów z bożej łaski.

- Gdzie Niall? - spytał Belsey.

- Nie ma. Sprawdź w biurze. Mówił, że będzie na ciebie czekał. Nie wygłądał na zachwyconego.

Dopiero po trzech latach drobnych przysług i surowych

aresztów Belsey został dopuszczony do „biura” - rozsypującego się ceglanego budynku za Old Kent Road. Dawniej mieściła się tu mleczarnia Dairy Crest, która w końcu obróciła się w ruinę.

Na opustoszałym terenie od lat nic się nie działo. Miały tu powstać sklepy i nowe osiedla, ale prywatni sponsorzy wycofali się z inwestycji, zostawiając po sobie tylko drut kolczasty i zniszczoną kabinę dozorcę. Wszystko to kryło się za wysokim murem i masywną skorodowaną bramą, na której wisiały ostrzeżenia przed nieistniejącymi psami. Prawdziwy ciemny zaułek - bez lamp, z dała od ulicy.

Belsey załomotał do bramy. Łańcuchy zachrzęściły o metal i wrota się uchyliły. Cassidy był sam. W ciemnościach żarzył się tylko papieros. Belsey po ubitym błocie wjechał do magazynu.

W „biurze” Nialla stały stara koparka, ciężarówka z brezentową plandeką i mnóstwo złomu. Przez dach z przezroczystego, pokrytego pajęczynami plastiku sączyło się anemiczne światło, odsłaniając poplamioną betonową posadzkę i ścianę z platformami, przy których dawniej ładowano na samochody mleko.

Hala była świadkiem wielu przestępstw, idealnym miejscem do rozrachunków. Dziesięć lat utrzymywania się z kradzieży złomu też wycisnęło na niej piętno. Wszędzie piętrzył się metal, na podłodze wałały się prostowniki, pokrywy studzienek, blacha ocynkowa, fragmenty przystanków autobusowych. Tu i ówdzie błysnęły nawet płoty i kute elementy ozdobne z cmentarzy.

W powietrzu wciąż unosiła się stęchła woń starego mleka.

Belsey, nie wyłączając reflektorów, wyskoczył z samochodu.

- Drobne zakłócenia na linii - wytłumaczył się.

- Ja myślę, że zakłócenia. Co, kurwa, robi za kratkami?

- Johnny'emu nic nie będzie. Spokojna głowa.

Ale Cassidy już łakomie oglądał samochód i ładunek. Wystarczyło jedno spojrzenie, by upewnić się, że sam wóz wystarczy na opłacenie Belseya i zostanie jeszcze okrągła sumka

na wizytę u dobrego adwokata.

- Masz do niego papiery? - spytał.
- A jak sądzisz?
- Twierdziłeś, że wóz jest z papierami.
- Nie powiedziałbym czegoś tak nieroztropnego.
- Zawsze musisz mnie wycykać, Nick.
- Od tego jestem - powiedział Belsey.

Widział jednak, że Cassidy był zadowolony z łupu. Czyste złoto.

- Zaczynij od zdjęcia tablic. Gdzie forsa?
- Najpierw obejrzymy, co przywiozłeś - zastopował go

Cassidy i zaczął wyjmować z samochodu dobytek Devereux.

Belsey pomagał mu, zagłuszając wyrzuty sumienia, że resztki wytwornego życia Aleksieja składa w dawnej mleczarni.

Podziwiał złom, cementarne ozdoby z kutego żelaza. Czasem rzucał mu się w oczy fragment napisu: „Słodko śpią ci, co pracowali...”, „Miłość silniejsza nad śmierć...”, „Wreszcie w domu”.

Sprzedawali metal do Chin. A w każdym razie robili tak do momentu, gdy rynek się załamał. Raz Niall i jego gang ukradli cały most niedaleko Swindon. Nigdy nie zostali za to skazani.

Belsey do tej pory zachodził w głowę, jak można było tego dokonać. Wyobrażał sobie, jak przewożą go nocą, jak widzi go z daleka, kiedy podąża na wschód trasą M4.

- Słyszałem o Starbucksie - powiedział Cassidy.
- Co o tym myślisz?

- Obrzydliwe. Taka młodziotka dziewczyna. - Pokręcił głową.

Mówił szczerze. Belsey zawsze podziwiał to święte oburzenie u przestępców. Może nie chcieli, by nie uważano ich za bestie pozbawione sumienia? Nie, był to raczej wynik specyficznej, wąsko pojmowanej moralności.

- Strzały padły ze strzelby. Gdzie mogli ją kupić? - spytał Belsey.

- Na pewno nie od naszych.

- To u kogo?

- To była robota na zlecenie.

- Dlaczego?

- Tak działa zawodowiec. Poza tym nikt o tym nie słyszał.

Belsey podniósł z podłogi zakurzoną butelkę po mleku. Była oblepiona pajęczynami. Odstawił ją na ziemię.

- Obiło ci się o uszy nazwisko Aleksiej Devereux? - zapytał.

- Nie. - Cassidy wyjął z kieszeni reklamówkę. - Jeszcze jakieś pytania?

- Jak się kradnie cały most?

- Nie cały, tylko metalowe elementy.

- Stopiłeś go tutaj, w Londynie?

- Nie ja osobiście. Mają go wypuścić, Nick. Johnny ma wyjść z paki.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Cassidy dał mu torbę. W środku same dwudziestki i pięćdziesiątki. Belsey policzył - sześć tysięcy. Włożył banknoty do kieszeni marynarki. Nie musiał przeliczać drugi raz. Miały ciężar wolności. Był już niemal gotów do drogi.

Rozdział trzydziesty

Centralne Laboratorium Kryminalistyczne mieściło się w betonowym bloku przy Lambeth Road 149, położonym wygodnie, niemal wprost Scotland Yardu - dzieliła je tylko Tamiza.

Z Old Kent Road spacer trwał nieco dłużej. Belsey musiał pokonać jeszcze podziemny labirynt Elephant & Castle, co nie było komfortowym ćwiczeniem, jeśli wziąć pod uwagę, że niósł w garniturze nieboszczyka sześć kafli. Mógł wybrać przyjemniejszą część miasta do transportu gotówki.

Przeciętny zjadacz chleba nie wiedział, co znajduje się w budynku przy Lambeth Road. Blok przypominał właściwie wielopiętrowy parking samochodowy. Zamiast tablicy z nazwą instytucji na szybie wentylacyjnym widniały tylko wielkie cyfry: 149. Zastanawiać jednak mogły przyciemnione szyby i kamery na ścianach ukryte za czarnymi kopułami, a przede wszystkim

radiowozu, które od czasu do czasu bezgłośnie przejeżdżały przez bramki.

- Mam coś do pilnego przebadania.

Strażnik patrzył na Belseya w milczeniu. Tablica nad nim głosiła: „Witamy w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym”, a poniżej: „Nasze wartości”.

- Muszę porozmawiać z dyżurnym nocnej zmiany - ciągnął Belsey. - To ma związek ze śledztwem w sprawie śmierci Jessiki Holden.

To wystarczyło, żeby strażnik podniósł telefon i połączył się z szefostwem. Chwilę później pojawiła się technik Isha Sharvani. Belsey z ulgą zobaczył znajomą twarz.

- Nick - przywitała go.

- Isha. Przysłano mnie z pilną sprawą. Wiem, że to trochę niekoszerne, ale mogłabyś to sprawdzić?

Popatrzyła na torebki ze sceptycyzmem graniczącym z odrazą.

- Co to za robota?

- Ma związek ze strzelaniną w Starbucksie. Sprawdź, czy to ta sama krew. Zadzwoń do komisariatu Hampstead. Znasz mój numer.

- Nick Belsey. - Przymknęła oczy zdesperowana, ale wiedział, że pomoże.

Belsey poznał Ishę Sharvani ósmego lipca 2005 roku. Poprzedniego ranka uczestniczył w nalocie razem z wydziałem do spraw narkotyków. Właśnie stał w mecie przy Adelaide Road i pilnował kobiety przykutej do zlewu. Wiedzieli, że stało się coś poważnego, bo od dziesięciu minut przez Camden bez przerwy mknęły radiowozu na sygnale. Ale co było jeszcze mniej typowe dla porannego szczytu - oprócz nich jechały samochody wszelkich innych służb. I to w takiej liczbie, że ktoś musiał wezwać też jednostki z sąsiednich dzielnic. Oddział Belseya na czas akcji wyłączył krótkofalówki. Kiedy znów je włączyli, usłyszeli komunikat, by wszystkie jednostki zgłosiły się na Tavistock Square. A potem ogłoszono alarm czerwony.

Wiedzieli, co robić. Od dwóch lat ćwiczyli to do znudzenia.

Narkomani mogli na moment odetchnąć z ulgą. Zwyczajne przestępstwa nagle wydały się swojskim, niemal sielskim elementem codzienności, który odszedł w cień w obliczu czegoś stokroć bardziej przytłaczającego.

Wszystkie jednostki do centrum Londynu.

I tak oto następnego ranka razem z Sharvani chodził po Camden, pobierając próbki odzieży od wybranych członków społeczności pakistańskiej, a ona kursowała potem z nimi do laboratorium. Szefostwo chciało, żeby towarzyszył mu ktoś pochodzenia azjatyckiego, najlepiej muzułmanin. Fakt, że Sharvani była hinduistką, najwyraźniej im nie przeszkadzał. To były dziwne tygodnie. Belsey nawiązał wtedy ciekawe znajomości z wiernymi z meczetu w Regent's Park - inteligentnymi mężczyznami, którzy oprócz Koranu znali Platona oraz Nietzschego i chętnie o każdym z nich dyskutowali. Odkrył też hydroponiczne uprawy marihuany bangladeskich nastolatków i wreszcie zaprzyjaźnił się z Sharvani i spędził mnóstwo czasu w laboratorium kryminalistycznym. Nie zaglądał tu od tamtych lipcowych zamachów.

Teraz chciał tylko zaspokoić ciekawość. A jeszcze chętniej: podrzucić komuś to kukułcze jajo. Niech ktoś inny wyjaśnia zagadkę plam krwi w domu przy Bishops Avenue. Gdyby tak mógł przyspieszyć procedury. Gdyby miał ekipę, która odwaliłaby najzmudniejszą robotę i ustaliła, kto przewinął się przez mieszkanie Devereux...

Latarnia oświetlała znajome rzędy porzuconych straganów na zapleczu dworca Waterloo. Powinien wrócić do Hampstead i schować forszę, która lada moment wypali mu dziurę w kieszeni.

Ale był głodny, a tam o tej porze wszystkie lokale były już zamknięte. Zdecydował się na mordownię przy Lower Marsh Street. Taksówkarze, zmiatacze ulic i parkingowi kiwali się w oparach kawy, chuchali na zmarznięte dłonie w rękawiczkach, ścierali zdrapki, czasem zerkając na stary telewizor pod sufitem.

W wiadomościach pokazywano piłkarza, który właśnie opuszczał szpital, ale zaraz potem wrócił temat dnia. Belsey miał

wrażenie, że rodzice Jessiki zwracają się bezpośrednio do ciężko pracujących gości lokalu. Chcą tylko wiedzieć dlaczego - mówili. Kto im odebrał ich najdroższą córeczkę? Belsey oglądał to setki razy: żałoba domaga się odpowiedzi. Musi wiedzieć. Najbliżej muszą zobaczyć ciało, muszą wiedzieć, gdzie to się stało, spojrzeć w oczy zabójcy dziecka. Jakby tylko dzięki temu mogli pogrzebać przeszłość.

Potem na ekranie pojawiła się blondyneczka, rówieśnica Jessiki, którą ściągnięto do studia. Siedząc za gęstym rzędem mikrofonów, zwracała się z apelem do mordercy. „Przyjaciółka ofiary błaga”. Dobrze płakała. Mówiła: „Ktoś musi coś wiedzieć”. Położyła kwiaty przed Starbucksem. Widać było, że jest dobrze ubrana, w markowe ciuchy. Potem najazd kamery na szarfę: „Odpoczywaj w pokoju, Jess. Sprawiedliwości stanie się zadość”.

Belsey kupił kawę i frytki, po czym podszedł z bilonem do automatu w rogu. Zadzwoił do redakcji Channel Five. Mirandy Miller już nie było, ale zastał jej współpracowników, którzy go znali.

- Kim jest ta blondyneczka? - spytał Belsey.

- To przyjaciółka.

- Kiedy się zgłosiła?

- Po południu.

- Nie spieszyła się.

- Była w szoku.

- Jasne.

Potem wykręcił numer centrum operacyjnego.

- Ma na imię Lucy - powiedzieli. - Przesłuchiwaliśmy ją dwukrotnie. Nie miała do powiedzenia nic odkrywczego.

- Jesteście pewni?

- Spytaj raczej, czy ona jest pewna.

Kiedy wrócił do Hampstead, w jego pokoju nikogo już nie było. Przełożył pięćset funtów do portfela Devereux, potem wysunął najniższą szufladę biurka i wepchnął za nią resztę pieniędzy. Zamknął ją i wyszedł, skręcając w Pond Street.

Przy South End Green zainstalowano silny reflektor,

rzucający dziwne cienie na puste skrzyżowanie. Niektóre puby i restauracje, leżące dalej od miejsca zbrodni, już otwarto, choć goście nie wyglądali, jakby dobrze się bawili. Część lokali pozostała zamknięta w geście solidarności albo pogodzenia się z losem. Długi cień starego wodotrysku niczym strzałka wskazywał na pub White Horse. W sztucznym świetle połyskiwały metaliczne powierzchnie: dekle samochodów, stłuczone szkło, zmrożone kałuże. Furgonetka z napisem „Ekspresowe usługi szklarskie” cierpliwie czekała, by usunąć ślady porannego koszmaru.

Belsey przeszedł pod taśmą i błysnął odznaką.

- Kto tu rządzi?

- Ja - odparł siwy, żyłasty sierżant. - Skąd jesteś?

- Nick Belsey. Z biura Northwooda. Za kilka godzin spotyka się z komendantem i chce poznać brutalną prawdę.

- Dave Carter. - Sierżant podał Belseyowi rękę, mierząc go bacznym spojrzeniem.

Belsey zawsze lubił balistików: spokojni, precyzyjni. Dla nich liczyły się kąty i prędkość.

- Jak tam sytuacja w biurze? - spytał Carter.

- Chaos.

Belsey wszedł do namiotu, Carter za nim. W środku panowały półmrok i cisza. Belsey czuł się jak w świątyni nomadów.

W miejscu, gdzie podłogę przeszył nabój, wbito chorągiewkę.

Technicy już dawno zrezygnowali z robienia obrysu ciał. W ten sposób często tylko niszczone cenne dowody. Wszystko zostawiali nietknięte, dzięki czemu łatwiej można było odtworzyć wydarzenia, poczuć dotyk śmierci.

- Co ustaliliście? - spytał Belsey.

- Osiem strzałów. Dwa pierwsze przebiły witrynę. Jeden nabój utkwiał w ścianie nad serwetkami, drugi - za ekspresem.

Przypuszczamy, że czwarty drasnął Chińczyka, a trzeci trafił dziewczynę. Podobnie jak dwa następne. Jeden trafił w podłogę.

- Wszystkie z tej samej broni?
- Tak. Coś z długą lufą, niechromowaną.
- Broń snajperska?
- Na sto procent. Niewykluczone, że przerobiony karabin wojskowy. Samopowtarzalny. Naboje 7.62 na 54 milimetry.

Takich zwykle używają wojskowy snajperzy. Tyle że te miały jeszcze wydrążony otwór w części wierzchołkowej. W tym momencie wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z bronią z dawnego arsenału Armii Czerwonej: dragunow albo WSK.

Belsey przykucnął przy śladzie w podłodze.

- Jaka pojemność magazynka?
- Dragunow - dziesięć sztuk, WSK - dwadzieścia. Ale WSK ma jeszcze tłumik.

- Czyli to nie był WSK.

- Nie przypuszczam.

- W Londynie kręci się wielu snajperów strzelających z dragunowa?

- Nie przypominam sobie żadnego.

Przyjechali wykonać zadanie, pomyślał Belsey. Przyklęknął, wsunął palec w otwór po naboju, namacał kierunek i w myślach wyrysował linię biegnącą poza namiot. Przyjechali uzbrojeni, mieli zlikwidować cel. Zajęli stanowisko w pewnej odległości, ustawili teleskop optyczny na Starbucks, mieli przygotowaną drogę ucieczki. Nie zamierzali się wycofać, zanim nie zlikwidują dziewczyny.

- Pewnie po pierwszym strzale upadła na podłogę - powiedział Belsey. - Czołgała się na zaplecze.

- Może.

- Spójrz na trajektorię.

- To mógł być rykoszet.

- Rykoszet nie przebiłby podłogi.

- Z pociskami nigdy nie wiadomo - powiedział Carter.

Belsey się wyprostował. Wyszedł z namiotu i popatrzył na szpital. Pomyślał o Tonym, który spał spokojnie, naszprycowany psychotropami. Gdzie mógł być jego oddział? Powiódł wzrokiem

po rzędach okien. Zdarzało się, że samobójcy skakali tu z dachu. Trzech, czterech rocznie. W żywopłocie przed szpitalem pojawiały się wtedy przerwy, gdyż wycinano krzewy, żeby wyciągnąć denata. Spojrzał na dach. Potem ruszył do wejścia do szpitala.

Recepcja z neonem kojarzyła się raczej z dworcem autobusowym, a nie z izbą przyjęć. Belsey udał się prosto do schodów ewakuacyjnych. Włączył stoper. Wspiął się na dziesiąte piętro do oddziału gastroenterologicznego, przeszedł długim korytarzem aż do drzwi przeciwpożarowych. Na dach prowadziły wąskie betonowe stopnie.

Kulił się z zimna, żwir chrzęścił mu pod nogami. Dotarcie na dach zajęło mu dwie i pół minuty. Tylko z jednego miejsca było widać Starbucksa: z samego końca budynku, obok wylotu szybu wentylacyjnego, na pasku szerokości trzydziestu centymetrów. Wejście do kawiarni było pod bardzo ostrym kątem, ale dla dobrego snajpera nie stanowiło to większej przeszkody.

Z tej wysokości biała płachta wyglądała niewinnie, zupełnie jak namiot cyrkowy. Dalej niczym mroczne, wzburzone morze rozciągał się park.

Belsey rozejrzał się w poszukiwaniu łusek, śladów buta, niedopałków. Nie znalazł niczego. Ktoś starannie po sobie posprzątał.

Wrócił do domu przy Bishops Avenue 37, choć nie cieszyła go perspektywa spotkania z plamą krwi. Kiedy wszedł, usłyszał telefon. Czasem milkł na chwilę i po sekundzie znowu zaczynał. Belsey usiadł na kanapie i słuchał nieprzerwanej kanonady osób pragnących się skontaktować z nieżyjącym Rosjaninem.

Włączył telewizor. Nie opróżnili całego magazynka, pomyślał.

Otrzymali zadanie, wykonali je i zwinęli się. Próbował sobie wyobrazić tę pozbawioną emocji bezwzględność, poczucie własnej niezniszczalności. I wiedzieli, że Jessica Holden będzie tego ranka w Starbucksie.

Wrócił do gabinetu i popatrzył na plamę. Zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę.

- Pan Devereux?

Belsey milczał. Serce mu dudniło.

- Pan Devereux? - Mężczyzna mówił z charakterystycznym miękkim akcentem z południa Stanów Zjednoczonych. Zaklął i odłożył słuchawkę.

Belsey przycisnął widelki, odczekał dwa sygnały i puścił.

- Mówi Jeff Cadden z redakcji „Market Watch Financial Digest” w Chicago...

Belsey przycisnął widelki. Telefon natychmiast zadzwonił.

Odebrał.

- Hej! - odezwał się mężczyzna. - Hej, co, u licha...

- Kto mówi? - zapytał Belsey.

- Kto mówi? - powtórzył mężczyzna.

Belsey się rozłączył. Za dziesięć minut aparat znów zadzwieczał.

- Halo? Czy to Aleksiej Devereux?

- Tak.

- Panie Devereux, przepraszam, że dzwonię o tej porze.

Nazywam się Mark Levine, jestem radcą prawnym SSI International. Wytworzyło się dziwne zamieszanie...

Belsey odłożył słuchawkę. Telefon znowu zadzwonił.

Odebrał.

- Pan Devereux?

- Tak.

- Restauracja Les Ambassadeurs. Dzwonię w sprawie dzisiejszej rezerwacji.

Belsey przyłożył palec do widełek - znudziła mu się rola sekretarki nieboszczyka - ale nie nacisnął.

- Halo? - powiedział.

- Halo? Pan Devereux? - Mężczyzna z restauracji wciąż był na linii.

Mówił z europejskim akcentem, ale Belsey nie potrafił rozpoznać kraju. Przypomniał mu się wpis z kalendarza. Piątek, trzynastego lutego, kolacja.

- W jakiej sprawie pan dzwoni?
- Rezerwacji. Dzisiejszej. - Tak?
- Podtrzymuje ją pan?
- Na którą zarezerwowałem stolik?
- Na dwudziestą trzecią. - Jaki?
- Dla dwóch osób w części restauracyjnej.
- A, tak. - Udał, że sobie przypomniał. - Tak, podtrzymuję.
- Znakomicie. Zatem do zobaczenia o jedenastej.

Belsey otworzył portfel Devereux. Przerzucał wizytówki hoteli, aż wreszcie znalazł czarną z napisem „Les Ambassadeurs”, adresem w Mayfair: Hamilton Place 5 i uwagą: „Klub i kasyno tylko dla członków”. Stolik dla dwóch osób. Przytulnie. Sam pomyśl, by umówić się na kolację w kasynie o dwudziestą trzecią, budził dreszczyk podniecenia. Belsey mógł tylko sobie wyobrazić, jakie interesy ubijano w tym ekskluzywnym świecie. Zostało mu czterdzieści pięć minut. Ciekawe, czy gość Devereux wie, że spotkanie z biznesmenem nie dojdzie do skutku. Rozmowa z nim mogłaby się okazać nad wyraz pouczająca. Trochę ryzykowne zagranie, ale Belsey i tak nie miał lepszego pomysłu.

Wyszperał z szafy Devereux grafitowy jednorzędowy garnitur od Valentino. Nie było już czasu na zabawy z hydromasażem. Przebrał się tylko w białą koszulę, włożył garnitur, spryskał wodą po goleniu Lacoste i połknął tabletkę ChestEze.

Na rogu Bishops Avenue złapał taksówkę. Przy Regent Street uciekł od tłumu i świateł w eleganckie, wymuskane uliczki Mayfair. W blasku latarni czerń lśniła jak polerowana. Jechał labiryntem jednokierunkowych ulic wzdłuż sklepów z antykami i kancelarii prawniczych, aż wreszcie auto dotarło w chłodny cień hoteli przy Park Lane.

Klub Les Ambassadeurs stał wciśnięty w szczelinę między Four Seasons a Intercontinentalem. Taksówki podjeżdżały od zaplecza, gdzie wyskakiwali na papierosa kucharze i pokojówki. Samo kasyno za to stanowiło kwintesencję georgiańskiej elegancji. Mieściło się w kamienicy z przełomu XVIII i XIX wieku. Jego kamienną fasadę niedawno oczyszczono, a balustrady z kutego

żelaza lśniły w świetle latarni. Belsey wysiadł z taksówki i zapłacił. Do drewnianych drzwi, których pilnował portier w liberii, prowadziły trzy stopnie. Na dyskretnej szarej tablicy widniał napis „Klub Les Ambassadeurs”. Belsey poprawił krawat.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór panu - odparł portier i otworzył drzwi.

Belsey jednym susem pokonał stopnie i wszedł do długiego holu: wypolerowana boazeria, złote żyrandole... Wyjął z portfela kartę członkowską Devereux. Strzałki wskazywały drogę do kasyna: znajdowało się na szczycie ozdobnych schodów, za masywnymi drzwiami. Belsey pchnął je i wszedł do środka.

Kasyno okazało się duże, ale nie przytłaczające: dwadzieścia stolików do pokera, bakarata i blackjacka rozstawionych pod niskim sufitem z eleganckimi, artystycznie rzeźbionymi szklanymi żyrandolami, które rzucały ciepłe, ale na tyle jasne światło, że łatwo zapominało się o upływie czasu, zwłaszcza że nie było tu okien. Większość stolików zajęli przybysze z Bliskiego Wschodu. Stół do ruletki, znajdujący się w wykuszu oddzielonym od sali zasłoną, okupowało bardziej kosmopolityczne towarzystwo: Europejczycy i Japończycy. Pod sufitem leniwie obracały się drewniane łopatki wentylatorów. Przy ścianie po lewej stronie stał długi bar. W głębi widać było restaurację.

Młoda kobieta sprawdziła kartę Belseya. Urzędowała przy stoliku za drzwiami.

- Dobry wieczór, panie Devereux - powiedziała.

- Dobry wieczór.

Zajrzała do swojej książki oprawionej w skórę. Nie udawała, że rozpoznaje gościa, nie okazała też niepokoju ani zaskoczenia. Wpadał tu, pomyślał Belsey, ale nie był stałym gościem.

Ciekawe, ile razy się tu pojawił?

- Stolik dla dwóch osób?

- Tak.

- Jest przygotowany. Chce pan poczekać na swojego gościa? - Zauważyła jego wahanie. - A może woli pan najpierw w

coś zagrać? Stolik będzie czekał.

Belsey sprawdził godzinę. Za pięć jedenasta. Wolał być na miejscu, kiedy - jeśli - zjawi się tajemniczy towarzysz Devereux.

- Siadę od razu przy stoliku.

- Oczywiście.

Skierował się do restauracji, mijając stoliki do gry. Kiedy ostatni raz był w kasynie? Pewnie w Złotym Samorodku przy Shaftesbury Avenue. A lokal miał tyle wspólnego z elegancją i szykiem, ile jego nazwa. Odwiedzali go przede wszystkim kelnerzy z Chinatown. Ale to nie był Samorodek.

Między restauracją a barem stała podświetlona od spodu skrzynka z homarami, których cienie poruszały się na suficie.

Belsey minął ruletkę, homary i wszedł do restauracji. Była prawie pusta. Dlaczego w takim razie menedżer potwierdzał rezerwację? Stoliki przykryte mięsistymi obrusami przygniatała srebrna i szklana zastawa. Każdy miał własną lampę. Na ścianie w głębi lokalu ktoś namalował włoski ogród. Po chwili powitał go szef sali.

- Panie Devereux.

- Co słychać?

Belsey został zaprowadzony do stolika na uboczu. Ktoś wysunął dla niego ozdobne wyściełane krzesło, ktoś inny zapalił świeczkę. Miejsce, dyskretnie oddzielone od reszty sali drewnianym parawanem, zapewniało widok na wejście. Devereux poprosił specjalnie o nie. Belsey był tego pewny.

- Dziękuję. Do której serwują państwo posiłki? - zwrócił się do kelnera.

- Kuchnia pracuje całą noc.

- Oczywiście.

- Podać panu jakiegoś drinka?

Belsey poprosił o dużą whisky Laphroaig i oznajmił, że zamówienie złoży później. Kelner przyniósł trunek. Belsey popijał szkocką, rozglądając się po sali. Zastanawiał się, kto się pojawi i jak powinien go powitać. Barman wrzucał lód do shakera. Na drugim końcu restauracji trójka amerykańskich biznesmenów

prowadziła ożywioną rozmowę. Dziwka w perłach sączyła przy barze mojito, patrząc z nadzieją w jego kierunku.

Kolejny łyk whisky. Spojrzał na zegarek. Punktualnie o jedenastej weszła Charlotte Kelson.

Belsey odstawił szklanekę. To była ona, bez dwóch zdań.

Ubrana w drogą granatową garsonkę i złoty naszyjnik; starannie uczesana i umalowana. Rozejrzała się po kasynie. Doskonale pamiętał te piękne, bystre oczy. Powiedziała coś do kobiety przy drzwiach i ruszyła do restauracji. Amerykanie powiedli za nią wzrokiem, dziwka łypnęła wrogo, a barman posłał jej uśmiech.

Zauważyła Belseya i zamarła.

Wpatrywali się w siebie. Po kilku sekundach podniósł rękę.

Z wahaniem skierowała się w jego stronę. Zatrzymała się przy stoliku, ale nie usiadła.

- Co jest grane? - spytała.

- Chciałbym wiedzieć.

Obejrzała się za siebie, popatrzyła po sali, wreszcie na Belseya. Barman nie odrywał od nich wzroku. Dopiero kiedy oboje odwrócili się w jego stronę, wrócił do mieszania drinków.

- Zapraszam. - Belsey wysunął dla niej krzesło.

Jeszcze raz rozejrzała się po sali i usiadła, położywszy torebkę na kolanach.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Powiedziano mi, że bym przyszła.

- Kto powiedział?

- Godzinę temu zadzwonił do mnie jakiś człowiek. Powiedział, że bym tu przyszła. Miałam powiedzieć, że umówiłam się z kimś w restauracji.

- Co to był za człowiek?

- Nie przedstawił się.

- Zadzwonił do redakcji?

- Tak.

- I poprosił o połączenie właśnie z tobą?

- Zgadza się.

- Co miałaś tu zdobyć?

- Informacje o strzelaninie w Starbucksie. Wentylatory obracały się powoli. Dopiero teraz Belsey usłyszał cichą muzykę fortepianową sączącą się z głośników ukrytych w kwiatkach.

- Jak się nazywał człowiek, z którym miałaś się spotkać? - spytał.

- Jakiś Nick Belsey.

To było niczym cios obuchem. Belsey dopił whisky. W głowie mu wirowało.

Ktoś wiedział, że pojawi się w restauracji. Innymi słowy, wiedzieli, że prowadzi śledztwo w sprawie Devereux i że to on odebrał telefon. Jessica widziała go w akcji, ale akurat ona już nie mogła mu zaszkodzić. Dlaczego ktoś sądził, że Belsey będzie skłonny dzielić się z nią wiedzą na temat śmierci dziewczyny?

Tego nie rozumiał. A może wcale tak nie sądzili? Tak czy inaczej, chcieli go załatwić. Kątem oka obserwował salę.

- Zamówmy coś do picia - powiedział. - Zachowujmy się normalnie.

Przywołał kelnera. Charlotte poprosiła o wino Pinot Grigio, a Belsey - drugą whisky.

- Z jakim akcentem mówił ten mężczyzna? - spytał, odprawivszy kelnera.

- Normalnym.

- Brytyjczyk?

- Tak mi się wydaje. Co jest grane?

- Masz jego numer?

- Tego nie mogę ujawnić.

- Dlaczego?

- Muszę być lojalna wobec swoich informatorów.

- Przecież nawet nie wiesz, kim jest.

- Tak samo jak nie wiem, kim ty jesteś.

Kelner przyniósł alkohole. Belsey czuł na sobie spojrzenia.

Barman bawił się shakerem. Arabowie rozdawali karty. Tylko Charlotte na niego patrzyła. Mimo to czuł się, jakby wszyscy go obserwowali.

- Kim jesteś? - drażyla. - Dlaczego ktoś chciał, żebym tu przysłała?

- Jestem policjantem. Tajniakiem.

- Jesteś tajniakiem? Z policji?

- Pracuję w tak zwanej jednostce-widmo. Nie powinienem ci się przyznawać, ale boję się, że jeśli to zataję, narobisz jeszcze większego rabanu. Dlatego mówię ci, a ty od razu zapomnij.

Pomysł z jednostką-widmem był niezły. Działo ich mnóstwo, a ze względów bezpieczeństwa nie figurowały w żadnych kartotekach. Wtyczki Charlotte w policji potwierdzą ich istnienie, ale nie ujawnią szczegółów.

- Mam, ot, tak rzucić sprawę i o wszystkim zapomnieć? - spytała.

- Tak.

- Chcę wiedzieć, co naprawdę jest grane.

Belsey skinął głową. Widział, że nie spławi jej łatwo. Na tym polegała jej praca, a on utwierdzał się w przekonaniu, że Charlotte jest dobra w te klocki.

- Zdajesz sobie sprawę, że ta wiedza nie będzie dla ciebie bezpieczna?

- Czy to groźba?

- Zwykłe ostrzeżenie. Z mojej strony nic ci nie grozi.

Wspominałaś komuś o ubiegłej nocy?

- Nie.

- Nie wierzę. Ale radzę, żebyś już nikomu więcej nie mówiła.

- Niczego nie obiecuję. Co to za jednostka-widmo?

- Na pewno o niej nie słyszałaś.

- Ma związek z Aleksiejem Devereux?

Tu go zaskoczyła.

- Jak to?

- Powęszyłam trochę. Nieruchomość przy Bishops Avenue 37 nadal wynajmuje niejaki Aleksiej Devereux. Wątpię, żebyś ty nim był, więc intryguje mnie, co robisz w jego domu.

- Dlaczego nie miałbym być Aleksiejem Devereux?

- Ponieważ Devereux jest pięćdziesięciodwuletnim rosyjskim przedsiębiorcą. Tak się składa, że kilka tygodni temu wraz z kilkoma innymi redakcjami otrzymałam list w jego sprawie.

Petycję wystosowali członkowie społeczności lokalnej, niezbyt zadowoleni z takiego sąsiada.

- Co im się nie podobało?

- Jego wyścigi konne. Zgadłam? Belsey zastanawiał się przez chwilę.

- Pan Devereux nie żyje - powiedział wreszcie. - Odebrał sobie życie w niedzielę. Więcej szczegółów ujawnić nie mogę.

Dużo wiesz o tych wyścigach?

- Na razie nic.

- Zajął się tą sprawą?

- Nie. Tylko w „Ham and High” ukazał się tekst na ten temat. „Hampstead and Highgate Express”. Chyba najwyższy czas dotrzymać słowa i oddzwonić do Mike'a Slatera.

Charlotte rozglądała się po kasynie. Światło odbijało się w jej oczach i biżuterii. Nie była przestraszona. Zachowywała czujność, ale najwyraźniej była w swoim żywiole. I wyglądała fantastycznie.

- Słyszałeś coś o tym całym Nicku Belsey? - zapytała.

Może przesadzał, ale wydawało mu się, że Charlotte patrzy na niego oskarżycielsko. Zdawał sobie sprawę, że nie jest w komfortowej sytuacji. Ale pragnął jej.

- Nick Belsey? Nie kojarzę.

- To dlaczego tu jesteś? - spytała.

- Przyszedłem, bo miał tu być Aleksiej Devereux. Zarezerwował stolik.

Tym razem to on ją zaskoczył.

- I kogo spodziewałeś się zobaczyć?

- Nie wiem.

Charlotte przetrawiała to przez chwilę.

- Jaki to wszystko ma związek ze strzelaniną w Starbucksie?

Belsey zastanowił się, ile już wie i ile chce ujawnić. Uznał,

że warto rzucić jej kilka ochłapów.

- Jessica Holden była panienką na telefon. Znała Aleksieja Devereux. Przypuszczam wręcz, że całkiem dobrze.

Charlotte przypatrywała mu się bacznie, podejrzewając, że ją nabiera. Kiedy upewniła się, że mówił serio, wyjęła notatnik.

- Niczego nie zapisuj - powstrzymał ją. - Nie tutaj.

Schowała notes. Belsey próbował myśleć o kilka ruchów do przodu. Problem polegał na tym, że nie wiedział jeszcze, w co gra.

- Muszę cię prosić, żebyś na razie tego nie ujawniała.

Przez jakiś dzień, dwa. Potem będę mógł udzielić ci dokładniejszych informacji. Wierz mi, to niebezpieczna zabawa. Dla nas obojga.

Popatrzyła na niego twardo.

- Na końcu zażadam całej historii ze szczegółami.

- Daj mi swój numer.

Znów wyciągnęła notes, wyrwała kartkę i zapisała go. Przesunęła kartkę w stronę Belseya.

- W jakiej sieci masz komórkę? - zapytał.

- Vodafone, bo co?

- Nie wszystkie sieci są bezpieczne. Musimy mieć się na baczności, Charlotte. Daj mi czas do jutra. Odezwę się rano.

Tylko błagam, nie komplikuj sytuacji. Będę coś dla ciebie miał, ale muszę wymyślić, jak to zrobić, żeby obojgu nam to uszło na sucho.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Dopiła wino i poszła sobie. Wybór lokali z samymi drinkami był niewielki, a on nie zamierzał kusić jej kolacją. Odprowadził więc ją wzrokiem, po czym podszedł do dziewczyny od rezerwacji.

- Czy ktoś jeszcze o mnie pytał, kiedy tu byłem?

- Nie, proszę pana.

- A czy ktoś pytał o mnie w ostatnich dniach?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą nie wolno nam udzielać informacji o członkach klubu.

- Świetnie. Mają państwo faks?

Faks i telefon znajdowały się w gabinecie klubowiczów.

Belsey zadzwonił do stanowiska kierowania w Hampstead i poprosił o przefaksowanie druku 22. Formalnie tylko inspektor mógł wystąpić o udostępnienie billingów, ale w praktyce wystarczyło po prostu wstawić w rubrykę odpowiednie nazwisko.

Dyżurny zaraz przysłał dokument. Belsey wypełnił go, wpisując numer komórkowy Charlotte, a na końcu nazwisko Gowera, i przefaksował do stosownego działu Vodafone. Reszta zrobi się sama. Straszne, pomyślał. Przepisy wprowadzone w celu walki z terroryzmem zmieniały Wielką Brytanię w państwo policyjne. Wiedział, że billingi jutro rano trafią do komisariatu Hampstead. Jeśli nadal będzie w kraju (co wydawało się całkiem prawdopodobne) i jeszcze będzie żył (co już było mniej pewne), być może wskażą mu drogę do tajemniczego przeciwnika. Wrócił do kasyna. Kazał dopisać na swoje konto następnego drinka i cygaro.

- Los się do pana uśmiechnął?

- Wręcz przeciwnie. Gdzie mogę je wypalić? Skierowano go do drzwi, za którymi, ku jego zaskoczeniu, nie znajdowała się typowa palarnia, ale „miejsce do gry dla palących” pod gołym niebem. Stały tam automaty, ruletka i grzejniki. Rosło nawet prawdziwe drzewo. W głębi szumiał podświetlony na czerwono i niebiesko wodospad, a w klombach ukryto różnokolorowe reflektorki. Belsey siadł pod drzewem i zapalił cygaro.

„Jak się nazywał człowiek, z którym miałaś się spotkać?” „Jakiś Nick Belsey”. To już była osobista rozgrywka. Sytuacja zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Czyżby ubiegłej nocy ktoś ich śledził? Obserwował po mityngu AA? „Informacje o strzelaninie w Starbucksie”. Znowu przed oczami stanęły mu ostatnie chwile dziewczyny. I gabinet, gdzie pierwszy raz ją zobaczył. Nie potrafił ogarnąć wszystkich elementów tej układanki. Ciągłe coś mu umykało.

Kiedy podniósł wzrok, w drzwiach zobaczył kobietę od rezerwacji. Towarzyszył jej wysoki, muskularny mężczyzna w

zapiętym szarym garniturze. Pokazała mu Belseya i coś szepnęła. Belsey w ułamku sekundy przeanalizował możliwości ucieczki. Zdecydował, że woli powrót do środka. Nie miał ochoty nadziać się na szpikulce na murze okalającym ogród.

Mężczyzna podszedł, wyglądając marynarke.

- Pan Devereux? - Tak - Pański wóz już czeka - powiedział, kłaniając się lekko.

- A właśnie zacząłem się odprężyć - odparł Belsey po krótkim namyśle.

- Przekazać, że ma poczekać?

- Sam z nim porozmawiam.

Zgasił cygaro i ruszył za menedżerem przez kasyno z powrotem na ulicę. Nad mercedesem klasy S pochylał się mężczyzna w garniturze i czapce z daszkiem, polerując na błysk czarną maskę. Belsey podszedł do niego.

- Przyjechał pan po pana Devereux?

- Tak jest.

Szofer miał silny nigerski akcent, senne oczy i pulchne policzki. Odłożył szmatę i wyciągnął parę nieskazitelnie białych rękawiczek.

- Zamówił samochód? - Tak.

- Kiedy? - dopytywał się Belsey.

- W ubiegłym tygodniu.

- Masz wracać do Hampstead?

- Nie. Chyba że pan sobie tego życzy.

- To dokąd miałeś się udać?

- Dostałem adres.

- Pokaż.

Mężczyzna wyjął z kieszeni wydruk, na którym zamiast adresu widniał tylko kod nawigacji satelitarnej i kod pocztowy WD5. O jakie miejsce mogło chodzić? Gdzieś na obrzeżach Londynu.

- Wziłeś wcześniej pana Devereux?

- Nie. Proszę.

- Poczekaj chwilę.

Belsey wrócił do klubu. Odkręcił złote krany, oplukał twarz, poprawił krawat, przygładził włosy. Czyli tak zaplanował ten wieczór Devereux: późna kolacja, a potem jeszcze wyjazd. Dokąd? A nuż w miejsce, które pomoże rozwiązać zagadkę śmierci licealistki? Belsey nabrał głęboko powietrza. Wiedział, że pakuje się w potężne kłopoty. Wrócił na ulicę.

- Jedźmy - polecił mimo wszystko.

Usiadł na tylnej kanapie. Z boku połyskiwały butelki i kieliszki. Do oparcia przedniego siedzenia przykręcono srebrną tabliczkę z napisem „Prestige”. Na ulotkach wciśniętych między fotele widać było limuzynę. Szofer wsiadł i we wstecznym lusterku spojrzał na Belseya.

- Pan Devereux?

- Jeśli mnie pamięć nie myli. Jedziemy.

Nalał sobie dużą wódkę i rozparł się na siedzeniu. Silnik zamruczał jak kot i ruszyli.

Rozdział trzydziesty drugi

W kwadrans przemknęli przez centrum, kierując się na północ wzdłuż Finchley Road. Belsey miał wrażenie, że niesie go machina cudzego życia, a on obserwuje wydarzenia bez emocji, najwyżej z lekką ciekawością. Znał już to uczucie. Świat przez przyciemnione szyby wyglądał biednie, kanciasto. Belsey ani się obejrzał, jak minęli Edgware, obrzeża miasta, a samochód nie zwalniał.

Dokąd się wybieracie, Aleksieju Devereux?

Rozsunął ściankę oddzielającą go od kierowcy. Na wstecznym lusterku wisiał krzyż. Wysokie żywopłoty zasłaniały widok. Czasem w przerwie między nimi błysnęły pole golfowe, budynki biurowe, magazyny, hotel. Belsey zauważył drogowskazy do Porters Wood i St Albans. Byli gdzieś w Hertfordshire. Potem szofer zjechał z A41 w wąską drogę otoczoną szpalerem drzew. Na zakręcie pojawiła tablica: „Teren prywatny.

Wstęp tylko z zaproszeniem”. Nie precyzowała, czego dotyczyło zaproszenie.

- Mamy zaproszenie? - spytał Belsey.

- To pan powinien wiedzieć.

- Oczywiście że tak.

Chwilę potem zwolnili. Część ogrodzenia blokowałą drogę. Przy niej stało czterech ochroniarzy. Dwóch na krótkich smyczach trzymało owczarki niemieckie.

- Proszę opuścić szyby - zarządził jeden z nich.

Szofer posłusznie wykonał polecenie. Belsey wdychał chłodne powietrze pachnące igliwiem. Drugi strażnik uwolnił psa, żeby obwąchał podwozie. Potem wsunął głowę do środka, prosząc kierowcę o dokumenty i przepustkę.

Zrobiło się niezręcznie, kiedy okazało się, że ten jej nie ma.

Obejrzał się na Belseya.

- Powiedz im, że to pan Devereux - polecił Belsey.

Nie patrzył na ochroniarzy, tylko siedział z pełną wyższością miną znudzonego bogacza. Tak w każdym razie miało to wyglądać.

- To pan Devereux - posłusznie przekazał kierowca.

Strażnik powiedział coś do krótkofalówki. Pół minuty później wrócił, kłaniając się z szacunkiem. Ochroniarze odciągnęli płot i machnięciem ręki dali znak do odjazdu. Szofer zamknął szyby. Dwieście metrów dalej minęli parę mężczyzn w granatowych marynarkach i czarnych bejsbolówkach. Belsey zastanawiał się, kto to może być, kiedy podjechali przed dom.

Rezydencja była imponująca: niebieskoszara fasada w stylu klasycystycznym z kolumnami i flagą Wielkiej Brytanii nad portykiem. Z okien i otwartych drzwi wylewała się złocista poświata. Merc wolno toczył się przez ciemny, wysoki szpaler.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się szofer.

Lokaj wskazał im parking, gdzie w równych rzędach stały głównie mercedesy i sportowe jaguary. Niektóre opancerzone i na dyplomatycznych numerach. Belsey wysiadł z samochodu.

- Poczekaś tu? - spytał.

- Oczywiście.

Frontowymi schodami wszedł do budynku. Przed sobą zobaczył korytarz - a właściwie galerię obwieszoną wielkimi płótnami - i stół przykryty białym obrusem. Za nim siedziały dwie

kobiety w wymyślnych uczesaniach i bluzkach. Spojrzały znad papierów zaskoczone, jakby już nie spodziewały się gości.

- Ma pan zaproszenie? - spytała jedna.

- Nie wziąłem. Nazywam się Devereux. Aleksiej Devereux.

Kobiety nagle przyjrzały mu się ze zdwojoną uwagą. - Pan Devereux?

- Zgadza się.

Belsey uśmiechnął się i potrząsnął zegarkiem. Z sali na końcu korytarza dobiegały odgłosy ożywionych pogawędek, kwartetu smyczkowego, wybuchy dystygowanego śmiechu i delikatny brzęk kieliszków z szampanem. Kwadrans po pierwszej.

Impreza najwyraźniej w pełnym rozkwicie. Młodsza kobieta przyglądała włosy, a jej towarzyszka uśmiechnęła się łakomie.

- Panie Devereux, jakże miło pana widzieć - zaszczebiotała.

- Mnie również miło, że tu jestem.

Odfajkowały go na liście. Muzyka ucichła, bo ktoś wygłaszał przemówienie.

- Zapraszamy - powiedziała kobieta. - Nie wątpię, że w sali balowej znajdzie pan wszystko, czego pan będzie potrzebował.

- Dziękuję.

Belsey przeszedł przez wysokie, lśniące podwójne drzwi.

Sala balowa wyglądała pretensjonalnie. Plafon przedstawiający jakąś bitwę morską, na ścianach naturalnej wielkości portrety przodków w złożonych ramach. Na posadzce w szachownicę stało jakieś sto osób wypełniających pomieszczenie zaledwie w połowie. Rumiany mężczyzna w smokingu i obcisłej srebrzystej kamizelce wkroczył na scenę i przemawiał bełkotliwie. Pod sufitem wisiał transparent z napisem „Fundacja Dzieci City” z przyczepionymi złotymi i czarnymi balonami napełnionymi helem, szturchającymi w stiuk i żyrandole. Goście tłoczyli się w cztero-, szcześciosobowych grupkach przy estradzie, podczas gdy ochroniarze ze słuchawkami w uszach stali pojedynczo, z rękami zaplecionymi na plecach. Zmęczone kelnerki krążyły z szampanem. Belsey wziął z tacy kieliszek.

Trudno było znaleźć wspólny mianownik dla tych ludzi.

Towarzystwo na pewno było bogate, międzynarodowe, ale zbyt wytworne jak na przeciętnych polityków i zbyt sztywne, by łączyły je bliskie więzi. Kręciło się tu wielu Arabów i Azjatów, kilku pijanych siwych mężczyzn z muchami i kobiety w louboutinach.

- Rady zatem trzeba szukać u przodków - smęcił mówca. - Dlatego jestem niezwykle wdzięczny szanownemu panu burmistrzowi za słowa, które przypomniał w ubiegłym miesiącu podczas kolacji komisji budżetowej, kiedy to wspomniał cenną radę mędrca Cycerona, radę sprzed ponad dwóch tysięcy lat: „Budżet powinien być zrównoważony, skarbiec powinien być pełen, a dług publiczny należy ograniczyć”.

Belsey rozejrzał się za burmistrzem. Nigdzie go nie dostrzegł. Wychylił szampana, wziął następny kieliszek i wyszedł z sali balowej. Snuł się po rezydencji, zaglądał do pokoi: głównie gabloty z rodowymi srebrami i portrety kobiet w jedwabnych sukniach. Z czystej ciekawości zastanawiał się, czyby czegoś nie zwinąć. Nigdzie nie było widać czujników. W wypastowanych korytarzach rozniosło się echo oklasków. Ruszył do sali balowej. Liczył, że zdoła podczepić się do jakiejś grupki i dowie się, na jaką imprezę właściwie wybrał się Devereux.

Wtedy stało się nieuniknione.

- Daleko pan zaszedł?

- Niezbyt - powiedział Belsey.

Do muru przyparł go starszy gość w mundurze wojskowym z medalami. Przerzedzone, gładko zaczesane siwe włosy nie zasłaniały lśniącej czaszki. Wpatrywał się w Belseya, bezskutecznie szukając jakichś znaków rozpoznawczych.

- Jakie są pańskie związki z fundacją? - drążył.

- Pracuję w AD Development. Dopiero co przenieśliśmy się z Petersburga.

- Och, Petersburg. Podobno piękne miasto.

- Owszem.

- Był pan wcześniej w Wielkiej Brytanii?

- Tu się wychowałem.

- Gdzie?

- W Londynie.

- No, proszę! - Nie wiedzieć czemu ucieszył się wojskowy.

- Wspaniała rezydencja - zmienił temat Belsey. -
Wymarzona dla fundacji.

- Przetrzymany tu więźniów politycznych.

- Naprawdę?

- W czasie wojny. Tutaj i w Camberley House.

- Tylko pozazdrościć takiej niewoli.

Podszedł drugi mężczyzna - przygarbiony, wyraźnie
wstawiony. Wojskowy chwycił go za ramię.

- Richard, ten gość pracuje w AD Development -
powiedział. Spojrzał na Belsey. - Nie dosłyszałem imienia.

- Jack - przedstawił się Belsey.

- Jack - powtórzył wojskowy przyjacielowi.

- Jack - zwrócił się do niego przyjaciel. - Max opowiadał
nam o twojej firmie. - Uścisnął Belseyowi rękę. - Niezwykle hojny
datek.

- To sir Richard Green - wyjaśnił wojskowy.

- Mów mi Dick - powiedział Green.

- Ja też wiele o tobie słyszałem, Dick - odwzajemnił się
Belsey. Zastanawiał się, kim jest ów Max.

- Pamiętaj, że możesz zawsze liczyć na nasze poparcie. -
Sir Richard chwycił Belsey za łokieć. Wyglądał na zimnego,
cwanego drania.

- Dziękuję.

- Jak ci się podoba Londyn? - spytał.

- Wychował się tu - wtrącił wojskowy.

- Szczerze? Miałem go już po dziurki w nosie - odparł
Belsey.

- Podobno zmęczeni Londynem są tylko ludzie zmęczeni
życiem - uśmiechnął się bezbarwnie sir Richard.

- Jestem zmęczony życiem w Londynie.

- Nigdy nie osiedlaj się w miejscu, które kochasz -

stwierdził sentencjonalnie wojskowy. - Tylko się rozczarujesz. Wybierz miejsce, które jest ci obojętne. Moja córka przeniosła się na Węgry. Nikt tam nie oczekuje miłości do kraju. A jeśli już ktoś go kocha, patrzą na niego jak na wariata. - Roześmiał się.

Pojawiła się kelnerka z tacą.

- Napij się jeszcze - zachęcił Belseya.

- Dziękuję.

Belsey wymienił pusty kieliszek na pełny. Usłyszał donośny, nosowy śmiech. Na drugim końcu sali zobaczył srebrną kamizelkę mówcy w otoczeniu mężczyzn w strojach wieczorowych.

- Kto to? - spytał.

- Szafarz, Milton Granby. - Wojskowy zniżył głos. - Ostatnio przechodzi trudny okres.

Belsey przyjrzał mu się uważniej. No, no, pomyślał. Co za zbieg okoliczności. Jegomość z mankiem w księgach rachunkowych. Siwe włosy kontrastowały z jaskrawoczerwoną twarzą. Wyjątkowo niekorzystne połączenie, ale najwyraźniej nie obniżało samooceny Granby'ego, który i tak uważał się za duszę towarzystwa. Wypinał pierś i stawał na palcach, żeby dodać sobie kilka centymetrów. Paradoksalnie, osiągał efekt odwrotny do zamierzonego, ponieważ wydał się mniejszy; wyglądał jak ktoś, kto nie zapełniał przestrzeni należnej piastowanemu stanowisku. Belsey zastanawiał się, co oznacza jego obecność.

- Jaki trudny okres?

- Och, stres związany z pełnieniem funkcji publicznej. Podobno kolekcjonują państwo dzieła sztuki?

- Ostatnio już mniej - odparł Belsey. - Wybaczcie, pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ulotnił się na dół. Ze stolika przy drzwiach wziął butelkę czerwonego wina i trzy kieliszki, po czym wyszedł na chodnik z dużych płyt. Przed nim rozciągał się duży ciemny trawnik.

Belsey okrążył budynek, aż dotarł do drzwi kuchennych, gdzie przy papierosku gawędziła obsługa imprezy.

- Proszę, to od szefa. - Dał im butelkę i kieliszki. - Kazał

was pochwalić za świetną robotę.

- Dzięki.

- Macie fajki?

Jedno z nich dało mu papierosa. Oparł się o kamienną ścianę domu.

- Przyjechałem tu ze znajomym. Nawet nie wiem, co to za impreza.

Popatrzyli na Belseya zdziwieni, że można pytać o coś tak oczywistego.

- No cóż, nie widzę tu wielu dzieci - odezwała się w końcu jakaś ruda dziewczyna.

- A do City też stąd daleko - dodał chudy blondynek z kilkunastym zarostem i cynizmem w oczach.

- Nadal nie rozumiem.

Milczeli.

- Co ma z tym wspólnego Milton Granby? - spytał Belsey.

- Nie gardzi winem - odparło jedno.

- Myślę, że City to on - dodał blondynek.

- A dzieci to my - dodało drugie.

Roześmiali się, ale w ich śmiechu nie było wesołości.

Belsey skręcił do ogrodu. Przez chwilę wyobraził sobie, że jest Devereux - człowiekiem, którego wszyscy oblegali, ale nikt nie rozumiał - i że ma chwilę dla siebie. Właśnie tak by to rozegrał: zjawiał się późno, niezapowiedziany, jakby był nikim. O czym by myślał, krążąc nocą po ogrodzie? O historii? O gwiazdach? A może o Miltonie Granbym? „Milton Granby to jeden z najbardziej wpływowych ludzi w City, a prawie nikt o nim nie słyszał. Powiadam ci, moim zdaniem gość jest zepsuty do szpiku kości, skorumpowany. Nie chcę go uziemić tylko ujawnieniem jego pijaństwa...” Kto przysłał Charlotte do Les Ambassadeurs?

Poszedł ścieżką do sadzawki z fontannami: talerz ciemnej wody otoczony kamiennymi donicami z kwiatami, w głębi pagoda. Widział stąd światła trasy M1. Przypomniał sobie przelotny romans z instruktorką teatralną z Luton. Żebrał wtedy u kolegów z drogówki, żeby go podwozili. Kursowali wtedy tą autostradą,

zgarniając tak zwanych wędrowniczków, nielegalnych imigrantów wyrzucanych na pobocza, którzy szli nimi zdezorientowani i kompletnie zagubieni.

Z sali balowej znów dobiegła muzyka. Belsey dopalił papierosa, popatrzył na budynek i przez chwilę poczuł słodkogorzkie ukłucie sumienia, że cynicznie wykorzystuje przywileje Devereux, wyciska z jego życia, ile się da. Rezydencja była piękna, ale on znalazł się tu prawem kaduka. Jeden z gości - ciemne włosy, opalenizna, granatowa marynarka ze złotymi guzikami - krążył po podjeździe z telefonem przyklejonym do ucha. Belsey dostrzegł go wcześniej w grupce otaczającej Granby'ego. Teraz najwyraźniej miał kłopoty z zasięgiem. Co chwila sprawdzał aparat, zerkał na zegarek. Wreszcie schował komórkę, podszedł do kobiet siedzących przy wejściu i spytał o coś, patrząc na Belseya.

Belsey uciekł z kręgu światła i schronił w cieniu budynku, a potem dyskretnie wrócił do środka. Impreza powoli się zwijała.

Organizatorzy próbowali odprowadzić co bardziej pijanych gości do pokoi. Reszta zebrała się w sali balowej, ale tace świeciły już pustkami, a obsługa sprzątała stoliki. Część starej gwardii paliła na schodach przed wejściem. Belsey wpadł na sir Richarda Greena.

- Jack. - Złapał Belseya za łokieć.

- Dick.

- Właśnie gadałem z kimś, kto pamięta cię z Petersburga.

Konieczniesz musisz się z nim przywitać.

To ostatnie, na co Belsey miał ochotę. Uznał, że pora się zrywać, sir Richard jednak ciągnął go z powrotem do sali balowej, gdzie czekał niski, łysy jegomość z roslą kobietą w białej sukni.

- Dobra - powiedział Belsey. - Ale najpierw skoczę po drinka. Napijesz się czegoś?

Wyślizgnął się z uścisku sir Richarda i przeszedł korytarzem do kuchni. Tam wypatrzył nieduże okno wychodzące na ogród.

Wyskoczył przez nie, okrążył budynek i znalazł się na

parkingu.

- Jedziemy - zwrócił się do szofera.

Ktoś biegł ku niemu po zwirowanym placu. To facet od marynarki i słabego zasięgu. Z bliska widać było, że to prawdziwy olbrzym.

- Kim jesteś? - spytał groźnie. Głos miał głęboki, chrapliwy, z akcentem. Środkowa albo wschodnia Europa.

- Bo co?

- Nazywasz się Aleksiej Devereux?

- Coś nie tak? - spytał Belsey.

Facet spojrział na niego niepewnie. Belsey też czuł się niepewnie. Postanowił rozegrać to ostrożnie.

- Reprezentuję pana Devereux. Jestem z AD Development.

- Wreszcie się spotykamy - oświadczył tamten triumfalnie.

- Max Kovar.

Rzuczał krótkie zdania, jakby nie lubił dużo mówić i oczekiwał, że to podwładni będą się za niego potoczyście wypowiadali. Jego oczy skrywały żar. W pierwszej chwili Belseyowi wydawały się martwe, pozbawione życia, ale zbyt długo i zbyt przenikliwie patrzyły. Kovar nosił czarne skórzane rękawiczki.

Teraz właśnie ściągał prawą.

- Max, nareszcie - rozpromienił się Belsey.

Kovar długo ścisnął jego rękę, jakby uruchamiał maszynę ich przyszłych kontaktów.

- Niestety, właśnie wracam do domu. Przykro mi. - Wyjął z portfela Devereux wizytówkę. - Ma pan zamiar na firmę? Może pan jutro do mnie zadzwonić.

Kovar ze ściągniętymi brwiami popatrzył na wizytówkę AD Development.

- Jesteś jego asystentem?

- Zgadza się. Pomagam mu zaaklimatyzować się w Wielkiej Brytanii.

- Aha. Tak. - Kovar schował wizytówkę. - Butelkę szampana i kieliszki! - ryknął do kelnerów.

Szampan na parkingu, pomyślał Belsey. Najwyraźniej Kovar chciał zaanektować Belseya. Dziewczyna przyniosła butelkę i kieliszki z miną kogoś, kto już dwie godziny temu miał skończyć pracę. Kovar odczekał, aż zniknie, po czym odwrócił się do Belseya i nalał szampana.

- Twój szef jest nieuchwytny - zagaił.

- Zawsze powiada: „Jeśli ktoś nie może się ze mną skontaktować, to znaczy, że je nie chcę z nim gadać” - roześmiał się Belsey. Wziął kieliszek i patrzył, jak rozbawienie znika z twarzy Kovara. - Żartuję. Pan D. słyszał o tobie wiele dobrego.

- Serio?

- Tak. Przykro mi, ale naprawdę muszę już lecieć.

- Próbujecie mnie wyeliminować - powiedział ostro Kovar.

Belsey próbował go rozgryźć. Nie potrafił rozpoznać akcentu. Środkowa Europa, ale równie dobrze druga strona Atlantyku. Uniwersalna angielszczyzna. Gdyby anonimowe rachunki mogły mówić, mówiłyby z akcentem Kovara. Mężczyzna pachniał drogimi perfumami - sosnowe, z nutką garbowanej skóry - i alkoholem. Nosił się pewnie, z wyniosłością kogoś, kto urodził się bogaty i wysoki.

- Może jednak byśmy chwilę porozmawiali - nalegał. - Przespacerowali się.

- Już rozmawiamy - odparował Belsey. - Ale możemy się przespacerować.

Poszli do położonego niżej ogrodu, wolno okrążając sadzawkę. Temperatura gwałtownie spadała, na tafli pojawiła się warstewka lodu. Noc była jasna, z mnóstwem gwiazd. Oddech natychmiast zmieniał się w obłoczki pary otulające ich twarze.

- Nie ufajcie Buckinghamowi - ostrzegł Kovar. Belsey skinął głową.

- Tak radzisz?

- Na waszym miejscu pozbyłbym się jegomościa. W interesach cenię schludność i porządek. A Buckingham to dureń.

Byłem niemile zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że prowadzicie z nim rozmowy.

- Rozmawiamy z różnymi ludźmi, to o niczym nie świadczy.

- Ja znam teren.

- Oczywiście.

- A Buckingham to krętacz, zwykły kryminalista.

- Rozumiem. Doszli do pagody i zawrócili. Kovar zsunął okulary, wyjął z kieszeni scyzoryk, następnie cygaro. Odciął końcówkę i zapalił je srebrną zapalniczką. Byli kilkaset metrów od budynku i pozostałych gości. Niebieskawy dym wisiał w chłodnym powietrzu.

- Wpadłem tylko na kilka dni - podjął Kovar. - Potem znowu wyjeżdżam.

- Szkoda.

- Fakt. Wielka szkoda. - Skinął głową. - Pan Devereux dostał moje pismo?

- Z pewnością, ale unika korespondencji. Na pewno potrafisz to zrozumieć.

- Byłem zawiedziony, że nie znalazł czasu na spotkanie ze mną.

- Ma tyle zajęć.

- Wiesz, że to sektor bliski mojemu sercu.

- Naturalnie.

- Do tego bardzo rozwojowy, z perspektywami.

- Tak.

- Obaj to rozumiemy. Wierz mi, że mną lepiej by ci się współpracowało.

Podał swoją wizytówkę, unikając wzroku Belseya, jakby czuł skrępowanie. Niedopowiedziane słowa wisiały w powietrzu. To była groźba, Belsey nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- W Londynie zawsze zatrzymuję się w Lanesborough.

- Podobno całkiem niezły hotel.

- Coś ci zdradzę - powiedział Kovar. - Przede wszystkim jestem artystą, dopiero potem biznesmenem. Dlatego cenię pana Devereux. - Na chytrej twarzy Kovara pojawiło się zadowolenie.

Wyraźnie podobały mu się te okrągłe zdania.

- Dostrzegłem to już wcześniej.

- Moim zdaniem na tym właśnie polega piękno naszej działalności: oferujemy światu coś nowego.

- Tak.

- Ludzie nazywają nas ryzykantami. Tak. Niektórzy z nas rzeczywiście zgadują. Ale niektórzy potrafią przewidzieć rezultat.

- To ci, z którymi nie siadam do karcianego stolika - wtrącił Belsey.

Kovar klepnął go w plecy.

- Ufam twojemu szefowi. A ufam nielicznym. Trzeba korzystać z kryzysu. Czyż nie tak mawiacie?

- To nasza mantra.

Belsey słyszał, jak zbliżają się jego dawni znajomi z Petersburga. Musiał jak najszybciej się urwać. Kovar podniósł kieliszek.

- Za projekt „Budyka” - powiedział tonem człowieka, który zdradził sekret.

Puścił do Belseya oko, jakby czekał na deklarację z jego strony. Belsey próbował przeniknąć wyraz jego twarzy, ale Kovar krył się w cieniu. Widział białe kostki dłoni ściskającej kieliszek, zęby odsłonięte w uśmiechu albo pogardliwym grymasie i ciemny błysk oczu ukrytych za okularami.

- Za „Budykę” - powtórzył Belsey i stuknęli się kieliszkami.

Rozdział trzydziesty trzeci

Kilka minut później siedział na tylnym siedzeniu mercedesa mknącego do Londynu.

- Wyrzuć mnie przy komisariacie Hampstead - zwrócił się do szofera, gdy zbliżali się do Golders Green.

Murzyn spojrział na niego, ale nic nie powiedział.

- Wiesz, gdzie to?

- Tak, proszę pana.

- I nie grzeb się tak. Więcej gazu.

Noc wzięła miasto we władanie i mgła snuła się między

zabudowaniami. Radiowóz z włączonymi światłami przeciwmgielnymi toczył się po pustych ulicach. To pewnie posterunkowi Andrews i Robinson, zgadywał Belsey. Siedzą w milczeniu, myśląc o swoich rodzinach. Gdy jemu wypadała nocka, nigdy nie czuł zmęczenia. Przepadał za tymi zmianami, kiedy na miasto spadała senność, kiedy nocna zwierzyna ruszała na łowy.

Merc podjechał pod komisariat przy Rosslyn Hill. Belsey powiódł wzrokiem po oknach. Światła na pierwszym piętrze były zgaszone.

- Wszystko rozliczone?

- Wszystko rozliczone.

- Dziękuję.

Belsey wysiadł. Zastanawiał się, czy powinien dać szoferowi napiwek.

- Weź. - Wcisnął mu w rękę podróbkę roleksa. - Znakomicie się spisałeś.

- Ależ nie trzeba, proszę pana. - Szofer nie przyjął podarunku.

Belsey odczekał, aż odjedzie, a potem zapiął zegarek na rękę i wszedł do budynku.

Za piętnaście czwarta. Cywilny pracownik siedział w kantynie w poświęcie wyciszzonego telewizora. Czasem jakiś aresztant zaśpiewał kilka taktów piosenki. Belsey przeszedł do biura wydziału kryminalnego. Usiadł w mroku, włączając komputer.

Max Kovar nie był notowany w Wielkiej Brytanii, ale figurował na międzynarodowej liście. Łączono go ze śmiercią księgowego zastrzelonego w sylwestra 2003 roku w Berlinie przez właściciela toru wyścigowego. Trwało też dochodzenie w sprawie nieruchomości w Madrycie, którą Kovar kupił następnego roku. Z transakcją zbiegła się podejrzana śmierć urzędnika znalezionej na dnie basenu, ale Kovarowi nie postawiono żadnych zarzutów. Dwudziestego trzeciego czerwca 2007 roku Kovara zatrzymano na granicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich z siedmioma podrobionymi paszportami koni, ale przewoził wierzchowce

sprzedane przez rodzinę szejka Al Nhayana, rządzącego krajem, i obeszło się nawet bez gryzwy.

Kovar wyglądał na bardzo zainteresowanego. I bardzo bogatego. Belsey zastanawiał się, czy właśnie nie otwierała się przed nim droga do łatwiejszego wykorzystania tożsamości Devereux.

Poczuł dreszczyk podniecenia. Kovar wierzył, że ma bezpośredni kontakt z oligarchą. Do tej pory próbował ukraść tylko przeszłość Devereux. Może już czas na jego przyszłe osiągnięcia?

Fundację Dzieci City bez trudu znalazł w Internecie. Była zarejestrowaną organizacją dobroczynną wspierającą dzieci z londyńskich ubogich rodzin. Jej nazwa pojawiała się też w historiach o zagranicznych darczyńcach, którzy tylnymi drzwiami próbowali załatwić sobie przywileje. Instytucja o nazwie Kampania na rzecz Przejrzystego Rządu zwracała uwagę, że fundację założono w momencie, kiedy policja zainteresowała się anonimowymi zagranicznymi datkami na rzecz Granby'ego i jego współników. Milton Granby zasiadał w jej zarządzie.

Belsey zebrał wszelkie ogólnodostępne informacje o Granbym. Szafarz mieszkał przy ustronnej uliczce Vale of Health, w enklawie Hampstead, której nazwa - Dolina Zdrowia - narodziła się, gdy tę część miasta jako jedyną ominęła zaraza. Miejscowi policjanci zaś ochrzcili ją Doliną Bogactwa, bo rzeczywiście mieszkali tu najzamożniejsi. Kościół St John's stanowił najbliższą siedzibę grupy AA w okolicy. Charlotte była na dobrym tropie. Belsey znalazł też nazwisko Granby'ego na liście VIPów, na których wezwania komisariat Hampstead miał reagować w pierwszej kolejności.

Większość informacji na temat Granby'ego znalazł na oficjalnej stronie City. Te najstarsze gminy, położone w samym sercu miasta, prawie przez tysiąc lat gromadziły złoto i wykuwały własną niezależność. Państwo w państwie, miasto w mieście. Internetowa strona dzielnicy podtrzymywała tę chlubną tradycję, dumnie informując:

Londyńskie City to najstarsza, istniejąca nieprzerwanie

miejska demokracja na świecie, starsza nawet od Parlamentu.

Jej konstytucja dochowuje wierności starożytnym prawom i przywilejom, jakimi cieszyli się obywatele przed 1066 rokiem, kiedy to Anglię podbił Wilhelm Zdobywca. Przez całe średniowiecze aż po panowanie Stuartów City udzielało znacznych pożyczek monarchom, którzy potrzebowali funduszy na swoją politykę wewnętrzną i zagraniczną.

Lichwiarze zaopatrujący podżegaczy wojennych. To gwarantowało niezależność wzmacnianą przez stulecia. Autorzy strony próbowali też wyjaśnić zawilości samorządu City. Zachowała się w nim średniowieczna instytucja rajców. Był też ochmistrz odpowiadający za protokół i uroczystości. Piękny, dumnie brzmiący tytuł. Londynowi przydałoby się więcej takich. No i, oczywiście, nie mogło zabraknąć szafarza.

Szafarz odpowiada za finanse City. Jest doradcą finansowym, księgowym, kasjerem, rozlicza się z samorządowych i prywatnych pieniędzy City. Do jego obowiązków należy też zarządzanie inwestycjami dzielnicy oraz innymi funduszami.

Na stronie podano życiorys Granby'ego: makler giełdowy, który przeszedł tradycyjną drabinkę funkcji. Jako pracownik Korporacji Londyńskiej awansował w hierarchii różnych gildii dzielnicy, potem został rajcą, a następnie członkiem Przewodniczącej Kompanii Wytwórców Kart do Gry. W wolnym czasie chętnie podróżował, spacerował, grał w golfa i zaglądał do teatrów. Ani słowa o tankowaniu.

Instytucje, nad którymi sprawuje pieczę, nie ograniczają się do samego City. Należą do nich również centrum kulturalne Barbican, Trybunał Karny przy Centralnym Sądzie Karnym oraz ponad cztery hektary terenów rekreacyjnych, m.in. las Epping i park Hampstead Heath.

To przykuło uwagę Belseya. Z informacji na stronie wynikało, że w 1989 roku, po likwidacji Rady Wielkiego Londynu Hampstead Heath przeszło na własność Korporacji Londyńskiej.

Nazwisko Granby'ego rzadko pojawiało się w tytułach

prasowych. Tydzień wcześniej „Times” opublikował wywiad z nim zatytułowany „Szafarz zatroskany o finanse City”. Granby mówił tam:

Przed nami prawdziwe wyzwania, żeby nie powiedzieć: potężne trudności. Naszego budżetu nie ominęły burze, które wstrząsnęły rynkami. Dlatego nasze dochody z inwestycji wyraźnie spadły. Nie ulega wątpliwości, że w najbliższym czasie będziemy borykać się z trudnościami finansowymi i będziemy musieli podejmować niezwykle bolesne decyzje.

Belsey był ciekaw, jakie decyzje podejmował Granby, wracając z przyjęcia do Londynu. City stało pod ścianą. Devereux próbował wkupić się w łaski. Czym zaowocował ten zbieg okoliczności?

„Nie ufaj Buckinghamowi”, dźwięczało mu w uszach ostrzeżenie Kovara. Tylko tego nazwiska jeszcze nie sprawdził.

Nie pojawiło się w lokalnych zawiadomieniach o przestępstwach z ostatniego okresu. Za to, jak się tego spodziewał, łatwo je było znaleźć w krajowej bazie danych. W samym Londynie tylko w ubiegłym roku policja spisała siedemdziesięciu dziewięciu Buckinghamów. W całym kraju - łącznie dwustu trzynastu. Belsey fizycznie nie był w stanie sprawdzić każdego.

Zapamiętał, by na wszelki wypadek nie ufać żadnemu z nich.

Wyłączył komputer i wyszedł z budynku. Musiał coś jeszcze sprawdzić. Udał się do Hampstead Heath. Tam wybrał jasną ścieżkę okalającą staw i znikającą w mroku. Znał park na pamięć, mógł się poruszać po nim z zamkniętymi oczami. Skierował się na północ. Z drzew zrywały się pojedyncze nietoperze. Na horyzoncie majaczył Athlone House - ciemniejszy zarys w mroku nocy. Belsey minął budynek. Zobaczył uśmiech Kovara, usłyszał głos szafarza: „Budżet powinien być zrównoważony, skarbiec powinien być pełen, a dług publiczny należy ograniczyć”. A potem słowa ogrodnika: „Chcę ci coś pokazać”.

Żółte iksy były jak bezgłośny wrzask rozpaczy lasu,

doskonale widoczny w blasku księżyca. Belsey potarł kciukiem pomalowaną korę. Próbował iść tym szlakiem na południe, brnąć w grubej warstwie gnijących liści, ale zgubił się niedaleko sadzawki, gdzie wodowano modele statków. Usiadł więc i myślał o krzyżkach. Czy mogą mieć związek z bogatym światem, o który otarł się tej nocy? Zmarzł.

Przeszedł przez wymuskane ogrody okalające Kenwood House i wrócił na Bishops Avenue. Na pustej ulicy stały tylko zabytkowe latarnie. Panowała niczym niezmacona cisza. Belsey szedł do willi z numerem trzydziestym siódmym od strony zakrętu, dzięki czemu niezauważony przez nikogo mógł się upewnić, czy nie zostanie tam komitetu powitalnego. Widział nie tylko budynek i zaparkowane samochody, ale także okna domu naprzeciwko i murek, za którym ktoś mógł się ukrywać. Wspomnienie Charlotte Kelson wchodzącej do kasyna otrzeźwiło go. Ktoś skądś ich obserwował. Wiedział, że Belsey interesuje się Devereux. Ale czy wiedział też, że śpi w jego łóżku?

Wolno uchylił drzwi wejściowe i wszedł do przedsionka. Na podłodze leżała fotografia wsunięta przez szparę. Podniósł ją.

Przedstawiała nagiego mężczyznę na betonowej posadzce.

Twarz, pozbawiona nosa i uszu, zniknęła pod woalem krwi. Ale Belsey domyślał się, że tożsamość ofiary była kwestią drugorzędną. Bardziej liczyło się przesłanie.

Wyjął z szuflady kuchennej solidny nóż. Włączył kamery monitoringu i alarm. Zaśmiał się głucho. Powoli stawał się grzecznym, przykładowym mieszkańcem Hampstead.

Przeszedł do gabinetu Devereux i odszukał korespondencję od prawników Hongkońskiego Konsorcjum Gier Hazardowych.

Temat: projekt „Budyka”.

Tak jak zostało ustalone, osiemdziesiąt procent będzie wpłacone bezpośrednio na konto AD Development, pozostałe dwadzieścia zaś na rachunek K9767 w Raiffeisen Zentralbank Austria.

Belsey przeniósł się z nożem i dokumentami na kanapę w salonie. Odwrócił ją frontem do drzwi. Nie wypuszczając noża,

włączył wiadomości Sky i czekał, aż adrenalina powoli opadnie.

Co miałaś tu zdobyć? Informacje o strzelaninie w Starbucksie? Jakiś Nick Belsey... Zmęczenie wreszcie zaczęło brać górę. Przez półprzymknięte powieki zobaczył Jessicę Holden. Wypełniała ekran, patrzyła prosto na niego. Dziennikarze - z bezpośredniością zarezerwowaną dla młodych i zmarłych - nazywali ją już Jess. Ale obrazy się nie zmieniły. To samo ujęcie jej domu i zniszczonego lokalu Starbucksa. Niepowetowana strata. Niewyjaśniona tragedia. Hampstead łączyło się w żalobie.

Rozdział trzydziesty czwarty

Obudził się, mając w głowie już niemal gotowy plan. Zerwał się z kanapy. Nóż spadł na podłogę. Odłożył go z powrotem do szuflady i wyszedł do ogrodu odetchnąć rześkim powietrzem.

Stojąc w półmroku świtu, liczył, że odróżni, które pomysły należały do świata snu, a które do rzeczywistości. Światło brzasku było bezlitosne. Ogród wyglądał jak wyrzeźbiony w kamieniu: rośliny, kort tenisowy. Spodziewał się, że sen zniknie, jak przystało na nocną ułudę, tymczasem zniknęły jedynie wątpliwości, które żywią się i rozkwitają dzięki bogactwu wielu wariantów. Belsey widział tylko jedno wyjście.

Wrócił do kiosku braci Somalijczyków i kupił wszystkie gazety, jakie wpadły mu w rękę. Sobota, czternasty lutego. Walentynki. Na pierwszej stronie „Telegraphu” zdjęcie świeżych kwiatów wśród rozbitego szkła. Fotografia promiennie uśmiechniętej Jessiki na wycieczce szkolnej. Media postanowiły, że hobby dziewczyny będzie aktorstwo i taniec oraz że zamierzała zostać nauczycielką. Szkoła planowała specjalne nabożeństwo. Tymczasem student Chińczyk został już wypisany ze szpitala. Urząd imigracyjny sprawdzał papiery Ugandyjczyka. Policja szukała młodego mężczyzny o azjatyckich lub arabskich rysach, ale nawet brukowce nie eksponowały tego wątku.

Sporządzono prawdopodobną trasę ucieczki sprawcy. Musiałby przebiec tuż obok Belsey. Nie przebiegł.

Obok zamieszczono bardziej osobisty tekst „Jak sielski

poranek zamienił się w jatkę”. „Sharon Green właśnie odprowadzała dwóch synków do przedszkola, gdy usłyszała strzały...” Cytowano w nim wypowiedzi miejscowych sław, byłych modelek i działaczy politycznych Hampstead. Każde podkreślało, że coś takiego mogło się wydarzyć wszędzie, ale nie w ich dzielnicy. „Zielone Hampstead”, powtarzały gazety, aż człowiek się zastanawiał, czy to wszystko aby nie robota zieleni.

Wciąż jeszcze nie ustalono motywu zbrodni. Brukowce wypełniały strony opowieściami o ofierze, ale nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie będzie można wskazać palcem winnego i rozpocząć publiczne kamienowanie. Policjanci nerwowo dukali coś o nowym zwyczaju młodocianych londyńskich gangsterów, którzy zabijali, bo ktoś okazał im za mało szacunku.

Przekazali też co najmniej wątpliwy portret pamięciowy: mężczyzna o kwadratowej szczęce, szarej cerze i głęboko osadzonych oczach.

Belsey wyciągnął wizytówkę Kovara. „Max Kovar” - głosiła, jakby funkcja ani nazwa firmy się nie liczyły. Poszedł do biura i przerzucił swój notatnik z adresami. Zadzwoił do kumpla z jednostki wywiadu gospodarczego należącej do wydziału do spraw zorganizowanej przestępczości. Belsey kiedyś grywał z nimi w nogę. Grali nieczysto. I mieli znajomości. Grywali z ludźmi spoza policji przedstawiającymi się jako pracownicy służb cywilnych, co Belsey przetłumaczył sobie szybko na MI5.

W centrali przełączono go do sierżanta Terry'ego Bormana.

- Terry - przywitał go Belsey. - Coś wcześniej dziś w robocie.

- W ogóle z niej nie wychodziłem. Urwanie głowy. Czego potrzebujesz?

- Gdyby los postawił na mojej drodze niejakiego Maksa Kovara, byłbyś zainteresowany?

- Nazwisko brzmi znajomo.

- A coś poza tym?

- Oddzwonię za chwilę.

Belsey spodziewał się takiej odpowiedzi. Borman musiał

nie tylko sprawdzić w aktach, ale też upewnić się, ile może wyjawić. Jeśli pracuje się w cieniu służb specjalnych, nawet taki równy gość jak Terry Borman czasami nabiera wody w usta.

Oddzwonił po dziesięciu minutach.

- Co konkretnie cię interesuje?

- Ogólne informacje.

- Spekulant. Uważa się za ważniaka. W latach osiemdziesiątych zarobił kupę szmalu, inwestując w kopalnie miedzi.

Jego nazwisko powraca w różnych śledztwach korupcyjnych: podejrzone konszachty w Peru, brudne sprawy w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Chętnie przelewa forszę na rachunki urzędników rządowych i wysyła broń sprawdzonym przyjaciółom. Ale jego największa miłość to konie wyścigowe, Nick. Kovar często przyjeżdża do naszej pięknej ojczyzny, by doglądać swoje wierzchowce. Ma dużą stadnię, kupił rezydencję w Gloucestershire.

- A czym zajmuje się ostatnio?

- Nie mam pojęcia. Od kilku lat ostro inwestuje w nowe media i hazard.

- Dobra.

- Nadal grasz w nogę? Dzwoniłem do ciebie kilka dni temu.

- Właśnie zmieniam komórki.

- W niedzielę gramy z obyczajówką. Przydałby nam się ktoś szybki.

- Ostatnio nie jestem w formie, Terry.

- Mamy nóż na gardle.

- Nie w ten weekend.

Belsey odszukał numer RingCentral. Musiał się spieszyć, dopóki biuro było puste. Zadzwoił i z rachunku podał numer identyfikacyjny.

- Czy to pan Devereux? - spytała kobieta o sympatycznym, pogodnym głosie.

- Zgadza się.

- Czym mogę służyć?

- Jeśli się nie mylę, obecnie wszystkie telefony do AD Development trafiają na pocztę głosową, prawda?

- Jak najbardziej, proszę pana.

- Od dziś proszę je przekierowywać pod ten numer. - Podaj bezpośredni numer na swoje biurko w komisariacie Hampstead.

- Załatwione.

- Fantastycznie - powiedział.

Na wizytówce Kovara widniał numer komórkowy. Belsey postanowił rozegrać to subtelniej. Znalazł numer hotelu Lanesborough. Wpatrywał się w niego kilka minut, aż w końcu podniósł słuchawkę. Zawiesił dłoń nad przyciskami, wreszcie powoli wciskał cyfrę po cyfrze. Zgłosiła się recepcjonistka. Belsey przedstawił się jako Aleksiej Devereux i powiedział, że chce rozmawiać z Maksem Kovarem. Przełączyła go do apartamentu królewskiego. Belsey rozłączył się po pierwszym sygnale.

Trzy minuty później zadzwonił telefon na biurku. Odebrał.

- AD Development, Jack przy telefonie.

- Tu Max Kovar. Poznaliśmy się wczoraj.

- Dzień dobry, Max.

- Ktoś od was do mnie dzwonił?

- Nie sądzę. Ale wspomniałem Aleksiejowi, że się spotkaliśmy. Może to on?

- Pan Devereux? Cóż, teraz mogę rozmawiać.

- Właśnie wyszedł na zebranie. Roboty huk. Zresztą nie muszę ci tłumaczyć. „Budyka” i tak dalej...

- Tak. Z tego, co wczoraj mówiłeś, wywnioskowałem, że byłby otwarty na rozmowę w tej sprawie.

- Och, nie przypuszczam. Bo i po co? Właściwie... - Belsey zawiesił głos. - Otwarty na rozmowę? - powtórzył.

- Tak.

- Nie sądzę. Aleksiej prowadzi interesy, nie rozmowy. Ale dziękuję za zainteresowanie.

Kovar milczał. Belsey pozwolił mu przemyśleć do końca to, co sobie właśnie myślał.

- Porozmawiam z nim - obiecał wreszcie. - Nie sądziłem, że

mówisz poważnie.

- Jasne, że poważnie! - wybuchł Kovar, a potem zmiękł. - Tak, mówiłem poważnie.

- W takim razie bardzo przepraszam w imieniu swoim i Aleksieja. Oddzwonimy, kiedy tylko będziemy mogli.

Belsey się rozłączył. Piłka wróciła do gry.

Kovar był przebiegły, ale właśnie tego szukał każdy oszust: kogoś sprytnego, kto wiedział, że jeśli człowiek się zakręci i zachowa dyskrecję, to los się do niego uśmiechnie. Belsey zadzwonił do RingCentral i odwołał ostatnią zmianę.

- Oczywiście, proszę pana.

Dokładnie pół minuty później, kiedy podszedł do okna, opuścił go dobry humor. Na ławce na wprost siedział mężczyzna w drogim płaszczu. Podniósł wzrok i spojrzał Belseyowi prosto w oczy. Policjant natychmiast rozpoznał blondyna z wycinka - tego, który ścisnął rękę Arabowi i dobijał się nocą do Devereux.

Nie przebrał się. Nie ogolił. Belsey patrzył na niego, a on nie odwrócił wzroku. Czyli facet nie miał go śledzić. O co więc mu chodziło?

Wyjrzał na korytarz. Pusto. Wyjął reklamówkę z pieniędzmi zza szuflady i upchał banknoty po kieszeniach. Wyszedł z komisariatu tylnymi drzwiami.

Ocean dopiero co zaczął pracę. Doradcom dopisywał humor, w gabinecie pachniało świeżą kawą.

- Prosimy, prosimy - zachęcali do wejścia z wylewnością agentów czujących rychłą finalizację transakcji. - Nadal jest pan zainteresowany tamtym rozwiązaniem?

Belsey nieco ograniczył swoje ambicje. Za pięć tysięcy kupił adres w Liechtensteinie, rachunek w banku South Pacific i firmę International Metal Holdings zarejestrowaną w Republice Dominikańskiej.

- Całkiem niezła - zachwalał pracownik. - Cztery lata działalności. Ma pan trzech dyrektorów. W każdej chwili może pan rozpocząć operacje.

To wystarczyło, by na razie nikt nie dobrał się do forsy, a

jemu został jeszcze okrągły tysiąc na drobne wydatki.

- Przyjmują państwo gotówkę? - spytał Belsey, a oni się roześmiali. - Domyślał się, że wiecie, gdzie ją ulokować - dodał.

Tym razem obaj zachowali powagę.

Belsey wyszedł z biura z pełną dokumentacją i udał się do kiosku przy Belsize Lane. Na stojaku obok największych europejskich i amerykańskich dzienników mieli też pięć arabskich czasopism. Przyłożył wycinek z mężczyznami do każdego z nich. „Al-Ahram”, „Al-Arab”, „Asquar Al-Aubat”. Żadne nie pasowało.

Komisariat Hampstead miał tłumaczy z arabskiego przydzielonych przez komendę dzielnicową, ale tego ranka żaden nie pracował. Belsey schował w biurku dokumenty swojej spółki. Z dumą myślał o fundamentach nowego życia i rozkwitającej działalności gospodarczej. Do kompletu brakowało mu tylko pieniędzy. A to oznaczało, że musi na poważnie zająć się projektem „Budyka”. Wykonał kilka telefonów. Posterunek w Holborn miał posterunkowego Irańczyka, ale do meczetu było bliżej.

Przeszedł się więc do meczetu przy Regent's Park, naprzeciwko apartamentowca przy St John's Wood. Mimo napiętej atmosfery podczas pierwszej wizyty dzień po zamachach polubił to miejsce, a zwłaszcza imama Hamida Farahiego. Podniszczona złota kopuła wznosiła się nad nagimi konarami drzew.

Przez otwarte drzwi Belsey widział morze czerwonych dywaników modlitewnych. W tym momencie jednak pod wielkim żyrandolem klęczało tylko dwóch mężczyzn. Modlitwa o wschodzie słońca skończyła się jakiś czas temu. Wierni, którzy na nią przyszli, rozproszyli się do miejsc pracy.

Belsey zsunął pantofle, wszedł do środka i spytał o Farahiego. Chwilę potem zjawił się imam.

- Salam, Nicholas.

- Salam - odparł Belsey.

Podali sobie ręce. Farahi elegancko się prezentował w białych szatach duchownego. Początkowo Belsey był zaskoczony jego młodym wiekiem, ale mężczyzna nosił się z godnością stosowną do zajmowanego stanowiska.

- Chciałbym cię poprosić o przetłumaczenie tekstu - od razu przystąpił do rzeczy. - Jeśli masz chwilę.

Przeszli do budynku obok, w którym mieściły się biblioteka oraz dom kultury, i usiedli między regałami. Belsey wyjął z portfela Devereux wycinek i podał imamowi. Ten trzymał go w wyciągniętej ręce, jakby tak było bezpieczniej.

- To artykuł z „Al-Hayat”.

- Co to jest „Al-Hayat”? - spytał Belsey.

- Jedno z największych arabskich czasopism. Szanowane, prozachodnie, należy do saudyjskiego szejka.

- Łatwo je kupić w Londynie?

- Tak. Znajdziesz je w każdym kiosku z arabską prasą. Jest drukowane w Europie.

- Czego dotyczy zakreślony artykuł?

Imam wyjął z diszdaszy okulary i wsunął je na nos. Przyjrzał się uważniej tekstowi i przeczytał:

- „Hongkońskie Konsorcjum Gier Hazardowych i jego główny udziałowiec Międzynarodowy Holding Saudyjski wierzą, że sport stanowi uniwersalny język zrozumiały dla wszystkich. To model społeczności globalnej”. - Duchowny oderwał wzrok od gazety i uśmiechnął się pogardliwie.

- O jakim przedsięwzięciu mowa?

Farahi doczytał artykuł do końca.

- O jakiejś inwestycji w Londynie. Nie podają konkretów, wspominają tylko, że chodzi o brytyjski sektor hotelarskogastronomiczny. Planują jakieś duże przedsięwzięcie w współpracy z AD Development. Umowę podpisali w ubiegłą sobotę. Zawarli jakieś porozumienie. Podają sobie ręce na znak przypieczętowania umowy.

- Nie powiedzieli jakiej?

- Inwestycja w brytyjski sektor gier hazardowych ulokowana w Londynie. To wszystko, co da się z tego wyczytać.

- Kim jest ten blondyn? Hamid przeleciał wzrokiem tekst.

- Pierce Buckingham. Przedstawiciel AD Development.

- Pierce Buckingham?

- Zgadza się.

Belsey baczniej przyjrzał się niegodnemu zaufania Buckinghamowi. Kolejny element układanki.

- A drugi?

- Szejk Faisal ibn Abdul Aziz, główny udziałowiec Konsorcjum Gier Hazardowych.

- Gdzie wykonano fotografię?

- Nie podają.

Belsey przyjrzał się iglicy połyskującej na zdjęciu: to wiatrowskaz, strzałka umieszczona na kuli. Zwieńczyła kwadratową kamienną wieżę. Między mężczyznami a kościołem znajdowała się pusta przestrzeń - być może dziedziniec - a po bokach nowoczesna zabudowa.

- Słyszałeś o którymś z nich?

- O Piersie Buckinghamie nie. O tym drugim owszem.

Szejk jest prawnukiem pierwszego króla Arabii Saudyjskiej.

Zły człowiek.

- Dlaczego?

- To złodziej. Opróżnia skarbiec państwa, finansuje własne przedsięwzięcia rządowymi pieniędzmi. Ludziom brakuje pieniędzy, a ten inwestuje wszystkie środki w Europie i Ameryce.

Właścicielem pisma jest jego kuzyn. - Dźgnął palcem w wycinek.

- Dobra. Dzięki. - Belsey zabrał kartkę. - Ogromnie mi pomogłeś.

W drodze powrotnej do Hampstead wpadł do biblioteki Swiss Cottage, która przechowywała archiwalne numery „Ham and High”. Wydania z ostatniego miesiąca były wyłożone na półkach, z ostatnich pięciu lat zaś stały w szafce za plecami dyżurnej bibliotekarki. Co mówiła Charlotte? Wiadomość o przeprowadzce Devereux do Londynu zamieściło tylko „Ham and High”. Belsey wziął numer z ubiegłego tygodnia. Przewracał kartki, aż trafił na tytuł „Obecność nowego oligarchy niepokoi mieszkańców”.

ALEKSIEJ DEVEREUX TO KOLEJNY ROSYJSKI

MILIARDER, KTÓRY POSTANOWIŁ OSIEDLIĆ SIĘ PRZY LUKSUSOWEJ BISHOPS AVENUE. MIESZKAŃCY WYRAŻAJĄ ZANIEPOKOJENIE JEGO OBECNOŚCIĄ W HAMPSTEAD. JEGO FIRMA AD DEVELOPMENT NIERAZ JUŻ BYŁA OSKARŻANA O AGRESYWNĄ POLITYKĘ KUPOWANIA TERENÓW PRZEZNACZANYCH NASTĘPNIE POD BUDOWĘ CENTRÓW ROZRYWKOWO-HAZARDOWYCH. NOWI SĄSIEDZI DEVEREUX OBAWIAJĄ SIĘ, ŻE AD DEVELOPMENT NIEPRZYPADKOWO POJAWIŁO SIĘ W LONDYNIE. ROSJANIN NIE KRYŁ, ŻE PRAGNIE WYCISNAĆ PIĘTNO TAKŻE NA SWOJEJ ULUBIONEJ STOLICY EUROPEJSKIEJ. WIADOMO RÓWNIEŻ, ŻE UTRZYMUJE BLISKIE ZWIĄZKI Z PEWNYMI POLITYKAMI, KTÓRZY ZGODNIE ODMÓWILI KOMENTARZA.

Belsey nie musiał szukać daleko redakcji „Ham and High”.

Zajmowała jeden poziom kremowego budynku z lat osiemdziesiątych, sąsiadującego z biblioteką publiczną. Belsey wszedł do środka. Powiedział, że jest umówiony z Mikiem Slaterem, i został wysłany na górę.

W gabinecie naczelnego królował kontrolowany chaos: na podłodze koło rowerowe i zestaw do klejenia dętek, kubki z niedopitą kawą na stertach książek, ściany obwieszane archiwalnymi numerami - najczęściej z tytułami o korupcji w samorządzie - oraz dyplomami i nagrodami za najlepsze artykuły w dziedzinach: ochrona środowiska, oświata, bezpieczeństwo obywateli. Na widok Belsey Slater podniósł się ze zdezelowanego fotela i mocno uściskał mu rękę. Wyglądał, jakby spał jeszcze mniej niż Belsey. Jeden zausznik okularów miał sklejony przezroczystą taśmą, siwiejące włosy sterczały na wszystkie strony. Biurko było zavalone informacjami o Jessica Holden.

- Miałem wczoraj kłopoty z dostępem do telefonu - usprawiedliwił się Belsey.

Slater machnął ręką.

- Wybaczam ci. Trafiłeś w samą porę. Od pięciu godzin

próbuję dorwać jakiegoś policjanta z dochodzeniówki. To kanał, tak? Mówię o strzelaninie. Zero odzewu od miejscowych gangów, przestępców i policji. Moim zdaniem to jeden wielki kanał.

- Niekoniecznie, Mike. Ale może tak. Przychodzę w związku z Aleksiejem Devereux. - Slater popatrzył na niego, nie kojarząc. - Interesowałeś się nim - wyjaśnił Belsey. - Jeszcze tydzień temu.

- Nic się wtedy nie działo. Podpadłem?

- Dlaczego miałbyś podpaść?

- Po tym artykule w sprawie petycji sąsiadów.

- Czemu przez to miałbyś mieć kłopoty?

- Bo coś tu cuchnie. A gość nagle kopnął w kalendarz. Belsey usiadł.

- Mów, co wiesz.

- Znałem wcześniej to nazwisko. Aleksiej Devereux. - Slater padł na fotel, zaciskając dłonie na poręczach. - Wiedziałem, że to oligarcha rozbudowujący swoje imperium. Docierały do mnie plotki o jego zainteresowaniu kasynami i hazardem. Podobno nie miał oporów przed łapówkami. Dopiero z artykułu we własnej gazecie dowiedziałem się, że przeprowadza się do Londynu. Poszperałem trochę. Wszystko się zgadzało, rzeczywiście mieszkał przy Bishops Avenue. Petycję zobaczyłem, kiedy było już za późno. Nowy nadgorliwiec zaakceptował tekst. Ja w życiu bym tego nie puścił, uprzednio starannie nie sprawdzivszy. Zwłaszcza gdy dotyczyło to kogoś takiego jak Aleksiej Devereux.

- A potem dowiedziałeś się, że nie żyje.

- Jak się domyślasz, targwały mną mieszane uczucia. Od znajomego w szpitalu dostałem przeciek, że facet nie żyje, popełnił samobójstwo. Przypuszczam, że gość miał poważniejsze zmartwienia niż artykuł w „Ham and High”, ale świadomość ta i tak nie nappełniła mnie optymizmem.

- Wspominacie o politycznych koneksjach Devereux. O kogo chodzi?

- Wiem tylko tyle, ile raczą ujawnić kumple z Wapping.

Sporo gości w MSZ-ecie znało Devereux. Zapewniali mu

dyskretne wsparcie dyplomatyczne, kiedy jeszcze mieszkał w Rosji. Miał kontakty w kręgach samego ministra spraw zagranicznych, no i oczywiście w City. Wizę angielską zawdzięczał zaproszeniu Milтона Granby'ego, szafarza rady miejskiej City.

- Znasz szczegóły?

- Nie. Wiem tylko, że dwa lata temu odmówiono mu jej przyznania, bo ciążyło na nim oskarżenie o fałszerstwo. Następnym razem na wniosku jako zapraszający pojawił się Granby i Devereux wpuszczono. Granby zaś pomaga tym, którzy potrafią mu się potem odwdziżyć. A tak się składa, że akurat Miltonowi Granby'emu można pomóc na wiele sposobów i nie będzie się to wiązało z żadnymi kłopotami. Granby mieszka w okolicy. Nie będę twierdził, że nic nie wiem o jego związkach z Devereux.

- Petycja dotyczyła wyścigów konnych.

- Rzekomo. Autorzy obawiali się, że to zaszkodzi reputacji dzielnicy. Dawno nie widziałem tak mętnego tekstu.

- Mógłbym zobaczyć?

Slater zaprowadził Belseya na zaplecze, gdzie piętrzyły się pudła z aktami. W ścianie był sejf. Redaktor otworzył go, wyjął teczkę, a chwilę później faks. Znajdowało się na nim sto pięćdziesiąt podpisów osób, którym nie podobało się sąsiedztwo Devereux. W tekście jednak nie podano żadnego konkretnego zarzutu ani przyczyny niechęci. Przy liście zostały znaki zapytania i krzyżyki postawione przez Slatera.

- Co one oznaczają? - zaciekał się Belsey.

- Ta sprawa od początku mi cuchnęła, więc zacząłem dzwonić i sprawdzać nazwiska. Pytajnik oznacza, że rozmówca wyparł się jakiegokolwiek związku z petycją.

- A krzyżyk?

- Że gość już nie żyje. Na ogół od dwóch, trzech lat.

- Jesteś pewny?

- Na sto procent. Nie żyje mimo to protestuje. Oto Hampstead w całej okazałości.

- Co o tym sądzisz?

- Nie wiem. Prawdopodobnie ktoś posłużył się starym spisem podatników. Ktoś, kto chciał w ten sposób wywalczyć coś dla siebie. Być może rywal biznesowy?

Belsey popatrzył na numer, z którego wysłano faks. Wyglądał znajomo, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział.

- Sprawdziłeś numer faksu? - Nie.

- Wyślij na ten numer cokolwiek, pustą kartkę.

- Dobra.

Wrócili do redakcji i Slater zrobił to, o co prosił Belsey.

- Co teraz? - spytał.

- Mogę ją wziąć? - spytał Belsey, podnosząc listę.

- Czekaj, skseruję ci.

Posłużył się tym samym faksem, by zrobić kopię petycji.

- Devereux kontaktował się z tobą w sprawie artykułu? - zapytał Belsey.

- Nie.

- Nie zdziwiłeś się?

- Cała ta sprawa jest dziwna. A będzie jeszcze dziwniej, kiedy rozejdzie się wiadomość o śmierci Devereux. Plotki już krążą. Niedługo rozpęta się burza.

Belsey zastanawiał się, jak to wpłynie na jego plany. Musi czym prędzej przejść do działania.

- Obiło ci się o uszy nazwisko Pierce Buckingham?

- Bogaty szczeniak - odparł Slater. - Pomaga firmom z Bliskiego Wschodu inwestować w Europie. Wyjątkowo paskudny typ.

- Skąd to wiesz?

- Czytuję prasę. Na tym polega moja robota. Skąd to nagle zainteresowanie nim?

Belsey pokazał mu wycinek z „Al-Hayat”. Slater przyjrzał mu się uważnie, ale nie miał nic ciekawego do dodania. Dwóch biznesmenów uściskiem ręki pieczętuje jakąś londyńską inwestycję. Tyle to Belsey już wiedział. Podejrzewał, że Granby

maczał w tym palce i musiały się z tym wiązać gigantyczne zyski. Ale ani Devereux, ani Jessica Holden nie będą się nimi cieszyć.

Slater dał mu kopię petycji. Belsey podziękował i ruszył do drzwi.

- Nick! - zawołał za nim redaktor.

- Tak?

- Nie wyjaśniłeś, co właściwie cię sprowadza.

- Nie?

- Nie.

- Chciałem podziękować, że o mnie nie napisaliście, Mike. Jestem ci bardzo wdzięczny. Masz u mnie drinka.

Wrócił na Bishops Avenue i sprawdził faks. Czterdzieści pięć minut wcześniej z redakcji „Hampstead and Highgate Express” przysłano czystą kartkę. Numery faksów się zgadzały.

Devereux sam kopał pod sobą dołki.

Belsey wyszedł, zastanawiając się, dlaczego Rosjanin to robił. Przechodząc obok skrzynki, wyjął z niej pocztę. Przychodziła regularnie, z dnia na dzień coraz obfitsza. Osiem kopert różnej wielkości. Podniósł wzrok i po drugiej stronie ulicy zobaczył Pierce'a Buckinghama. Wepchnął listy do kieszeni i energicznym krokiem oddalił się od domu.

Pozwolił, by nieproszony towarzysz maszerował za nim aż do komisariatu. Buckingham utrzymywał stałą odległość dwudziestu, trzydziestu metrów. Belsey podsumowywał w myślach, co o nim wie. Buckinghamą łączyły dobre kontakty z szejkiem Faisalem, o czym świadczyła fotografia z ich uściskiem dłoni.

Maksowi Kovarowi ta przyjaźń się nie podobała. Może to on chciał się znaleźć na zdjęciu? „Nie ufaj Buckinghamowi”. Belsey poszedł za tą radą. Ale gdyby Buckingham chciał wyrządzić mu krzywdę, z pewnością miał już dziesiątki okazji po temu.

Może więc chciał tylko porozmawiać? Może wyjaśniłby Belseyowi, co takiego wiązało się z projektem „Budyka”, że ktoś zadał sobie tyle trudu, usuwając świadectwa obecności lokatora w

domu przy Bishops Avenue? Idąc Rosslyn Hill i myśląc o sfalszowanej petycji, Belsey zaczął się zastanawiać, czy w willi w ogóle ktoś mieszkał.

Wrócił do biura i dokładnie sprawdził swojego anioła stróża.

Koledzy siedzieli po uszy we własnej robocie, ale Belsey i tak starał się robić to dyskretnie. W Internecie znalazł o nim więcej informacji niż w brytyjskich kartotekach policyjnych. To sporo o nim mówiło, a przede wszystkim świadczyło o skuteczności jego prawników. Z raportów wyłaniał się uroczy obrazek. Buckingham po raz pierwszy wszedł w konflikt z prawem, kiedy po sprzeczce wprowadził i wciął u siebie striptizerkę z klubu nocnego w Tel Awiwie. To było cztery lata temu. Buckingham zasłonił się wtedy immunitetem dyplomatycznym. Okazało się bowiem, że przyjechał do Izraela jako przedstawiciel brytyjskiej agencji rządowej, choć trudno było wyjaśnić, która mogłaby się zajmować klubami nocnymi. Ojcem Pierce'a był Edward Buckingham, nazywany przez przyjaciół lordem Buckingham z Pijanie Wielkich, eksminister obrony w gabinecie cieni. Edward Buckingham dorobił się podczas pierwszej inwazji na Irak, co mógł w dużym stopniu zawdzięczać kuwejckim państwowym funduszom narodowym. Syn poszedł w ślady ojca. Jak cień snuły się za nim drobne incydenty dyplomatyczne, plotki o napaściach, łamaniu przepisów ruchu drogowego. W ubiegłym roku w niewyjaśniony sposób udało mu się uniknąć oskarżenia o brutalną napaść i posiadanie kokainy. Dwa tygodnie później doszło do kolejnego incydentu, kiedy to, opuszczając klub nocny, potracił dziennikarza. Sprawa jednak nie trafiła do sądu, gdyż strony znalazły polubowne rozwiązanie.

Zadzwoił telefon. Belsey nie odebrał. Po dziesiątym sygnale Rosen nie wytrzymał i podniósł słuchawkę. Minęło kilka sekund i przekrwione oczy kolegi wwierciły się w Belseya.

Belsey czuł to świdrujące spojrzenie. Rosen zakrył mikrofon tłustą dłonią. Nic nie mówił, tylko patrzył.

- Co? - spytał Belsey wreszcie.

- Dzwoni jakaś Charlotte Kelson. Belsey wyprostował się, pokręcił głową.

- Chce mówić z niejakim Nickiem Belseyem.

Belsey pociągnął palcem po szyi. Rosen wolno odsłonił mikrofon, nie odrywając wzroku od kolegi.

- Nie ma go - powiedział.

Charlotte musiała coś dodać, bo mruknął i odłożył słuchawkę.

- Dzięki - powiedział Belsey.

Rosen pokręcił głową i wrócił do swoich papierów. Dopiero wtedy Belsey uświadomił sobie, jak bardzo chce usłyszeć jej głos.

Wyrzał przez okno. Pierce Buckingham wciąż tkwił na chodniku po drugiej stronie ulicy. Ustawił się za poobijanym starym saabem, jakby za tarczą ochronną. Zachowywał czujność, stale się rozglądał, ale całą uwagę skupiał na budynku komisariatu. Wysypka - tak w języku londyńskich tajniaków nazywano inwigilację. „Mam wysypkę. Jestem obserwowany”.

Wreszcie Belsey zrozumiał, skąd się wzięło to określenie. Kark niemiłosiernie go swędział. Co gorsza, zapięcie płaszcza Buckinghamama wyglądało co najmniej podejrzanie.

Wyszedł z budynku. Buckingham obserwował go, ale został na miejscu. Belsey wybrał pub Prince of Wales, jeden z niewielu, gdzie jeszcze uchował się automat telefoniczny. Zadzwoił do redakcji „Mail” i poprosił o połączenie z Charlotte.

- Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek.

- Jak miło - odparła ostrożnie.

- Co ustaliłaś?

- Nick Belsey pracuje w komisariacie Hampstead. Znasz go?

- Dam ci materiał na artykuł, Charlotte, ale nie wciągaj w to Belseya. To mój warunek.

- Czy Nick Belsey to ty?

- To bardzo skomplikowana sytuacja.

- Podobno ma kłopoty finansowe.

- Skąd na informacja?

- Pora, żebyś ty zaczął mówić, Nick.

Podczas gdy on beztrząsanie żył sobie życiem Devereux, ktoś inny kombinował, jakby go wykorzystać. Oczami wyobraźni zobaczył, jak dusi tych drani. Ale inna, bardziej opanowana część mózgu już tworzyła portret psychologiczny rywali. To musiał być ktoś wyrafinowany, znakomicie panujący nad emocjami, z dostępem do dokumentacji finansowej. Ktoś posiadający wpływowych przyjaciół. Ktoś, kto budził w Belseyu lęk.

- Słuchaj, Charlotte, tu nie chodzi o mnie. Tu chodzi o związek Milтона Granby'ego ze strzelaniną w Starbucksie.

W słuchawce rozległo się parsknięcie, a zaraz potem zapadła cisza. Nie wiedziała, jak zareagować.

- Zgrywasz się - powiedziała wreszcie.

- Mówię poważnie.

- Słucham.

- Powiem ci wszystko, kiedy zdobędę więcej konkretów.

Zaufaj mi, Charlotte.

- Obiecałeś mi materiał na artykuł. Odnoszę wrażenie, że próbujesz mnie zwerksłować.

- Mam coś, ale potrzebuję czasu, by dostarczyć ci dowody.

- Nie zamierzam czekać ani polegać na słowie policjanta bankruta.

- Charlotte...

- Dziś po południu idziemy na konferencję prasową. Nie mogę z tobą współpracować, jeśli nie potrafisz wyjaśnić, co naprawdę się dzieje.

- W takim razie nie będziesz ze mną współpracować.

Belsey odłożył słuchawkę. Ktoś nim manipulował. I Charlotte też. Sytuacja przypominała jedną z technik przesłuchań.

Żeby złamać twardą, solidarną grupę kryminalistów, wystarczyło doprowadzić do sytuacji, w której każdy z nich czuł się samotny i zdradzony. To wymagało sieci misternych intryg, ale w końcu waliła się ich hierarchia wartości, znikало poczucie tożsamości.

Tajemniczy przeciwnicy jednak najwyraźniej nie docenili

inteligencji Belseya. Swoim postępowaniem utwierdzili go w przekonaniu, że jest na właściwym tropie. On i Charlotte Kelson byli na właściwym tropie.

I nawiązali kontakt.

Wrócił do pracy i zadzwonił do Vodafone.

- Co jest, do cholery? W nocy wysłałem formularz dwadzieścia dwa i nadal czekam...

Operatorzy sieci komórkowych wychodzili ze skóry, by utrzymać dobre stosunki z policją. MSW hojnie płaciło za udostępnione billingi. Dziesięć minut później Belsey trzymał dwadzieścia stron z listą połączeń Charlotte Kelson.

„Godzinę temu zadzwonił do mnie jakiś człowiek. Powiedział, żebyś tu przyszła. Miałam powiedzieć, że umówiłam się z kimś w restauracji”. Belsey szukał połączeń z ubiegłego wieczoru, z dwudziestej drugiej. Było tylko jedno. Numer stacjonarny. Sprawdził. Okazało się, że to numer budki telefonicznej ze spokojnej ulicy na obrzeżach Vauxhall. W pobliżu na pewno nie będzie kamer przemysłowych. Belsey zadzwonił do telekomunikacji.

- Chcę dostać listę wszystkich połączeń, wykonanych ubiegłej nocy z tej budki.

Przysłali informację bez protestów. Wczoraj w nocy wybrano stamtąd jeszcze tylko jeden numer. Adres abonenta: Bishops Avenue 37.

Dzwonili do domu Devereux osiem po dziesiątej. Rozmowa trwała czterdzieści jeden sekund. Czy był tam wtedy? Elementy układanki powoli zaczynały do siebie pasować.

Zatelefonował do Les Ambassadeurs. Odebrała kobieta.

- Wczoraj z waszej restauracji dzwonił mężczyzna, by potwierdzić rezerwację na nazwisko Aleksiej Devereux.

- Doprawdy?

- Owszem. Mówił z obcym akcentem. Włoskim, może francuskim.

- Wątpię, proszę pana.

- Dlaczego?

- Nie mamy takiego zwyczaju.

- Jak to?

- Trzymamy stolik przez godzinę. Jeśli goście zjawią się później, staramy się znaleźć dla nich inne miejsce. Nie potwierdzamy rezerwacji.

- Na pewno nikt wczoraj nie dzwonił? Może z kasyna?

- Wątpię.

Belsey się rozłączył. Próbował odtworzyć w pamięci szczegóły rozmowy, ale głos w słuchawce to nie twarz, a już na pewno nie odcisk palca. Przeciwnik najwyraźniej próbował go nastraszyć, ale równocześnie coś wskazać. Chciał, żeby Belsey głębiej zajął się sprawą. Wielu przestępców lubiło zwracać na siebie uwagę, ale tu chodziło o coś innego. Ten naprawdę miał coś do pokazania.

Wyciągnął z kieszeni listy Devereux i otworzył. Na osiem tylko jeden wysłała jakaś fundacja zajmująca się chorymi psychicznie. Pozostałe przyszły od wierzycieli, którzy różnym tonem - grzecznym, służalczym, niecierpliwym - dawali do zrozumienia, że najwyższy czas, by przedsiębiorca wykrztusił forszę na konto: Carte Blanche International za czarter jachtu, Sprint za sprzątanie mieszkania, galerii Alana Cristea przy Cork Street, Europejskiego Stowarzyszenia Kasyn, pracowni krawieckiej Henry'ego Poole'a oraz winiarni Handford w South Kensington.

Wreszcie był rachunek od firmy kurierskiej Goldstar International za usługę wykonaną w ubiegłą sobotę, siódmego lutego, dzień przed śmiercią Devereux. Belseya zaskoczyła suma, tylko dlatego baczniej mu się przyjrzał. Zlecenie wyceniono na dwieście dziewięćdziesiąt pięć funtów, wysłano trzy furgonetki.

Przedmioty zabrano o 11.40 z Cavendish Square 33 i dostarczono na miejsce oznaczone kodem EC2V.

Belsey wpisał go w komputer. Okazało się, że chodzi o Guildhall.

Była to wielka sala bankietowa w ratuszu City, XV-wieczny symbol statusu społecznego, korzeniami sięgający jeszcze czasów rzymskich. Biura administracyjne City mieściły się w

nowoczesnych budynkach w północnej części dzielnicy, stary ratusz pełnił funkcję reprezentacyjną. Był też wynajmowany na wielkie imprezy korporacyjne. Co ten Devereux wyprawiał?

Belsey liczył, że dowie się tego, sprawdzając adres przy Cavendish Square. Mylił się. Okazało się, że to olbrzymi biurowiec, w którym mieściły się siedziby dwudziestu siedmiu firm - od Dental Protection Limited, przez Collier Capital, Esselco Services i Sovereign Chemicals, po Star Capital Partners, Advisa Solicitors, Lasalle Investment Management, MWB Business Exchange, TOTAL Holdings UK Ltd i Coal Pension Properties Ltd.

Nazwy tańczyły mu przed oczami we wszelkich odcieniach korporacyjnej szarości. Na fakturze oprócz adresu nie podano żadnych szczegółów. Nie było punktu zaczepienia. Żadna z tych nazw nie brzmiała też znajomo, nie widział jej w papierach Devereux. Ani w jego domu, ani w biurze. W końcu zadzwonił do samej firmy kurierskiej.

- Goldstar.

- Cześć. Właśnie dostałem od was fakturę, ale nigdzie w papierach nie mamy takiego zlecenia.

Po drugiej stronie rozległ się jęk.

- Macie numer zamówienia?

Belsey odczytał.

- No cóż - powiedział mężczyzna. - Na pewno wykonaliśmy zlecenie, bo doskonale je pamiętam.

- Co to było?

- Bardzo duże i bardzo delikatne pudła. Sam powinieneś pamiętać.

- Z jakiego biura je zabieraliście?

- Jeśli nie wyszczególniono na fakturze, nie będę wiedział.

- Przypominasz sobie może, co to była za impreza?

- Jaka impreza? Człowieku, my tylko je dostarczyliśmy...

- Ile tych pudeł?

- Nie liczyłem. Zresztą sam gardłowałeś, jak strasznie zależy ci na dyskrecji.

- Mam dziurę w pamięci. Jest może na miejscu któryś z kurierów? Może oni przypomniał sobie, o co chodziło?

- Właśnie są w trasie. Jedno jest pewne: wykonaliśmy zlecenie. Może zapomniałeś, bo było takie supertajne.

Belsey się rozłączył. Wciąż myślał o adresie dostawy. Guildhall. Czyli City. Królestwo Milтона Granby'ego. To był jeden z możliwych tropów. Poszukał numeru biura szafarza. Odebrała ponura asystentka, która afektowanym tonem oświadczyła, że Granby jest nieosiągalny.

- Kiedy mogę go zastać?

- A w jakiej sprawie pan dzwoni?

- Prywatnej.

- Proszę spróbować jutro. - A co robi dzisiaj?

- W ramach tygodnia integracji spotyka się z młodzieżą w Barbican.

- Trwa tydzień integracji?

- Tak.

Belsey podpisał zapotrzebowanie na nieoznakowany radiowóz i wyjechał z komisariatu czarnym peugeotem 307, kierując się do północnej części City, gdzie znajdował się Barbican. W sumie to całkiem proste. Ustali, czym jest projekt „Budyka” i dlaczego Devereux musiał zginąć, potem skieruje na właściwe tory śledztwo w sprawie zabójstwa Jessiki Holden, wykorzysta zdobytą wiedzę, by manipulować Kovarem, ucieknie przed śmiercią, ucieknie przed zakochaniem, ucieknie przed tajemniczym przeciwnikiem, który robi mu wodę z mózgu, opuści kraj i zacznie znowu żyć normalnie...

Deszcz padał na szare mury rozległego centrum kulturalnego Barbican. Minął Cromwell Tower i Shakespeare Tower, szukając wśród betonowych brył tabliczek informujących o tygodniu integracji. Wreszcie przed Museum of London wypatrzył szkolne autobusy, a nieco dalej ochroniarzy i fotografa lokalnej gazety. Za nimi stał Granby ze swoją świtą.

Tym razem byli to jego doradca, asystentka, kilkoro stażystów i wizażystka. Wszyscy się krzatali, tylko Granby stał

nieruchomo. Wyglądał marnie. Bez smokingu czuł się nieswojo.

Wizażystka próbowała tchnąć życie w jego policzki, ale kącik nie poprawiał mu nastroju. Krzyknął coś do doradcy i stażysty.

Belsey nie dosłyszał co. Dzieciaki trzymały się z daleka. Będzie ciekawie, pomyślał Belsey. W jego stronę szła asystentka. Zanim się zorientował, co się dzieje, było już za późno.

- Pan na sesję zdjęciową? - spytała.

- Jestem policjantem.

- W porządku. - Najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. - Proszę za mną.

Ustawiła go w tłumie przed transparentem „Wspólnie budujemy nasze społeczności”.

- Spodziewaliśmy się, że będzie pan w mundurze - powiedziała.

Belsey dał się sfotografować z szafarzem i uczniami. Dzieci hałasowały, szafarz zgrzytał zębami. Po pięciu minutach fotograf puścił ich zadowolony z efektu. Jeszcze krótka mówka Milтона Granby'ego o tym, że trzeba chwytać okazje, jakie daje nam los, i tłumek się rozproszył, a szafarz, wezwany przez swojego doradcę, ruszył w stronę samochodu. Belsey go dogonił.

- Nick Belsey, posterunkowy z wydziału kryminalnego przy Rosslyn Hill.

- To dla mnie zaszczyt.

Granby uściskał jego prawicę ze szczerością kogoś, kto regularnie ją udaje. Pod maską wysoko postawionego urzędnika Belsey widział zwyczajnego osiłka, jakich tysiące przesiadują w barach od City po Westminster. Dostosował tempo do jego kroku.

- Policja odgrywa kluczową rolę w mojej wizji City - zapewnił Granby.

- Z konieczności.

Szafarz zadumał się na chwilę, po czym znowu popatrzył na Belseya.

- Rosslyn Hill nie leży w City.

- Chciałbym porozmawiać o niej jakim Aleksiejem Devereux.

Teraz Granby stanął i osłonił oczy przed zimowym

słońcem, żeby baczniej przyjrzeć się Belseyowi.

- O co chodzi?

- Obawiam się, że niektórzy mogą niepotrzebnie przysporzyć panu kłopotów.

- Żeby tylko - powiedział Granby z wymuszoną beztrząską.

- Sądzę, że mogę panu pomóc.

- Czego pan chce?

- Porozmawiać.

Granby machnął szoferowi, że może wracać bez niego. Odesłał też świętę, mówiąc, że spotkają się w biurze. Rozeszli się, podejrzliwie zerkając na Belseya.

- Co z Aleksiejem Devereux? - zapytał Granby. - O co chodzi?

- Zdaje się, że wpadł w nie lada tarapaty. A przedtem zależało mu na wizie. Zwrócił się do pana. Pamięta pan?

- W życiu go nie widziałem.

- Czy na pewno?

- Próbowałem się z nim spotkać. Jeśli pan wie, jak można się z nim zobaczyć, proszę mi zdradzić. Wbrew temu, co twierdzi „Ham and High”, nie znamy się osobiście.

- Nie neguje jednak pan, że wystosował dla niego zaproszenie.

- To biznesmen znany na świecie. Cieszyłem się, mogąc zaprosić go do Londynu.

- Często pan podpisuje się pod wnioskami o wizę? - Nie.

- Co pan za to dostał? - Nic.

- A jak się miewa Fundacja Dzieci City? Granby rozejrzał się zdesperowany.

- Czyż Cyceron nie powiedział kiedyś: „Bądź miły dla policjantów”?

Granby przymrużył oczy i czujnie patrzył na Belseya.

- Nie, nie sądzą, by tak powiedział - stwierdził, ale teraz jego dłonie już wyraźnie drżały.

- Może skoczmy na drinka? - zaproponował Belsey. - Pogadamy o Cyceronie i wyjaśni mi pan sytuację, a ja dopilnuję,

żeby już nikt nigdy nie zwracał panu tym głowy.

Weszli do wyłożonego boazerią baru, a zarazem klubu przy St John's Street. Dostali stolik w głębi. Obsługa najwyraźniej znała Granby'ego, wiedziała, co będzie pił. Belsey zamówił wódkę z colą.

W oczekiwaniu na drinki Granby bawił się sztucami.

- Pan Devereux to szanowany biznesmen, który odniósł prawdziwy sukces. Chce zainwestować w Londynie. To dla nas zaszczyt. Powinniśmy być mu wdzięczni.

- Ile przeznaczył na Fundację Dzieci City?

- Nie pańska sprawa.

- To proszę mi opowiedzieć o projekcie „Budyka”.

- Pierwsze słyszę.

- On przyciągnął Devereux do Londynu. Nic się panu nie przypomina?

- Nie. Ale jeśli ta inwestycja przyniesie miastu zysk, trzymam mocno kciuki za Devereux. Przydałoby nam się trochę nowych atrakcji. Niech pan posłucha, panie...

Zjawił się gin z tonikiem. Podniósł szklanekę i wypił haust, zanim grzechotanie lodu przykułoby do niego spojrzenia gości.

- Stoimy o krok nad przepaścią - podjął cicho twardym tonem. - Musimy okazać się cholernie, ale to cholernie zaradni.

- Zwłaszcza pan?

- Nie, nie zwłaszcza ja. Wszyscy.

- Co wam zaproponował Devereux?

- Kto jest pańskim przełożonym?

- Co takiego przysłał trzema furgonetkami do pańskiej sali bankietowej?

- Mojej sali bankietowej? No, proszę, nie wiedziałem, że takową posiadam. I nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

Belsey potrafił rozpoznać autentyczne zdziwienie. Granby rzeczywiście nie miał o niczym pojęcia.

- Nigdy nie spotkałem Devereux i wiem o nim doprawdy niewiele. Jestem przekonany, że właśnie tego by sobie życzył - podjął Granby.

- A ja sędzę, że pan się z nim widział.
- Nikt nie widział Devereux. Nie muszę kłamać.
- Nikt? - Belsey dopił wódkę. - Następną kolejkę ja

stawiam.

Chciał jeszcze choć przez chwilę porozmawiać z szafarzem.

Zamówili i przeszli do ogródka piwnego. Z parasoli rozpiętych nad drewnianymi stołami kapał deszcz. Granby zapalił papierosa. Nie poczęstował Belseya, ale i tak zmiękł.

- Gdyby to ode mnie zależało, zaludniłbym całe miasto ludźmi takimi jak on. A na świecie jest ich mnóstwo. Przyjdzie dzień, że przestaną tu przyjeżdżać, a my będziemy tęsknili, będziemy zachodzić w głowę, gdzie, do cholery, się podziały pieniądze. - Położył Belseyowi rękę na ramieniu. - Turystyka.

Devereux zna się na tym jak nikt. Na świecie zawsze będą bogacze i będą przyjeżdżać do Londynu, jeśli ich skusimy.

- Czym?

- Dreszczykiem emocji, którego szukają. Czytał pan dzisiejszy „Financial Times”? Devereux to poważny biznesmen.

Lepiej z nim nie zadzierać. Obieca mi pan, że nie będzie z nim zadzierał?

- Oczywiście - zapewnił Belsey. - Nie sędzę, by ktokolwiek teraz próbował z nim zadrzeć.

Rozdział trzydziesty piąty

Belsey kupił „Financial Times”. Przerzucił strony z informacjami z kraju i ze świata, wreszcie dotarł do notowań giełdowych. Tam wiadomość dnia brzmiała: „Akcje Hongkońskiego Konsorcjum Gier Hazardowych znowu w górę”.

SAUDYJSKI WŁAŚCICIEL HONGKOŃSKIEGO KONSORCJUM GIER HAZARDOWYCH MA POWODY DO ZADOWOLENIA. POGŁOSKI O RYCHŁYCH INWESTYCJACH W EUROPIE POWSTRZYMAŁY TENDENCJĘ SPADKOWĄ I PO RAZ PIERWSZY OD DŁUGIEGO CZASU AKCJE SPÓŁKI ZACZĘŁY ROSNAĆ. W PIĄTEK KURS AKCJI WZRÓSŁ O 42 PUNKTY

PROCENTOWE, Z 21,39% DO 30,45%.

„WALL STREET JOURNAL” PODAJE, ŻE HKGH, DRUGA POD WZGLĘDEM LICZBY POSIADANYCH KASYN INSTYTUCJA NA ŚWIECIE, ZAWARŁO NIEFORMALNĄ UMOWĘ Z EUROPEJSKIM INWESTOREM AD DEVELOPMENT. POWSZECHNIE WIADOMO, ŻE HKGH OD DAWNA MARZYŁO O WEJŚCIU NA BRYTYJSKI RYNEK I PROWADZI ROZMOWY Z LICZNYMI DEWELOPERAMI. SZACUJE SIĘ, ŻE ŁĄCZNIE W LONDYŃSKIE KASYNA, HOTELE I RESTAURACJE ZAINWESTUJE 3 MILIARDY FUNTÓW.

Belsey wrócił do biura i wszedł do bazy danych wydziału do spraw walki z terrorem kryminalnym. Miał ograniczony dostęp do systemu, ale pilne prośby i zapytania przekazywano do oficerów, którzy mogą zajmować się określoną sprawą. Wpisał hasła: „AD Development”, „Aleksiej Devereux”, „Hongkońskie Konsorcjum Gier Hazardowych”, ale nie pojawiły się żadne odpowiedzi. Wreszcie wrzucił hasło „projekt Budyka”.

Po minucie zadzwonił do niego nadinspektor Kosta.

- Co to za projekt „Budyka”? - spytał ostro.

- Nie wiem. Polecono mi tego poszukać.

- Kto wydał polecenie? - nie odpuszczał Kosta. Zanim Belsey zdążył coś wymyślić, nadinspektor sam sobie odpowiedział:

- Czyżby nasi przyjaciele z City?

- Nasi przyjaciele z City?

- Co pięć minut wydzwaniają z pytaniem, czy zajmujemy się tym projektem, bo chcą się upewnić, czy ich inwestycja nie jest zagrożona.

- Od kiedy tak?

- Od kilku dni.

- Domyśla się pan, o co chodzi?

- Ani w ząb. Najwyraźniej wiedzą więcej niż ja i sprawia im to dziką satysfakcję. Na coś się zanosi. Na ile to legalne, nie mam pojęcia.

Belsey odparł, że niestety on też nie zna odpowiedzi, potem rozłączył się i w myślach zaczął przeszukiwać kontakty. W swoim czasie pomógł tylu chłopakom z City, że ma prawo zażądać rewanżu. Zadzwoił do Sacker Capital Ltd i spytał, czy nadal pracuje tam Ajay Khan. Ku jego zdumieniu okazało się, że tak. Na pytanie recepcjonistki, czy połączyć, odpowiedział, że nie trzeba. Wolał porozmawiać z maklerem osobiście.

Belsey poznał Khana w nocnym klubie na West Endzie kilka dni przed tym, jak maklera aresztowano za handel akcjami spółek. Belsey pomógł mu znaleźć dobrego adwokata i po pewnym czasie sprawę umorzono. Później grywali w pokera razem z rozrywkowymi dziewczynami z City, które wysoko podbijały stawkę, z dziennikarzem z „Wall Street Journal” i dilerem kokainy. Przez kilka lat regularnie spotykali się w barze przy Fleet Street, aż wreszcie zabawa się skończyła, kiedy cała paczka wzajemnie się oskubała do ostatniego grosza. Khan wszędzie miał kumpli. Stanowił istną kopalnię mniej lub bardziej poufnych informacji, którymi chętnie się dzielił. A jeśli ktoś dzięki temu zbił majątek, nigdy nie zapomniał się odwdziżyć.

Belsey zostawił peugeota na parkingu przy Limeburner Lane, niedaleko centralnego sądu karnego. Sacker Capital miała siedzibę w St Bartholomew's House. W jego oknach odbijał się budynek sądu. Belsey wszedł do recepcji. Pomieszczenie było wyłożone jasnym kamieniem, na środku stała metaloplastyka w kształcie ostrza topora. Zapytał o Ajaya Khana. Ochroniarz okazał się na tyle sympatyczny, że połączył się z gabinetem i podał Belseyowi słuchawkę.

- Pan Khan właśnie wyszedł - poinformował go kobiecy głos.

- Kiedy wróci?
- Trudno powiedzieć.
- Jasne.
- Przekazać mu coś?

Belsey zerknął na swoją podróbkę roleksa.

- Nie trzeba.

Opuścił biurowiec i skręcił w Newgate Street, gdzie zatrzymał się przed drzwiami wciśniętymi między sklep tytoniowy a zakurzoną witrynę pracowni krawieckiej. Za nimi znajdowały się wąskie schody prowadzące w dół do kolejnych drzwi z kolorowymi szybkami, przez które sączyło się światło.

W punkcie bukmacherskim wśród plastikowych krzeseł snuła się przetrzebiona gromadka popołudniowych graczy. Było duszno i gorąco, w powietrzu unosił się zapach zimowego potu i kanapek. Kręciło się tu kilku robotników w odblaskowych kamizelkach oraz jeden emeryt w szaliku i kapeluszu, ale w większości klienci wyglądali, jakby wyszli prosto z banku inwestycyjnego. Na środku stał Khan w długim płaszczu i prążkowanym garniturze. Opierał się o ladę dzielącą pomieszczenie.

Ciemne włosy miał gładko zaczesane, a wzrok wbity w relację z gonitwy w Southwell.

Belsey stanął obok i obserwował wyścig. Kiedy konie wpadły na metę, kilku mężczyzn zmięło kupony i cisnęło je na podłogę. Khan wyjął spod pachy gazetę i rozłożył ją na blacie.

- Posterunkowy Belsey - powiedział. - Wiem, co za chwilę usłyszę.

- Wątpię.

- Mój informator wprowadził mnie w błąd. To był fatalny tydzień i przegrałem więcej niż ty. Taką przynajmniej mam nadzieję.

- Nie wątpię.

- Na przeprosiny zdradzę ci innego pewniaka. Na sto procent. - Zniżył głos. - Jęczmień Browarniany.

- A może Aleksiej Devereux? - spytał Belsey.

Tamten tylko na niego popatrzył.

- Albo projekt „Budyka”?

Podał Khanowi wizytówkę Devereux. Ten obejrzał ją, potem położył na dłoni. Zniknęła. Odwrócił rękę i znów się pojawiła.

Przez dłuższą chwilę milczał. Wodził wzrokiem po

pomieszczeniu. Sprawdzał, kto znajduje się w zasięgu słuchu, i wreszcie zatrzymał spojrzenie na Belseyu.

- Co o nim wiesz?

- To, co mi powiesz.

Khan podszedł do okienka i podał kasjerowi kwitek. Patrzył, jak chłopak odlicza dwieście funtów w dwudziestkach, i schował pieniądze do kieszeni.

- Sądzisz, że będziesz mógł pomóc? - spytał Belsey.

- Może.

- Za tę forszę stać cię na drinka.

- A gdybym odpowiedział „tak”?

- Wtedy ja bym ci postawił.

White Hart był jednym z tych stareńkich pubów o niskich stropach, które wessały się w tkanekę miasta niczym pasożyt w żywiciela. Wpadali tu i robotnicy, i ważniacy w garniturach.

Ukrywali się w ciemnych kątach, kłamali do telefonów. Przychodzili na piwo i biurowy romans. City zakamarków i tajemnic, pomyślał Belsey.

- Gdzieś na pewno wybiła już piąta, nie? - usprawiedliwiał się Khan, podnosząc kufel.

Zajęli pustą wnękę.

- A gdzieś na pewno podają ostatnią kolejkę. - Belsey stuknął się kuflem z maklerem. - Za lepszą passę.

- Moją czy twoją?

- Moją. Mów.

Khan wypił połowę piwa i wytarł usta.

- Co wiesz o tym projekcie?

- Przez niego giną ludzie - odparł Belsey. - A co ty wiesz?

- Aleksiej Devereux to gruba ryba. Ostatnio wszyscy o nim mówią. I o transakcji, która na dniach zostanie sfinalizowana.

To wszystko.

- Projekt „Budyka”.

- Być może.

- Od kogo o tym wiesz?

- Od przyjaciela.

- Którego?

Khan znowu wypił solidny haust. Najwyraźniej to dodawało mu odwagi.

- Emmanuel Gilman.

- Kto to?

- Złoty chłopiec.

- Powiedz mi o Gilmanie, złotym chłopcu.

- Zarządzający funduszami, trochę narwany. Poznałem go jeszcze w Cambridge. Ponoć zapowiadał się na świetnego filologa klasycznego, ale nie potrafił usiedzieć spokojnie. Większość czasu spędzał na zakładaniu stron dla świrów wierzących w UFO. Tak przekonujących, że kupiłby to największy cynik.

Miesiąc przed egzaminami końcowymi łowcy głów zaproponowali mu pracę w funduszu hedgingowym. Rok później założył własny.

- Nie widzę tu szaleństwa.

- Lubi efektowne zagrywki. Na przykład na przyjęciu wypija drinka, a potem zjada kieliszek. To właśnie w jego stylu. Od kilku lat utrzymuje się na topie, więc kiedy zaczął mówić o Devereux, ludzie uważnie słuchali. On wie wszystko. Twoja kolejka.

Belsey zamówił drugie duże piwno dla Khana i małą whisky dla siebie. Gardła w City trzeba solidnie nawilżać. Khan podniósł kufel i już miał wypić, ale zamyślił się wpatrzony w przestrzeń.

- Kilka tygodni temu Emmanuel zaczął mówić o Devereux z coraz większym zapałem. Wspomniał, że dostał cynk. A jeśli on coś takiego mówi, to wiadomo że chodzi o prawdziwą bombę. - Khan westchnął. - Tak w każdym razie było do niedawna.

Teraz to bez znaczenia. Wczoraj próbowałem do niego zadzwonić i usłyszałem, że zamykają interes.

- Zamykają?

- Wyprzedają wszystko, co się da. Za gotówkę. We wtorek o szóstej rano zwołał pracowników i kazał wszystko sprzedać.

Powiedział, że to koniec. Podobno stracili cztery miliardy,

uratowali dwa i na tym zakończyli.

- Ale co się stało?

- Bój jeden wie.

- Założę się, że próbowałeś zasięgnąć języka. Odświeżyłeś stare kontakty, zadzwoniłeś w kilka miejsc, popytałeś o „Budykę”. Może zainteresował się nim wydział do spraw przestępczości gospodarczej i zorganizowanej?

- Wykonałem serię dyżurnych telefonów, ale ludzie nie są już tak przyjacielscy jak kiedyś. A tyle się trąbi o tym, że policja ma służyć społeczności lokalnej. - Westchnął. - City potrzebuje pomocy, Nick. Zamykają się jedne drzwi, a drugie, zamiast się otworzyć, też się zatrzymują.

- Daleko mu jeszcze do wymarłego miasta.

- Ale z dnia na dzień coraz bliżej. - Napił się. - Za to ty wyglądasz nieźle. Zawsze spadasz na cztery łapy.

- Naprawdę dobrze wyglądam?

- Tryskasz energią. Co bierzesz?

- Tylko chesteze.

- Nie wyglądasz mi na astmatyka.

- Dzięki Bogu za chesteze.

- Jak ty to robisz, że zawsze jakoś bierzesz się w garść? - westchnął Khan zazdrośnie.

- Chryste Panie. - Belsey wpatrzył się w swoją whisky.

- To jaki cynk dostał Gilman?

- Nie wiem. Czemu pytasz?

- Aleksiej Devereux zostawił kilka niezapłaconych rachunków.

- Nie on jeden.

Khan dopił piwo. Belsey zastanawiał się nad kolejnym ruchem, kiedy zobaczył, jak do pubu wchodzi Buckingham. Zrobiło mu się niedobrze.

- Zastanawiałem się, czyby nie wstąpić do policji - powiedział Khan, nie dostrzegając nowego gościa.

- Pomyśleć zawsze można.

- Recesja wam niestraszna.

Buckingham siadł przy barze, bacznie przyglądając się ich odbiciu w lustrze. Belsey przypatrywał się mu, szukając zarysu broni pod ubraniem. Wprawdzie koleś nie wyglądał na gościa, który chodziłby z gnatem, ale nigdy nie wiadomo.

- Znasz tego faceta, który nas obserwuje? - spytał Belsey.

Khan zerknął na Buckinghama i pokręcił głową.

- Pierwszy raz widzę go na oczy.

- Od rana za mną łązi. Nazywa się Pierce Buckingham.

- Gapi się prosto na nas.

- Kiepski z niego ogon. Wyjdę. Ruszy za mną. Ty zostań tutaj. Gdyby coś mi się stało, zadzwoń do redakcji „Mail on Sunday”. Spytaj o Charlotte Kelson.

- Spuściłeś z tonu.

- Trzymaj się.

Belsey wyszedł z pubu. Buckingham wstał i ruszył za nim.

Belsey przemknął się na drugą stronę, pod mury szpitala St Bartholomew's, potem okrążył stary targ i skierował się do kościoła St Sepulchre-without-Newgate. W wypełnionej po brzegi świątyni właśnie trwało nabożeństwo w języku kantońskim.

Usiadł przy obelisku. Buckingham czekał przy bramie. Belsey wstał, rozejrzał się i znalazł drugą furtkę. Energicznie przemaszerował Gresham Street, zanurkował do jakiegoś pubu i siadł przy barze. Chwilę potem do lokalu wkroczył Buckingham.

Zajął stolik za plecami Belsey'a. Niczego nie zamówił, tylko wpatrywał się w niego martwym wzrokiem. Wybrzuszenie nie wyglądało na broń. Raczej na kamizelkę kuloodporną.

Belsey znowu wyszedł i udał się w stronę banku centralnego. Buckingham za nim. Belsey trzymał się blisko brudnej, pozbawionej okien fasady. Miał wrażenie, że kroczy w cieniu gigantycznego grobowca. Przestał uciekać. Zatrzymał się i w czarnej szybie japońskiej restauracji obserwował ulicę za sobą.

Buckingham stanął. Belsey stracił cierpliwość. Najlepszy sposób, żeby zgubić ogon, to iść za nim. Odwrócił się i ruszył prosto na Buckinghama. Ten się cofnął, ale nie uciekał. Belseyowi wydawało się, że dostrzegł na jego twarzy uśmiezek. Buckingham

spokojnie skręcił w boczną ulicę, a potem jeszcze głębiej, w labirynt wąskich przejść. Change Alley, Pope's Head Alley.

Szli tak w odstępie kilku metrów - przez Cornhill, zatłoczoną Old Broad Street - aż wreszcie dotarli do burego, zapuszczonego kościoła tuż przy dawnych murach miejskich. „Wszystkich Świętych” - głosiła brudna tablica przy wejściu. Buckingham pchnął masywne drzwi. Uchyliły się. Weisnął się do środka.

Belsey natychmiast wsunął się za nim, nie dając mu czasu na ukrycie się ani przygotowanie zasadzki. W kościele panował mrok. Słabe promienie z trudem przebijały się przez okna pod sufitem. Posadzkę zaścielały zwiędłe liście. Buckingham podszedł do pierwszej ławki. Usiadł, zerkając na obraz nad ołtarzem: płataninę ciał odzianych w długie szaty, wpatrzonych w oślepiająco białe światło. Belsey zajął miejsce za nim, w drugiej ławce, nieco na ukos, żeby widzieć jego twarz.

- Czego chcesz, Pierce? - spytał.

W kościele było niemiłosiernie zimno. Unosił się słaby zapach cedru i kadzidła.

- Chcę, żeby zabili ciebie, zanim zabiją mnie - odparł Buckingham spokojnie, nie odrywając wzroku od ołtarza. W świetle wpadającym przez brudne okna było widać jego wielkie oczy, jasną szczecinę na brodzie i brud na kołnierzyku. Tak wyglądał ktoś, kto od kilku dni nie nocował w domu, pomyślał Belsey i zauważył czarne zapięcia kamizelki kuloodpornej wystające spod marynarki. - Chcę wiedzieć, dlaczego mam umrzeć.

- Jakież pomysły?

- Kim jesteś?

- Nie tym, za kogo mnie masz.

- Co się stało z Aleksiejem Devereux? - spytał Buckingham.

- Nie żyje.

Buckingham przetrwał to przez chwilę.

- A ty? Jesteś martwy? - spytał.

Na jego twarzy znów pojawił się ten koszmarny uśmieszek.

Wciąż nie odwrócił się do Belseya. Dopiero teraz policjant zauważył w jego ręce scyzoryk. Nowiutki, prosto ze sklepu, z krótką czarną rączką i siedmioipółcentymetrowym ostrzem.

- Jeszcze nie - odparł Belsey. Buckingham się zaśmiał.

- Nawet jeśli umrę, dla ciebie to się nie skończy.

- A kiedy się skończy? - dopytywał się Belsey, nie spuszczać wzroku z ostrza.

Buckingham trzymał go nonszalancko. Zdąży się uchylić przed ciosem. Ale i tak nie wyglądało to szczególnie przyjacielsko.

- Nie wiem. Może zostawiają sobie ciebie na deser. Tłumaczyłem, że to o ciebie im chodzi.

- Komu tłumaczyłeś?

- Nie odpuszczisz. Sam o tym najlepiej wiesz. Kimkolwiek jesteś. Kiedy mnie dopadną, pamiętaj: ty będziesz następny.

Belsey wyjął artykuł z „Al-Hayat” i rozłożył kartkę.

- Co to jest, Pierce?

Buckingham obejrzał się i zerknął na wycinek.

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Już nie.

- A wyglądałeś na całkiem zadowolonego.

- Ja? - zdziwił się Buckingham. - Faktycznie. - Z ust mu śmierdziało. Popatrzył Belseyowi w oczy. - Kim jesteś?

- Powiedz, co to za projekt „Budyka” - drażył Belsey.

Buckingham zmarszczył się, nie rozumiejąc, potem na jego twarzy pojawiło się pomieszane ze zgrozą niedowierzanie.

- Powiedz mi, kim jesteś - wyszeptał.

Gdzieś zawarczał motocykl. To wystarczyło, by śmiertelnie przerazić Buckinghama. Zerwał się i na oślep machnął scyzorykiem. Belsey cofnął się i patrzył, jak ostrze siecze powietrze.

Buckingham obrócił się na pięcie i popędził przez kościół, przewracając ławkę, po omacku sięgając do klamki i wypadając na zewnątrz.

Belsey siedział jeszcze przez minutę, wpatrując się w drzwi, czekając na odgłos, na strzał. Nie doczekawszy się, wstał i, szeleszcząc suchymi liśćmi, wyszedł na chłodną ulicę.

Rozdział trzydziesty szósty

W biurze unosił się zapach tłuszczu. Rosen siedział z nosem w torebce ze smażonym kurczakiem. Na widok Belseya odłożył jedzenie.

- Co to za Charlotte Kelson? - zaatakował.

Belsey przyglądał się mu, układając w myślach odpowiedź.

Z twarzy Rosena niczego nie dawało się wyczytać.

- Taka jedna, przespaliśmy się. Trochę niezręczna sytuacja.

Nigdy nie poruszali tematów osobistych. Rosen może kilka razy odebrał telefony, których Belsey chciał uniknąć. I raz, późnym wieczorem w pubie Rosen zapytał Belseya, gdzie się strzyże. Głębiej się nie zapuszczali. Jakiś intrygujący szczegół z życia - to im w zupełności wystarczało.

- Bo co? - spytał Belsey.

- Odsłuchaj wiadomość.

Belsey włączył automatyczną sekretarkę.

- Nick, mówi Chris Starr z PO Ochrona. Tak, wiem, dawno się nie odzywałem. Mam małą prośbę. Chodzi o twoją sąsiadkę, dziennikarkę. Charlotte Kelson. Jakieś stare sprawy, plotki, ploteczki, scysje. Sam wiesz. Zadzwoń. Czeka tu na ciebie dwudziestoletnia whisky.

Belsey spojrzął na Rosena, całkowicie skupionego na kurczaku. Nigdy nie wiedział, czy ten udawał, czy naprawdę był nieobecny duchem.

- Do ciebie też z tym dzwonił? - spytał Belsey.

- Do każdego.

- Powiedziałeś mu coś? - Nic.

PO Ochrona stanowiła dodatkowe źródło dochodu dla wielu zdolnych młodych funkcjonariuszy i kilku starych wyg. Z jej usług korzystały ambasady, członkowie rodziny królewskiej, banki, rosyjskie i amerykańskie korporacje oraz spora grupa wysoko postawionych osób, które chciały załatwić sprawy leżące w gestii

policji, nie angażując jej w to. Firmę założył Chris Starr, były członek londyńskiej lotnej brygady. Według jednej wersji pewnego dnia uznał, że z policyjnej pensji nigdy nie będzie go stać na ukochane włoskie samochody, więc postanowił przejść na swoje. Według innej dyskretnie wycofał się ze służby, żeby uniknąć dyscyplinarnej oraz licznych oskarżeń o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Ale odchodząc, zabrał z sobą cenny notes z adresami. Wieść niesła, że znajdował się tam kontakt do Northwooda i osób z jego najbliższego kręgu. Belsey poznał Starra na przyjęciu urodzinowym kumpla z wydziału antynarkotkowego. Starr od dwóch lat już nie służył w policji i wyglądał najzdrowiej ze wszystkich. Był tylko o kilka lat starszy od Belseya. Podeszedł do niego pod koniec imprezy. „Masz chwilę?” Oczy mu błyszczały. Zaprowadził Belseya na parking, gdzie stało żółte alfa romeo. „Kupione za gotówkę” - pochwalił się, klepiąc maskę. Belsey podziwiał wóz.

Nie zdziwiłby się, gdyby Starr powiedział, że w kierunkowskazach są ukryte działka. Dumny posiadacz auta przez dziesięć minut rozplątywał się, jakiego to wyposażenia nie ma, po czym ścisnął Belseya za ramię i wsunął mu do ręki wizytówkę. PO Ochrona. „Co znaczy PO?” - spytał Belsey. „Prywatna ochrona”. „Prywatna Ochrona Ochrona?” „Bystrzak” - pochwalił go Starr. „Słyszałem o tobie wiele dobrego, Belsey. Gdybyś kiedyś szukał odmiany, zadzwoń”.

Belsey zawsze szukał odmiany. Tydzień później udał się więc do siedziby firmy mieszczącej się w nowym, krzykliwym budynku między Baker Street a Edgware Road. Tam został oprowadzony po biurze, poznał warunki placowe i dostał cygaro. Starr - dumny jak paw - pokazał mu pomieszczenie z gadżetami: ukrytymi mikrofonami, pluskwami, urządzeniami namierzającymi. Podkreślał, że ich sprzęt pod każdym względem przewyższa to, czym dysponuje policja. To jednak jakoś nie kręciło Belseya. Czuł, że robota polegałaby na grzebaniu w cudzych brudach - głównie rozwody i roszczenia ubezpieczeniowe - a sam Starr był egoistą, który lubił znęcać się nad pracownikami. Kilka miesięcy później

prowadzono śledztwo w sprawie PO, gdy okazało się, że firma miała związki z deweloperem poszukiwanym za usiłowanie morderstwa. Starr zapewniał mu ochronę i system zagłuszania. Tak się również dziwnie złożyło, że podsuwał lukratywne zlecenia każdemu policjantowi prowadzącemu to śledztwo. Sieć okazała się zbyt spleciona i w końcu wycofano oskarżenie wobec Starra - czemu towarzyszyło mnóstwo porozumiewawczych mrugnięć i jeszcze więcej drinków. Po pewnym czasie także dewelopera uwolniono od zarzutów, więc wszyscy byli zadowoleni.

Belsey odsłuchał wiadomość jeszcze raz, potem ją skasował.

Oddzwonił do Starra.

- Chris, tu Nick Belsey.

- Nick, jak sprawy i sprawki?

- Niełatwo. A u ciebie?

- Powolutku. Dotarła do ciebie moja wiadomość?

- Charlotte Kelson.

- To dziennikarka. Pracuje w „Mailu”, ale mieszka niedaleko Archway. Zastanawiałem się, czy może nie masz na nią jakiegoś haka.

- Nie przypuszczam. O co chodzi?

- Ostatnio zrobiła się ciut za wścibska. Ale myślę, że i tak coś znajdziemy.

- W jakim sensie?

- Złożymy jej wizytę po południu. Powiedz chłopakom, żeby się nie spieszyli, jeśli ktoś niepotrzebnie narobi rabanu.

- Załatwione.

Belsey zadzwonił na komórkę Charlotte. Nie odbierała. Zatelefonował do redakcji, ale powiedzieli mu, że dziś pracuje w domu. Popędził do garażu, i ciężko dysząc, wskoczył do samochodu szybkiego reagowania. W siedem minut dojechał do Archway - syreny, kogut i klakson. Przecznicę przed jej domem wyłączył syreny. Stał na zakazie parkowania.

Wszystkie zasłony w domu Kelson były zaciągnięte, drzwi wejściowe uchylone. Nie podobało mu się to połączenie.

Bezszelestnie wsunął się do środka.

Od przedsionka do kuchni w głębi prowadził korytarz. W połowie wyrastała klatka schodowa wyściełana beżową wykładziną. Na górze leżała Charlotte. Ręce i stopy miała związane, w usta wepchnięty knebel, ale centymetr po centymetrze przesuwała się do najwyższego stopnia. Z trudem oddychała.

Belsey ostrożnie szedł po schodach. Przeżrana Charlotte szerzej otworzyła oczy. Przytknął palec do ust, uwolnił ją z więzów i wyjął knebel. Przez otwarte drzwi gabinetu na piętrze zobaczył mężczyznę w białej jedwabnej kominiarce grzebiącego w szafkach.

Charlotte zachłysnęła się, głośno chwyając oddech.

Intruz się obejrzał. Belsey rzucił się na niego, wymierzając cios w twarz. Tamten runął na wznak. Poderwał się, wyciągnął z kieszeni pałkę sprężynową i zamachnął się. Pałka otarła się o bark Belseya. Zaatakował jeszcze raz, ale nadzieją się na prawą pięść policjanta, aż odskoczyła mu czaszka. Teraz Belsey natarł głową, z całej siły uderzając czołem w grzbiet jego nosa. Intruz się zachwiał. Belsey próbował chwycić go w żelazny uścisk, ale zdrętwiała mu prawa ręka. Lewą ręką wymierzył potężny cios w szczękę przeciwnika. Na jedwabnej kominiarce pojawiła się krew. Belsey próbował ją zderzeć, ale mężczyzna się odwrócił.

Chwycił go za nadgarstek, chcąc go unieruchomić, lecz napastnik znał chwyt policyjne i nie zamierzał łatwo się poddawać.

Raz za razem walił wczepionym w siebie Belseyem o ścianę.

Z półek posypały się wazony i bibeloty. Charlotte chwyciła z podłogi jakąś nagrodę dziennikarską - ołowiane wieczne pióro na ciężkim drewnianym cokole - i rąbnęła nią intruza w głowę.

Nie był zachwycony. Odwrócił się, klnąc i młóćąc ramionami jak cepem. Belsey odniósł nieodparte wrażenie, że intruz nie lubił, jeśli przeciwnicy mieli przewagę liczebną. Charlotte zamachnęła się jeszcze raz, tym razem celując w twarz. Zamaskowany mężczyzna zachwiał się, nieomal przewrócił, a potem rzucił się w dół po schodach do drzwi.

- Niech ucieka - powiedział Belsey.

- Niech ucieka?!

Belsey patrzył, jak mężczyzna, wciąż zamaskowany, wskakuje do niebieskiej renówki i rusza, z chrzęstem zmieniając biegi.

- Co to, kurwa, było?! - krzyknęła Charlotte.

- Nasze zwycięstwo. Dobrze się czujesz?

- Lepiej niż trzy minuty temu.

Wrócili do gabinetu, w którym grasował intruz. Stało tam biurko, na półkach leżały teczki z dokumentami i książki. Charlotte, wciąż rozdygotana, usiadła na fotelu. Belsey chwycił jej dłonie i przyjrzał się nadgarstkom. Krew znowu zaczęła normalnie krążyć. Puścił je.

- Wezwać policję? - spytała.

Wzięła komórkę, wpatrzyła się w nią niewidzącym spojrzeniem i odłożyła na blat. Przeciągnęła rękami po twarzy. Zamknęła oczy. Otworzyła.

- Nie - powiedział. - Gość będzie na ty z chłopakami z patrolu.

- Skąd wiesz?

- Pracuje w prywatnej firmie ochroniarskiej.

Podszedł do szafki, w której grzebał intruz.

- Mało kto trzyma w takim miejscu biżuterię - powiedział, wysuwając szufladę. - Jaką to sprawą się zajęłaś, że tak się tobą zainteresowali?

- Poradzono mi, bym ci nie ufała.

- Jasne. Specjalnie podrzucali ci ochłapy, żebyś się dała złapać. Moim zdaniem akurat ufając mi, wybierzesz najmniejsze zło.

Spojrzała na niego.

- Decyzja należy do ciebie, Charlotte. Możesz mi zaufać albo nie. Opowiedz o tym gościu, który tak ochoczo informował cię o mojej sytuacji finansowej.

- To był anonimowy telefon.

- Co ci powiedzieli?

- Że jesteś bankrutem.
- Ten sam człowiek, który wysłał cię do kasyna?
- Tak przypuszczam.
- Jak byś go opisała na podstawie głosu?
- Mężczyzna, Brytyjczyk, w średnim wieku.

Belsey zamknął szufladę.

- Słuchaj. Ewidentnie ktoś próbuje nas zapędzić w kozi róg.

Spotkanie w kasynie zostało zaaranżowane tak, byśmy zrozumieli, kto tu rządzi. Wiedzą, że depreczemy im po piętach. Ty i ja. Razem staliśmy się niebezpieczni, bo jesteśmy o krok od prawdy. Dlatego próbują nami manipulować, żebyśmy wzajemnie utrudniali sobie pracę, a do tego jeszcze blokowali tych, którym nadepnęli na odcisk. Przyznasz, że nie znaleźliśmy się w szczególnie komfortowej ani bezpiecznej sytuacji. Dlatego byłoby dobrze, gdybyś jednak spróbowała mi zaufać.

- O co naprawdę chodzi w tej grze?

- O to, żeby coś uszło im płazem. Przypuszczam, że ma to związek z Miltonem Granbym i City. Sama mówiłaś, że typek coś knuje. Wiesz co?

- Nie rozgryzłam szczegółów. Wiem tylko, że chodzi o to, by na jego rachunki wróciły pieniądze. Krwawisz - powiedziała.

Zaprowadziła go do łazienki. Wargę krwawiła w miejscu, gdzie otworzyło się stare skaleczenie. Z trudem też podnosił prawe ramię. Zdjął koszulę i sprawdził przyczynę. Prawy łokieć był opuchnięty. Ale jego najbardziej wkurzało to, że jakiś głos w słuchawce mógł go aż tak wycykać.

Charlotte przysiadła na brzegu wanny, obserwując go.

- Naprawdę sądzisz, że strzelanina w Starbucksie ma z tym związek?

- Wiem o tym. Jessica Holden miała romans z Aleksiejem Devereux.

- Licealistka? - spytał Charlotte z niedowierzaniem.

- Przyznaj. Aż tak cię to dziwi?

Umilkła. Włożył koszulkę. Widział, że Charlotte intensywnie myśli.

- Naprawdę należysz do jednostki-widmo?

- Czy to aż takie ważne? - Pochylił się nad umywalką i opłukał twarz. - Wpadliśmy na ten sam trop, weszliśmy w paradę tym samym ludziom. - Wziął od niej ręcznik. - Czego jeszcze dowiedziałaś o Devereux?

- Ustaliłam, dlaczego niektórym mieszkańcom Hampstead aż tak przeszkadzało jego sąsiedztwo.

- Mianowicie?

- Hazard to jego namiętność, zwłaszcza kasyna i tory wyścigowe. Jest właścicielem torów w całym Afganistanie i Rosji.

Nie liczy się ze zwierzętami. Bezlitośnie je eksploatuje. W niektórych gonitwach wygrywa ten wierzchowiec, który padnie ostatni. Podobno to wyjątkowo rentowny biznes, ale mnie coś takiego nie kręci.

- Petycję rozesłał do redakcji sam Devereux. Ściągnęła brwi.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Wyssał to z palca.

- Nie rozumiem.

- Ani ja. Może zrobił to, żeby nagłośnić swoją obecność.

Może lubi kłopoty? Jeszcze coś, co może cię zainteresować.

Wiesz, kto podpisał się na jego wniosku wizowym?

- Kto?

- Sam Granby. Devereux miał się pojawić na przyjęciu, które Granby wydał wczoraj. Nieformalne spotkanie hojnych przemysłowców i finansistów o wielkim sercu. Devereux wsparł Fundację Dzieci City i na kilka tygodni przed śmiercią wystąpił o obywatelstwo brytyjskie. Pod wnioskiem znowu podpisał się Granby. Tych dwóch mogło coś łączyć, ale Granby wypiera się, jakoby kiedykolwiek spotkał Devereux. Choć nie kryje równocześnie, że byłby zainteresowany takim inwestorem.

- Rozmawiałeś z nim?

- Krótko. Wszystko sprowadza się do jakiegoś przedsięwzięcia o kryptonimie projekt „Budyka”. Tylko tyle wiem.

Po to Devereux przyjechał do Londynu. Na pewno nic ci nie jest?

Wyglądała, jakby się już pozbiierała. Tylko wciąż miała potargane włosy, jakby dopiero co wstała z łóżka. Marzył, by z powrotem ją do niego zaprowadzić.

- Pójdę do redakcji - powiedziała. - Zdaje się, że z tego będzie prawdziwa bomba.

Belsey odprowadził ją do stacji metra Archway. Nigdy nie wiadomo, czy zza węgła nie wyskoczy kolejny pracownik firmy ochroniarskiej. Przed wejściem pocałowała Belseya w usta.

Mocno. Zaskoczony odpowiedział równie intensywnie.

- Czy to oznaka zaufania? - spytał później.

- Nie. To oznaka skrajnej głupoty.

Ale nie powiedziała tego tonem osoby, która uważa się za głupią.

- Charlotte, został ci jakiś urlop?

- Bo co?

- Może pojechalibyśmy na wakacje. Kiedy to już się skończy.

- Może. Dokąd?

- Jeszcze nie wiem. Gdzieś, gdzie nie obowiązują umowy ekstradycyjne, gdzie banki idą klientom na rękę, a granica jest nieszczelna.

- Brzmi bardzo obiecująco.

Wiatr, który zawsze hulał wokół Archway Tower, przykleił im do nóg reklamówki i furkoczące strony starych gazet. Belsey próbował przywołać się do porządku. Musiał być skończonym durniem, wyobrażając sobie, że będą kontynuować tę znajomość. Na swoje usprawiedliwienie jednak miał to, że dawno już tak się nie czuł. Poza tym na dzień dobry zaprzepaścił szanse tego związku.

- Ale najpierw niech się dowiem, co jest grane - ciągnęła Charlotte. - Sądzisz, że możemy jeszcze poczekać z ucieczką?

- Jasne - zapewnił.

Rozdział trzydziesty siódmy

Ostatnie półtora roku musiało być dla Prywatnej Ochrony

wyjątkowo udane. Belsey podszedł do drzwi biura - bezszelestnie się rozsunęły. Zmienił się też wystrój. Pojawiła się recepcja z logo na ścianie, niski stolik dla gości z wyłożonymi egzemplarzami „Financial Times” i „The Economist”. Logo nawiązywało do statui sprawiedliwości na budynku Centralnego Sądu Karnego. Ta sama ręka z wyciągniętym mieczem. Większość agencji urządza swoje biura nijako, bez polotu. Inne wolą imponować klientom gadżetami, artystycznymi czarno-białymi fotografiami stolic. Starr wybrał to drugie. I chyba słusznie.

Dawał do zrozumienia, że jego firma stawia na profesjonalizm, a nie opiera się na dobrej woli kilku szemranych typków.

- Przyszedłem do Chrisa - zwrócił się Belsey do recepcjonistki.

- Rozmawia z klientem. Proszę chwilę poczekać.

Belsey usiadł i wziął do ręki broszurkę. Na okładce było zdjęcie kuli ziemskiej, wokół której orbitował laptop i odcisk palca. W środku PO Ochrona przedstawiała się jako „pierwsza prywatna agencja detektywistyczno-ochroniarska w sercu Londynu, działająca w stolicy od dwudziestu pięciu lat”. Kłamstwo.

Nasi prywatni detektywi i śledczy przeprowadzą każde dochodzenie, zwłaszcza w takich dziedzinach, jak finanse, gospodarka, prawo karne i cywilne.

Zapewniamy niezobowiązujące konsultacje telefoniczne oraz w siedzibie firmy. Gwarantujemy całkowitą dyskrecję. Ręczymy, że spotkają się u nas państwo z życzliwym i profesjonalnym podejściem.

Agencja specjalizowała się w następujących dziedzinach: problemy małżeńskie/rodzinne, usuwanie podsłuchu, adopcja/poszukiwanie rodziców biologicznych, przestępczość internetowa, kryminalistyka. Oferowała także usługi ochroniarskie: eskorta konwojów, ochroniarze, pilnowanie siedzib miliarderów podczas ich weekendowych wypadów.

Belsey odłożył broszurę i sięgnął po „The Economist”. Pięć

minut później z gabinetu Starra wypadł wzburzony facet w beżowymi garniturze. Za nim wyszedł krępy mężczyzna w szarym garniturze niosący przezroczystą torebkę z podartymi kartkami. Miał kozią bródkę i ogoloną na łyso czaszkę z fałdami różowej skóry. Z daleka wyglądał na policjanta. Zmierzył Belseya typowym gliniarskim wzrokiem pełnym podejrzliwości.

Po chwili w drzwiach pojawił się Starr z promiennym uśmiechem i wyciągniętą ręką.

- Nick, zapraszam.

Jego nastrój wydawał się wymuszony, a oznaki dobrego zdrowia zbyt ostentacyjne. Mimo to wciąż pozostał showmanem. Miał na sobie niebieski garnitur i krawat w tym samym odcieniu. Włosy smarował brylantyną. Wyglądał jak ucieleśnienie eleganckiego prywatnego detektywa. Patrząc na niego, Belsey czuł dreszcze.

- Czym mogę służyć?

Starr wpuścił Belseya do środka, pokazał mu fotel. Belsey zamknął drzwi i usiadł. Starr też.

- Szukam swoich biologicznych rodziców.

- A kto nie szuka? Moi wiszą mi trzy kafle.

- Jak interes?

- Po prostu niesamowicie. - Starr błysnął białymi zębami.

Na skórze tuż przy włosach widać było delikatną mgiełkę potu.

Zerknął na zegarek. - Ale serio. Co cię sprowadza?

- Chcę się dowiedzieć, jaki masz związek ze strzelaniną w Starbucksie.

Uśmiech stęzał na twarzy Starra jak beton. Splótł dłonie na biurku, jakby powstrzymywał się, by nie zacisnąć ich na gardle Belseya.

- Skąd przypuszczenie, że moglibyśmy mieć z tym coś wspólnego?

- Dzwoniłeś do mnie, wpytując o Bogu ducha winną dziewczynę nazwiskiem Kelson. Skąd to zainteresowanie?

- Bo ona interesuje się nami.

- Zajmowała się sprawą, która moim zdaniem ma związek z zabójstwem Jessiki Holden.

- Co właściwie wiesz, Nick?

- Nadal chcesz mnie zatrudnić? Jestem tani.

- Jeśli jesteś w posiadaniu jakichś informacji, radzę się nimi podzielić. Inaczej możesz się znaleźć w bardzo niezręcznej sytuacji.

- Nie znoszę niezręcznych sytuacji - odparł Belsey. - A wiem tylko, że nagle dziwnie się nastroszyłeś. Strzelałem w ciemno.

- Nie mamy nic wspólnego z żadnym morderstwem - wyszczał przez zęby.

- To co znaczyło poprzednie zdanie? Starr nachylił się i palcem pokazał drzwi.

- Wypierdalaj, Nick. Żebym cię tu więcej nie widział. Belsey nie ruszył się z miejsca. Rozglądał się po gabinecie i myślał.

- Powiem dużymi literami: dostarczałeś informacji klientowi, który posłużył się nimi, by zlikwidować małą. Nie wiedziałeś, że facet chce kogoś sprzątnąć, ale tak czy inaczej sytuacja nie wygląda najlepiej. Zwłaszcza jeśli ma się tyłu przyjaciół co ty. Nie wygląda najlepiej. Oj, nie.

Starr odchylił się w fotelu i zbył to machnięciem ręki.

- Pieprzenie - powiedział.

- Ale sprawdzałeś dziewczynę - podjął Belsey. - Wiedziałeś, że z kimś się umówiła. Może założyłeś podsłuch na jej telefon.

- Kogo sprawdzamy, to nasza sprawa. To zostaje między nami a klientem.

- Kto jest twoim klientem?

- Miałem cię za bystrzaka, Nick. Dlatego zaproponowałem ci pracę. Teraz cieszę się, że zabrakło ci jaj, żeby do nas przejść. Nie przeciągaj struny. Wierz mi, tę sprawę lepiej zostawić w spokoju. Zwłaszcza że i tak jej nie wyjaśnisz.

- Kogo wysłałeś do Charlotte Kelson?

- Bo co?

- Przekaż mu, że na boksera to on się nie nadaje. I ma zostawić dziewczynę w spokoju.

- Dlaczego? Śpisz z nią?

- Ty pewnie wiesz najlepiej.

Starr pochylał się purpurowy ze złości.

- Różnij, kogo chcesz, Nick, ale nie wtrącaj się do tej sprawy. Niech cię nie obchodzi, zwłaszcza że to i tak ponad twoje siły i możliwości.

Belsey obserwował jego zaciśnięte dłonie, czerwoną twarz, pulsującą żyłę na szyi. Gdyby siedział przy pokerowym stoliku, powiedziałby, że gość zaraz pęknie. Powoli docierało do niego, że sytuacja wygląda stokroć gorzej, niż przypuszczał.

- Co naprawdę jest grane? - spytał.

- Dlaczego miałbym ci powiedzieć?

- Bo mam informacje, które by ci się przydały. Wiem to i owo o Aleksieju Devereux.

Nazwisko Rosjanina wywołało tę samą reakcję co zawsze.

Starr nagle się wyciszył i popadł w zadumę.

- Nicku Belsey... - odezwał się po chwili, kręcąc głową. Z ust wyrwało mu się westchnienie, być może pełne uznania, ale Belsey słyszał w nim raczej frustrację.

- Dlaczego się nim interesujecie? - spytał.

Starr znów się odchylił. Odetchnął głęboko, przymrużył oczy.

- Za to nam płacili.

- I co się stało?

- Straciliśmy jednego człowieka.

- Straciliście?

- Zniknął. Nie wiem, gdzie ani jak, ale pracował nad Devereux.

- Kiedy to się stało?

- Kilka dni temu. - Wbił wzrok w wykładzinę. Był wściekły i nawet nie próbował tego ukryć. - Sam widzisz, że i jedno, i drugie nas dotyczy. Kapujesz?

- Kapuję.

- Skończyłeś już?

- Nie. Co to za agent?

- Graham Dougsdale. Były tajniak. Jeden z naszych najlepszych pracowników. Idealnie nadawał się do śledzenia i obserwacji. Ustalił, gdzie mieszka ten cały Devereux.

- Gdzie twoim zdaniem?

- Nie dowiedziałem się. Godzinę później Graham zniknął.

Prowadził rekonesans, zrobił zdjęcia. Wiesz, jak trudno sfotografować Aleksieja Devereux? W niedzielę o czternastej Graham zadzwonił, że śledzi gościa i że jest dobrze. Jedzie za nim do domu. A potem nic. Zero kontaktu.

Belseyowi przypomniał się świeżo przekopany splotek ziemi w ogrodzie przy Bishops Avenue. Kto o tej porze roku cokolwiek sadi?

- Gdzie go zgubiliście?

- Gdzieś w Hampstead.

- Dotarły zdjęcia? - Nie.

- Skąd dzwonił?

- Niedaleko stawu Whistestone. Wszędzie go szukamy: w Hampstead Heath, wszędzie. Znajdziemy go i zdobędziemy zdjęcia - mówił, jakby bardziej mu zależało na fotografiach niż na agencie.

- Jakie zdjęcia?

- Devereux i człowieka, który mu towarzyszył. Na coś się zanosi. Nie wiem. Graham uważał, że to coś ważnego.

- Kto was wynajął?

- Tacy jedni.

- A Jessica Holden? Ją też kazali wam obserwować?

- Na to pytanie nie odpowiem. Przyznaj się lepiej, co ty już ustaliłeś.

- Powiedzieliście klientowi, gdzie ją zastanie? Wiedzieliście, że poczętuje ją ołowiem?

- Nie złamaliśmy prawa.

- O, cześć wam i chwała! Wszyscy mają czyste ręczki. Co to za ludzie, Chris? Kto wam płaci?

- Klienci.

- Dlaczego próbują zastraszyć moją sąsiadkę?
 - Nie wiem. - Tym razem Starr wyglądał na szczerego.
 - Czymś musiały ich wkurzyć.
 - Domyślam się. - Odchylił się, rozmasował policzki i popatrzył na Belseya.
 - Myślę, że właśnie dlatego kazali ci ustalić, gdzie tamtego ranka będzie Jessica Holden - powiedział Belsey.
 - Tak przypuszczasz?
 - Może nawet zawiadomię o tym policję.
- Starr spojrział na niego pogardliwie.
- Myślisz może, że nadal cieszysz się wśród kolegów dużą popularnością, Nick?
 - Do czego pijesz?
 - Sporo o tobie słyszałem.
 - Co mianowicie?
 - Ostatnio szczęście cię opuściło.
 - Kto tak twierdzi?
 - Powiedz, co wiesz o Aleksieju Devereux - dociskał Starr.
 - Powiedz, kto cię wynajął.
 - Nie licz na to.
 - Czego chce?
 - Dowiedzieć się, kto ma związki z tym całym Devereux.
- Znać wszystkie szczegóły jego życia. Co się stało z Grahamem?
- Dam ci znać - odparł Belsey, wstając.
 - Nie zadzieraj ze mną - ostrzegł Starr. - Nie wkurzaj mnie, zwłaszcza kiedy stoisz na linii strzału.
 - Ja stoję na linii strzału?
 - Sam się tam pchasz.

Rozdział trzydziesty ósmy

Cieężko pozbyć się trupa. Ludzie mówią, że można rozpuścić w kwasie, ale nawet wtedy zostają zęby i kamienie żółciowe.

Zresztą kto ma w domu kwas solny? Palenie czegokolwiek w Londynie to koszmar. Ogień nigdy nie będzie miał dostatecznej

temperatury, żeby strawić kości. Nawet jeśli poleje się benzyną.

Pozostawał pochówek. Pod warunkiem że zabójcy dopisze szczęście. Jeśli zakopał ciało na mniej niż pół metra, w ciągu tygodnia drapiezniki je odśląnią.

Belsey odstawił radiowóz na Rosslyn Hill i wziął bardziej dyskretnego, nieoznakowanego peugeota. Wrócił na Bishops Avenue. Zimowe popołudnie było ciemne jak noc. Zaparkował przy bocznej ulicy i ostatnią przecznicę pokonał pieszo. Wszedł do mieszkania Devereux, a z niego prosto do ogrodu, zabierając z szafy szpadel. „Grahamie Dougsdale'u, dni człowieka są jak trawa; kwitnie jak kwiat na polu. Ledwie muśnie go wiatr, a już go nie ma”.

Drzewka same wychodziły z ziemi, wystarczyło pociągnąć.

Nie zdążyły się ukorzenieć. Belsey wyrwał iglaki, wyrzucił cebulki na kupkę i zaczął kopać. Po minucie trafił na coś na głębokości trzydziestu centymetrów. Pochylił się. W ziemi połyskiwało coś białego - tak wyglądała tylko kość. Przyjrzał się ostrzu szpadla. Zostały na nim ślady krwi i drobinki ciała.

Belsey poszedł do kuchni po rulon worków na śmieci i gumowe rękawice. Nałożył je i klęknął przy grobie. Po minucie grzebania w ziemi zobaczył czarne kudły. Dziwne. Grzebał dalej. Nadal kudły. Zdjął rękawice, pomacał. Szorstkie. Odgarniał ziemię dalej, aż wreszcie trafił na ogon. W końcu udało mu się - wyszarpnął truchło. Wyciągnął trupa mieszańca dalmatyńczyka z pointerem.

Wpatrywał się w nie przez chwilę. Na szpadlu przeniósł psa do worka i zabrał do kuchni. Tam położył na barku śniadaniowym. Zapalił górne światło. Pies okazał się samcem. Ślepia miał zamglone, gardło poderżnięte.

Belsey zadzwonił do Ishy Sharvani.

- Świetny dowcip, Nick - powitała go. - Jaki?

- Próbkę krwi. Pytałeś, czy są takie same.

- To krew psa.

- Właśnie. Jestem bardzo zajęta...

- Gdzie była psia?

- W opakowaniu z napisem „Kryjówka”. Druga, jak najbardziej ludzka, była na wykładzinie. W próbce z kryjówki znajdowały się psie antygeny. Nie wiedziałeś?

- Dowiedziałem się dopiero teraz.

- Nie ma cienia wątpliwości.

Belsey odniósł psa do grobu i z powrotem przysypał go ziemią. Potem cicho wszedł na górę do kryjówki i długo patrzył na zaschniętą krew. Czuł, że logika świata znowu się przesuwa.

Nie wątpił, że wiele osób miało powody, by zabić Aleksieja Devereux, ale nie rozumiał, dlaczego zadały sobie tyle trudu, by upozorować samobójstwo. To nie pasowało do morderstwa z zemsty. Zbrodnia w afekcie? Owszem. Ale nie morderstwo na zlecenie. Siadł przed konsolą kamer.

Jeszcze raz sprawdził system. A nuż przeoczył jakieś wcześniejsze nagrania? Nie znalazł niczego sprzed swojego pobytu.

Włączył nagrania z ubiegłej nocy.

Na każdym monitorze pojawiał się obraz z czterech kamer.

Każdy w oddzielnej ćwiartce. Jedna kamera znajdowała się przy wejściu na teren posesji, druga - w przedsionku, dwie - w korytarzu na górę, po jednej w gabinecie i salonie, dwie w ogrodzie. Belsey oglądał siebie, jak śpi na kanapie. Nigdy jeszcze nie widział siebie pogrążonego we śnie. Raz zrobili nalot u jakiegoś faceta, który na trzech dyskach zebrał tysiące zdjęć śpiących ludzi, i mieli zagwozdkę, czy uznać to za nielegalne, czy nie. Oglądał zapisy z kamer, ale miał ochotę zamknąć się w kryjówce, pić wodę mineralną, jeść konserwy i czekać, aż niebezpieczeństwo minie. Wtem na monitorze po lewej stronie coś się pojawiło.

Zegar wskazywał czwartą trzydzieści dwie rano. Belsey leżał na kanapie, ramieniem zasłaniając twarz. Do pokoju wszedł mężczyzna.

Belsey zatrzymał nagranie i cofnął. Mężczyzna wszedł z korytarza. Zbliżył się do kanapy, rzucając cień na jego ramię i tors. Nie miał twarzy. Coś całkowicie zniekształcało rysy. Potem się

wycofał.

Belsey czuł teraz na sobie dotyk tego cienia. Jakiś prymitywny instykt kazał mu wstać i obejść wszystkie pomieszczenia, sprawdzić okna i drzwi. Dopiero wtedy wrócił przed monitor i próbował zrozumieć, co widzi.

Kamera w przedsionku sfilmowała intruza, kiedy wszedł do mieszkania. Skierował się prosto do panelu i wprowadził kod.

Na twarzy nosił lateksową maskę. Ruszył do salonu. Znał mieszkanie. Belsey wpatrywał się w gardło tajemniczej postaci, jakby spodziewał się, że zobaczy na nim ślady podejrzenia: to Devereux powraca z zaświatów, dotyka mebli, ścian, szuka czegoś, co pozwoli mu uciec z próżni.

Wtedy intruz zauważył Belseya. Znieruchomiał. Powolutku, ostrożnie zbliżył się do kanapy i przyjrzał śpiącemu mężczyźnie. Potem wymknął się do gabinetu.

Cień stał tam długo, wreszcie przykucnął i zaczął się czołgać, znikając z zasięgu kamery. Pojawił się o czwartej czterdzieści, kiedy wynurzył się przy biurku. Przeszukał kosz na śmieci i kominek. Patrzył prosto w kamerę, mimo to jego rysy pozostawały nieczytelne.

Musiał wiedzieć, że system pracuje. Czerwone światelko pod kamerą oznaczało, że jest włączona. Intruz ruszył na górę.

Do kryjówki, zgadywał Belsey. Pewnie chciał wyłączyć kamery. Nagle rzucił się do ucieczki. Pewnie spłoszył go jakiś odgłos. Może sądził, że Belsey wstaje.

Belsey jeszcze raz obejrzał nagranie. Bez dwóch zdań gość czegoś szukał. Metodycznie, sprawdzając każdy pokój, ale najwięcej czasu spędził w gabinecie.

Zatrzymał taśmę i szedł na parter, odtwarzając trasę ducha.

Czego szukał? Przykucnął na podłodze gabinetu jak on. Kiedy ostatnio się tutaj czołgał? Zegarek. Wyprostował się, patrząc na zegarek. Ile mogła być warta podróbka roleksa? Aż tyle, że wraca się po nią do poprzedniego życia? Zdjął zegarek i szukał na nim dedykacji. Nic.

Osaczali go. To pewne. Jego godziny w Londynie były

policzone. Belsey marzył o paszporcie w kieszeni. Musiał też ustalić, co z Kovarem. Zadzwoił telefon. Belsey odłączył przewód, a zaraz potem znowu włączył i wybrał numer hoteliku, w którym ostatnio mieszkał.

- Macie może numer do Siddika Sahara? Mieszkał tu miesiąc temu.

Podali mu numer komórki. Belsey zadzwonił. Odebrała świeżo upieczona małżonka.

- O, cześć, Nick.

- Mogę prosić Siddika? Afgańczyk przejął słuchawkę.

- Nicky, stary druhu.

- Potrzebuję papierów.

- Chcesz papierów?

- Paszportu i prawa jazdy.

- Sądząc po głosie, kiepsko z tobą, stary. Bardzo kiepsko.

- Bywało lepiej.

Siddik przez chwilę milczał, potem spokojnym tonem, który Belsey słyszał u niego po raz pierwszy, podał adres przy Green Lanes.

- Przynies dwa zdjęcia paszportowe. Spytaj o niejakiego Hasana Duzguna. Powiedz, że ja cię przysłałem. Będziesz potrzebował półtora tysiąca w gotówce.

- Półtora kafla.

- Jeśli go nie zastaniesz, czekaj. Przyjdzie. Uprzedzę, że się zjawisz.

Belseyowi zostało tylko dziewięć stów, ale był gotów się targować.

Belsey słyszał o Duzgunach. Duża rodzina mająca związki z turecką mafią. Jej londyńska działalność stanowiła wzór tolerancji politycznej: od Kurdów kupowali heroinę, z Grekami handlowali nielegalnymi papierosami. Jadąc na północ miasta, z telefonu, w który był wyposażony peugeot, Belsey zadzwonił do jednostki Mandolina. Mandolina powstała kilka miesięcy temu po strzelaninie między Turkami a Kurdami. Działała na terenie Haringey, monitorując stosunki między obiema społecznościami.

Połączono go z sierżantem Simonem Waltersem.

- Czy Hasan Duzgun sprzedaje paszporty? - spytał. - Tak.

- Dobrze?

- Najlepsze. Prosto z drukarni z Wolverhampton.

- Jakie ma stawki?

- Dwa kafle za komplet papierów.

- Jest teraz pod obserwacją? - Nie.

Belsey minął Holloway i wjechał na teren Haringey. Na stacji Manor House wskoczył do automatu fotograficznego i zaciągnął zasłonki. Ostatni raz spowiadałem się... Kabina kojarzyła mu się z konfesjonalem. W lustrze jego twarz wydawała się ponura, pozbawiona koloru: blada, napięta skóra i ciemnoszare zapadliny. Znak ostrzegał, żeby się nie uśmiechać, jeśli zdjęcie jest przeznaczone do paszportu. Zrobił dwa komplety: jeden w płaszczu, drugi bez, za to z potarganymi włosami. Czekając, aż maszyna wypłuje fotografie, wyciągnął z kosza podartą kopertę i przełożył do niej z reklamówki ostatnich dziewięćset funtów.

Wszystkiego zostały mu tylko dwie samotne dwudziestki. Na odwrocie koperty napisał datę urodzenia i zmyślony adres. Pojawiły się zdjęcia. Ruszył na Green Lanes.

Pod adresem, który podał mu Siddik, mieścił się klub - bez nazwy i z brązowymi markizami. W środku zobaczył trzy plastikowe stoliki, sześciu starszych mężczyzn, stół bilardowy i niewiele więcej.

- Zastałem Hasana Duzguna? - spytał.

Mężczyźni przyjrzeni mu się uważnie. Ruchem głowy skierowali go do pomieszczenia na zapleczu. Pod gołymi żarówkami stały tam równe rzędy stolików karcianych przykrytych papierowymi obrusami. Przy jednym, na samym końcu, siedział otyły mężczyzna. Przed nim leżała pełna popielniczka i resztki jedzenia na talerzu. Mężczyzna miał duże brązowe oczy. Pokazał Belseyowi krzesło naprzeciwko siebie. Belsey usiadł. Stolik był tak mały, że stykali się kolanami. Mężczyzna podniósł dwa tłuste palce i zaraz potem pojawiły się dwie miniaturowe szklaneczki herbaty miętowej. W drzwiach oddzielających pomieszczenie od reszty

lokalu ktoś zaciągnął szarą zasłonkę.

- Znasz Siddika.

- Zgadza się - potwierdził Belsey. - Powiedział, że możesz mi pomóc.

- Jak dobrze się znacie?

- Przez pewien czas mieszkaliśmy w tym samym hotelu.

- Co u niego?

- Świetnie. Niedawno się ożenił. Potrzebny mi paszport i prawo jazdy.

Grubas skinął głową.

- Po co ci papiery?

- Zgubiłem swoje.

- Jasne. To będzie kosztować półtora tysiąca.

Belsey wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na stole.

- Tu jest dziewięćset. Resztę dostaniesz, kiedy zobaczę dokumenty. - Duzgun uniósł brwi. - Wystawcie je na nazwisko Jack Steel - ciągnął Belsey. - To ma być paszport Zjednoczonego Królestwa, a nie jakiegoś Hondurasu czy innego badziewia.

Taki, żebym mógł z nim przekroczyć granicę.

Duzgun nie patrzył na kopertę. Złotymi szczypczykami wrzucił do herbaty dwie kostki cukru. Zamieszał. Łyzeczka brzęczała o ścianki jak dzwoneczek. Belsey zrobił to samo. W milczeniu sączyli napar.

- To dobry kraj - odezwał się grubas.

- Fantastyczny.

- Spokojny. Kupa szmalu.

- I za to go kocham - zgodził się Belsey.

- Brytyjczycy mają dwie piękne zalety: grzeczność i szacunek.

- Żartujesz.

- Skąd jesteś?

- W ogóle? Z Lewisham.

- Po co ci te dokumenty?

- Na stole leży dziewięćset funtów. Nie spodziewałem się jeszcze przesłuchania.

- Jak się tu dostałeś?

- Tutaj? Samochodem.

Rozmowa się nie kleiła. Belseyowi się spieszyło.

- Dobry paszport. Nie jakaś nówka - powiedział. - Ale ważny jeszcze przez kilka lat. Prawo jazdy sprzed dziesięciu lat.

W każdym dokumencie inna fotografia. - Wstał.

- Znasz się na tym.

- Owszem. Kiedy będą gotowe?

- Za dwa, trzy dni.

- Są mi potrzebne na jutro. Zrób, to dorzucę jeszcze siedem stów - kusił Belsey.

Duzgun sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął z niej wykałaczkę. Myślał.

- Zgłoś się jutro po południu. Wcześniej nie da rady.

Przyjdź tutaj.

- Jutro po południu.

- Będę tu, Jacku Steełu. I nie zapomnij siedmiuset funtów. - Odprowadził go wzrokiem. - Siedmiuset - powtórzył do jego pleców - albo zawiadomię policję. Znają mnie. Będziesz miał kłopoty.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Belsey rozmienił dwudziestkę i z automatu w sali bilardowej niedaleko Archway zadzwonił na komórkę Maksa Kovara. Lokal świecił pustkami. Spekulant odebrał po drugim sygnale.

- Linia jest bezpieczna? - spytał Belsey. - Tak.

- Na pewno?

- Na sto procent.

- Pan Devereux wrócił. Przeprasza, że wtedy nie udało mu się z tobą spotkać. Kazał cię pozdrowić.

- Hm, powiedz, że czuję się zaszczycony. Jest w biurze?

- Ma gości. Ale nie chciał tracić ani chwili. Pojawiła się okazja.

Kovar doskonale panował nad głosem. Zdradzać podniecenie albo wdzięczność? - to nie w jego stylu.

- Cóż - odparł ostrożnie. - Tak jak wspomniałem, leży to w waszym i w moim interesie.

- Tak. To nie ulega wątpliwości.

- Musiałbym jednak znać szczegóły.

- Dostarczę ci je. Ale będą nam potrzebni prawdziwi gracze, Max, nie jakieś płotki. Ludzie, którzy nie boją się sięgać wyżej. Rozumiesz mnie?

- Sądzę, że obaj się rozumiemy.

- Spotkajmy się - zaproponował Belsey.

- Pan Devereux też się zjawi?

- Mam nadzieję.

- I wyjaśni dokładnie, w co się angażuję?

- Zapewne.

- Gdzie cię zastanę?

- W barze Rivoli w Ritzu - powiedział Belsey.

W wystroju Rivoli złocenia mieszały się ze szkłem w stylu art déco. Belsey uwielbiał to miejsce. Często wpadał tam, żeby się ogrzać, bo na drinka raczej nie było go stać. Zawsze marzył, by ubić tam jakiś interes.

- Znam - powiedział Kovar. - Jestem umówiony na kolację, ale mogę odwołać.

- Nie trzeba. Będziemy koło północy.

- Znakomicie.

Rozłączył się. Teraz musiał ostro wziąć się do roboty. Zadzwoił do Ajaya Khana.

- Wspominałeś o jakimś gościu, który mówił o Devereux i projekcie „Budyka”.

- Emmanuel Gilman.

- Muszę pogadać z kimś, kto mi podpowie, nad czym mógł pracować Devereux. Chciałbym sprawdzić, ile wie Emmanuel Gilman.

- Dobrze. - Khan się zawahał. - Tyle że Emmanuel nie jest teraz w najlepszej formie.

- Muszę z nim porozmawiać. Załatwisz to?

- Jasne. Powiem mu, że jesteś dilerem.

- I policjantem?
- Właśnie.
- Gdzie go zastanę?

Khan podał mu adres w Dokach, bloki nad jeziorem Canada Water.

- Będzie mówił? - upewnił się Belsey.
- O, tego możesz być pewien. To straszna gaduła. Bądź łagodny, Nick. I uważaj.
- Dlaczego?
- Boję się, czego możesz się dowiedzieć.

Rozdział czterdziesty

Ostatni raz Belsey oglądał Doki o piątej nad ranem, wracając po hulaszce nocy. Wtedy zrobiły na nim większe wrażenie.

Ich chłodna, specyficzna architektura pasowała do jego ówczesnego stanu ducha. Kiedy teraz jechał nad cichym Canada Water, pozostało tylko wrażenie chłodu, ale dawny splendor przepadł bez śladu. Tu i ówdzie pozostały resztki przemysłowej zabudowy, ale większość tamtego świata nieodwracalnie zniszczono. Minęło pół stulecia, a dzielnica wciąż wyglądała jak po niemieckich nalotach - pozbawiona życia, jakby ogłuszona.

Latarnie odbijały się w uwieczonych prostokątach rzeki, z Wapping po drugiej stronie Tamizy spoglądały okna loftów urządzonych w dawnych magazynach. Niezliczone zigguraty tłoczyły się wokół tajemniczego, luksusowego żywiołu wody.

Belsey zastanawiał się, czego się dowie.

Gilman mieszkał w najbardziej okazałym i najbardziej kiczowatym budynku nad jeziorem, który nazywał się Sand Wharf, i puszył się oryginalnym, pomalowanym na czerwono dźwigiem portowym stojącym nad wjazdem do podziemnego parkingu. Belsey zostawił peugeota na zewnątrz. Dozorca skierował go do wind z lustrzanymi ścianami. Wjechał na dziesiąte piętro i zastukał do drzwi. Cztery zamki zachręściły otwierane chyba bardzo drżącymi rękami. Wreszcie w szparze z łańcuchem ukazał się Gilman, pustym wzrokiem wpatrujący się w gościa.

- Jestem przyjacielem Ajaya Khana. Chyba uprzedzał o mojej wizycie. Sądzę, że wzajemnie możemy sobie pomóc.

Trybiki w mózgu zaskoczyły. Na twarzy zarządcy funduszu inwestycyjnego zagościł szeroki uśmiech. Drzwi się zamknęły, a po chwili szeroko otworzyły.

- Nick, tak? Chwała Najwyższemu. Wchodź.

Gilman był ubrany w koszulkę do biegania, szorty i adidasy.

Miał jasną cerę, blond włosy i typ urody, który chroni przed starością - bez względu na wiek z nią człowiek pozostaje taki sam. Teraz dyszał ciężko z ręcznikiem przerzuconym przez plecy. Zaprowadził Belseya do dużego pokoju, gdzie na środku drewnianego parkietu stał ergometr, a na czarnej skórzanej kanapie leżał kałasznikow. Belsey drgnął na ten widok. Żaluzje były zamknięte. W powietrzu unosił się zapach dezodorantu. Ze szklanego stolika na podłogę zsunęła się sterta zabazgranych kartek A4.

- Witaj - powiedział Gilman. Padł na kanapę i położył karabin na kolanach. - Spoko, wyluzuj.

- Pozwolisz, że mimo wszystko będę odczuwał pewien dyskomfort?

Gilman się roześmiał. Belsey bacznie przyjrzał się jego źrenicom. Wielkości łebka od szpilki, blade. Makler wyglądał jak ktoś, kto jeszcze nie połknął swojej codziennej dawki benzodiazepinu.

- To kawał historii. - Gilman gładził lufę długimi, szczupłymi palcami. - Strzelałeś kiedyś z takiego cacka?

- Ostatnio pod Leningradem. Mogę zobaczyć?

Gilman podał mu broń.

- Przeszedł wszystkie szczeble Armii Czerwonej, uczestniczył w wojnie sowiecko-afgańskiej, powstaniu talibów. To lekcja historii zamknięta w stalowym szkielecie.

- Skąd go masz?

- Nie mogę zdradzić.

Belsey próbował odtworzyć drogę karabinu. Może Gilman

kupił go od dilerów kokainy, którzy z chwilą, gdy odkrywało się uroki prania brudnych pieniędzy, stawali się podstawowymi łącznikami City ze światem przestępczym? A może jacyś rzutcy biznesmeni zorientowali się, że otwiera się fantastyczny rynek zbytu na AK-47 wśród rozczarowanych zarządców funduszy - zupełnie jak Koreańczycy, którzy wyrastają z parasolami na ulicach, kiedy tylko zaczyna padać.

- Prawdziwe cacko - zachwycił się Belsey.

Odczepił magazynek, zdjął blokadę i wyciągnął naboje.

Odłożył je na stolik i zwrócił karabin właścicielowi.

- Nigdy nie siedzę sam na sam z bankierem i naładowanym karabinem. To jedna z moich nielicznych żelaznych zasad.

- Nie jestem bankierem - skrzywił się Gilman.

- Ale prawie.

Belsey przyciągnął sobie worek sako i usiadł. Obok kanapy zauważył opakowanie maximuscle w proszku i stertę leków. W pokoju panowała przyprawiająca o mdłości atmosfera sali szpitalnej.

- Taaa... Więc jesteś policjantem - zaczął Gilman.

- Zgadza się. Podobno straciłeś robotę.

- Robotą to nic. - Roześmiał się gorzko. - Siebie straciłem.

- Zwinąłeś interes.

- Bo zabawa się skończyła. Największe świętości zostały zbrukane, solidne fundamenty runęły jak domek z kart. - Odwiesił karabin na przeszklone drzwi prowadzące na taras.

- Albo znalazłeś lepszą inwestycję - podsunął Belsey.

- Jak to?

Zadzwoił telefon. Gilman spojrział na numer i odrzucił połączenie.

- Ciekaw jestem, gdzie się rozeszły.

- Co się rozeszło?

- Resztki. Twoja gotówka.

- Sam chciałbym wiedzieć. - Gilman wziął do ręki komórkę i tarł kciukiem ekran, jakby lada moment miał wyświetlić upragnioną informację. - Słyszałeś kiedyś o potlaczu?

- Nigdy.

- Rywalizujące plemiona... To tradycja znana na całym świecie, ale najczęściej praktykowana wśród Indian Ameryki Północnej. Otóż rywalizujące plemiona spotykały się i próbowały zaimponować drugiej stronie, niszcząc swoje najcenniejsze, najkosztowniejsze dobra. W ten sposób budowały swój prestiż. To mogło być wszystko: od skór, po spalenie własnej wioski i zabijanie niewolników. Uważano to za dar.

- Ciekawe.

- Mówię poważnie.

- Czyli nie wszystko odzyskałeś w gotówce? - upewnił się Belsey. - Część ponownie zainwestowałaś.

- Skąd to przypuszczenie?

- Spytaj Aleksieja Devereux.

Gilman wstał i przeszedł z karabinem do sąsiedniego pokoju. Belsey usłyszał, jak zatraskuje metalową szafkę i przekręca zamek szyfrowy. Wziął ze stolika kartki, ale nie mógł rozczytać bazgrot Gilmana. Pod nimi leżał *Żywot Aleksandra Plutarcha* w sztywnej czerwonej okładce. Przykrył książkę kartkami. Gilman wrócił bez broni i usiadł.

- Co właściwie jest grane? - spytał Belsey.

Gilman zaczął przerzucać zaślinione kartki, ale po chwili zapomniał, czego szuka, i tępo wpatrzył się w bałagan.

- Piszę książkę - odezwał się wreszcie. - Związek wojny z odurzeniem. - Zerknął, jakby spodziewał się, że Belsey wybuchnie śmiechem. Ale ten słuchał spokojnie, więc podjął: - Stawiam tezę, że nie można zrozumieć historii wojen, jeśli nie wpisze się w nią narkotyków. Nie chodzi mi tylko o ostatnią.

Aleksander Wielki i jego armia non stop byli pijani. Jedna wielka banda opojów. Podbili starożytny świat i pewnie nawet tego nie zauważyli. Aztekowie w przeddzień bitwy pili octli, napój z soku kaktusa. Scytowie, dranie nieznający litości, byli wyjątkowo, ale to wyjątkowo uzależnieni od trawki. Nie żartuję, mówię serio. A współcześnie... Osiemdziesiąt procent żołnierzy afgańskich sił bezpieczeństwa uzależniło się od heroiny.

Historia jest kacem. Osiemdziesiąt procent... Rozumiesz, o co chodzi, Nick? Mogę tak się do ciebie zwracać? Wyglądasz na inteligentnego gościa. Kiedy skończę, koniecznie musisz przeczytać i powiedzieć, co o tym sądzisz.

- Z przyjemnością. A co powiesz na książkę o Aleksieju Devereux?

- W sensie...?

- Chętnie bym ją przeczytał.

- Stąd twoja wizyta? Prowadzicie śledztwo w jego sprawie?

- Gdyby policja wszczęła śledztwo w sprawie firmy AD Development, bardzo by ci to zaszkodziło?

- Dlaczego sądzisz, że w ogóle się tym interesuję?

- Bo dużo o tym wiesz. Bo głośno się tym chwaliłeś. Znasz ich. A poznać to pokochać. Zgadza się?

- Devereux to przyszłość. Kto by nie kochał przyszłości? - Gilman się uśmiechnął.

- Jak ona ma wyglądać?

- Musiałbyś zapytać samego Devereux.

Belsey wstał i podszedł do okna. Odsunął jedną żaluzję.

- Nie rób tego - poprosił Gilman.

Z okien rozciągał się widok na centrum handlowe Surrey Quays i dalej na Isle of Dogs. Okolica wciąż próbowała zachować pozory ekskluzywności, ale przypominała raczej wymarłe miasto, gdzie pojedynczy mieszkańcy czasem przemykali przez ciemne opuszczone place. Belsey uznał, że pora wyrwać z letargu szanownego zarządzającego funduszami.

- Nie możesz nic mi powiedzieć o Devereux, bo spekulowałeś akcjami AD. Sprzedawałeś je, choć wiedziałeś, że facet jest bankrutem, a firma zaraz padnie. Kumpel z Urzędu Regulacji Rynków Finansowych mówi, że załatwiłeś połowę City.

- Dobry jesteś - roześmiał się Gilman, ale pozostał niewzruszony. Stał obok Belseya przy oknie. Gdy zadzwonił telefon, wyłączył komórkę. - Powiadasz, że tak twierdzą w urzędzie? Nie sądzę.

- Powiedz mi coś więcej o projekcie „Budyka”. Wszyscy o

nim mówili, prawda?

- Czyżby?

- Jasne że tak - odparł Belsey. - Człowiek nie mógł zamówić obiadu w Pitcher and Piano, żeby o tym nie usłyszeć, ani odlać się w All Bar One. Wszyscy wszędzie gadali o Devereux i jego londyńskiej inwestycji. - Otworzył drzwi na taras i wyszedł na powietrze. Zastukał w okno. - A jak szyby? Kuloodporne?

- Błagam, możesz wejść do środka? - prosił Gilman.

Belsey próbował rozgryźć sytuację. Wrócił do mieszkania, zasuważąc za sobą drzwi.

- Słuchaj, Nick. Szafki świecą pustkami. Masz coś przy sobie?

- Nie. Ale wystarczy kilka minut i mogę mieć towar.

- Załatwisz to?

Gilman podniósł opakowanie maximuscle, odkręcił pokrywkę i zajrzał do środka. Belseyowi mignęły przed oczami grube rulony banknotów. Gilman zakręcił pudełko.

- Jeśli zaczniesz mówić - powiedział Belsey.

- Przecież tylko mówię. Od wieków tyle nie gadałem.

Czuję się super.

Belsey znowu usiadł.

- Spotkałeś się z nim? - Z kim?

- Z Devereux.

- Jego nikt nie widział.

- Co go kręci?

- Hazard. Wyścigi. Kasyna. Podejrzewam, że chce otworzyć kasyno w każdym większym mieście. Hotele też. Pamiętasz słowa George'a Bernarda Shawa? „Hazard obiecuje biedakowi to, co majątność daje bogaczowi”. - Gilman uśmiechnął się chytrze. - Coś za nic.

- Podobnie jak przestępstwo.

- Podejrzewam, że gdyby tylko mógł, Devereux zalegalizowałby przestępstwa. Dlatego tak zabiega o legalizację hazardu. Nazywa gry hazardowe heroiną XXI wieku. Twierdzi, że do 2030 na nowych pustyniach świata powstanie piętnaście

odpowiedników Las Vegas, równie wielkich i równie zyskowych. Wiele jego stron z grami hazardowymi online ma serwery w Turkmenistanie. To fundament jego imperium, ale jego prawdziwą miłością są konie. Pędzi wierzchowce przez pustynie, tereny przemysłowe, rezerwy Ameryki Północnej. To on wpadł na pomysł, by organizować gonitwy między gazociągami. Filmuje biegi i pokazuje w telewizji. Przymierzał się do inwestycji w Londynie. Potężnej. Niejaki Pierce Buckingham zajmował się poszukiwaniem udziałowców. Tyle słyszałem. To wszystko, jeśli nie aż tyle. Zbierał właściwe nazwiska.

- Co to za gość?

- Pierce? Pośrednik. Mięczak, szczeniak. Organizuje śluby.

Najłatwiej spotkać go w klubie Les Ambassadeurs przy Mayfair, gdzie odstawia playboya i wyobraża sobie, że jest nietykalny. Raz byłem u niego na przyjęciu. Największą atrakcję stanowiły gwiazdy porno i występ zaklinacza węży. Kilka lat temu ogłosił się doradcą finansowym dzianych gości, którym marzył się kawałek londyńskiego tortu.

- Jak sądzisz, na co zbierał pieniądze Pierce Buckingham?

- Nie wiem. Ale obilo mi się o uszy, że do gry wkroczyła francuska firma. Gdyby Pierce nie zgromadził wkładu, cała inwestycja przeniosłaby się tam. Zaczął więc kombinować.

Zwrócił się do starych kumpli z Hongkońskiego Konsorcjum Gier Hazardowych, bo to jedyna instytucja, która mogłaby utopić gdzieś pięć miliardów i nawet tego nie poczuć.

- Założmy, że musiałbym podać komuś przynajmniej ogólne informacje o przedsięwzięciu Devereux. Co powinienem powiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Pierce nabrał wody w usta.

- Dlaczego?

- Czynniki lokalny. - Czyli?

- Ludzie. Poważni. Biedni. Nie mam pojęcia.

- Uzbierał pieniądze?

- Same przyszły. W postaci Hongkońskiego Konsorcjum Gier Hazardowych. To studnia bez dna. Rok temu kupił je szejki

Faisal ibn Abdul Aziz. Kieruje Międzynarodowym Holdingiem Saudyjskim, głównym funduszem inwestycyjnym saudyjskiego rządu. Podarował żonie na urodziny dwa myśliwce, a za pozostałe drobniaki wybudował luksusową willę w Rijadzie. Kiedy szejka postanowił wejść na rynek gier hazardowych, Buckingham negocjował w jego imieniu zakup Dream City Casino w Macao. To jedyne miejsce w Chinach, gdzie można legalnie uprawiać hazard. Wyobrażasz sobie, co to znaczy. Potem Buckingham załatwił przejście Gioco Digitale, włoskiej grupy specjalizującej się w grach hazardowych. A to był dopiero początek. Pierwsza przymiarka do wejścia na rynek europejski. Każdy to widział. Mierzyli wysoko. Londyn. Zdaniem szejka Faisala dopiero Londyn to jest to. Uważa, że Pierce Buckingham to ich człowiek, bo ma niebieskie oczy i zero skrupułów.

- Czyli nie masz pojęcia, nad czym pracował z Aleksiejem Devereux?

- Zielonego. Podejrzewałem, że to ma związek z nieruchomościami albo sportem, albo jednym i drugim.

- Dlaczego nie odbierasz telefonów? Gilman przeciągnął się i jęknął.

- Ile towaru możesz zdobyć?

- Załóżmy, że powiesz, gdzie mieszka Pierce Buckingham.

- To akurat łatwe.

Gilman nagryzmolił adres na odwrocie czasopisma o nieruchomościach. Oderwał kartkę i dał Belseyowi. Queen's Gate Mews 4, ulica w South Kensington. Belsey schował świstek w kieszeni i ostatni raz podszedł do okna.

- Na co masz ochotę? - spytał.

- Na wszystko. Na cokolwiek. - Bębnił palcami.

- Daj mi godzinę. Zobaczę, co da się zrobić.

Belsey jeszcze raz rozejrzał się po mieszkaniu i wyszedł.

Wcisnął guzik windy. Coś mu radziło: „Uciekaj z Londynu.

Patrz, lustro tak głębokie, że można się w nim utopić”, mówiło.

Może zostałyby dżokejem? Próbował sobie wyobrazić, co by

czuł, galopując nocą przez pustynię.

Drzwi Gilmana się otworzyły. Wychylił się, rozejrzał po korytarzu i zawołał za Belseyem:

- A co z „Budyką”, Nick? Co to jest? Wiesz?

- Nie mam pojęcia - odparł Belsey, nie odwracając się.

- Jeśli się dowiesz, powiesz?

- A jeśli ty się dowiesz, powiesz?

- Jasne.

- Nawet jeśli to dojdzie do skutku? Jeśli da się na tym zarobić?

Przyjechała winda. Drzwi się rozsunęły i Belsey wszedł do środka.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Belsey w czterdzięci minut dojechał do Kensington. Pierce Buckingham urządził swoje kawalerskie mieszkanie przy niedużej, bardzo drogiej ulicy tuż przy Kensington Park Gardens.

W domu z numerem czwartym paliły się światła, szyby były zaparowane. Ktoś brał gorący prysznic. Belsey zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Przez okna nic nie było widać. Nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły, uwalniając obłoki pary.

Wszędzie unosiła się wilgoć. Po białych ścianach przedpokoju spływały strużki wody. Belsey ostrożnie wsunął się do środka i bezszelestnie zakradł do salonu. Pokój wyglądał, jakby ktoś zdetonował tu bombę. Fotele były porozpruwane, wykładzina pocięta, a zawartość półek i szafek wylądowała na podłodze obok roztrzaskanej kopii szafy grającej Wurlitzera. Płócienny ekran został rozdarty na pół, kropelki wody skapywały z powierzchni metalowych rzeźb abstrakcyjnych i telewizora plazmowego.

Belsey nie przypuszczał, by Buckingham był w domu.

Przeszedł nad stertą ubrań do łaźni i sauny w głębi mieszkania. Prysznic był odkręcony, drzwi do sauny otwarte. Ktoś zerwał ze ścian wszystkie płytki.

Belsey zajrzał do sypialni na górze: wszędzie odłamki tłuczonego szkła i smród azotanu amylu. Tajemniczy gość zdarł czarną jedwabną pościel z wielkiego okrągłego łóża, a materac

postawił pod ścianą i rozpruł. Belsey znalazł na poduszce kilka długich blond włosów. Szuflady szafki nocnej i komody też wylądowały na podłodze. Wysypały się z nich środki antykoncepcyjne i butelki z lekami. Przy łóżku leżała książka w twardej oprawie. *Królestwo. Historia rodu Saudów*. Belsey podniósł ją.

Okładka była bogato zdobiona, złożona. Kartki napęczniały od wilgoci. Dedykacja na frontyśpisie głosiła: „Naszemu przyjacielowi z wyrazami poważania i błogosławieństwem na przyszłość”.

Między kartkami Belsey znalazł fotografię mężczyzny obejmującego dwie nastolatki. Siedzieli na czerwonej otomanie, na stoliku przed nimi stały rzędy kieliszków i butelek. Belsey dopiero po chwili rozpoznał na zdjęciu Pierce'a Buckingham.

Uśmiechnięty, ogolony, nie przeczuwał kryzysu, który kazał mu śledzić Belseya i chodzić w kamizelce kuloodpornej. Z prawej strony przytulała się do niego Jessica Holden w srebrnej koktajlowej sukience bez ramion. Z lewej siedziała blondyneczka, która płakała w telewizji, ubrana w coś czarnego, obcisłego, co kończyło się tuż za pośladkami. Jedną ręką obejmowała Buckingham. Jessica uśmiechała się z zamkniętymi ustami. Blondynka pokazywała zęby. „Sprawiedliwości stanie się zadość”, głosił napis na szarfie. Belsey z bezprzewodowego aparatu w sypialni Buckingham zadzwonił do Mirandy Miller.

- Masz zamiary na przyjaciółkę Jessiki? Tę blondyneczkę.

- Nie. To znaczy tak, ale trzeba się z nią kontaktować przez agenta.

- Ma agenta?

- Zażyczyła sobie pięciocyfrowego honorarium. Teraz przeszła do Sky.

- Widzę, że otrząsnęła się z szoku.

- Ona coś kręci, Nick. Dziewczęta ze szkoły nie przypominały sobie, żeby szalenie przyjaźniła się z Jessicą. Była ze starszego rocznika. Teraz rzuciła szkołę. Chyba postanowiła zrobić karierę.

Rozdział czterdziesty drugi

Na widok Belseya stojącego przed budynkiem Centralnego Laboratorium Isha Sharvani głośno jęknęła.

- To akurat ci się spodoba - powiedział Belsey. - Słowo. Potrzebuję powiększenia.

Sharvani zaprowadziła go do pracowni fotograficznej: dwóch pokoi wciśniętych między laboratorium toksykologiczne a zespół dentystyczny. W jednym z pomieszczeń znajdował się projektor. Sharvani przygasiła światła i zeskanowała zdjęcia. Po chwili na ścianie pojawił się obraz podzielony na cienkie czerwone kratki.

- Czy to coś w głębi to wodospad? - spytała Sharvani.

- Zgadza się.

- W barze?

- W kasynie. Nazywa się Les Ambassadeurs.

- Niezłe.

Podziwiła otoczenie. Potem spowaźniała.

- Ta po lewej to Jessica Holden.

- Na to wygląda - odparł Belsey.

- Co to jest?

- Powód jej śmierci.

Sharvani odsunęła się, splotła ręce na piersi i przyjrzała się zdjęciu chłodnym wzrokiem profesjonalistki.

- Kim jest ten mężczyzna?

- Nazywa się Pierce Buckingham. Zrób zbliżenie jego okularów.

Zrobiła. W szklach odbijały się kieliszki, światła automatów do gry.

- Odbija się w nich - powiedział Belsey. - Co?

- Kto. Ten, kto robi zdjęcie. Jeszcze trochę powiększyła.

- Widzisz go?

- Tylko sylwetkę.

- Patrz, w kieliszku z winem. Tam też go widać. Kieliszek z winem zajmował już całą ścianę. Widać w nim było niewyraźną sylwetkę mężczyzny robiącego zdjęcie i niewiele więcej.

- Spróbuję wyostrzyć obraz - powiedziała Sharvani - ale nie odsłonię twarzy, jeśli jest ukryta za aparatem. Jak sądzisz, kto to?

- Niejaki Aleksiej Devereux. On też nie żyje.

- Niezwykle podniosłeś mnie na duchu.

Belsey wziął wycinek z „Al-Hayat” i wsunął go zamiast zdjęcia. Na ścianie pojawił się artykuł.

- Ten sam facet - stwierdziła Sharvani.

- Właśnie. Możesz powiedzieć coś jeszcze?

- Fotograf znajdował się w środku. Mężczyźni stoją w drzwiach kościoła, może katedry.

- Zrób zbliżenie budynków w tle. Chcę wiedzieć, gdzie są. Pojawiła się iglica nad starym poczeriałym murem.

- Poznajesz? - spytała Sharvani. - Nie.

Znowu wsunął fotografię z kasyna. Przyjrzał się blondynce, towarzysze Jessiki. Nawet jeśli dziewczyny nie kolegowały się w szkole, to poza nią całkiem nieźle się dogadywały. Musiał z nią porozmawiać - z czwartą uczestniczką zabawy. Nie chciał przebijać się przez agenta. „Ktoś musi coś wiedzieć”, mówiła przed kamerami ubrana w swoje drogie ciuchy.

- Ten komputer jest podłączony do sieci? - spytał.

- Jasne.

Usiadł przy biurku i wszedł na stronę internetową Towarzyszki od Serca. Znowu pojawiła się galeria młodych ciał do wynajęcia. „Tylko godzina, a dziewczyna już jest z tobą!” W ofercie było sporo blondynek, dziewczyn z małych ukraińskich i litewskich miejscowości. Londyn jak magnes przyciągał piękne córki dawnych państw komunistycznych. I wreszcie znalazł: Lucinda, „nasza angielska różyczka”.

Sharvani patrzyła mu przez ramię.

- Szukasz towarzyszki na wieczór?

- Właśnie znalazłem.

- To ona.

- Na to wygląda.

Z telefonu w sąsiednim pomieszczeniu zadzwonił do biura Towarzyszki. Odebrali po pierwszym sygnale.

- Dobry wieczór panu. Towarzyszka od Serca.
- Znalazłem na waszej stronie dziewczynę. Chciałbym się z nią spotkać.

- Oczywiście, proszę pana. O którą chodzi?

- O Lucinę.

- Niestety, Lucinda jest dziś zajęta.

- Dobrze zapłacę.

- Niestety, to niemożliwe. Mogę panu zaproponować inną dziewczynę. Bardzo podobną.

- Angielską różyczkę?

- Tak.

Belsey odłożył słuchawkę. W tej samej chwili rozpętało się piekło. Na parkingu zaryczały silniki, rozległo się wycie syren.

Pracownicy laboratoriów wybiegali na korytarz. Sharvani odebrała telefon, chwyciła kurtkę i swoją walizkę ze sprzętem.

- Co się dzieje? - spytał Belsey.

- Wezwanie. Muszę lecieć. Belsey wyszedł za nią z gabinetu.

- Co się stało?

- Kolejna strzelanina. W City.

Belsey wskoczył do samochodu i włączył się do kolumny.

Przemknęli przez Most Londyński i wjechali na teren City.

Zatrzymali się przy kolumnie upamiętniającej ofiary pożaru miasta. Wskoczył z peugeota.

Na skrzyżowaniu Cannon Street i King William Street stało srebrne audi. Szyba od strony pasażera była strzaskana, drzwi od strony kierowcy otwarte. Obok wozu widać było świeże ślady motocykla. Wokół skrzyżowania już rozciągnięto czerwono-białą taśmę policyjną. Sześciu funkcjonariuszy policji City pilnowało miejsca. Jeden powtarzał do krótkofalówki:

„Nie, nie można popatrzeć”.

Ale to nie samochód stanowił centrum uwagi. Najwięcej działa się w mrokach St Clements Court, przed budynkiem, gdzie kiedyś mieściło się biuro AD Development.

- Proszę się odsunąć! - krzyczał ktoś.

Belsey machnął odznaką i przemknął pod taśmą. Na dziedzińcu przed drzwiami opustoszałego biura leżał Buckingham.

Wciąż miał na sobie drogi płaszcz i kamizelkę kuloodporną. Z czaszki nie zostało wiele. Mózg i odłamki kości rozprysły się na asfalt i ścianę budynku.

- Niech ktoś go chociaż przykryje! - wydarł się jakiś sierżant.

Belsey wrócił do audi. Na podłodze, przy pedałach leżały roztrzaskane okulary Buckinghama. „Kiedy mnie dopadną, pamiętaj: ty będziesz następny”. Belsey powiódł wzrokiem po oknach, dachach, parapetach. Z góry patrzyły na niego rzeźby Przemysłu i Handlu. Śmigłowiec ratowniczy z warkotem krążył nad City. Belsey wycofał się ze skrzyżowania i wrócił do swojego nieoznakowanego radiowozu.

Rozdział czterdziesty trzeci

Towarzyszka od serca. Potrzebował towarzystwa.

Belsey pojechał na zachód do Soho. Rozedrgany, każdą komórką próbował wychwycić bliskość swojego mordercy. Zewsząd atakowało go bezmyślne okrucieństwo sobotniej nocy.

Na skrzyżowaniu Shaftesbury Avenue i Cambridge Circus zderżyły się samochody. Wszyscy wiwatowali. Szyba roztrzaskana w pubie. Wszyscy wiwatowali. Nie wiedział, co ich tak kręci: zapowiedź agresji czy fizyczny akt destrukcji. W drobny mak, pomyślał. Miał wrażenie, jakby roztrzaskał się w drobny mak.

Teraz już wycieńczenie nie miało się czego trzymać. Znów nabral wiatru w żagle. Chaos sprawił, że poczuł kolejny przypływ adrenaliny. Rozwrzeszczana masa krążyła od pubu do pubu, nie przejmując się godzinami otwarcia. Turyści szli na pokazy striptizu, miejscowi po dziewięciu godzinach pijaństwa chcieli rozładować rozdrażnienie. Między nimi plątali się narkomani. Na chodniku leżała kobieta. Najprawdopodobniej martwa. Po obu jej stronach ludzie ustawiali się w kolejce do bankomatów.

Belsey był gotów włamać się do agencji towarzyskiej. Właściwie nawet miał na to ochotę. Kiedy jednak zbliżył się do budynku, zauważył, że na najwyższym piętrze pali się światło.

Drzwi wejściowe były otwarte. Recepcjonistka próbowała go zatrzymać.

- Biuro jest już zamknięte.

Wsunął nogę w drzwi. Lampy były już pogaszone. Światło przedostawało się przez szparę spod gabinetu Freddiego Gartha.

- Zostawiliście zapalone światło.

Wykorzystał, że się obejrzała, i wszedł do środka. Rzuciła się do telefonu i podniosła słuchawkę, próbując ostrzec szefa, ale nie miała szans. Belsey otworzył drzwi. Garth siedział sam, wyjmując kartki z teczki.

- Jestem zajęty - oświadczył.

- W takim razie ci przeszkodzę. - Belsey zasiadł w fotelu.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać z Lucindą. - Nie.

Belsey wziął z biurka telefon, przełączył na głośnik i wybrał numer.

- Channel Five - rozległ się głos.

Belsey pochylił się na mikrofonem.

- Mówi Nick Belsey, przyjaciel Mirandy Miller. Może pan połączyć mnie z działem wiadomości?

Garth chwycił aparat i przerwał połączenie.

- Mieszka w północno-zachodnim Londynie - rzucił. Zajrzał do jakiejś teczki, odczytał głośno adres i schował dokumenty.

- Dziękuję za współpracę - powiedział Belsey.

Dom stał na ładnej parceli na zachód od cmentarza Highgate: bielony budynek na ogrodzonym osiedlu. Dochodziła dwudziesta trzecia. Na podjeździe połyskiwał nowy passat, ale światła w mieszkaniu były pogaszone. Wszyscy już w łóżeczkach. Będzie ubaw, pomyślał Belsey.

Nacisnął dzwonek, odczekał i nacisnął znowu. Po chwili otworzył mężczyzna w szlafroku. Ciemne włosy miał przyprószone siwizną. Wyglądał na wysportowanego, jakby sporo grywał w squasha.

- Zastałem Lucindę?

- Tu nie mieszka żadna Lucinda. Moja córka ma na imię Lucy.

- To o nią chodzi.

- Pan właściwie w jakiej sprawie?

- Policja. Nie ma powodów do niepokoju, ale koniecznie muszę z nią porozmawiać. Zastałem ją?

- Tak sądzę.

- Mogę wejść?

Mężczyzna wprowadził go do wymuskanego jasnego mieszkania. Na stoliku w przedsiönku leżały listy adresowane do doktora Howarda Granta. W salonie stały kanapy w różowokremowy wzór.

- Chodzi o Jessicę? - upewnił się gospodarz.

- Tak.

- Lucy żałuje, że nie mogła jej jakoś pomóc. Ogromnie to przeżyła. Jak zresztą my wszyscy.

- Wiem. To musi się wydawać okrutne. Chciałem tylko powiadomić ją o kilku najświeższych ustaleniach.

Belsey podziwiał kanapy i fotele z pufami do kompletu. Na ścianach wisiały zdjęcia Lucy zrobione przez profesjonalnego fotografa. Na stoliku leżał egzemplarz „Dziennika Dentystyki Kosmetycznej” i pisma „Uśmiech”.

- Sprawdzę, czy nie śpi.

Ojciec poszedł na górę. Wrócił po kilku sekundach.

- Jest w łazience.

- Dobrze. Poczekam. Mógłbym poprosić o herbatę? - spytał Belsey. - Od rana jestem na nogach.

- Naturalnie.

Belsey odczekał, aż mężczyzna zniknie w nowiutkiej kuchni, i zakradł się na górę. Spod drzwi łazienki padało światło. Do niej przylegał pokój dziewczyny: ściana obwieszona zdjęciami, maskotki na łóżku, na półkach testy maturalne, ciuchy na podłodze. Belsey zajrzał do szafy, otworzył szufladę szafki nocnej: pigułki antykoncepcyjne, notes z adresami, butelka diazepamu i dwie broszurki klinik specjalizujących się w powiększaniu biustu.

Belsey przerzucił notes i odłożył go na miejsce. Wrócił na dół do salonu. Chwilę później pojawił się gospodarz z herbatą.

- Okropna sytuacja - powiedział. - Tak.

- Matka Lucy ogromnie to przeżywa.

Belsey rozsiadł się wygodniej. Patrzył na śliczne zdjęcia córki dentysty: w stroju baletnicy, w sukni balowej. Nikt nie wierzy, że zagrożenie może czyhać we własnym domu. Nawet kiedy zagrożeniem jest on sam. Nawet kiedy tłucze na śmierć swoich najbliższych.

- Znajdziemy sprawcę - zapewnił Belsey.

- Jak ludzie potrafią potem spojrzeć sobie w oczy? Lucy zeszła na dół świeżo umalowana, w spódnicy, botkach za kolana i futerku ze sztucznego misia zarzuconym na ramię.

Nie wyglądała, jakby się wybierała spać. Powiodła wzrokiem od Belseya do ojca, od ojca do Belseya.

- To policjant - wyjaśnił ojciec. Ściągnęła brwi.

- Powiedziałałam wszystko, co wiem.

- Mogłaś przeoczyć kilka drobiazgów - odparł Belsey. - Interesują mnie towarzyszkę Jessiki. Rozumiesz, takie od serca.

Na twarzy dziewczyny pojawiła się panika. Szybko popatrzyła na ojca, ale on pozostawał w błogiej nieświadomości.

- Może porozmawiamy na osobności? - zaproponował policjant.

Ten pomysł wyraźnie jej odpowiadał. Przeszli do jej pokoju.

- Czego chcesz? - spytała.

- Siadaj.

Belsey zamknął drzwi. Usiadła na brzegu łóżka.

- Chcę tylko pogadać. Zdarzają ci się tacy klienci? Którzy chcą tylko pogadać?

- Nie rozumiem.

- Dlaczego okłamałaś policję?

- Co powiedziałaś ojcu?

- Że jesteś zimną, cyniczną dziwką. Co powiedziałaś Sky?

- Pieprz się. Gówno cię obchodzi Jessica.

- Czyżby? Zapytaj lepiej, czy obchodzi mnie, że teraz tobie może grozić niebezpieczeństwo?

- Banda niekompetentnych dupków.

Odwróciła się, ale niezbyt skutecznie. I tak usłyszała drugą część zdania. Belsey usiadł przy niej na łóżku. Pokazał jej zdjęcie z kasyna.

- Chcę wiedzieć wszystko o tym, tamtej nocy i tamtym facecie. Im więcej się dowiem, tym mniejsze niebezpieczeństwo nam wszystkim grozi.

Wpatrywała się w fotografię przez dłuższą chwilę, jakby się upewniała, czy to nie fotomontaż. Wreszcie przestała myśleć o zdjęciu, a skupiła się na tym, co to dla niej oznacza.

- Ma na imię Pierce - powiedziała wreszcie.

- Czym Pierce się zajmuje?

- Jest biznesmenem. Bardzo bogatym.

- Od dawna go znasz?

- Spotkałam się z nim tylko tamtej nocy.

- Opowiedz, jak to było.

- Poszliśmy do takiego klubu z kasynem.

- My, czyli kto?

- Ja, Jess i Aleksiej.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co to znaczy.

- Poznałaś Aleksieja Devereux?

- Tak.

Czyż to nie dziwaczne? Dopiero w tej dziewczynskiej sypialni spotkał kogoś, kto go widział; znalazł się o krok od kogoś, w kogo istnienie już prawie przestawał wierzyć.

- Kiedy to było?

- W środę minął tydzień.

- Jaki był? - dopytywał się dalej.

- Milczący.

- Lubił brać po dwie dziewczyny?

- Nie. Sama nie wiem, po co mnie zamówił. Później, kiedy zjawił się Pierce, większość czasu spędziłam z nim, a Aleksiej został z Jessicą.

- Devereux i Jessica musieli przypaść sobie do gustu.
- Zakochali się. - Mówiąc to, spuściła wzrok. Nagle wydała mu się młodzianka, bezbronna.

- A co z Aleksiejem i Pierce'em? Dobrze się znali?

- Nie. Poznali się tamtego wieczoru. Dużo rozmawiali.

- Naprawdę?

- Naprawdę co?

- Ledwo się poznali, a już znaleźli temat do rozmowy?

- Tak mi się wydaje.

- O czym tak rozprawiali?

- O interesach. Ale tak, żebyśmy nie słyszały.

- Sądzisz, że Devereux spodziewał się spotkać tam Pierce'a?

- Może? Pierce wspomniał, że często tam wpada. Lubi grać w blackjacka i kości.

- Zapłacił ci?

- Pan Devereux za wszystko płacił.

- Pierce wiedział, że robisz to za pieniądze?

Wzruszyła ramionami. Fakt, pomyślał Belsey. Są miejsca, gdzie każdy robił wszystko za pieniądze. Większe lub mniejsze.

- Coś jeszcze utkwiło ci w pamięci? Pierce Buckingham miał coś szczególnego?

- Zimne dłonie - powiedziała.

Wyglądała teraz na bardzo młodą i bardzo zagubioną. Belsey wstał z łóżka i przyciągnął do siebie stółek od toaletki. Nachylił się w stronę dziewczyny, ale nie za mocno.

- Sądzę, że mogę wyjaśnić, co się dzieje i co spotkało twoją przyjaciółkę. Dopilnuję też, by tobie nie stało się nic złego.

Musisz jednak powiedzieć mi wszystko, co wiesz.

Sięgnęła pod materac i wyjęła menu. Proszą zadrukowaną kartkę z nagłówkiem „Villa Bianca”. Podała mu.

- Byłaś tam?

- Nie. Poszli tam we dwoje. Dała mi to.

- Menu?

- Przeczytaj, co jest na odwrocie.

Belsey spojrział na drugą stronę, gdzie ktoś dobrym piórem napisał kilka zdań. To samo staranne, kaligraficzne pismo co na liście pożegnalnym.

Droga Jessie.

Z Tobą czuję się naprawdę szczęśliwy. Wiem, że nie mogę Ci o wszystkim powiedzieć i że to sprawia Ci przykrość. Mówisz, że się nie znamy. Ale czy miłość musi oznaczać, że się kogoś zna? Może zdołałabyś pokochać kogoś, kogo znasz bardzo słabo albo wcale. Czy to możliwe? Mój śnieżny tygrysku, moja dzielna wojowniczo i marzycielko... Cokolwiek się wydarzy, wierzę, że teraz już naprawdę się znamy.

List był podpisany tylko literą A i iksem oznaczającym pocałunek. Belsey przeczytał jeszcze raz. Śnieżny tygrys. Wzruszające. Dziwne. Ta zaskakująca czułość jeszcze dodatkowo komplikowała wizerunek Devereux.

- Kiedy ci to dała?

- Dzień przed śmiercią.

- Po co?

- Na wypadek, gdyby wydarzyło się coś złego. Przyjrzał się menu. Datowane w niedzielę, ósmego lutego.

Specjalność dnia: tortellini z łososiem. Zgadzało się z paragonem w portfelu Devereux. Wyglądało na to, że coś złego wydarzyło się dość szybko.

- Sądzę, że chciałaby, żebyś pomogła nam w znalezieniu mordercy - powiedział Belsey.

- To wszystko, co wiem.

- Jak mówił pan Devereux? Jaki miał akcent?

- Obcy. Trudno określić, bo mówił bardzo cicho. Niechętnie się odzywał. Twierdził, że jego angielszczyzna jest słaba.

- List jest napisany poprawnie, bez żadnych błędów.

- Fakt.

To jej dało do myślenia.

- Czy Devereux wspominał o jakimś projekcie? - spytał.

- Nie rozumiem.

- O jakimś planowanym przedsięwzięciu?

- Nie wiem. Byli czymś podekscytowani. Zamówili szampana.

- Z jakiej okazji?

- Coś się trafiło. Jakaś okazja.

- Sądzisz, że ta okazja stała się przyczyną śmierci Jessiki?

- Jessica bała się, że stanie się coś złego. Wiedziała.

- O czym?

Lucy pokręciła głową. Była zagubiona.

- Byłaś dla niej wzorem. Naśladowała twój styl ubierania się - drążył Belsey.

- Tak.

- Była szarą myszką. Dopiero pan Devereux zobaczył w niej to wszystko, co chciała, by w niej dostrzeżono.

- Nie była szarą myszką. Wcale.

- To jaka była?

Lucy zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

- Była smutna. Pan Devereux to zmienił. Był dobry, bogaty.

Zamierzali uciec i zamieszkać razem.

Był bogaty. Nie odkryła Ameryki. Niektórych ludzi nazywano zamożnymi, innych bogatymi. Ale rzadko nazywano ich równocześnie dobrymi.

- Dlaczego to robisz? - Co?

- Pracujesz w agencji.

- Mam wolny rok.

Belsey parsknął śmiechem. Było mu głupio, ale nie mógł się powstrzymać.

- I pięknie go zagospodarowujesz.

- Potrzebuję pieniędzy.

Rozległy się kroki. Dwie osoby szły na górę.

- Ale czego tak naprawdę pragniesz?

Popatrzył na nią i zobaczył młodzieńką dziewczynę, która straciła przyjaciółkę, a przynajmniej bliską koleżankę; zobaczył samotną nastolatkę, która ma ładny dom, za dużo ciuchów i kolejkę mężczyzn, którzy chętnie zapłacą, by się z nią przespać.

- Dokąd zamierzali uciec? - spytał.

- Nie wiem. Jess mówiła, że gdzieś daleko. Ale nie mogła się zdecydować.

- Na co nie mogła się zdecydować?

- Czy w ogóle z nim wyjedzie.

Belseyowi przypomniał się list w torebce. Podjęła decyzję.

Pytanie brzmiało tylko, dlaczego Devereux nie dotarł na randkę, na której miał się o tym dowiedzieć. Lucy zaczęła płakać. Sięgnęła po pudełko z chusteczkami. Jej ojciec zajrzał do sypialni.

- Co się dzieje? - spytał.

Obok niego wyrosła żona w identycznym szlafroku, tuląc do siebie białego psiaka.

- Lucy? - powiedziała. - Skarbie?

Matka miała ładne zęby. Cała rodzina miała ładne zęby.

Rozdział czterdziesty czwarty

Belsey popruł z powrotem do centrum na spotkanie z Maksem Kovarem w Ritzu. Na Charing Cross Road zatrzymał się przed dużą wypożyczalnią wideo dla dorosłych, której parter udawał księgarnię. Większość klientów od razu schodziła na niższy poziom, omijając półki z pożółkłymi książkami w twardej oprawie. Belsey chwycił jakąś monografię z obrazem konia na okładce, oderwał zabezpieczenie antykradzieżowe i wyszedł.

W pubie obok poprosił o długopis. Na pierwszej stronie napisał:

„Dla Maksa Kovara od Aleksieja Devereux”. Drobiazgi. Przekręt opiera się na drobiazgach, grze podświadomości.

Idealnie wybrał moment pojawienia się w hotelu. Właśnie trwała zmiana warty: lokal opuszczali turyści, którzy wpadli tu na kolację, a urzędowanie rozpoczynały nocne émy. Poza tym nic się nie zmieniło. Rivoli było cudownie kiczowate. Z telefonu przy barze zadzwonił na komórkę Charlotte.

- Cześć, Charlotte. Wiem, że jest późno.

- Już się bałam, że o mnie zapomniałeś.

- Nie mógłbym - zapewnił. - Mam dla ciebie prezent.

Nazywa się Pierce Buckingham i zginął dziś w City.

- Doprawdy, nie musiałeś.

- Nie chcą nagłaśniać sprawy, więc poczuj się wyróżniona.

- Słyszałam o strzelaninie w City, ale nie podali nazwiska ofiary ani szczegółów.

- I pewnie nie podadzą. Możesz liczyć tylko na mnie. Zapamiętaj, Pierce Buckingham. Tylko pospiesz się, bo będą próbowali to wyciszyć. Buckingham miał kontakty z inwestorami z Hongkońskiego Konsorcjum Gier Hazardowych, a dziesięć dni temu, w środę, pił z Devereux.

- Gdzie mam szukać?

- Zacznij od firmy PO Ochrona. Miałaś wątpliwą przyjemność poznać jednego z jej pracowników. Przyjrzyj się jej związkom z policjantami współpracującymi z nadkomisarzem Northwoodem. Nawet jeśli nie znajdziesz haków, zyskasz pozycję przetargową. - Do sali wszedł Kovar. - Słuchaj, Charlotte.

Zrób coś dla mnie. Zadzwoń za trzy minuty pod ten numer i powiedz, że to Aleksiej Devereux.

- Co?

- Wyświadczysz mi wielką przysługę. Muszę kończyć - powiedział Belsey.

- Ale...

Rozłączył się i powiedział barmanowi, że spodziewa się telefonu. Kovar zajął stolik w głębi. Belsey przysiadł się do niego.

- Jesteś punktualny - przywitał się.

Podali sobie ręce. W lobby Belsey zauważył kilku gości w ciemnych garniturach. Wyglądali na ochroniarzy. Może stanowili obstawę Kovara, ale spekulant wszedł do baru sam.

- Proszę. - Podał mu książkę i patrzył, jak Kovar otwiera ją i czyta dedykację.

- Cóż, bardzo miło ze strony pana Devereux. Czy to znaczy, że go nie będzie?

- Pojawiły się drobne trudności. - Belsey rozejrzał się po barze z miną, która miała wyrażać czujność, a zarazem zniecierpliwienie. - Właśnie to załatwia.

- Jakie trudności?

- Przekonasz się. Kto wie, może na tym skorzystasz?

- W jakim sensie?

Belsey wbił wzrok w Kovara.

- Posłuchaliśmy twojego ostrzeżenia w sprawie Pierce'a Buckinghama. Przeszliśmy do czynów.

- Co się stało?

- Nie myliłeś się. Jesteśmy ci wdzięczni i pragniemy to okazać, składając ci propozycję.

- Jaka? Podszedł barman.

- Telefon do pana. Niejaki Aleksiej Devereux.

- Och. - Belsey zerknął na zegarek. - Pozwolisz, że cię na chwilę opuszczę?

Wiadomość podziałała elektryzująco na spekulanta. Pozwolił, by Belsey na chwilę go opuścił. Policjant odebrał przy barze.

- O co chodzi? - odezwała się Charlotte.

- Jesteś naprawdę wyjątkowa - powiedział Belsey i odłożył słuchawkę.

Wrócił do stolika.

- Dobra wiadomość: musi naprawdę cię lubić, inaczej nie dzwoniłby z przeprosinami.

Kovar skinął głową.

- Zła wiadomość: przeprasza, ale nie będzie mógł przyjść.

Kovar zniósł to po męsku.

- Propozycja - powiedział.

- Jaka propozycja?

- Kiedy zadzwonił pan Devereux, mówiłeś, że złożycie mi propozycję.

- Trzydzieści procent. Za taką część odpowiadał Buckingham, więc teraz musimy zapełnić tę lukę. Miał wciągnąć Hongkońskie Konsorcjum Gier Hazardowych, ale teraz nic z tego. Czyste trzydzieści procent i kawałek jest twój, jeśli chcesz.

- Kawałek czego?

Belsey wzniosł oczy ku niebu.

- Chryste Panie, Max. Pan Devereux uprzedzał, że będziesz twardy, ale naprawdę moja cierpliwość też ma granice.

- Słuchaj - warknął Kovar. - Zanim wpakuję w coś forszę, muszę to obwąchać. Rozumiesz? Muszę mieć konkrety. Chcę to nadgryźć, obmacać. Dlatego podróżuję. Dlatego teraz jestem tutaj.

- Przesuń wylot. W ciągu doby dam ci konkrety. Będziesz mógł gryźć, wąchać, robić z tym, co chcesz. Jeśli potrzebujesz lokum, załatwię ci. Jeśli będziesz miał problemy z biletem, damy ci do dyspozycji nasz samolot.

- Mam przesunąć wylot? Podpowiesz mi chociaż, czego mogę się spodziewać?

- Nie wiesz? Serio? - zdumiał się Belsey.

- Serio.

- Nie mogę tutaj o tym rozmawiać. Będziesz jutro w Londynie?

- Najwyraźniej. Chyba nie mam innego wyjścia - odparł Kovar poirytowany.

Zdaje się, że pierwszy raz w życiu wodzono go za nos. Musiał przyjmować warunki, a to najlepszy sposób, by uświadomić komuś, że bardzo mu na czymś zależy. A skoro zależy, to musi być warte zachodu, czyli warto o to zabiegać.

- Słuchaj, Max. Poradzę ci coś, bo chętnie bym dłużej z tobą współpracował. Buckingham był naciągaczem, ale wiedział, co zrobić, żeby pan D. czuł się kochany. Rozumiesz, co nam na myśli?

- Tak mi się wydaje.

- Okienko twojej szansy, okienko, przez które możesz dowieść swojej miłości, kurczy się z minuty na minutę. Za dzień, dwa wyjeżdżamy z Londynu.

- Aha.

- Dlatego przygotuj się na szybką transakcję. Jeśli chcesz coś podarować panu Devereux, to najlepszy moment. I nie przejmuj się tym, co usłyszysz w wiadomościach.

- A co usłyszę?

- Że Pierce Buckingham nie żyje.

Kovar spojrział zdumiony. Belsey podał mu rękę, wstał od stolika i szybko wyszedł z baru, kierując się na Piccadilly Circus.

Policja City była podzielona na dwie jednostki. Jedna miała komendy przy Snow Hill i Bishops Gate, druga – centrala - mieściła się przy Wood Street. Strzały padły w rewirze należącym do Wood Street, a tam mieściła się komórka do spraw przestępstw różnych. Belsey założył więc, że tam ich zastanie.

Wszedł do budynku. Przed dyżurką kręcił się tłum policjantów powtarzających, że skierowano ich do nadkomisarza Walkera do pomocy w śledztwie.

- Właśnie trwa odprawa - wyjaśniał dyżurny policjant. - Poczekajcie w biurze.

Wściekli pokręcili głowami, ale poszli na górę. Belsey wrócił na ulicę, poszperał w śmietniku, wyłowił puste pudło po dokumentach i spróbował jeszcze raz.

- Nick Belsey do nadinspektora Walkera - oznajmił, machając odznaką.

- Nikogo w tym momencie nie przyjmuje. Wszyscy czekają w biurze.

Belsey westchnął ostentacyjnie. Dyżurny wcisnął brzęczyk i wpuścił go za bramkę.

W biurze komórki do spraw przestępstw różnych zmieściłoby się dziesięć innych wydziałów, tymczasem oni mieli do dyspozycji jeszcze trzy pomieszczenia i salę konferencyjną na końcu korytarza. W głównym pokoju panowała duchota. W nieprzyjaznym świetle jarzeniówek krążyło trzynaście osób: inspektorzy, sierżanci i posterunkowi z dochodzeniówki. Część opierała się o biurka. Wszyscy trzymali papierowe kubki z kawą i patrzyli na drzwi sali konferencyjnej. Na wielu twarzach gościł niepokój.

- Gdzie nadkomisarz? - spytał Belsey.

Ktoś ruchem głowy pokazał salę konferencyjną. Belsey ruszył do drzwi.

- Nie radzę - odezwał się wąsaty sierżant z akcentem z południowego Londynu, nerwowo poklepujący się po kieszeni z opakowaniem bensonów.

- Wszyscy czekamy - warknął inny, tyczkowaty siwy

inspektor, którego Belsey kojarzył z komórki do spraw prania brudnych pieniędzy.

Belsey stanął zniecierpliwiony na środku pokoju.

- Co jest, kurwa? - spytał.

Podszedł do ekspresu i nalał sobie kawy.

- Jesteś z wydziału zabójstw?

- Operacja „Forteca”. Wydział policji City zajmujący się przestępstwami z użyciem broni palnej.

- Walker siedzi z waźniakami. Kazali nam czekać.

Belsey spytał rozdrażnionych funkcjonariuszy, co już wiadomo. Wyglądało na to, że śmierć Buckinghama uruchomiła cichy alarm wśród waźniaków, bo w sali konferencyjnej znaleźli się dwaj parlamentarzyści, urzędnik ministerialny i grupa oficerów z jednostki specjalnej. Zakazano też udzielania jakichkolwiek informacji mediom. Śmietanka londyńskiej policji zebrana w biurze mogła więc tylko czekać i snuć własne teorie.

- To naprawdę Buckingham? Nie wierzę - powiedział Belsey.

- Dlaczego? Najwyższy czas - mruknął ktoś.

- Nasz narowisty rumak? - roześmiał się inny. - Od początku ostrzegałem, że sam kopie sobie grób.

Belsey dyskretnie usunął się w róg. Wyobrażał sobie, że zasypia. Słuchał uważnie.

- Narobił sobie sporo wrogów - wtrącił kolejny.

- Już mieliśmy się dorwać do jego włoskich rachunków, kiedy sędzia wypadł przez okno.

Zadzwoił telefon. Odebrał tyczkowaty spec od prania brudnych pieniędzy. Słuchał przez chwilę, po czym obwieścił:

- Tak, to na sto procent nasz narowisty rumak Buckingham.

- Cóż, nikt nie będzie po nim płakał.

- Ja będę - oświadczył sierżant. - To będzie masakra. - Wziął zapalniczkę i wyszedł.

Pani inspektor z komisariatu przy Snow Hill przerzucała akta.

- Doradca finansowy - prychnęła. - Można i tak to nazwać.

- Fagas, który elicie przestępców lazi w dupę bez wazeliny.

Puścili w obieg akta Buckingham: działalność w zachodniej Afryce, Egipcie, a ostatnio w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, gdzie po raz pierwszy połączono jego nazwisko z Hongkońskim Konsorcjum Gier Hazardowych. Wąsaty sierżant wrócił do sali, ściskając komórkę.

- Możemy wracać do domu - oświadczył.

Właśnie usłyszał, że na miejsce jedzie ekipa z londyńskiej filii FBI. Plotkę potwierdziła inspektor ze Snow Hill, mówiąc:

- Cztery dni temu zadzwonili do nas z Amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, że jakiś ich inwestor ostrzegął przed Buckinghamem. Ponoć coś kombinował. Następnego dnia zadzwonili jeszcze raz, że odebrano im dochodzenie, więc radzą nam zapomnieć, że cokolwiek słyszeliśmy.

Buckingham miał dobrych przyjaciół na Wschodzie. Kluczowych graczy.

- Może to ich się spodziewali? - zastanawiał się na głos tyczkowaty. - Podobno w ubiegłą sobotę do Londynu przyleciało osiem prywatnych samolotów. Grube ryby. Nikt nie wiedział, co ich sprowadza, ale mówiło się, że spotkanie organizuje Buckingham.

- Mogę zobaczyć akta? - spytał Belsey.

- Śmiało, częstuj się - odparła zmęczonym głosem kobieta ze Snow Hill.

Belsey przerzucał notatki i formularze. Znalazł pismo od niejakiego porucznika Stephena Maynarda z Amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd: odpowiedź na skargę teksańskiego inwestora poważnie zaniepokojonego umową zawartą pomiędzy Hongkońskim Konsorcjum Gier Hazardowych a AD Development. Trafił też na informację o rachunku w austriackim Sparbuchu, na który - jak się spodziewano - spłynię sporo miodku. Cyfry wyglądały bardzo znajomo. Zwrócił teczkę.

Nikt nie sięgał po telefon. Drzwi sali konferencyjnej pozostawały zamknięte. Widok numeru rachunku Devereux był jak

znaleziony przypadkiem osobisty drobiazg, jak szczegół snu, którego nikomu nie opowiedział. Okazało się jednak, że nie tylko jemu przyśnił się ten sen, ale inni wierzyli, że rachunek to tylko wierzchnia warstwa. Że gdzieś pod spodem, głęboko kryło się podłoże nielegalnych korzyści majątkowych.

Drzwi sali konferencyjnej w końcu się otworzyły i wynurzył się nadinspektor Walker. Twarz miał bladą, ściągniętą.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego Pierce Buckingham spędził ostatni weekend, ganiając po Londynie i próbując w dwadzieścia cztery godziny zdobyć trzydzieści osiem milionów funtów?

Rozdział czterdziesty piąty

Belsey wyszedł z pokoju. Znalazł puste biuro w głębi korytarza, wziął telefon, wybrał dziewiątkę - połączenie zewnętrzne - a potem numer Raiffeisen Zentralbank. Trzydzieści osiem milionów, myślał. Powiódł wzrokiem po ścianach, lista banków inwestycyjnych i korporacji, nazwiska funkcjonariuszy objętych postępowaniem dyscyplinarnym. On znalazł się w kategorii przestępstw gospodarczych. Roześmiał się. Bank odebrał po trzecim sygnale.

- *Guten Tag* - powiedział Belsey.

- *Guten Abend*. Mogę prosić o numer pańskiego rachunku?

- Tym razem trafił na mężczyznę.

Belsey podał go. Grał na bezczelnego, mimo to nie uważał, że postępuje lekkomyślnie. Telefon do austriackiego banku z biura wydziału do spraw przestępstw gospodarczych nikogo nie powinien dziwić. Zresztą kto będzie wiedział, że w ogóle tu był.

- Czy to pan Devereux? - upewnił się mężczyzna.

- Zgadza się.

- Mogę prosić o hasło?

- Jessica - powiedział Belsey. Potem przeliterował. Czekał.

- Dziękuję. Jedną chwileczkę. - Belsey bał się wciągnąć powietrze. - Czekaam, aż dane się załadują.

Serce mu śpiewało. Gałka w drzwiach się obróciła. Weszło czterech funkcjonariuszy. Na jego widok ściągnęli brwi. Rozłączył

się.

- Żonka się wkurzyła - powiedział.

Wracał do północnego Londynu pijany z uniesienia. Oczami wyobraźni już widział swoją luksusową przyszłość. Co za durne hasło. Ludziom wydaje się, że obsesje stanowią ich najgłębszy sekret. Jakże się mylą. Nie ma nic bardziej oczywistego niż sekret. Detektyw szybko się o tym przekonuje. Dlatego uczy się zwracać uwagę na to, co najbardziej przyziemne: jakie papierosy ludzie palą, czy słodzą kawę, na czynności wykonywane przez nich mechanicznie.

Zaparkował na ulicy i biegiem wpadł do domu Devereux. Z gabinetu zadzwonił do austriackiego banku i podał hasło.

- Tak, proszę pana?

- Chciałbym zrobić przelew na rachunek firmowy w banku South Pacific.

- Ile?

- Wszystko. W transzach po dziesięć tysięcy aż do opróżnienia konta.

- Planował pan wcześniej wpłatę na rachunek?

- Nie. Dlaczego?

- Obecny stan konta wynosi dwa euro.

- Dwa euro?

- Tak, proszę pana.

Belsey odłożył słuchawkę. Nalał sobie drinka. Marzenie runęło jak domek z kart. Pozostała po nim tylko przerażająca cisza.

Amerykańska Komisja Papierów Wartościowych i Giełd miała siedzibę w Atlancie. Teraz w Georgii dochodziła dwudziesta pierwsza. Belsey przypomniał sobie ich notkę, którą widział na Wood Street, i zastanawiał się, co wiedzieli o Sparbuchu Devereux. Przez dziesięć minut odbijał się od jednej poczty głosowej do drugiej, aż wreszcie został połączony z biurem spraw zagranicznych. Kiedy wyjaśnił, o co chodzi, podali mu numer komórki Maynarda. Porucznik odebrał w hałaśliwej restauracji.

- Kto mówi?

- Porucznik Maynard? Dzwonię z New Scotland Yard.

Chodzi o Aleksieja Devereux.

- Momencik.

Belsey usłyszał, jak porucznik otwiera drzwi i przechodzi w cichsze miejsce.

- Z kim rozmawiam?

- Posterunkowy Nick Belsey ze Scotland Yardu, komórka do spraw przestępstw finansowych. Trafiłem na pańskie nazwisko w kontekście sprawy AD Development i Aleksieja Devereux.

- Coś się wydarzyło?

- Sądzę, że mogę panu pomóc - powiedział Belsey. - Którą sprawą pan się zajmuje?

- Otrzymaliśmy ostrzeżenie od biznesmena, któremu zaproponowano inwestycję w jakieś przedsięwzięcie AD Development. To bardzo wpływowy człowiek, który zwrócił się do nas w zaufaniu. Jego zdaniem sprawa cuchnęła, więc obiecałem, że zainteresuję się spółką. Zanim zdążyłem to zrobić, zniknęła.

- Jak to?

- Wielkie zwijanie interesu zaczęło się w poniedziałek o siódmej rano. Zlikwidowano wtedy trzy rachunki firmowe AD Development i fundusze z nich przekazano na konta firmkrzaków na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Ktoś podjął też pół miliona gotówką. Następnie otworzył dwa nowe rachunki na Wyspach i na każdy wpłacił połowę sumy. Potem je też zlikwidował. Możemy wytropić tylko jedną połowę, która w ciągu następnych dwóch dni krążyła przez osiem firm-krzaków w Andorze. Gość posłużył się jedną z nich, żeby kupić dwadzieścia siedem nieaktywnych firm od Luksemburga po Delaware.

Tutaj ślad się urywa. Przypuszczam, że wykorzystywane przez siebie banki kupił w rajach podatkowych, opłacając roczną licencję. Dlatego teraz nie możemy się przez nie przebić, a w przyszłości pewnie też się nie uda. Wie pan coś o Devereux?

- Zmarł w ubiegłą niedzielę.

- Cóż, czyli uwija się teraz w piekle.

Cała forsa zniknęła. Ktoś znacznie sprytniejszy niż Belsey wydoił Devereux co do kropelki. Powiadają, że człowiek nie

zabierze pieniędzy do grobu, ale Belsey odnosił wrażenie, że Devereux próbował to zrobić.

- Widział pan raport bankowy o jego podejrzaną działalności w Londynie? - zapytał Maynarda.

- Nie. Sprawdziłem wszystkie kraje unijne. W żadnym nie pojawił się ani jeden.

- Przecież był SAR z Christie's - zdziwił się Belsey. - Londyn, dwudziesty dziewiąty stycznia.

- Nie było żadnego SAR-u z Londynu. Wiem, sprawdzałem.

- Nie trafił do pana? Pół miliona gotówką.

- Nic takiego nie widziałem. Miotam się jak w pułapce. To jeden z największych przekrętów, jakie widziałem, i same ślepe uliczki.

Belsey rozłączył się i zadzwonił do Scotland Yardu. Po dłuższej chwili odebrał dyżurny oficer. Belsey przez pięć minut musiał go namawiać, żeby sprawdził rejestr SAR-ów. Dziesięć minut później uzyskał potwierdzenie, że nie wpłynęły żadne raporty bankowe o podejrzaną działalności, a dom aukcyjny Christie's ostatni raz przysłał taki osiem miesięcy temu. Najwyraźniej inspektor Philip Ridpath sam wymyślił sobie pretekst, by polować na Devereux.

Rozdział czterdziesty szósty

Belsey wyciągnął z zamrażarki ostatnią butelkę wódki Devereux. Usiadł w gabinecie przed płamą krwi. Nie ma SAR-u, pomyślał. W co, u diaska, pogrywa ten Ridpath? Bogiem a prawdą przestało go to obchodzić. Był skonany. Najpierw wysoko wzbił się na skrzydłach nadziei, żeby potem z trzaskiem spaść na ziemię. Może teraz zaśnie. Wzniósł toast za Pierre'a Smirnoffa, starego druha, gdy zadzwonił telefon. Belsey pił.

Nie chciał już oglądać zabytkowych mebli. Aparat uporczywie dźwięczał. W końcu Belsey odebrał.

- Co się dzieje? - zapytał męski głos.

- Nic - odparł Belsey. - Wszystko się popieprzyło. Spadaj.

- Kto mówi?

- A kto mówi? - odpowiedział pytaniem Belsey.

- Co jest grane?

Belsey się rozłączył. Sekundę później telefon znów zadzwonił. Podniósł słuchawkę.

- Pan Devereux? - Inny męski głos.

- Przy telefonie.

- Nico, co obiecałeś, nie było, jak miało.

Rozmówca słabo mówił po angielsku. Przeciągał samogłoski. Latynos? Może nawet Chińczyk. Do tego był wściekły, co nie ułatwiało mu wysławiania się.

- Takie, drogi przyjacielu, jest życie - odparł Belsey. - *C'est la vie. Asi es la Vida.* - Nico a nico. Teraz wiele ludzi jest niezadowolony.

- Zawsze ktoś jest niezadowolony - stwierdził Belsey sentencjonalnie. Odłożył słuchawkę na blat.

- Halo? - płynął z niej głos. - Nie zadzieraj ze mną!

Belsey położył się na podłodze i przymknął oczy. Kiedy je otworzył, w drzwiach stał mężczyzna.

Rozdział czterdziesty siódmy

Było otwarte.

Inspektor Philip Ridpath znieruchomiał z uniesionym czarnym pantoflem. Dopiero po chwili rozpoznał osobnika na wykładzinie.

- Posterunkowy Belsey - powiedział wreszcie.

- Inspektorze Ridpath.

Belsey dźwignął się z podłogi. Tego nie można zrobić elegancko. Ridpath stał z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza.

Wydawał się jeszcze bardziej wymiętoszony niż podczas ich pierwszego spotkania i mniejszy, niż Belsey zapamiętał. Zachował jedynie tę samą, niemal zwierzęcą dociekliwość. Popatrzył na Belseya, na słuchawkę, z której wciąż dobiegały przekleństwa: „Zginiesz, skurwielu. Już po tobie...” - a wreszcie na drzwi wejściowe i Bishops Avenue. Powoli na jego twarzy miejsce podejrzliwości zajęła troska.

- Witam - rzucił Belsey.

Ridpath przekroczył próg gabinetu z miną księdza wchodzącego do burdelu. Powiódł wzrokiem po półkach, przyjrzał się plamie krwi, po czym wrócił do salonu. Belsey odłożył słuchawkę na widelki i ruszył za nim. Ridpath czubkiem buta szturchnął przewróconą karafkę.

- Zdaje się, że na pożegnanie niezłe się zabawił - zauważył Belsey.

- Jak się tu dostałeś? - spytał Ridpath ostro.

- Otworzyłem drzwi kluczem.

- Masz nakaz?

- Nie.

Inspektor się skrzywił.

- Dotykałeś czegoś?

- Prawie wcale - zapewnił Belsey. - A co pana tu sprowadza?

Ridpath podszedł do drzwi balkonowych i nacisnął klamkę.

- Czego się o nim dowiedziałeś?

- Jeśli dobrze się orientuję, miał ładny dom i niewiele poza tym. Lubił ręczniki przewiązane kokardką.

Belsey siadł przy barku śniadaniowym i próbował wytrzeźwieć. Obserwował, jak inspektor krąży po parterze. Ridpath włożył lateksowe rękawiczki i sprawdzał drzwi. Przy każdym obracał gałkę, zatrzymywał się i dopiero potem pchał. Następnie stawał w progu i przyglądał się pomieszczeniu. Kiedy poszedł na górę, Belsey podniósł z podłogi koniak, dopił do końca i odstawił na szafkę. Później ruszył na górę śladem inspektora.

Zastał go, jak klęczy przy łóżku Devereux niczym dziecko odmawiające pacierz. Ridpath dźwignął się z wysiłkiem, po czym zajrzał do łazienki. Popatrzył na długi rząd płynów po goleniu i pięścią uderzył w futrynę.

- Coś nie tak? - zaniepokoił się Belsey.

- Nie, skądże.

Belsey wrócił do salonu. Coraz poważniej rozważał możliwość ucieczki. Biec i nigdy się nie zatrzymać. Usłyszał wołanie Ridpatha:

- Spójrz na to!

Belsey odszukał inspektora w garażu. Ridpath stał przy zostawionej przez niego stercie przedmiotów.

- Ktoś próbował obrobić mieszkanie - stwierdził.

- Starożytni Egipcjanie wyposażali zmarłych na wędrowkę w zaświaty.

- Nie był Egipcjaninem. Poza tym zniknął samochód. - Okrążył pomieszczenie. Spojrzał na Belseya, jakby jego obecność dopiero teraz do niego dotarła. - Czego właściwie tu szukasz?

- O co chodzi w projekcie „Budyka”? - spytał Belsey.

- Co o nim wiesz?

- Wiem, że opowiesz mi o nim przy kielichu. Opowiesz mi też, dlaczego ukrywasz to dochodzenie i dlaczego ściemniasz w sprawie SAR-u. Dlaczego nikt nie wie, że prowadzisz śledztwo, i dlaczego ścigasza Devereux po śmierci. A potem się odczepię.

Ridpath słuchał z przyklejonym do twarzy wyrazem świętego oburzenia.

- Nie piję na służbie - oświadczył.

- Wątpię, żebyś był teraz na służbie - odparował Belsey.

Rozdział czterdziesty ósmy

Ridpath jeździł zdezelowanym volvo, które czekało przy krawężniku przed domem Devereux. Wsiadł. O drugiej nad ranem londyńskie dzielnice willowe nie oferowały wielu miejsc, w których można by się napić. Belsey zaproponował West End Lane i Lately's: lokal w suterenie odwiedzany przez rozwodników szukających podrywki. W drzwiach wisiała żaluzja, przez którą oceniano, czy delikwenta można wpuścić. Policjanci musieli wyglądać na bardzo bogatych albo bardzo zdesperowanych, bo drzwi otworzyły się gościnnie.

Klub był bardzo ciemny, prawie pusty. Stoliki zachodziły na parkiet, na którym zmieściłyby się góra trzy pary. Pod ścianą stały lepkie boksy tonące w sieni, ultrafioletowej poświacie.

Punktowe lampki wyławiły z mroku zniszczone fotografie dawnych imprezowiczów obejmujących poprzedniego właściciela.

Ridpath rozejrzał się po sali.

- Można tu bezpiecznie rozmawiać?

- To jedyna bezpieczna czynność, jaką można tu wykonywać.

Belsey postawił przed nimi nieprzyzwoicie drogie piwa i czekał, aż inspektor zbierze myśli. Ridpath siedział ze wzrokiem wbitym w pusty parkiet pogrążony we wspomnieniach.

- Chcesz wiedzieć, czemu nadal ścigam Aleksieja Devereux? - odezwał się wreszcie.

- Tak.

- Zrujnował mi życie.

Belsey skinął głową. Już wcześniej czuł, że będzie świadkiem wielkiej chwili Ridpatha.

- Jak to zrobił?

- Czytałem każdy raport na jego temat, najmniejszą notkę.

Nie tylko nasze, ale także te, które przysyłał Paryż, Rzym, ochłapy rzucane nam przez Waszyngton. Mówię to, żebyś zrozumiał, że interesowałem się nim od bardzo dawna.

- Dobra. I czego się dowiedziałeś?

- Od czego zacząć?

- Od początku.

Oczy Ridpatha błysnęły przekornie jak u gracza, który siedział z pokerem, choć wszyscy byli przekonani, że blefował.

- Urodził się jako Aleks Diemiczew w Odessie, drugiego lutego 1957 roku. Rodzice niezłomnie służyli partii, ale ta nie doceniła ich oddania. W 1963, po procesie pokazowym zginęli z rąk bezpieki. Ze wszystkich dokumentów wyłania się obraz idealistów wiernych sprawie. Zdaje się, że padli ofiarą rozgrywek wewnątrzpartyjnych. Zostali złożeni na ołtarzu stalinizmu.

Aleks pod zmienionym nazwiskiem, jako Aleksiej Dewiński, stał się młodym działaczem. Mając szesnaście lat, układał już przemówienia dla lokalnej wierchuszki. Bystremu, inteligentnemu chłopakowi wrócono wielką przyszłość w propagandzie.

On jednak wpadł w tarapaty, organizując gry hazardowe dla robotników. Zaczęło się od wyścigów szczurów.

Kiedy miał siedemnaście lat, uciekł z poprawczaka w Leningradzie i nielegalnie przedostał się do Paryża. Tam zaczął nawiązywać znajomości w środowisku bankowców, pracował jako agent ubezpieczeniowy, zmienił nazwisko na Devereux.

Został przedsiębiorcą.

Belsey zafascynowany przyglądał się Ridpathowi. Devereux był jego obsesją. Widać to było po spoconym czole i jego oczach, w których odbijały się kolorowe lampki znad baru.

Wąsy mu drgały. Nie żył własnym życiem. Ożywał dopiero za sprawą Devereux.

- Każdy, kto go poznał, czy to w Paryżu, czy w Pradze, czy w Amsterdamie, podkreślał jego niezwykłą, wręcz charyzmatyczną osobowość. - W ustach Ridpatha słowo to nabierało dziwnej lepkości. - Miał nieskazitelne maniery. Podobno romansował z większością żon lokalnych rekinów biznesu. Może właśnie dlatego nieoczekiwanie opuścił Paryż, a potem Pragę.

W 1992 roku wrócił do Rosji. Mówi się, że z Zachodu finansował pierestrojkę. Załapał się na najlepszy okres. Dużo wiesz o oligarchach?

- Opowiedz mi o nich.

- To ludzie, którzy pojawili się w odpowiednim czasie i odpowiednim miejscu. Załapali się na wyprzedaż majątku supermocarstwa. Rosja sprzedawała wszystko, także armię.

- Aha.

- Drugi na świecie kompleks wojskowo-przemysłowy został podzielony między czterech czy pięciu towarzyszy, którzy akurat mieli pieniądze i znajomości. Dimitri Kowalewski załapał się na uran. Władimir Szczepietow wziął sprzęt. Devereux poprosił o obiekty sportowe.

- Obiekty sportowe - powtórzył Belsey.

Ridpath wypił łyk piwa i oblizał wargi.

- Setki sal gimnastycznych, bieżni, wyposażenie. Tego chciał. Ludzie mieli go za szaleńca. Potem dokupił reflektory.

Armia Czerwona miała ich mnóstwo. Zaraz po rewolucji wykorzystywano je w studiach filmowych, potem do oślepienia

hitlerowców na polu walki. A teraz kupował je Devereux. Nikt nie rozumiał, po co mu one były.

- A po co mu były?

- Dostrzegł, że na torach wyścigowych nie potrzeba nikogo oprócz dżokejów, wierzchowców i kamer. To oznaczało, że może organizować nocne gonitwy i nadawać relacje na żywo do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Hongkongu czy Singapuru. Znał ludzi, którzy chcieli utopić pieniądze, by ukryć dochody ze sprzeniewierzeń, nielegalnego handlu bronią czy surowcami naturalnymi. Namówił ich, by utopili je w jego torach. Pierwszym dużym zagranicznym partnerem okazali się Irokezi ze stanu Nowy Jorku. Zbudowali dla niego tor wyścigowy we własnym rezerwacie. Rok temu kupił kawał pustyni Margo w Afganistanie, żeby postawić tam centrum handlowe, kasyno i tory wyścigowe. Wtedy został ochrzczony wojownikiem kapitalizmu. Amerykański rząd nadal płaci mu, by nie pozbywał się tych terenów. Pół roku później postawił hotel i kasyno na terenie starego wyrobiska w Pensylwanii, za które zapłacił jednego centa.

- A w jaki sposób zrujnował ci życie?

Ridpath głęboko zaczerpnął powietrza i wypił haust piwa.

- Zajmowałem się nim. Kiedyś. Dwa lata temu. Nie pracowałem wtedy na obecnym stanowisku. Byłem koordynatorem grupy oficerów łącznikowych. Zresztą w tym właśnie charakterze się z nim spotkałem.

- Spotkałeś się z nim?

- Przesłuchiwałem go. Jeśli dobrze się orientuję, jestem jedynym brytyjskim, a może nawet i europejskim funkcjonariuszem, któremu się to udało. Pracowałem w Biurze Ekstradycji, Wsparcia oraz Organizacji Kontaktów Międzynarodowych.

Wiosną 2007 roku Devereux spędził weekend w Londynie.

Polecono mi, żebym złożył mu dyskretną wizytę. Spotkaliśmy się w hotelu. To było specyficzne przesłuchanie, którego nigdy nie zapomnę, choć nie wiem, kto właściwie kogo przesłuchiwał.

Nic z tego nie wynikło, ale dwa miesiące później nieoczekiwanie zlecono mi, bym koordynował akcję aresztowania Devereux za uchylanie się od podatków i kradzieże. Miał wylądować prywatnym samolotem na lotnisku City. Czekają tam już czterdziestu moich ludzi. Planowaliśmy akcję przez dwa tygodnie.

Tymczasem on wylądował w Biggin Hill. Do City przysłał dla zmyłki drużynę gimnastyków. Tydzień później oskarżenia wycofano. Nie wiem dlaczego, ale mam swoje przypuszczenia, a każde kończy się długim rzędem zer. Na skutek tego incydentu przeniesiono mnie z biura na równorzędne stanowisko, jak to się pięknie mówi. Akurat. Potem dostałem kartkę od Devereux z życzeniami „wszystkiego najlepszego na nowym stanowisku”.

- Jaki był?

- Oprócz tego że skończonym łajdakiem? Emanował niesamowitym urokiem osobistym. Pamiętam, że mówił spokojnie, wyważonym tonem. Ani razu nie podniósł głosu. Patrzył rozmówcy prosto w oczy, jakby ciekawiło go, o czym mówi. Bo ciekawiło. Uważał, że każdy może stać się dla niego źródłem zysku. Sam tymczasem niczego nie ujawniał. Człowiek uświadamiał to sobie dopiero poniewczasie. Zupełnie jakby w ogóle się z nim nie spotkał. - Inspektor przerwał, nadal tym wszystkim zdumiony. - I nagle, dwa tygodnie temu usłyszałem, że wrócił. Chciałem się dowiedzieć, co jest grane.

- I co ustaliłeś?

- Nic. Co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że przyjechał.

Belsey zaczął coraz lepiej rozumieć inspektora. Każdy śledczy choć raz zaliczył sprawę, od której nie mógł się uwolnić. Czasem ni z tego, ni z owego dochodzenie, które wydawało się banalne i nieciekawe, nagle zaczynało wnikać w ich codzienne życie, prześladować ich w myślach i w snach. W szkole policyjnej jeden z instruktorów przed każdym ćwiczeniem przypominał: kiedy skończycie, zatrzymajcie się. Żartował, ale Belsey uważał to za najlepszą radę, jaką kiedykolwiek dostał.

- Nie kusilo cię, żeby się zemścić? - zapytał. - Jak to?

- Na przykład poderżnąć mu gardło. Ridpath popatrzył mu prosto w oczy.

- Twierdzisz, że mam coś wspólnego ze śmiercią pana Devereux?

- Nie. Ale mógłbym.

- Jestem policjantem. Belsey się roześmiał.

- Nie jestem taki jak ty - syknął Ridpath. - Czyli jaki?

- Jak to się mówi? Bezczelny?

- Musimy patrzeć, jak przestępca gra nam na nosie. To frustrujące.

- Przestępca gra nam na nosie tylko dlatego, że niestarannie zebraliśmy materiał dowodowy. - Ridpath się wyprostował. - Przez niego straciłem pracę, ale nie stracę wolności ani honoru.

Nie tak wyobrażam sobie sprawiedliwość.

- Masz alibi?

- Słuchaj...

- Wyluzuj. Żartowałem.

Za późno, inspektor poczuł się dotknięty do żywego. Czerwona plama rozpełzła się po jego twarzy i szyi.

- Skąd się tam wzięłeś? Co robiłeś w jego domu, wielki panie posterunkowy? Na podłodze. Z wódką! Wytlumacz się.

- Może prowadzę własne śledztwo? - odparł Belsey.

Ridpath prychnął pogardliwie.

- Po co Devereux przyjechał do Londynu? - drażył Belsey.

- Nie udało mi się ustalić.

- To nie była tylko emigracja. Coś kombinował.

- Zawsze podkreślał, że lubi Wielką Brytanię, jej krajobraz.

- Jasne. I angielskie poczucie humoru.

- Też. I swobodę polityczną.

- Nie ściągnęła go tutaj miłość do naszego poczucia humoru. Ledwo się wprowadził, zrobił zakupy w IKEA, a już zaczął się przy czymś kręcić. Migdał się z Korporacją Londyńską, której podobał się nowy przyjaciel miliarder. Przyjechał tu w konkretnym celu. Osiedlił się w Hampstead w konkretnym celu.

Belsey dostrzegł w oczach Ridpatha niechętny przebłysk ciekawości. Wreszcie dochodzili do sedna.

- Sądzę, że masz rację - potwierdził jego domysły inspektor.

- Jak przebiegły był Devereux?

- Był cwany. Ale dotrzymywał słowa - przyznał Ridpath z ociąganiem.

- Każdy tak twierdzi.

- Powiedział, że dotrzymuje słowa, dlatego tak rzadko się odzywa. Miał własny kodeks honorowy. To go odróżniało od reszty.

- Ponad tydzień temu w klubie Les Ambassadeurs Devereux poznał niejakiego Pierce'a Buckinghama - zaczął opowiadać Belsey. - To był teren Buckinghama, ale Devereux natychmiast dostał członkostwo. Co więcej, pojawił się tam z dwiema dziewczynami. Jedną przyprowadził jako towarzyszkę dla Buckinghama do oblewania początku współpracy. W następnych dniach Buckingham zdobył dla Devereux kupę szmalu. Był pośrednikiem, obracał się w środowisku inwestorów, którzy mieli fatalną reputację, za to znakomite zyski.

- Devereux miał pewne zasady. Co nie znaczy, że nie był cwany. Nie wypuszczał okazji z rąk.

- Odnoszę wrażenie, że sam je tworzył.

- Zgadza się.

- Nie mówię o rozwijaniu inwestycji. On wyciągał je jak królika z kapelusza. Potrafił namówić ludzi, by inwestowali w przedsięwzięcia, które wcale nie były tak pewne, jak to przedstawiał.

Ridpath zastanowił się nad tym, potem wzruszył ramionami.

- Nie takiego Devereux znałem. Zdaje się, że stworzyłeś własny wizerunek Aleksieja. Twoje prawo. Nie ty pierwszy snujesz hipotezy na jego temat.

- Pierce Buckingham leży teraz w kostnicy. Razem z dziewczyną, która tamtej nocy towarzyszyła jemu i Devereux.

Nazywała się Jessica Holden. Może o niej słyszałeś.

- Dziewczyna ze Starbucksa.

- Tak napiszą na jej nagrobku. Obiła ci się o uszy nazwa PO

Ochrona?

- Znałem Chrisa Starra, kiedy służył w lotnej brygadzie.

- Obserwowali Devereux. Przypuszczam, że na zlecenie kogoś, kto wpakował kupę forsy w jego inwestycję. Pieniądze zniknęły. Jeden z pracowników agencji też. Śledził Devereux w Hampstead i zrobił kilka zdjęć. Rozmawiałem wczoraj z Chrisem. Facet zniknął bez śladu. Razem z bezcennymi zdjęciami. Coś musiało się stać. Krew na ścianach kryjówki, w której znaleziono Devereux, pochodziła od psa. Wy tłumaczenia są dwa: albo Devereux popełnił wyjątkowo wyrafinowane samobójstwo, albo ktoś je upozorował. Devereux zginął z powodu projektu „Budyka”. Znacznie ułatwiłoby mi zadanie, gdybym wiedział, co to za projekt.

- Dlaczego to ułatwiłoby ci zadanie?

- Moja sprawa.

Ridpath przetrwał to wszystko. Belsey widział, jak w jego mózgu pracują trybiki.

- Gangsterzy budują reputację dzięki morderstwu. Pokazują, że przed niczym się nie cofną. Dlaczego mieliby zabić Devereux i upozorować samobójstwo?

- Nie wiem.

Ridpath też nie wiedział. Zmarszczył czoło, obracał w palcach butelkę po piwie.

- Nie wiem, co to za projekt - odezwał się wreszcie. - Ale coś nadal się dzieje. Mimo jego śmierci.

- Mianowicie?

- Ktoś handluje przedmiotami należącymi do Devereux.

Wczoraj drobny krętacz, niejaki John Cassidy, został wypuszczony za kaucję i opuścił areszt porsche cayenne wynajętym przez niejakiego pana A. Devereux. Nie sądzę, by wiedział, skąd pochodzi wóz, ale ten, kto mu go upchnął, wiedział. Być może ten sam jegomość, który podpisał się na wydruku

terminalu w sklepie z pamiątkami w Camden i drogerii w East Finchley. Oczywiście może chodzić o prymitywną kradzież tożsamości, ale gość wyjątkowo głupio wybrał sobie obiekt. Zwłaszcza jeśli wie więcej, niż powinien.

Belsey zdawał sobie sprawę, że ta chwila kiedyś nadejdzie, ale nie spodziewał się, że atak nastąpi z tak bliska.

- Co już ustaliłeś?

- Miejsca, gdzie wykorzystano karty. Wcześniej czy później namierzemy gościa na jakiejś kamerze.

- Coś jeszcze?

- Wczoraj niejaki Max Kovar chwalił się, że dobije targu z Devereux. Że to świeża sprawa, z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Belsey znów skulił się w sobie. A choć ogarniały go coraz gorsze przeczucia, nie mógł powstrzymać podniecenia, fali niezdrowej satysfakcji, gdy słuchał o machinie, którą sam puścił w ruch.

- Jak to możliwe? - spytał.

- Ludziom wydaje się, że Devereux jest zbyt potężny, by mógł umrzeć. Ale nie żyje. Widziałem ciało. Poszedłem do kostnicy. To on.

- Byłeś w kostnicy?

- Nie mogłem się powstrzymać. Zaraz po tym, jak wdarłem się do biura i powiedziałeś, że nie żyje. Musiałem zobaczyć, czy to naprawdę on.

Na parkiet wyszła jakaś para. Belsey sprawdził godzinę. Za kwadrans trzecia. Kiedy podniósł wzrok, Ridpath gapił się na jego fałszywego roleksa. Przemknęła mu nieprzyjemna myśl: a jeśli Ridpath zauważył go u Devereux? Oczami wyobraźni zobaczył Ridpatha i Devereux - Ridpatha przesłuchującego Devereux - w anonimowym hotelu, gdzie jedynym luksusowym przedmiotem był rolex na nadgarstku Devereux. Rosjanin hipnotyzował nim inspektora.

- Szpanerski - powiedział Ridpath, nie odrywając oczu od tarczy. - W ogóle wiesz, co on potrafi?

- Wisi mi. Podoba mi się, bo jest masywny. Dostałem w prezencie od ojca.

- Fajnie.

Teraz Ridpath popatrzył na parkiet. Spojrzał na tańczącą parę z przebłyskiem żalu. Belsey tłumaczył sobie, że powinien wyluzować, że jest przeczulony na punkcie zegarka.

- Chcesz zatańczyć? - spytał Ridpatha.

- Chcę stąd iść.

- Pozostałe bary są już zamknięte.

- Pijasz whisky? - zapytał inspektor.

- Nazwa obija mi się o uszy. Mogę spróbować.

- Chyba mam zadekowaną butelkę.

- U siebie?

- Mieszkam niedaleko.

- To na co czekamy?

Zdobądź zaufanie nieprzyjaciela, myślał Belsey. Spij go.

Ridpath sumiennie zostawił volvo przy West End Lane i w milczeniu skierowali się do Kilburn. W powietrzu wisiała gęsta mżawka. Gdzieś zawyły syreny radiowozów. Zerknęli w tamtą stronę z przelotnym zainteresowaniem gliniarzy po służbie.

Ubrania nasiąkały wilgocią. Nie zawracali sobie głowy towarzyską pogawędką.

Inspektor zajmował narożny budynek w niskim szeregowcu z czerwonej cegły. W przedsionku stał rower i koszyk z męskim obuwem. Zaprowadził Belseya do salonu, anemicznym machnięciem ręki wskazał mu zapadniętą kanapę. W pokoju był stary telewizor, walało się też mnóstwo służbowych papierów i otwartych książek na temat międzynarodowych finansów.

Pachniało stęchlizną i smażonym tłuszczem. Ridpath kucnął i zapalił lampę stojącą na podłodze. Drzwi na końcu prowadziły do kuchni nierementowanej od lat siedemdziesiątych. W zlewie piętrzyły się naczynia, na stole - kolejne papierzyska. Belsey wziął ręcznik przerzucony przez wieszak na ubrania i wytarł włosy. Ridpath otworzył komodę i wyciągnął butelkę szkockiej, wciąż zawiniętą w ozdobny papier. Poszedł po szklanki.

Belsey wziął butelkę. Na opakowaniu była kartka z życzeniami od kolegów z wydziału przestępstw różnych: „Powodzenia, Philip”. Równorzędne stanowisko, akurat, pomyślał Belsey. Wrócił Ridpath, nalał im i usiadł w fotelu, który zapadł się pod jego ciężarem.

- Długo analizowałem fenomen Devereux - zaczął. - Wreszcie zrozumiałem: tajemniczość. To właśnie sprzedaje.

Nigdzie nie ma jego zdjęć. Raz na pięć minut pojawił się na przyjęciu w Moskwie. Jego ochroniarze potem do drugiej nad ranem trzymali gości, sprawdzając ich aparaty fotograficzne i komórki. Tajemniczość. Dlatego nigdy go nie widziałeś. Nazywa to swoją ostatnią deską ratunku. Kiedy wszystko się posypie, zostaną nam nasze tajemnice. - I co z nimi zrobimy?

- Nie wiem.

Belsey obserwował Ridpatha. Myślał o ludziach, którzy mają za dużo wolnego czasu. Wtedy, jak głosi porzekadło, diabeł znajduje im robotę. Okazuje się jednak, że czasem to jest anioł sprawiedliwości. Jakie tajemnice ma Ridpath? Napili się. Ridpath się skrzywił.

- To powinno się pić z lodem? - spytał.

- A masz? - Nie.

- Przeżyjemy bez niego.

Ridpath ostrożnie spróbował jeszcze kilka łyków, tym razem przygotowując się na żar w ustach.

- Wiesz, co powiedział pewien słynny odkrywca? Przygoda jest oznaką niekompetencji.

- Nic dodać, nic ująć.

- Devereux nigdy nie zapoczątkowałby tej rzezi. „Przemoc świadczy o słabości przestępcy”, powiedział mi w czasie naszej rozmowy. Morderstwo zaś to świadectwo absolutnej klęski.

- Tak twierdził?

- Taką zasadę wyznawał. Różnił się od innych.

Dopili whisky i przez chwilę siedzieli w milczeniu. W butelce zostało jeszcze sporo płynu, ale Ridpath się nie odprężył.

Belsey patrzył, jak zaciska rękę na szklance. Analizował

słowa inspektora i porównywał tego Devereux z człowiekiem, którego śladami szedł od kilku dni.

- Moim zdaniem skończył jako zwykły oszust - odezwał się. - Naciągacz. Coś się posypało i stracił kontrolę nad sytuacją. Sam przypieczętował swój los.

Czuł ukłucie sumienia, burząc wizerunek Devereux zbudowany przez Ridpatha - kiedy ktoś rujnuje człowiekowi życie, wygodniej jest wyobrazić sobie, że to godny podziwu, potężny przeciwnik.

- Nie sędzę - odparł Ridpath.

- Sędzę, że całe londyńskie przedsięwzięcie to jedna wielka ściema.

- Dlaczego?

- Widziałeś katalogi, którymi było zavalone mieszkanie?

- Tak.

- Co o nich sądzisz?

Ridpath udawał namysł, choć był zbyt dobrym gliną, żeby nie znać odpowiedzi.

- Ktoś próbował stworzyć wrażenie, że dom jest zamieszkały.

- To samo pomyślałem.

- Ale on tam był.

- W takim razie zmienił styl.

Ridpath skinął głową, jakby myślami był już krok dalej.

- Wiesz, co mnie najbardziej dziwi?

- Co? - spytał Belsey.

- Dziewczyna.

- Jessica.

- Tak. - Na twarzy Ridpatha malowała się konsternacja. - Związek. To dopiero do niego nie pasuje. On i miłość?

- To się podobno zdarza nawet miliarderm.

- Najwyraźniej. - Ridpath odchylił się w fotelu.

Belsey dołał im whisky. Inspektor powąchał trunek i wpatrzył się w szklanke.

- Wciąż jednak zadaję sobie pytanie: dlaczego akurat ona?

Mógł wybrać dziesiątki innych.

- Bo była nikiem - wyjaśnił Belsey. - Nastoletnią panienką do towarzystwa. Czystą kartką. Może przy niej wyobrażał sobie, że znowu jest młody? Może naprawdę odmłodził? Nie od dziś wiadomo że pieprzenie świeżej osiemnastki czyni cuda.

Ridpath spojrział na niego znad szklanki.

- Zresztą, może nawet wierzył, że mała go kocha.

- Nie dopuszczasz myśli, że mogli po prostu się zakochać?

- Guzik mnie to obchodzi. Nie mój interes. Uważam jednak, że nawet jeśli się zakochali, to nie przez przypadek.

Inspektor przetrawiał jego słowa.

- Dziewczynę kręcili bogaci faceci, luksus. Może sądziła, że tak otworzą się przed nią drzwi do nowego życia, świata, bo ja wiem? Pewnie uważała, że w pełni jej się należało to, co oferował jej Devereux. I może miała rację.

Milczeli przez dłuższy czas.

- Gardzisz ludźmi - przerwał ciszę Ridpath.

- Nieprawda. Nikogo nie obraziłem. Widziałem dziewczynę. Wyglądała na sympatyczną.

- Widziałeś ją?

- Byłem świadkiem strzelaniny. Akurat wchodziłem do kafejki - powiedział Belsey ostrożnie.

Ridpath spojrział na niego. Belsey miał nadzieję, że nie wzbudził jego podejrzliwości.

- Mówiła coś?

- Nie do mnie. Zamówiła waniliowe latte.

- I uważasz, że to robota zawodowca?

- Minęło czterdzieści osiem godzin, a wciąż nie wiadomo, kto ani dlaczego strzelał. To najlepszy dowód, że mamy do czynienia z zawodowcem. Dwukrotnie w ciągu dwóch dni w samym środku Londynu padły strzały. Moim zdaniem to zawodowiec. Może to pierwsze jego zlecenie w Anglii, ale gość na pewno nie jest tani. Zleceniodawcy zapłacili mu okrągłą sumkę, żeby w ich imieniu policzył się z Devereux. To ludzie, którzy dbają, by nie zbrukać sobie swoich tłustych, wypielęgowanych

łask. Dostarczają sprzęt i informacje, on załatwia resztę.

Ridpath kiwał głową. Belsey nie wiedział, czy rozmawia ze sprzymierzeńcem, czy wrogiem. A może z jednym i drugim?

Ale czuł, że w ten sposób zbliża się do rozwiązania zagadki Devereux. Ridpath po mistrzowsku go prowokuje, przyznawał w duchu. Prawdopodobnie w pokoju przesłuchań stawał się bezlitosny.

- Szukasz człowieka, który posługiwał się kartami Devereux? - spytał inspektora.

- Mam dojścia w komórce do spraw nadużyć z wykorzystaniem kart kredytowych. Zażądałem nagrań z kamer przemysłowych.

- Kiedy się tym zajmą?

- Niedługo.

- Czyli?

- Kiedy tylko przekonam ich, że to poważna sprawa. Jutro z samego rana mamy rozmawiać o udostępnieniu nagrań z ulicy i ze sklepów.

Barbara, Ewa, Lidia, Stefan, Ewa, yeti Marta, Anna Piotr, Robert, Zbigniew, Ewa, Jolanta, Ewa, Barbara, Anna, Natalia, Ewa Powrócił znajomy, wszechogarniający, paniczny lęk, a wraz z nim napięcie. Belsey krążył, patrząc na półki i myśląc. Pod starymi prawniczymi tomiszczami leżały dyplomy. Nagroda Stowarzyszenia Brytyjskich Służb Policyjnych, pochwała od królowej. Niesamowicie cenne wyróżnienia. Zwykle wieszano je na honorowym miejscu w gabinecie. Ridpath nawet ich nie oprawił.

- Wspomniałeś, że jakiś Kovar twierdzi, jakoby Devereux nadal działał - odezwał się Belsey.

- Zgadza się.

- Co o nim wiesz?

- Max Kovar? Dość często pojawia się w naszym obszarze zainteresowania.

- I ma dostęp do grubych pieniędzy, tak?

- To podejrzany typ. Gdybym był biznesmenem pokroju

Aleksieja, nie chciałbym mieć z nim nic wspólnego. Wątpię, czy Devereux w ogóle robił z nim interesy.

- Co mógłby zaoferować Kovar w zamian za udziały w londyńskim przedsięwzięciu?

- Posmarowałyby tam gdzie trzeba? Nie wiem. Bo co? - Ridpath uśmiechnął się dziwnie. - Pewnie wszystko, czego zażądałby Devereux. Kovar i Aleksiej Devereux? Forsa jest tu najmniej ważna.

Wstał, wycelował pilotem w telewizor. Pojawiły się wiadomości. Strzelanina w City i sceny z piekła, jakie po niej rozpełtało się w St Clements Court. „Stan podwyższonej gotowości w City i jednostkach stołecznej policji”, mówili dziennikarze.

Potem pojawiło się zdjęcie z bożonarodzeniowej imprezy: Northwood wznosi toast z ministrem spraw wewnętrznych, a następnie wypowiedzi rodzin krytykujących działania policji.

Przez kilka minut oglądali w milczeniu, potem Ridpath wyłączył. Zniknął z salonu, a po chwili wrócił z kocem.

- Prześpij się tu, jak chcesz. Za parę godzin pojedziemy razem do gości od kart kredytowych. Może pomogą nam ustalić, kto podszywał się pod Devereux.

Szorstka gościnność inspektora zaskoczyła Belseya. Właściwie może to i niezły pomysł? Łatwiej przechwyci zdjęcia, jeśli przy nim będzie. Oczami wyobraźni widział już, jak niechcący kasuje dysk albo wrzuca nagrania do zsyphu.

- Zgoda - powiedział.

- Wstanę o piątej - uprzedził Ridpath, wychodząc. - Mało sypiam.

Belsey słuchał odgłosów dobiegających z góry: kroki, szum wody z kranu, skrzywienie zamykanych drzwi i sprężyn materaca. Położył się. Ciekaw był, co robi teraz Charlotte. Wyobrażał sobie, jak śpi. Prawie jej nie znał, a wiedział, jak wygląda, śpiąc. Ale czy miłość musi oznaczać, że się kogoś zna? Dziwny list. Belsey czuł, jak tajemnice osadzają się jedna na drugiej niczym warstwy śniegu.

Odczekał pół godziny. Kiedy wydawało mu się, że z góry dobiega pochrapywanie, zakradł się do kuchni i zdjął słuchawkę z

aparatu na ścianie. Cichutko zamknął drzwi. Wybrał numer apartamentu Kovara. Mężczyzna odebrał po szóstym sygnale.

- Wiem, że jest późno - powiedział Belsey.

- Ależ skąd. - Kovar odchrząknął.

Mówił bardzo cicho, co Belseyowi nawet odpowiadało.

Mówił, jakby nie chciał kogoś obudzić. Właśnie tak, wyobrażał sobie Belsey, mówią ludzie przy władzy.

- Widziałem wiadomości.

Po raz pierwszy w głosie Kovara Belsey nie słyszał pewności siebie.

- Dobrze ostrzegałeś - powiedział. - Przyniósł same kłopoty, nic więcej.

- Oby tylko przeze mnie pan Devereux nie miał jakichś problemów.

- Świat składa się głównie z problemów, Max. Nie trzeba ich szukać, same się pojawiają. - Belsey wyobrażał sobie, że słyszy odgłosy z pokoju Kovara: gęstą, elastyczną wykładzinę, drewno, a nawet snujący się w powietrzu dym cygara. - Dzwonię o tej nietypowej porze - ciągnął - bo przyszło mi do głowy, że oczekujesz sprecyzowania naszych oczekiwań względem ciebie.

Kovar odkaszlnął.

- Przede wszystkim powinniśmy być z sobą szczerzy. - Głos miał wciąż zaspany.

- Rozmawiałem z Aleksiejem i pochwaliłem twoją dyskrecję. Nie jesteś Pierce'em Buckinghamem. Teraz oprócz problemów pojawiły się drażliwe kwestie. A te kosztują nas najwięcej.

- Nie wątpię - przytaknął Kovar.

- Powiem otwarcie. Pan D. uwielbia prezenty.

- Wiem - przyznał Kovar ostrożnie.

- Przydałoby się coś, co pomogłoby mu się wyciszyć po ostatnich nerwowych dniach.

- Będę potrzebował konkretów.

- Jasne.

- Jeśli będę wiedział dokąd sprawy zmierzają, zadbam, by

pan Devereux poczuł się niezwykle doceniony.

- Nic dodać, nic ująć, Max. To raczej kwestia godzin niż dni. Bądź gotowy. Zadzwońę wkrótce, żeby wszystko sfinalizować.

- Muszę znać szczegóły - nalegał Kovar.

- Oczywiście.

- Jeśli wszystko będzie w porządku, prezent będzie czekał.

- Znakomicie.

- Dobranoc, Jack.

Belsey wrócił do salonu. Położył się z dudniącym sercem i, wyobrażając sobie, co daje bogactwo, patrzył na światła reflektorów samochodowych widoczne na suficie. Był przekonany, że nie zaśnie, ale widocznie whisky zrobiła swoje, bo w pewnym momencie się ocknął. Drzwi były otwarte. Belsey zauważył sylwetkę inspektora. Ridpath przesunął się powoli, krok za krokiem. Obmacał stertę ubrań Belseya, a potem dotknął koca.

Aha, pomyślał Belsey. Tak się sprawy mają. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Ale Ridpath nie był w jego typie.

Hałaśliwie przekreślił się na bok, jakby coś poczuł, ale się nie obudził. To wystarczyło, żeby szczerzej owinąć się kocem i zasygnalizować, że lada moment się ocknie i narobi rabanu.

Ridpath się wycofał. Sekundę później drzwi się zamknęły. Belseyowi aż było go żal.

Czyli tak to wygląda, pomyślał. Człowiek przekopuje się przez warstwy tajemnic, zbrodni i obsesji, a wszystko sprowadza się do jednego: chce poczuć dotyk ludzkiej skóry. Marzy o odrobinie ciepła, namiastce kontaktu.

Nie zasnął już. Dziesięć minut później wstał, ubrał się cicho i wymknął z mieszkania.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Znowu na północ, cichą West End Lane, przez opustoszałe skrzyżowanie Swiss Cottage do Hampstead. Zabrał peugeota z Bishops Avenue i odstawił do policyjnego garażu. Potem przeszedł do South End Green. Instynkt kiedyś doprowadził go do Hampstead. Teraz ten sam instynkt kazał omijać dom Devereux.

Pojawienie się Ridpatha skaziło błogie poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała rezydencja przy Bishops Avenue.

Oprócz Ridpatha skaziło je także zainteresowanie Pierce'a Buckinghamama i rychłe pytania policji z City. Już nigdy tam nie przenocuje...

Wszedł do szpitala Royal Free, który nigdy nie zasypiał, zawsze trzymał straż. Otoczyły go znajome, przyciszone odgłosy nocnego dyżuru: krzątające się pielęgniarki, salowe cicho sprząające pomieszczenia. To nieodmiennie dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Minął kawiarnię, bibliotekę akademii medycznej, oddział radiologii i wszedł do wielowyznaniowej kaplicy. Powitało go migotanie świateł. Wiara sprowadzona do jednego wspólnego rdzenia przypominała poczekalnię modnego gabinetu dentystrycznego: ściany w odcieniu magnolii, sztuczne kwiaty w białych wazonach. Ołtarz stał na podeście przykrytym dywanem. Belsey przyklęknął przy nim, opierając głowę o laminowany blat, potem zwinął się w kłębek za nim i zasnął.

Ze snu wyrwał go turkot wózków na korytarzu. Była niedziela. Ostatni raz obudził się w Londynie.

Wyszedł z budynku, rozerwał taśmę na stercie gazet zostawionej przez kuriera przed kioskiem i ukradł dodatek do „Timesa” zatytułowany „Egzekucja w sercu City”. Na pierwszej stronie znajdowało się zdjęcie kolumny oplecionej czerwono-białą taśmą. „Guardian” pisało o mrocznej stronie City: transakcji splamionej krwią. Dziennikarze ustalili, że ofiarą był Buckingham, i próbowali rozwikłać sieć jego kontaktów. Ale tylko „Mail on Sunday” poszedł dalej, umieszczając obok siebie fotografię Buckinghamama i Jessiki Holden. Zdjęcie Buckinghamama przedstawiało uśmiechniętego mężczyznę w ciemnych okularach na katamaranie. W artykule używano neutralnego określenia „niezależny finansista”. Tytuł głosił: „Źródła policyjne potwierdzają związek”. Pod tekstem podpisała się Charlotte Kelson. Wystarczyło jednak przerzucić na czwartą stronę, gdzie była druga część tekstu, by przekonać się, że nie wszyscy w policji podzielają ten pogląd. Co więcej, w dowództwie toczył się ostry

spór na ten temat, a w jego centrum znajdował się nadkomisarz Northwood.

Charlotte atakowała ostro, cytując anonimowe wypowiedzi, z których wynikało, że policja kompletnie nie radzi sobie ze śledztwem. Być może wręcz doszło do jakichś nieprawidłowości. Tekst kończył się zwodniczym ukłonem w stronę prywatnej firmy PO Ochrona, która odmówiła komentarza na temat swoich związków ze sprawą. Belsey był pod wrażeniem. Charlotte szybko się zorientowała, że Northwood nie ma umiejętności koniecznych, by skutecznie bawić się w korupcję. Ale brak rozeznania jego przyjaciół z PO Ochrona tylko dodatkowo go pogrążył. Northwood zaś nie był typem, który obsadzi się w roli głównego podejrzanego w sprawie o morderstwo.

Spodziewał się, że w niedzielę o ósmej rano biuro wydziału kryminalnego będzie świeciło pustkami, tymczasem z korytarza zauważył, że ktoś siedzi przy jego biurku. Belsey przykleił się do ściany. To inspektor Tim Gower grzebał w jego szufladach.

Otworzył teczki Belseya i wysypał zawartość na blat. Belsey wszedł do pokoju.

- Co jest grane? - spytał.

Gower podniósł wzrok. Był szary ze zmęczenia, jak ktoś obudzony o trzeciej nad ranem przez szefa, ktoś, kto wie, że szybko nie wróci do łóżka.

- Policja z City chce, żebyś zameldował się na Wood Street - powiedział.

- Po co?

- W związku z wczorajszą strzelaniną. Nie słyszałeś?

- Widziałem jedynie tytuły.

- Nieboszczyk nazywa się Pierce Buckingham. Podobno miał kontakty z facetem, który niedawno zmarł w Hampstead, niejakim Aleksiejem Devereux. Zdaje się, że ty zajmowałeś się tą sprawą.

- Zgadza się.

Gower znów na niego zerknął, potem dalej przeszukiwał papiery.

- Podobno w ciągu kilku godzin wybuchnie afera nie z tej ziemi, dlatego chcą z tobą porozmawiać.

- Dobra.

- No i muszę sprawdzić, co z tym przesłuchaniem w IPCC.

Muszą mieć straszny bajzel, bo do tej pory nie dostałem protokołu ani decyzji.

- Dzwonił do mnie Nigel Herring. Powiedział, że rozumieją moją sytuację i robią, co w ich mocy, żebym nie wyleciał.

- Dobra. - Gower wyglądał, jakby nawet tego nie zarejestrował. - Wood Street domaga się też, żebyś przyniósł dokumentację. - Wepchnął plik papierów z powrotem do szuflady i odchylił się, ocierając pot. - Nick?

- Tak, szefie?

- Przeoczyliśmy coś? Coś budziło podejrzenia?

- To było zwyczajne samobójstwo. Na pewno koroner doszedł do tego samego wniosku. Sprawdzę.

Belsey pojechał radiowozem przez Bishops Avenue. Przed domem Devereux stały dwa samochody policyjne i furgonetka ekipy kryminalistycznej. Dodał gazu i skręcił do East Finchley.

Zostało mu czterdzieści funtów z pieniędzy od Cassidy'ego.

Trochę za mało, by zbudować na tym nowe życie. Wyobraził sobie Kovara czekającego na jego telefon z milionem funtów w walizce. Teraz pozostawało tylko ustalić, co sprzedawał Devereux. Tylko to chciał usłyszeć spekulant.

Ze stacji metra East Finchley zadzwonił na Wood Street.

- Mówi Nick Belsey. Chcieliście, żebym się skontaktował.

- Tak. Wiesz coś o Aleksieju Devereux?

- Niewiele. Znalazłem ciało, to wszystko.

- Możesz wpaść?

Rozmówca był mężczyzną. Sprawiał wrażenie rozsądnego, niepodejrzliwego, wręcz inteligentnego. Gdyby mieli coś na Belseya, capnęliby go na ulicy, a nie bawili się w uprzejmości.

Ale to już wkrótce się zmieni.

- Jeszcze dzisiaj? - spytał Belsey.

- Natychmiast. Przepuszczamy, że twój samobójca miał coś

wspólnego z przedsięwzięciem znanym jako projekt „Budyka”.

- Budyka?
- Nasz denat też maczał w tym palce.
- O - odparł Belsey zdawkowo.
- Zdobyliśmy ciekawe informacje na temat „Budyki”.
- Jakie?
- Kiedy możesz przyjechać? Podesłać samochód?

Belsey sam pojechał na Wood Street. Krążył cichymi uliczkami City. Nad opustoszałymi monolitami dzielnicy finansowej czuwali tylko ochroniarze i pojedynczy turyści. Dwukrotnie miał wrażenie, że śledzi go motocykl, ale za każdym razem po chwili zniknął. Skupił się na bezpośrednim zagrożeniu: jaką wersję wydarzeń przedstawi policjantom z City? Pewnie tę o funkcjonariuszu, który znalazł ciało. Czuł, że coś tu nie gra, ale nie podjął tego tropu. Liczył tylko, że nie będzie nikogo, kto widział go wczoraj na Wood Street i zapamiętał. Jeśli tak, da nogę.

Na szczęście w wydziale przestępstw różnych czekało tylko pięć osób. Żadna nie uczestniczyła we wczorajszych czatach pod salą konferencyjną. Mężczyzna, z którym Belsey rozmawiał przez telefon - inspektor Malcolm Gray - miał trzydzieści kilka lat, był czujny i ruchliwy. Jego koleżanka, inspektor Deborah Mullins w prążkowanej garsonce, była niska i wybuchowa.

- Dziękujemy, że wpadłeś - rzucili na przywitanie.

Wymienili z nim uścisk dłoni i zaprowadzili do sali konferencyjnej, jeszcze niedawno niedostępnej dla zwykłych śmiertelników. Została uprzątnięta i wywietrzona. Na środku stał błyszczący owalny stół zawalony stertami papierzysek. Z jedyne go brudnego okna rozciągał się widok na City.

Na stojaku wisiała mapa kwartału EC4, gdzie doszło do strzelaniny. Na niej iksem zaznaczono miejsce znalezienia ciała. Obok stała biała tablica z nazwiskiem Pierce'a Buckingham'a otoczonym siatką nazwisk oraz nazw instytucji związanych z Hongkońskim Konsorcjum Gier Hazardowych. Po prawej stronie wypisano miejsca i godziny, w jakich widziano denata od drugiej w nocy do chwili śmierci, łącznie z budynkiem komisariatu

Hampstead i kościołem Wszystkich Świętych. Belsey poczuł na ramieniu dotyk ręki Buckinghama. Aleksiejowi Devereux poświęcono oddzielną tablicę. Na razie udało się odtworzyć część jego powiązań biznesowych - TGT, Polski - ale to wciąż jeszcze było niewiele. Wreszcie w głębi sali wisiały wydruki z informacjami o jego podróżach: daty, godziny, kraj, z którego wyruszył, oraz nazwy londyńskich hoteli - Sheraton, Park Lane Hilton, Grosvenor. Wszystkie strzałki prowadziły do soboty, siódmego lutego. Pod tą datą widniało hasło „Miejsce spotkania londyńskiego” i wielki czerwony znak zapytania.

Gray otworzył notes.

- Powiedz wszystko, co wiesz o Aleksieju Devereux.

Belsey zaczął od zgłoszenia o zaginięciu. Opowiedział, jak pierwszy raz obejrzał nieruchomość, potem wrócił i znalazł kryjówkę. Żeby nie wyjść na kompletnego ignoranta, podzielił się częścią informacji, które wyszukał w Internecie, wspominał też o artykule w „Ham and High”. Pomiął SAR Ridpatha, sfałszowaną petycję i Milтона Granby'ego.

- Co znalazłeś w mieszkaniu? - spytał Gray.

Belsey odtworzył w myślach swoją trasę. Opowiedział, co zobaczył: ostentacyjne bogactwo i dziwną atmosferę przemijalności. Ani słowa o marzeniach, że bogactwo uczyni mnie lepszym i pozwoli uciec ze ślepego zaułka, jakim stało się moje życie.

- Coś budziło twoje podejrzenia?

- List i to, że się ukrył. Były też papiery dotyczące projektu. Zesztywnieli ze wzrokiem wbitym w Belseya.

- To imię... Wspominałeś o nim przez telefon. - Powiódł wzrokiem po tablicach.

- Budyka - podrzucił Gray.

- Właśnie. O co właściwie chodzi?

Funkcjonariusze zawahali się, czy dopuścić Belseya do swojego kręgu. Wreszcie Gray ruchem głowy wskazał ścianę ze szczegółami lotów.

- To nasze poszlaki. A9C-BI to zarejestrowany w Bahrajnie

gulfstream 200, należący do szejka Faisala ibn Abdula Aziza, prezesa Międzynarodowego Holdingu Saudyjskiego. B-KZB to zarejestrowany w Hongkongu learjet. Składną wiadomo nam, że korzysta z niego Young-Jin Choi, miliarder, właściciel kasyn, który koleguje się z szejkiem. To tylko dwa spośród ośmiu prywatnych samolotów, które rankiem, w sobotę, siódmego lutego wylądowały na lotnisku w Farnborough. Ośmiu najbogatszych ludzi świata wylądowało w południowo-wschodniej Anglii. Przypuszczamy, że świadomie unikali Londynu, by nie zwracać uwagi. Wśród przybyszów znalazło się dwóch szefów internetowych serwisów hazardowych i mnóstwo ochroniarzy.

Wszystkich osobiście powitał Pierce Buckingham.

- Co ich sprowadziło?

- Tego nie wiemy. Liczymy, że ty pomożesz nam to ustalić.

Znaczna część gości miała powiązania z Hongkońskim Konsorcjum Gier Hazardowych. Przypuszczamy, że przyjechali na spotkanie. - Dźgnął w znak zapytania. - Spotkanie odbyło się osiem dni temu, w sobotę po południu gdzieś w centrum Londynu. Nie wiemy, co się tam wydarzyło, ale dwóch jego uczestników nie żyje, a pozostali nie odbierają telefonów.

Belsey kiwał głową, czytając nazwiska.

- Co obstawiacie? - spytał.

- Coś musiało się posypać - odezwała się Mullins. - W ciągu dwóch dni po spotkaniu komórka Pierce'a Buckinghama trzysta razy łączyła się z numerami agencji przekierowujących rozmowy. Najwyraźniej próbował się do kogoś dobrać. Równocześnie odbierał dziesiątki telefonów od mężczyzn urzędujących w Rijadzie, Pekinie i Monako. Wszyscy dopytywali się o projekt, w który zainwestował ich pieniądze. Nie sądzę, żeby ucieszyło ich to, co usłyszeli.

- To byli inwestorzy?

- Ich prawnicy zaprzeczają. Powiedzmy więc, że to ludzie, którzy nie lubią rozgłosu. Wyprą się, że kiedykolwiek słyszeli o Buckinghamie czy Devereux. Połowa wyprze się, że słyszała cokolwiek o sobie. Wszyscy nabrali wody w usta. A to oznacza

tylko jedno: projekt „Budyka” wiązał się z tyloma przekrętami, że zainteresowane strony wołały nie wiedzieć, co właściwie robi Pierce Buckingham. Teraz zaś okazało się, że to jedna wielka ściema. Inwestorzy pogodzili się ze stratą i wyjechali na wakacje.

- Zabijając Buckinghama.

- Może.

- Macie świadków strzelaniny?

- Nikt nie widział człowieka z bronią. - Jaki nabój?

- 7.62 z wydrążeniem w części wierzchołkowej.

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Taki sam ja w Starbucksie - powiedział Belsey.

Gray i Mullins równocześnie potaknęli. Ziścił się najgorszy sen policjanta. Niepisana reguła każdego śledczego brzmiała: w oficjalnych komunikatach nigdy nie używaj słowa „snajper” ani „gangsterskie porachunki”. Nie mów niczego, co potem w tytule prasowym zmieniloby spokojne miasto w miejsce krwawej jatki.

- Wróćmy do Aleksieja Devereux - odezwał się Gray. - Buckingham mówił, że taka okazja się nie powtórzy. I wielu się z nim zgadzało. Czy cokolwiek, co zobaczyłeś albo czego się dowiedziałeś o Devereux, może wskazywać, o co właściwie chodziło?

- Nie jestem pewny. - Belsey podszedł do tablicy. Nie zatrzymali go. - Może udałoby się ustalić na podstawie listy osób, które się w to zaangażowały?

- Są na niej informatycy, którzy pomogli Hongkońskiemu Konsorcjum Gier Hazardowych uruchomić ich serwis Dwie Jedyńki. Pojawiają się też nazwiska architektów i inżynierów z nadzoru budowlanego, których Konsorcjum zatrudniło do budowy kasyn w Dubaju i Pensylwanii. Nie ustaliliśmy jednak, kto kierował londyńskim projektem. Architekt dobrze się zamaskował.

- Czyli Devereux zamierzał coś zbudować.

- Coś dużego. W ubiegłym tygodniu akcje HKGH podskoczyły pod sufit. Szef ich oddziału europejskiego Vincent de Groot przerwał wakacje na Malediwach i przyleciał do Londynu. Wywiad potwierdza, że był tu siódmego lutego, zatrzymał się w

hotelu Grosvenor, przespał się z trzema tancerkami, wydał dziewięć tysięcy na kije golfowe i spotkał się z Buckinghamem. Poza tym udał się na przechadzkę po Hampstead Heath w grupie kilku osób i dwudziestu ochroniarzy. Zgadza się zainwestować w przedsięwzięcie. Tylko nikt nie wie jakie.

- Park Hampstead Heath?

- Dziesięć godzin później jeden z uczestników przechadzki podpisuje kontrakt na trzy tysiące metrów sześciennych betonu i dwieście ton szkła.

- Chryste Panie.

- Nie wiem, co mu powiedział Buckingham, ale w ciągu następnych godzin na konto trafiły gigantyczne kwoty.

- Na czyje konto?

- Devereux.

- Gdzie się odbyło spotkanie?

- Nie wiemy. Posługiwali się szyfrem. Gdybyśmy tylko to wiedzieli... Może to by nam coś podpowiedziało.

Gray masował policzki. Belsey próbował sobie wyobrazić, dokąd zabrałby ludzi, którym chciałby zaimponować. Bogaczom, którzy mają wszystko i oczekują wyłącznie towarów z najwyższej półki. Co by przyprawiło ich o zawrót głowy?

- W czasie tego jednego spotkania Buckingham zgromadził trzydzieści osiem milionów - włączyła się Deborah Mullins. - Zażądał trzydziestu ośmiu milionów za sam przywilej zaproszenia. Musimy ustalić, czego oczekiwali w zamian. Dlatego cię wezwaliśmy. Zajmowałeś się samobójstwem Aleksieja Devereux...

Przerwała jej kakofonia na zewnątrz. Brzmiało to, jakby z nieba spadały metalowe puszkę. To były dzwony katedry Świętego Pawła. Gray i Mullins się skrzywili. Belsey odchylił się na krześle i słuchał. Był tak blisko i tak daleko zarazem. Próbował ułożyć jakieś bajeczki, którymi mógłby omamić Kovara, ale żadna nie brzmiała tak przekonująco jak „Budyka”. Chyba oszalał, że jeszcze nie uciekł z Londynu. Wyrzwał przez okno na szare kamienie St Lawrence Jewry widoczne tuż nad pobliskim dachem. Czy one też były? Miał wrażenie, że rozkołysały się wszystkie dzwony City,

wyjąc do siebie niczym psy. Wpatrywał się w iglicę St Lawrence górującą nad betonowymi biurkami.

Serce zabiło mu mocniej.

Widział poczerńiałą wieżę kościelną i złocistą strzałkę na iglicy. Widział zdjęcie Buckinghama podającego sobie ręce z szejkiem Faisalem. Tuż za wieżą majaczyła sylwetka Guildhall.

Guildhall. Co widniało na fakturze firmy kurierskiej? Trzy furgonetki, dwieście dziewięćdziesiąt pięć funtów, ubiegła sobota.

- Żałuję, że nic więcej nie wiem - wymamrotał Belsey, szybko wstając.

- Mamy jeszcze kilka pytań. - Gray popatrzył na niego podejrzliwie.

Ale Belsey już nie słuchał. Wskoczył do windy z grupką innych policjantów City. Jeden miał egzemplarz „Mail”.

- Londyński snajper - jęknął załamany.

- Northwood wpadnie w szal, kiedy usłyszy o tych przeciekach.

- Wiecie, jaki będzie jego następny krok? - spytał inny. - Jaki?

- Odcinek specjalny „Kroniki policyjnej”. Wszyscy się roześmiali.

- A w nim on i reszta ważniaków.

- Marzy mu się noc z prowadzącą.

- Dziwisz się?

- Normalka, on do wszystkiego bierze się od dupy strony.

Rozdział pięćdziesiąty

Na tyłach komisariatu biegła wąski uliczka Love Lane zapchana radiowozami, która doprowadziła Belseya na dziedziniec przed Guildhall. Rozłożył wycinek z „Al-Hayat” i porównał fotografię z widokiem. Obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, odhaczając element po elemencie. Wszystko się zgadzało. Wrota Guildhall były otwarte, pracownicy wynosili stoliki i krzesła po sobotnim przyjęciu.

Belsey podszedł do wejścia i przez gotycki luk zajrzał do sali bankietowej. Była olbrzymia. Wysoki kamienny sufity, zamiast

okien witraże, przez które padało różowawe światło na ekipę składającą trzydzieści stolików. Pod ścianami pomniki Nelsona, Wellingtona, Churchilla - ludzi, którzy zapisali się w historii. To była katedra wniesiona ku chwale City, nie Boga.

Jasne, że sukinsyn ich tutaj ściągnął.

Łysiejący mężczyzna z pożyczką na lśniącej czaszce oprowadzał dwóch ważniaków w garniturach. Poruszał się sztywno, pokazywał im detale, a oni posłusznie obracali się, fotografując je komórkami.

- W sali odbywa się doroczny bal burmistrza Londynu - informował mężczyzna. - Od stuleci Guildhall podejmuje królów, głowy państwa, dygnitarzy. Sama atmosfera tego miejsca stanowi gwarancję nadzwyczajnego przyjęcia.

- Przepraszam! - zawołał Belsey, idąc w jego stronę.

Mężczyzna spojrzął na niego, szepnął coś do gości i podszedł z przepaszająco złożonymi dłońmi.

- Niestety, sala jest zamknięta.

- To pilna sprawa. Pan tu rządzi?

- Odpowiadam za organizację przyjęć. - Sama napuszona mina idealnie predestynowała go do tej funkcji. - Jest pan umówiony?

- Chciałbym zadać kilka pytań - powiedział Belsey.

- Zapraszam jutro.

- To się wiąże z hojną darowizną.

- Darowiznami zajmuje się biuro ochmistrza.

- Zastałem go?

- Osobiście? Nie. - Mężczyzna uśmiechnął się z wyższością.

Belsey wyciągnął odznakę.

- W ubiegłą sobotę odbywało się tu przyjęcie, o którym chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej. I proszę powiedzieć tym panom, żeby przyszli jutro.

Do kierownika najwyraźniej w końcu coś dotarło.

- Proszę chwilę poczekać.

Podszedł do jednego ze swoich asystentów. Belsey

tymczasem podziwiał rzeźby, kamienne łuki, proporce z herbami poszczególnych gildii na mosiężnych masztach. Co za miejsce na kradzież trzydziestu ośmiu milionów!

Asystent przejął rolę przewodnika, a szef wrócił do Belseya.

- O co chodzi?

- To właśnie staramy się wyjaśnić - oznajmił Belsey. - Sale wynajęła osoba prywatna. Grupa była niewielka, ale chciała ją mieć wyłącznie dla siebie. Wciąż czeka pan na uregulowanie rachunku.

- Skąd pan wie?

- Zdziwiłby się pan, o ilu sprawach wiem. Kierownik zaprowadził Belseya w ustronny kącik.

- Kim byli? - zapytał.

- Liczę, że pan mi to powie - odrzekł Belsey.

- Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że to ważne osobistości City i międzynarodowej finansjery.

Belsey nie potrafił powściągnąć uśmiechu.

- Skąd ten pomysł?

- Zgadłem, prawda?

- Po części. Jak wyglądało spotkanie?

- Nie wiem, nie było mnie.

- A kto pracował w ubiegłą sobotę? - dążył Belsey. - Ktoś z tej ekipy?

- Nie.

- Muszę porozmawiać z kimś, kto tu był, kto widział spotkanie.

- Proszę zrozumieć, nasi goście to prawdziwe osobistości.

Musimy szanować ich prywatność.

Mężczyzna był rozdarty. Belsey postanowił ułatwić mu sytuację.

- Wie pan, jaka kara grozi za wspieranie terroryzmu?

- Terroryzmu?!

- Czy w ostatnich dniach ktoś zachorował? - spytał Belsey, podnosząc głos. - Wysypka? Duszności?

Część pracowników obejrzała się w jego stronę.

- Przejdźmy do biura - zaproponował kierownik.

Wprowadził Belseya do gabinetu wyłożonego boazerią, z biurkiem i starym zegarem.

- Niczego nie widzieliśmy - mówił pospiesznie. - W piątek zjawili się ochroniarze, sprawdzając miejsce. Byli uzbrojeni.

Zasłonili lustra, zablokowali zamki, ustawili parawany. Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego.

- Pańscy kelnerzy musieli coś widzieć - podsunął Belsey.

- Mieli własną firmę cateringową, własnych ochroniarzy i szoferów. Kiedy zamawiali salę, nie uprzedzili, że tak to będzie wyglądało. Swoje wymagania przedstawili na tydzień przed imprezą.

- Kiedy dokonano rezerwacji?

- Trzy miesiące temu.

- Na jakie nazwisko?

- Nazwę. Towarzystwo Budyka.

Trzy miesiące temu, pomyślał Belsey. Starannie to zaplanował. Co do dnia, co do godziny. Tylko kto tknął tę skomplikowaną pajęczynę przekrętu stulecia? Kto tak sprawnie to zorganizował? Kto na wylot znał swoje ofiary? Kto sprawił, że wszystko runęło jak domek z kart, a on sam wyszedł z trzydziestoma ośmioma milionami w kieszeni?

- Towarzystwo Budyka. Słyszał pan kiedyś o takim?

- Nie, ale...

- Nie przeszkadza wam, jeśli prestiżowi goście posługują się pseudonimem.

- Nie miałem pojęcia...

- Czy pojawił się ktoś z ramienia tego towarzystwa?

- Menedżer przyszedł na dwie godziny przed gośćmi.

Mężczyzna, który wszystko organizował. Zjawił się wcześniej i wyszedł.

- Przedstawił się? - Nie.

- Na czym polegały przygotowania?

- Potrzebował dużego stołu. Nie wiem, po co. Poprosił o

największy, jaki mamy.

- Jak duży?

- Jakieś pięć metrów na pięć. Zsunęliśmy trzy nasze największe stoliki.

- Ale nie wie pan, po co?

- Przypuszczam, że pod makietę. Wszyscy nasi pracownicy musieli opuścić Guildhall, zanim ją przywieziono.

- Proszę mi pokazać dokumentację.

Mężczyzna poszperał w aktach i wyciągnął formularz rezerwacji. Podano na nim adres biura AD Development. Belsey natychmiast rozpoznał też numer telefonu - rozmowy przekierowywano do RingCentral - i rachunku: to zadłużony ROR Devereux w Barclays.

- Jak rozwiązujecie kwestię parkingu? - spytał Belsey.

- Bo co?

- Ochrona musiała czymś podjechać.

- Mamy własny parking, wszystkie samochody są rejestrowane.

- Czyli macie ich dane. Proszę mi pokazać numery rejestracyjne, dane.

- Nie parkowali. Wsiadali z samochodów, a te od razu odjeżdżały. Nie chcieli, by cokolwiek zapisywano.

Belsey rozejrzał się po gabinecie, szukając punktu zaczepienia.

- Makieta na stole - powiedział. - Tak?

- Co się potem z nią stało?

- Zabrali.

Belsey myślał gorączkowo. Skąd kurierzy odbierali przesyłki? Cavendish Square 33. Sięgnął po telefon na biurku, nie zwracając uwagi na kierownika. Zadzwoił do biura numerów, a potem do recepcji biurowca. Odebrał zaspany ochroniarz.

- Proszę mi podać nazwy firm mających tu siedzibę.

Wszystkie z branży budowlanej i architektonicznej.

Ochroniarz sieknął. Szukał w rejestrze, dopóki nie znalazł.

Była tylko jedna. Pracownia architektoniczna Kilgo Vesser.

W niedzielę nikt tam nie pracował.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Belsey ruszył w stronę Cavendish Square, ale zatrzymał się przed sklepem ze sprzętem RTV i przez okno oglądał wiadomości. Pojawiło się ujęcie Bishops Avenue, potem kamera zatrzymała się na dziennikarzu BBC. Obok niego stała Charlotte Kelson. Reporter podsunął jej mikrofon. Belsey nie słyszał, co mówiła, ale prawdopodobnie chwaliła się swoimi odkryciami.

Na ekranie migotał napis „Na żywo”. Za plecami miała dom Devereux.

Belseyowi zrobiło się zimno. Znała jego nazwisko. Jedno nieostrożne słowo - nawet poza kamerą - a dopadną go, zanim zdąży uciec. Chciał przy niej być.

Zawrócił i z włączoną syreną popędził do Hampstead.

Przed wjazdem do Kenwood House stał wóz transmisyjny Sky News. Dziennikarze tłoczyli się u wlotu na Bishops Avenue, gdzie już pojawiła się taśma policyjna. Z domu z numerem trzydziestym siódmym ekipa techników wynosiła wypchane worki z materiałami dowodowymi. Kamerzyści walczyli o jak najlepsze ujęcie budynku. Charlotte Kelson stała nieco na uboczu, po drugiej stronie ulicy, czytając swój tekst do komórki.

Belsey zahamował obok z piskiem opon.

- Wsiadaj.

Spojrzała na niego, potem na radiowóz. To ją trochę uspokoiło. Belsey obserwował, jak rozważa za i przeciw, a wreszcie mówi do telefonu:

- Oddzwonię.

- Skoro już z nimi rozmawiasz, powiedz, żeby jeszcze poczekali z materiałem na pierwszą stronę - poradził.

Schowała aparat, ale nie wsiadła do samochodu.

- Właśnie rozkładają na części pierwsze twój dom wycieczynkowy, Nick.

- Pokazać ci coś? - Co?

- Projekt „Budyka”. Popatrzyła na niego sceptycznie.

- Gdzie?

- W pracowni architektonicznej Kilgo Vesser. Wskakuj. Wsiadła. Belsey chłonał zapach jej perfum.
- Miej oko na motocyklistów. Jeśli jakiegoś zobaczysz,

mów.

- Dlaczego?

- Nie lubię ich.

Belsey włączył koguta i ruszył w stronę Cavendish Square.

- Co masz?

- Coraz większe obawy przed podróżowaniem z tobą w jednym samochodzie. - Charlotte zapięła pasy.

- Nie zapominaj, że to ja podrzuciłem ci poszlaki.

- Ale dlaczego?

- Bo jesteś świetna w łóżku. Powiedz, co ustaliłaś.

Ostro skręcił w Fitzjohn's Avenue, potem lawirował między samochodami przebijającymi się przez Swiss Cottage.

- Wzięłam pod lupę tego całego Pierce'a Buckingham.

Wyjątkowy sukinsyn z długą ciemną kartoteką. Ostatnio próbował wycisnąć saudyjskie fundusze z Hongkońskiego Konsorcjum Gier Hazardowych. To ono wynajęło PO Ochrona. Wiem o tym od nadkomisarza prowadzącego śledztwo w sprawie śmierci Buckingham. Buckingham sądził, że dobił targu z Korporacją Londyńską, ale ona oczywiście wszystkiego się wypiera. Tymczasem jakiś niezadowolony inwestor ujawnił korespondencję Buckingham i Devereux na temat ustawy z 1871.

- O co chodzi?

- Z tego, co zdążyłam ustalić, wynika, że w 1871 roku uchwalono tylko dwie ważne ustawy. Jedna, amerykańska, o prawach obywatelskich, druga wprowadzona przez królową Wiktorię. Na jej mocy znaczną część Hampstead włączono do aglomeracji Londynu. Stawiałabym na nią. Najbardziej niepokoiło ich zastrzeżenie: ustawa nakłada na obecnych i przyszłych włodarzy obowiązek zachowania naturalnego piękna i przyrody terenów. W nieskończoność.

- Co na to Devereux?

- Twierdził, że to nie problem. Otrzymał takie zapewnienie

od prawników Milтона Granby'ego z kancelarii Charlton and Doubret. Przysłali mu faks, w którym wyjaśniali, jak można to ominąć.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Wyparli się wszystkiego.

- Chodzi o ten faks? - spytał Belsey, dyktując jej numer faksu Devereux.

- Tak mi się wydaje.

- Prawnicy wyjątkowo nie skłamali. Nie wysłali faksu.

- To o co chodzi?

- Odbyło się spotkanie - wyjaśnił Belsey. - Na końcu wszyscy obecni zrobili przelew na łączną kwotę trzydziestu ośmiu milionów. To akurat jest prawda.

- Na co były przeznaczone te pieniądze?

- Tego wkrótce się dowiemy.

Mknęli wśród biurowców położonych na zapleczach dużych modnych sklepów i wypadli na Cavendish Square. Plac zasadniczo zachował swoją oryginalną, harmonijną architekturę z okresu regencji. Ład burzył tylko betonowy kolos dominujący w południowo-wschodnim rogu. Numer trzydzieści trzy. Obrotowe drzwi prowadziły do eleganckiej recepcji z pseudomarmurowymi kolumnami, kanapami i telewizorem. Wejście do wind blokowały bramki. W recepcji tkwił znudzony ochroniarz. Belsey zerknął na listę firm za jego plecami. Pracownia Kilgo Vesser mieściła się na piątym piętrze.

- Mieliśmy informację o włamaniu - oświadczył.

Ochroniarz błyskawicznie się wyprostował. Belsey pokazał mu odznakę.

- Gdzie?

- Piąte piętro. Kilgo Vesser. Ktoś rozwalił drzwi.

- Nie sądzę - odparł strażnik ze stoickim spokojem.

- Niech pan tu czeka.

Belsey przeskoczył nad barierką. Charlotte za nim. Wbiegli schodami na piąte piętro. Belsey znalazł odpowiednie drzwi, wziął metalowy kosz na śmieci i walił w zamek dopóty, dopóki drewno

się nie roztrzaskało. Wtedy kopnął drzwi. Zawył alarm.

Belsey wszedł do środka i włączył światło.

Makieta zajmowała całą recepcję. Trzy sadzawki natychmiast zdradzały, co to za miejsce. Belsey potrzebował chwili, by rozpoznać pieczołowicie odtworzone lasy i porośnięte drzewami wzgórze, bo tor konny okrążał to, co wszyscy znali jako North Heath, a co na makiecie zamieniło się w gigantyczne kasyno. Główny budynek wyrastał z ziemi niczym długa szklana trumna. Na zachód od toru pojawiło się nowe sztuczne jezioro, przy którym znajdowały się kino i parking. Wśród zieleni spacerowały małe figurki. Niektóre kierowały się do kasyna, inne wyprowadzały na spacer psy, puszczały latawce albo szykowały piknik.

- Niech ja... - zachłysnęła się Charlotte.

Belsey przeleciał wzrokiem po deskach kreślarskich, komputerach i zawalonych rysunkami biurkach. Otworzył szufladę i wyrzucił zawartość na podłogę. To samo zrobił z następną.

Przeglądał rulony, aż trafił na dwa szkice kasyna. Schował je pod marynarkę.

- Lecimy.

Zbiegli na dół i przemknęli obok ochroniarza, wypadając na pustą ulicę.

- Dokąd teraz? - spytała Charlotte.

- Muszę coś załatwić - powiedział Belsey. - Myślę, że to ci na razie wystarczy. Idź do redakcji i pisz tekst. Niewykluczone że będę musiał niedługo dać nogę. Uciec gdzieś.

- Dobra.

- Sądzisz, że mnie odszukasz?

Przytrzymał ją za rękę i popatrzył na nią w świetle padającym z recepcji. Czerwony pulsujący punkcik pełził po jej szyi przez błądy policzek ku skroni. Belsey sądził, że to ochroniarz.

Obejrzał się, ale strażnika nie było. Patrzył na kropkę i nagle ogarnęło go przerażenie.

- Na ziemię! - krzyknął.

Szklane drzwi recepcji roztrzaskały się w drobny mak.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Belsey zasłonił ją własnym ciałem. Przeczolągali się między zaparkowane samochody. Czuł krew na dłoni. Raczej nie swoją.

Charlotte zaczęła krzyczeć. Dobry znak. Masz siłę wrzeszczeć, masz siłę żyć.

Następne strzały trafiły w auta. Posypało się szkło. Znowu wrzask.

Belsey przysunął się, żeby sprawdzić jej głowę. Tu nie było ran. Krew przesiąkała przez bluzkę.

- Charlotte, słuchaj uważnie. Gdzie cię trafił?

- W ramię.

Belsey rozdarł rękaw. Kula wyrwała kawałek mięśnia w lewym ramieniu i musnęła klatkę piersiową. Zdjął jej szalik, zwinął go w kulę i rękawami płaszcza przywiązał jak kompres do ramienia. Strzał musiał paść z budynku naprzeciwko, pomyślał.

Z dachu jednego z biurowców. Nie widział jednak tam nikogo, żadnego ruchu.

- Nic mi nie jest - uspokoiła.

- Przyciskaj mocno. Nie wstawaj, nigdzie się nie ruszaj.

- Dlaczego?

- Bo wciąż jeszcze żyjemy. Przeczolął się do recepcji.

- Wezwij karetkę - polecił ochroniarzowi, który leżał rozpląszczony na podłodze.

Ale w tej samej chwili podjechało pogotowie, hamując z piskiem kilka metrów od nich. Z motocykla zeskoczył ratownik.

W dłoni okrytej rękawiczką trzymał walizkę pierwszej pomocy.

- Kobieta jest tam - powiedział Belsey.

Dlaczego ratownik nie zdjął kasku? - zdziwił się przelotnie. Co takiego niósł na plecach?

Mężczyzna otworzył walizkę, wyjął pistolet i wymierzył prosto w głowę Belseya.

Belsey ruszył na niego. Nigdy nie wolno się cofać - to podstawowy i najgorszy błąd. Strzelec spanikował, ale wypalił.

Posypało się szkło. Belsey wszedł do budynku, odciągając napastnika jak najdalej od Charlotte. Mężczyzna miał przewieszonego przez plecy dragunowa. Ale, jak widać, zaopatrzył się też na wypadek bezpośredniego starcia. Belsey zerwał ze ściany gaśnicę. Kula odbiła się od jednej z kolumn. Wyciągnął zatyczkę. Strzelec był blisko, prawie metr od niego. Belsey wycelował w przyciemnione okulary i uruchomił gaśnicę.

Udało się. Oślepiiony napastnik strzelał na prawo i lewo, potem tyłem wycofał się na ulicę. Belsey z całej siły kopnął go w nerki. Gość przewrócił się, ale nie wypuścił broni. Równocześnie próbował wytrzeć pianę z okularów. Zerwał się na nogi i znów wymierzył. Belsey kopniakiem wybił mu pistolet z dłoni.

Tamten ani drgnął. I tak miał karabin, więc nie było problemu?

Belsey stał między nim a motocyklem pogotowia. Chodzi o motocykl - zrozumiał policjant.

Rozległo się wycie syren. Strzelec na ułamek sekundy znieruchomiał. Nasłuchiwał, skąd nadjeżdżają, i rzucił się do ucieczki w przeciwnym kierunku, po drodze zdejmując kask, ale Belsey już nie zdołał zobaczyć jego twarzy.

Podszedł do motocykla. Napastnik musiał go ukraść razem z kluczykiem, bo stacyjka była nieruszona. Ale samego kluczyka nie było. Tylne bagażnik był zamknięty. Belsey schylił się nad bronią strzelca: sfatygowany browning BDM. Podniósł go przez kawałek gazety, wymierzył w zamek i strzelił. Bagażnik się otworzył. Belsey zajrzał do środka i zrozumiał niepokój napastnika. W środku były garnitur, koszula, zapasowa amunicja, identyfikator uczestnika jakiejś konferencji i karta-klucz hotelu Royal National.

Upewnił się, czy Charlotte nic się nie stało. Była blada, ale tak wściekła, że na pewno przeżyje. Nawet jeśli strzały przykuły uwagę okolicznych mieszkańców, nikt nie odważył się wyściubić nosa. Niedługo się pokażą. Belsey wrócił do motocykla i opróżnił bagażnik. Zdjął koszulę, stał nią krew z twarzy i rąk, potem wbił się w ciuchy zamachowca. Odczekał, aż syreny policyjne

wystarczająco się zbliża, choć nie zamierzał być tutaj, kiedy pojawią się radiowozy.

- Zrób coś dla mnie, Charlotte - poprosił. - Nie wspominaj, że tu byłem.

Zdesperowana wzniosła oczy ku niebu. Pocałował ją.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Hotel Royal National mieścił się tuż obok Russell Square.

Betonowy kolos ukrywał w swoim wnętrzu labirynt korytarzy, tysiąc sześćset pokoi, restauracje i armię pracowników zatrudnionych na czarno. Idealne miejsce dla płatnego mordercy.

Identyfikator zamachowca głosił: „IX Międzynarodowa Konferencja Naukowa na temat HIV” - i był wystawiony na niejakiemu doktorowi Antoine'emu Pelletierowi. Belsey zawiesił go na szyi nazwiskiem do siebie. W hotelu unosił się zapach stęchlizny, królowały boazerie z lat siedemdziesiątych i tkaniny z lat osiemdziesiątych, a oświetlenie sprawiało, że każdy wyglądał jak chory na żółtaczkę.

Belsey minął recepcję i udał się prosto do windy. Drzwi otwierało się kartą. Karta strzelca działała. W windzie wisiała informacja o menu śniadaniowym oraz przedstawieniach na West Endzie. Belsey wjechał na pierwsze piętro, po czym zjechał do recepcji.

Recepcjonistka nosiła identyfikator z imieniem Tasha.

- Cześć, Tasha.

- Witam. Czym mogę służyć?

- Umówiłem się z kolegą, uczestnikiem konferencji poświęconej HIV z doktorem Pelletierem. Powiesz mu, że doktor Steel już czeka?

- Momencik.

Przez dwadzieścia sekund przewijała listę gości, po czym podniosła słuchawkę. Belsey nie spuszczał wzroku z jej palców.

Wybrała 561. Odczekała chwilę.

- Nie odbiera - powiedziała, nie rozłączając się. Belsey spojrzął na zegarek.

- Może już wyszedł.

- Mam dalej próbować?

- Nie trzeba. Powiedz mi, gdzie jest toaleta. Wskazała mu najbliższą za windami. Minał je, odszukał klatkę schodową i pieszo wszedł na piąte piętro.

Znalazł pokój 561 i zapukał. Bez odpowiedzi. Przesunął kartę zamachowca w zamku. Zapaliła się zielona kontrolka. Pchnął drzwi kopniakiem.

Pokój był pusty, łóżko posłane. Na krzesle leżały przerzucone trzy torby na garnitury. Pachniało stęchłym dymem tytoniowym. Przy łóżku stała popielniczka i pudełko rękawiczek chirurgicznych. Tylko ona wyglądała na ruszaną, choć w środku nie było petów. Rękawiczki kazały się spodziewać, że nie będzie łatwo o odciski palców. Belsey kopniakiem otworzył drzwi do łazienki. Nieskazitelnie czysta, świeżo posprzątana, mydélka nierozpakowane. Belsey przeszukał całe pomieszczenie. Podniósł materac, zajrzał do spluczki. Położył się na łóżku i wpatrywał w cieniutką kreskę na suficie. Wyglądała jak pęknięcie tynku, ale wisiała przy kratce wentylacyjnej. Włos. Stał na łóżku, pchnął kratkę. Wypadła.

Nad nią, w metalowym szybie Belsey znalazł celownik teleskopowy, zestaw do czyszczenia strzelby, uprząż, reklamówkę z instrukcją montażu lunety i klucz od hotelowej skrytki depozytowej.

Wziął kluczyk, torebkę na odpady sanitarne i wrócił na dół.

Skrytki depozytowe znajdowały się przy recepcji. Siadł przed pubem hotelowym i czekał, aż Tasha skończy zmianę. Na ekranie nad barem pojawił się napis: „Zamordowany finansista okazuje się playboyem i naciągaczem. Policja radzi omijać City”.

Burmistrz przemawiał do zebranego tłumu. Wtem zaczął migać napis: „Z ostatniej chwili: kolejna strzelanina w centrum Londynu”. Kamery telewizyjne jeszcze nie dotarły na miejsce.

Northwood mówił do mikrofonu. Belsey odczytywał jego słowa z ruchu warg: „Jeśli za tymi incydentami stoi jedna osoba - a w tym momencie to wielki znak zapytania...”.

Tasha skończyła zmianę, zastąpił ją wysoki mężczyzna z

identyfikatorem „Yakubu”. Belsey wkroczył do hotelu.

- Yakubu.

- Tak, proszę pana?

- Mogę zmienić porę budzenia? Jutro chciałbym wstać o dziewiątej. Pokój 561.

- Oczywiście.

- I poproszę o śniadanie do pokoju. Kontynentalne.

- Jasne. - Zaznaczył coś. - Załatwione. Belsey położył na blacie kluczyk od skrytki.

- Wezmę coś jeszcze ze swojej skrytki.

- Jasne.

W skrytce znajdował się tylko kanadyjski paszport wystawiony na doktora Pelletiera. Belsey wziął go w czubki palców i wrzucił do papierowej torebki.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Instykt - policjanta i człowieka w śmiertelnym niebezpieczeństwie - kazał mu nazwać zagrożenie, ustalić nazwisko człowieka, który zabił Jessicę, Buckinghamą, a teraz próbował zastrzelić jego i Charlotte. Wciąż jeszcze w jego krwi krążyła adrenalina po tym, jak otarł się o śmierć. Dawał sobie dziesięć godzin, żeby wyeliminować gościa z gry w ten lub inny sposób.

To nie podlegało negocjacjom. Druga sprawa, nie mniej ważna: zdobyć siedemset funtów dla Duzguna i odebrać paszport. Kupić bilet lotniczy. Potem urobić Kovara. Musi się tym zająć jak najszybciej, żeby spekulant zdążył przygotować gotówkę.

Wreszcie pożegnać się z Charlotte, wziąć łup i polecieć.

Paszport napastnika był wystawiony na doktora Antoine'a Michela Pelletiera, urodzonego drugiego czerwca 1976 w Quebecu. Zdjęcie przedstawiało białego, gładko ogolonego trzydziestolatka z zakolami inteligencji i małymi, pozbawionymi życia oczami. Technicy od daktyloskopii od razu zdjęli czysty odcisk palca z okładki i podali siedem nazwisk: siedmiu mężczyzn z tym samym odciskiem i zabójstwami na koncie.

Funkcjonariusz obsługujący drukarkę nie wierzył własnym

oczom. Był młody, świeżo po akademii policyjnej.

- Jak to zdobyłeś? - spytał.

- Bo co?

- W Zjednoczonym Królestwie nie był notowany, ale sprawdziłem bazę Interpolu: trzydzieści siedem nakazów aresztowania.

- Kto to jest?

- Wybierz sobie: Aleksander Boskowicz, Niko Pacassi, Nathan Risboro, Carel Dupont. Pierwsze trzy pseudonimy wiążą się z serią morderstw w Amalfi w latach 1995-1997. Carel Dupont jest poszukiwany za zabójstwo szwajcarskiej sędziny Carli Pinto w 1996 roku. Nigdy go nie odnaleziono. Szwajcarzy podejrzewają, że Dupont tak naprawdę pochodzi z Chorwacji i odpowiada ze serię zabójstw dokonanych w okresie, gdy podróżował z belgijskim paszportem na nazwiska Christof Segers, Jens Thomas i Jean-Paul Claessens. Działał wtedy głównie w Paryżu, Marsylii i Sztokholmie. Interpol nazywa go Le Chasseur, myśliwy.

- Uroczo.

- Szwajcarscy i włoscy śledczy przeanalizowali jego ulubione rodzaje broni i taktyki. Ich zdaniem wszystko wskazuje, że jest zawodowym wojskowym, snajperem, który doświadczenie zdobywał podczas wojny w Bośni. Zawężili wybór do Milana Balica, strzelca wyborowego, który przyczynił się do zdobycia wielu miast w Hercegowinie. Potem zaczął działać na własną rękę. Pierwszym jego głównym zleceniodawcą była neapolitańska mafia. Niedawno zastrzelił nigeryjskiego ambasadora i egipskiego bankiera, który podpadł szejkowi Faisalowi ibn Abdulowi Azizowi. Od tamtej pory jest opłacany przez HKGH. Za pieniądze szejka pojawił się w Macao jako Christian Le Febvre, gdzie najprawdopodobniej zabił w łaźni dwóch rywali konsorcjum.

- Te zabójstwa miały związek z Dream City Casino? - spytał Belsey.

- Zgadza się.

Belsey wykonał kilka telefonów. Nigdzie nie trwała „IX Międzynarodowa Konferencja Naukowa na temat HIV”, to była

podkładka, żeby dostać wizę. Zadzwoił też do szpitalnego centrum koordynacyjnego. Charlotte Kelson leżała w St Thomas' Hospital.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Nikt z laboratorium kryminalistycznego nie potrafił wskazać Belseyowi jakiejś agencji turystycznej. W końcu przy Kennington Road znalazł nieduże biuro z kratami w oknach i szyldem „Victory Holidays”. W środku zobaczył zdjęcia piaszczystych plaż i dwie pracownice z opalenizną prosto z solarki.

- Potrzebuję biletu lotniczego na dzisiaj - powiedział. - Najtańszego, jaki państwo mają. Jak najpóźniejsza godzina.

- Dokąd?

- W granicach rozsądku.

Dziewczyny parsknęły śmiechem. Rozległ się stukot tipsów na klawiaturze.

- Saloniki - powiedziała jedna z nich.

Czubkiem długopisu pokazała mu punkt na południu Grecji.

To całkiem niezła opcja, pomyślał. Grecja należała do Unii Europejskiej, czyli mógł przewieźć dowolną ilość gotówki.

Duży ruch, pobieżna kontrola. Kierunek nie budził podejrzeń - nawet jeśli pasażerem był mężczyzna bez bagażu, w wymiętym garniturze.

- O której start?

- Dwudziesta trzecia trzydzieści ze Stansted, Air Berlin.

Mógłby stamtąd przebiec się do Turcji przez Ewros. Straż graniczna jest wyczulona na transporty narkotyków jadące na zachód. Nikt nie zwróci uwagi na turystę podróżującego na wschód. Trasa E90 w Turcji zmieniła nazwę na D1 10. Dojechałby nią do Stambułu. Tam łatwo będzie zgubić się w tłumie, znaleźć lokum w tanim hoteliku i zająć się wizą. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał się martwić o pieniądze i dowolnym środkiem transportu pojedzie na południe do Ankary, skąd autobusem dotrze do przejścia granicznego na rzece Chabur i już będzie w Niniwie. W Niniwie, na miłość boską.

- Dobre hotele - zachęcała dziewczyna. - Choć teraz może być tam nieco chłodno.

- Ile kosztuje? Ze wszystkimi opłatami.

- Będzie pan miał bagaż? - Nie.

- Trzydzieści dwa funty z opłatą lotniskową.

- Biorę.

Samolot startował za dziesięć godzin z kawalkiem. Belsey wziął bilet, powiedział, że rozładowała mu się komórka, i spytał, czy może wykonać kilka telefonów. Zaproponował nawet, że zapłaci, ale powiedziały, że nie trzeba.

Zadzwoił do Kovara.

- Spotkajmy się przy Izbie Gmin. St Stephen's Gate. Dziś o dziewiętnastej.

- Izba Gmina?

- Wiesz, gdzie to jest?

- Będę - zapewnił Kovar.

Potem Belsey na tę samą godzinę zamówił w Prestige samochód na nazwisko Devereux, choć zdawał sobie sprawę, że rezerwacja mogła wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie. Nie miał pojęcia, na jaką skalę jest teraz zakrojona policyjna akcja, ale musiał zaryzykować. Wszystko trzeba dopiąć na ostatni guzik. Liczy się każdy szczegół.

- Podstawcie limuzynę - powiedział. - Przestronną. Niech podjedzie o dziewiętnastej na Millbank przy Victoria Tower Gardens. Przy budynku Parlamentu, najbliżej jak się da.

Belsey się rozłączył. Pracownicy biura turystycznego gapily się zdumione. Podziękował jeszcze raz i wyszedł.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Sześćset minut do startu.

Belsey zostawił samochód na początku Kennington Road i kupił kwiaty w kwiaciarni przed Imperial War Museum. W St Thomas' Hospital właśnie dobiegał końca weekendowy ruch. W poczekalni zebrały się ostatnie ofiary kilkudniowego pijaństwa.

Belsey przeciskał się między krwawiącymi parami, ofiarami wypadków, wstawionymi i wystawionymi. Umknął też

dwójce reporterów, którzy czyhali na wieści z ostrego dyżuru.

Przed pokojem Charlotte siedział umundurowany policjant.

Przyjrzał się Belseyowi. Zatrzymał wzrok na jego twarzy, palcach, pasie, potem zerknął na kwiaty.

- Przykro mi, koleś. - Podniósł rękę, zatrzymując gościa.

- Jestem jej przyjacielem.

- Nie wpuszczamy gości. Zresztą teraz śpi.

- Jak się czuje?

- Nie wolno mi udzielać żadnych informacji.

- Przekażesz jej te kwiaty? - Belsey podał mu bukiet.

- Nie.

Belsey zajął przez okienko z żaluzją, ale zobaczył tylko kawałek łóżka, nic poza tym. Poczuł, jak znów wstępuje w niego wściekłość. Wrócił do izby przyjęć, dał kwiaty starszej kobiecie z sondami w karku i zadzwonił do centrum operacyjnego stołecznego policji.

- Mówi posterunkowy Nick Belsey z wydziału kryminalnego Hampstead. Byłem świadkiem strzelaniny przy Cavendish Square. Mam informacje o podejrzanym.

- Dobra.

- Który komisariat prowadzi śledztwo?

- A kto mówi?

- Posterunkowy Nick Belsey z komisariatu Hampstead.

Mam informacje o strzelaninie.

- Zgłoś się do komendy rejonowej West End. Wiesz, gdzie jest?

- Tak.

- Jak najszybciej.

W niecały kwadrans podjechał pod komendę rejonową West End. Powitał go posterunkowy i zaprowadził do pokoju przesłuchań, gdzie już czekało na niego trzech mężczyzn. W pomieszczeniu panował półmrok, główne źródło światła stanowiła lampka na stoliku, za którym siedział ogolony na łyso oficer o grubym karku i z kozią bródką. Koszula opinała się na jego „mięśni piwnym”. Towarzyszyli mu ryży posterunkowy o urodzie

rabusia i mężczyzna w karmelowym garniturze. Nick po sekundzie rozpoznał w nim Nigela Herringa. Popychał Northwooda.

Teraz baczniej przyjrzał się pozostałym. Posterunkowego nie kojarzył. Gościa z bródką widział u Chrisa Starra - to on wyszedł z torbą z podartymi kartkami. Teraz wyglądał równie antypatycznie jak wtedy. Na oparciu jego krzesła wisiała kurtka policyjna z pagonami sierżanta.

Belsey uświadomił sobie, że chyba wpakował się w niezbyt komfortową sytuację. Czuł ich pot - musieli tu siedzieć od jakiegoś czasu. I bynajmniej nie prowadzili dochodzenia w sprawie strzelaniny przy Cavendish Square. Na blacie między poplamionymi papierowymi talerzykami, pudełkami po soku owocowym i papierosach leżał egzemplarz „Mail on Sunday” otwarty na artykule sugerującym, że PO Ochrona ma powiązania z nadkomisarzem Northwoodem.

- Co się dzieje? - spytał Belsey.

- Siadaj.

- Ustaliłem nazwisko - powiedział. - Wiem, kto strzelał.

- Ustaliłeś?

Popatrzyli po sobie. Potem sierżant parsknął śmiechem. Ryży zamknął drzwi.

- Ustaliłeś, to fakt - mruknął.

- Możemy to załatwić szybko i prosto, Nick - rzucił sierżant. Miał chytre oczka.

Belsey powiódł wzrokiem po bałaganie na stoliku, gazecie, ich uśmieszkach. Potem popatrzył uważnie na Nigela Herringa.

- Siadaj - usłyszał od niego.

Młody posterunkowy położył rękę na ramieniu Belseya i zmusił go, by usiadł na plastikowym krześle. Palcem dźgnął w gazetę.

- Co to jest?

- A jak sądzisz?

- Że ktoś tu pieprzy od rzeczy.

- W takim razie napiszcie list od obrażonego czytelnika.

Sierżant nachylił się ku Belseyowi.

- Nie pora na śmichy-chichy, Nick.
- Uderz w stół, a nożyce się odezwą? Obudziło się nieczyste sumienie?

- Zajmij się swoim nieczystym sumieniem.

- Na nie już nic nie poradzę.

Herring rzucił na stół zdjęcie Jessiki Holden.

- Poznajesz?

- Twarz gdzieś widziałem.

- Co możesz powiedzieć o jej śmierci?

- Że śledztwo to jedna wielka pomyłka.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Niewykluczone - zgodził się Herring. - Kiedy ostatni raz byłeś na Bishops Avenue?

- Na miłość boską - jęknął Belsey, gdy zaczęło mu świtać, co naprawdę się dzieje. - Wszyscy siedzicie w kieszeni PO Ochrona? O to chodzi? Przeze mnie premie przeszły wam koło nosa?

Zastanawiał się, dokąd to wszystko zmierza. Teraz baczniej przyjrzał się pomieszczeniu. Analizował swoje szanse. Drzwi, trzej mężczyźni, stolik.

- Odpowiedz na pytanie.

- Bez komentarza.

- A co z Charlotte Kelson? - zapytał Herring.

- Pierwsze słyszę.

- Interesowała się tobą, Nick.

- I to na wiele sposobów - dodał posterunkowy. Zarechotali.

- A teraz biedactwo leży w szpitalu - powiedział Herring. - Bo próbowała ustalić, na czym polega twój związek z tym wszystkim. Nie dziwię się, że nagle zrobiłeś się wstydlivy.

- Poznałeś miłą dziewczynę i nie chcesz zdradzić, jak się nazywa. Nieładnie - cmoknął posterunkowy.

- Zaliczasz młodą dziennikarkę, a potem się na nią wypinasz - podjął Herring.

- Zdobywasz jej numer, a potem okłamujesz jej operatora, by zdobyć poufne dane - ciągnął sierżant. - To się nazywa miłość.

Belsey westchnął.

- I patrzcie, to jednak nie o mnie piszą w dzisiejszej gazecie - powiedział.

- Och, Nick. Po co robić sobie wrogów? To potem tak boli.

Belsey podniósł wzrok i zobaczył pięć ryżego posterunkowego ładującą prosto na jego brodzie. Oczy zaszyły mu mgłą. W pomieszczeniu rozległ się donośny rechot.

- Prezent od przyjaciół.

Ryży znowu mu przywalił. Belsey z całej siły zacisnął ręce na krześle, by nie dać się sprowokować i nie odpowiedzieć tym samym. Na to tylko czekali. Będzie trzech na jednego, żadnych ograniczeń, a później pojawią się kajdanki.

- Pieprzyć was - syknął.

- Ojej! Trzeba to zgłosić do IPCC!

Znowu rechot. Belsey próbował myśleć. Wiedział, że zabawa dopiero się rozkręca, a chłopcom szybko się nie znudzi.

- Złożyła na ciebie skargę - powiedział Herring.

- Nie widziałem żadnej - odparł Belsey. Powiódł językiem po ustach i poczuł smak krwi.

- Pojawiasz się tam, gdzie giną ludzie - stwierdził sierżant.

- Wyjątkowo niefortunny zbieg okoliczności.

- I właśnie tak brzmi akt oskarżenia?

- Chcesz wiedzieć, jakie zarzuty ci stawiamy? - spytał Herring.

- Zaimponujcie mi.

- Współudział w kradzieży, współudział w oszustwie, utrudnianie śledztwa i usiłowanie morderstwa.

- Morderstwa na kim?

- Na Charlotte Kelson.

- Na miłość boską.

- Chcesz adwokata? - zatroszczył się sierżant.

- A może po prostu sam się wytłumaczysz? - Herring mierzył go wzrokiem.

- Nie mam nic do powiedzenia - oświadczył Belsey.

- A na ten temat?

Podsunęli mu pod nos gazetę: Charlotte krytykowała wszechpotężnego nadkomisarza Northwooda. Belsey pod pozorem czytania tekstu przyglądał się stolikowi. Żadnych sztućców, regulaminowe styropianowe naczynia. Jedyne twarde przedmioty to magnetofon i lampka.

Posterunkowy podziwiał kształty Charlotte Kelson.

- Ładna. Dała ci chociaż?

- Ciul.

Ryży palnął go w ucho. Najwyraźniej nie zamierzali się patyczkować. Ot, jak to w komendzie rejonowej West End. Belsey jeszcze raz przyjrzał się lampce. Taka sama jak w Hampstead. Halogenowa.

- Zadałem ci pytanie - warknął ryży.

- Czybym cię przeleciał? - spytał Belsey. - Tak?

- Jesteś odrażający.

- Za to ty przynosisz chlubę mundurowi - odciął się Belsey.

Zabrzęczały klucze. Który z nich je miał? U ryżego zauważył łańcuszek przypięty do paska i znikający w kieszeni. Podniósł rękę do twarzy, obmacał lepką brodę.

- Mogę wyjąć z kieszeni chusteczkę? - zapytał.

Mruknęli coś niewyraźnie. Belsey namacał chusteczki higieniczne i przykładał do twarzy, wycierając krew.

- O czymś zapomnieliście - powiedział.

- O czym?

- Nie odczytaliście mi praw.

Uśmiechnęli się szeroko. Belsey przestał się wycierać. Położył dłonie na kolanach. Prawą owinał chusteczką.

- Nie musisz nic mówić - cedził leniwie sierżant - ale wszystko, co przemilczysz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie w sądzie. Wszystko, co powiesz, może zostać potraktowane jako dowód. Czy to jasne? - Uniósł brew.

- Nie powinniście mnie skuć?

- Daj spokój, Nick - powiedział Herring.

- Załóżcie mi kajdanki.

Posterunkowy ruszył w jego stronę. Belsey wyszarpnął

żarówkę halogenową, rozbił ją o blat i wskoczył na stół, łokciem waląc posterunkowego w twarz. Chwycił go za włosy i odchylił mu głowę, przykładając ostrą końcówkę do miękkiej skóry pod brodą.

Herring i sierżant znieruchomieli. Belsey jeszcze bardziej odchylił posterunkowemu głowę, żeby napatrzyli się na poszarpaną krawędź żarówki. Policjant zagulgotał. Belsey przyciskał końcówkę, aż wreszcie przestał się szarpać. Rozniósł się swąd przypalanego ciała.

- Odpiardolcie się albo poderżnę mu gardło - zagroził Belsey.

- Tylko bez głupstw - ostrzegł Herring.

Belsey popychał zakładnika w stronę drzwi. Kopnął klamkę i wyszedł na korytarz, nie wypuszczając jeńca.

- Otwórzcie tylne wyjście! - krzyknął, zbliżając się do dyżurki.

Z łokcia kapąca mu krew. Wyszedł tylnymi drzwiami na parking przy komendzie.

Z impetem puścił posterunkowego, tak że ten runął na ziemię. Odczepił kluczyki od łańcuszka. Jeden miał na kółku logo Mazdy. Na parkingu stała tylko jedna - czarna mazda MX-5.

Belsey wskoczył do środka, odpalił i ruszył, rozbijając barierkę.

Na Chandos Way spojrzął we wsteczne lusterko i zobaczył ich twarze. Dłoń, którą trzymał kierownicę, cała była we krwi.

Czteryście pięćdziesiąt minut.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Pędził do Hampstead, zatrzymując się tylko przy wodotrysku na Heath Street, żeby opłukać krew. Za dziesięć, piętnaście minut zostanie rozesłane ostrzeżenie do wszystkich portów, na lotniska i międzynarodowe dworce kolejowe. Granica zaczyna się zamykać. Miał kilka godzin, zanim system zaskoczy. Zanim zdążą przygotować informacje z jego nazwiskiem i zdjęciem, powiadomić wszystkie patrole. Komisariaty jednak dowiedzą się dopiero przy okazji kolejnej odprawy. Liczył na lukę

w systemie i ją znalazł.

Posterunkowy Craig Marshall skinął mu głową.

- Nick.

- Craig.

- Jak leci?

- Powolutku.

Belsey poszedł prosto na drugie piętro, do magazynu, w którym przechowywano dowody rzeczowe. Dyżur miał posterunkowy Drakeley, który wpisał go do rejestru.

- Wszystko w porządku?

- Świetnie, dziękuję.

Belsey wszedł, otworzył sejf. Zabrał dziesięć gramów ketaminy i pistolet Sig-Sauer P220. Wepchnął to do kieszeni marynarki. Forsy nie znalazł. Naboje do siga były w oddzielnej szafce przy sejfie. Wsypał wszystkie do kieszeni i wyszedł.

- Miłego dnia, Nick.

- Na razie.

Zajrzał jeszcze do biura wydziału kryminalnego. Puste.

Więc to tak, pomyślał. Ciche pożegnanie. Podszedł do biurka Rosena i zadzwonił z jego aparatu do Duzguna.

- Tu Jack Steel. Mogę odebrać zamówienie?

- Już czeka. Masz pieniądze?

- Właśnie załatwiam.

Belsey zadzwonił do Emmanuela Gilmana. Po dziesięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

- To twój szczęśliwy dzień - nagrał się Belsey. - Mam coś dla ciebie w zamian za siedem stów gotówką. Taka okazja się nie powtórzy.

Zbiegając po schodach, wpadł na uśmiechniętego i jak zwykle niezgrabnego Trappinga.

- Nick.

- Rob. Muszę lecieć.

- Ustaliłem sprawcę czwartkowej napaści - pochwalił się Trapping.

- Dobra robota.

- Wszystkie papiery dotyczące Halifaksa położyłem u ciebie na biurku. Patrick Dent przedstawił pięć alibi. Dzwonił prokurator...

- Trochę mi się spieszy. Trapping ściągnął brwi.

- Coś się stało?

- Nic, wszystko gra, ale naprawdę muszę lecieć.

- Podpiszesz formularze?

- Jasne.

Belsey wrócił i podpisał świstki. Puścił oko do Trappinga, musnął go po ramieniu. Co chciał powiedzieć? Żegnaj. Nie przywiązuj się do myśli, że już zawsze będziesz policjantem!

Nie oczekuj zbyt wiele. Zawsze bądź w ruchu.

Mazdę porzucił w Camden, gdzie ukradł starego citroena kombi. Pod fotelem pasażera znalazł bejsbolówkę. Naciągnął ją głęboko na czoło i ruszył. Kings Cross, na wschód City Road, potem Commercial Road do doków. Na czerwonym pochylił się i naładował broń. Wdychał zapach smaru i prochu. Schował pistolet do marynarki i dalej lawirował między biurwcami Canary Wharf.

Gilman nie odpowiadał na dzwonek do drzwi. Belsey wślizgnął się do budynku za plecami jakiegoś lokatora. Pojechał na ostatnie piętro. Drzwi Gilmana były otwarte. Wyjął pistolet.

- Emmanuel?

Cisza brzmi inaczej, kiedy trzyma się w dłoni broń. Staje się ostra. Krew sączyła się pod drzwiami salonu aż do przedpokoju.

Gilman leżał na wznak z kałasznikowem na piersi. Tuż obok prawej ręki leżała komórka. Ciało jeszcze nie zesztyniało.

Belsey zdjął mu skarpety i nałożył sobie na dłonie. Starął się nie patrzeć na głowę zarządzającego funduszem. Wziął telefon i odtworzył wiadomość.

- *To twój szczęśliwy dzień* - usłyszał swój głos.

Skasował wiadomość i odłożył aparat.

Wrzucił narkotyki do sedesu i spuścił wodę. Zabrał gotówkę z opakowania maximuscle. Na oko około tysiąca. Już miał wyjść, gdy w progu jeszcze się obejrzał i objął wzrokiem

scenę.

Na komórcie nie włączył się wygaszacz ekranu. Podeszedł i wziął ją do ręki. Została jedna nieskasowana wiadomość. Odtworzył ją.

- Emmanuel, nie jest dobrze - mówił mężczyzna z amerykańskim akcentem ze wschodniego wybrzeża. - Popytałem tu i ówdzie. Ostatnio był w Londynie kilka lat temu. Szefostwo hotelu twierdzi, że Devereux od pół roku nie ruszył się z wyspy.

W nic nie inwestuje, nie ma pojęcia o Hongkońskim Konsorcjum Gier Hazardowych. Przedwczoraj przylecieli jego prawnicy. Każdy, kto próbuje twierdzić co innego, będzie miał z nimi do czynienia. Emmanuel, facet jest przykuty do wózka. Wspiera organizacje zajmujące się ratowaniem środowiska naturalnego, zwłaszcza raf koralowych i oceanów. Nie wiem, z kim gadałeś, ale...

Belsey policzył w windzie pieniądze. Dziewięćset sześćdziesiąt funtów.

Pędził na północ przez Hackney do Green Lanes. W pierwszej sali prywatnego klubiku Duzguna tłoczyli się starcy oglądający telewizję. Właśnie nadawali wiadomości. Na ekranie pojawił się pasek: „Snajper budzi panikę w Londynie”. Dziennikarze pokazywali mapki z czterema iksami oznaczającymi miejsca ataku: Starbucks, St Clements, Cavendish Square, Bishops Avenue.

- Proszę. - Belsey podał dwudziestkę mężczyźnie w fartuchu. - Zastałem Hasana?

Tamten ruchem brody wskazał mu drzwi w głębi. Nic się nie zmieniło. Grubas siedział za stołem. Na blacie leżał paszport. Z niego sterczało prawo jazdy.

- Trochę się spieszę - powiedział Belsey.

Położył na stole siedemset funtów i wziął paszport. Brytyjski, z datą sprzed kilku miesięcy. Dobra robota. Obejrzał prawo jazdy, zdjęcie w paszporcie, przypatrzył się hologramom w świetle lampki. Wszystko grało. W północnych Chinach były całe miasteczka produkujące hologramy na czarny rynek. Kiedyś musi

się tam wybrać. To bodaj najlepsze podróbki, jakie widział w życiu.

- Świetnie się spisałeś. Dzięki.

Już chciał wyjść, kiedy Duzgun go zatrzymał.

- Usiądź.

- Spiesz mi się.

- Mam coś, co powinno cię zainteresować.

- Mianowicie?

- Robotę.

- Robotę?

- Jeśli szukasz pracy, załatwię ci dobrą fuchę.

Gwarantowana płaca minimalna.

- Nie szukam w tym momencie pracy - odmówił Belsey. -

Dziękuję.

- Dobry pracodawca.

- Nie trzeba - podziękował znowu. - Może innym razem.

Zaparkował citroena na tyłach Smith Square, blisko rzeki.

Zostawił bejsbolówkę i pistolet w skrytce, włożył marynarkę z planami wyniesionymi z pracowni Kilgo Vesser i przez Millbank ruszył w stronę budynku Parlamentu. W Westminsterze wprowadzono zaostrzone środki bezpieczeństwa, wszyscy bali się snajpera. Wszędzie kręciła się policja, sprawdzając samochody i popędzając turystów. Grupka manifestantów rozrzucała zdjęcia poparzonych dzieci i palestyńskie flagi. Nad tym wszystkim górował efektownie podświetlony, przytłaczający Pałac Westminsterski. Turyści nie mogli oderwać od niego wzroku. Belsey pokazał odznakę funkcjonariuszowi przy St Stephen's Gate i wszedł do środka. Przez chwilę siedział w zatechłym przedsionku, podziwiając swój nowiutki paszport. Wyginał okładki, przydeptał podeszwą, żeby trochę go postarzyć.

Potem wrócił do drzwi i zobaczył za bramą Kovara.

- Max! - zawołał.

Zależało mu na jak najefektowniejszym wejściu. Kovar spojrzał w jego stronę. Belsey wynurzył się z budynku Parlamentu,

dziękując policjantowi. Chwytał obiema rękami dłoń Kovara.

- Rozmowy z ministrem skarbu w niedzielę - narzekał. - Jakbym nie miał ciekawszych zajęć. Przepraszam, że kazałem ci czekać. Przespacerujemy się?

- Mam nadzieję, że nie musiałeś wyjść w połowie?

- Nie, wszystko już przyklepane. Teraz tylko piją szampana. Aleksiej ich oczarował. To niebezpieczny człowiek.

Belsey prowadził Kovara w stronę Millbank.

- Zdobyłeś informacje o projekcie „Budyka”?

- Jasne - zapewnił. - Choć zaczynam się wahać. Nie wiem, czy to względem ciebie uczciwe, Max. To wręcz nieprzyzwoite, jakie sumy teraz latają w powietrzu. Kiedy ludzie wiedzą, że interes jest pewny, kompletnie im odbija. Wreszcie przekabaciliśmy ministra skarbu i dokładamy jeszcze swoich dziesięć baniek. Pan D. mówi, że ten projekt to przyszłość. A co ja mam powiedzieć? Przecież on nigdy nie stracił. Nie będę mu tłumaczył, że każdemu kiedyś może powinąć się noga. Zwłaszcza że kasyno w Hampstead Heath...

- Kasyno w Hampstead Heath?

Limuzyna czekała w umówionym miejscu, przy wejściu do Victoria Tower Gardens. Dali nawet tego samego szofera.

- Dobry wieczór panu.

- Moja limuzyna - powiedział Belsey. - Wsiądziemy? Będzie wygodniej.

Otworzył przed Kovarem drzwi. Wsiadli. W środku były cztery rzędy foteli tworzących dwa boksy, każdy z błyszczącym czarnym stolikiem, kompletem kieliszków i minibarkiem. Wsunęli się do boksu w głębi.

- Nienawidzę limuzyn - narzekał Belsey - ale przydają się, kiedy człowiek chce popracować. Aleksiej nazywa je przenośnym biurem. - Wyjął z marynarki pomięte szkice i rozłożył je na stole: plany nowego parku i rysunek samego kompleksu.

Arkusze zwiślały z blatu. - Oto i on. Projekt „Budyka”. - Dał Kovarowi czas, by nasycił wzrok. - Burmistrz o tym marzy, City też. Są gotowi przyznać nam ulgi podatkowe takie, że aż mi

wstyd. Ludzie zaczynają już mówić o Hackney Marshes, Clapham Common. A ja myślę: czy to mi się nie śni? - Nalał im obu koniak.

Kovar nie odrywał wzroku od planów. Uśmiechał się coraz szerzej.

- Nawet jeśli to tylko początek, to wyjątkowo dobry - ciągnął Belsey.

Wyrzał przez okno. Zza ogrodzenia przyglądali im się dwaj mężczyźni w kombinezonach upakowanych farbą.

- Zróbmy kółko - zwrócił się Belsey do szofera.

Włączyli się do ruchu. Belsey miał wrażenie, że jeden z mężczyzn przytknął coś do ust. Spokojnie, myślał. Kiedy jesteś na plusie, kończ grę.

- Chociażby w Pensylwanii. Widziałeś, co tam zrobiliśmy?

Ja sam już po miesiącu odzyskałem pół miliona z zainwestowanych pieniędzy. Liczyliśmy na sześćdziesiąt procent przebicia.

Zanosi się na osiemdziesiąt. To maszyna do robienia kasy.

Mówię ci, aż wstyd.

Zbliżyli się do pałacu Buckingham. Zatrzymali się, bo przez ulicę przechodziła horda turystów pstrykających fleszami. Szofer zatępił.

- Powiedz - zwrócił się Belsey do Kovara - po co ci ludzie przychodzą tu i robią zdjęcia?

- Nigdy tego nie rozumiałem - mruknął Kovar.

- Bo nie mają nic lepszego do roboty. Skończyli zakupy, przedstawienia zaczynają się dopiero o ósmej. Czemu ludzie w Paryżu chodzą oglądać Mona Lisę? Bo nie wiedzą, co innego robić. Pan D. o tym wie. Londyn stał się miastem turystycznym.

- Fakt.

- Do 2030 roku na świecie powstanie piętnaście odpowiedników Las Vegas. Jak Bóg da, Londyn będzie jednym z nich.

- Na to liczę.

Belsey popatrzył w lusterko wsteczne.

- Ten ford mondeo dawno się do nas przykleił? - spytał szofera.

- Nie zauważyłem, proszę pana.

W zatłoczonym Londynie trudno było wypatrzeć ogon.

Mondeo skręcało w ostatniej chwili. Za kierownicą facet, pasażer na tylnym siedzeniu.

- Skręć tutaj w lewo - polecił Belsey. - Bez kierunkowskazu.

- Słucham?

- Skręć tu. Bez kierunkowskazu.

- Ta ulica jest zamknięta.

- Dlatego chcę, żebyś w nią wjechał.

Okrążyli pomnik królowej Wiktorii, zajeżdżając drogę wściekłym kierowcom, i skręcili w Constitution Hill.

- Teraz do Hyde Park Corner. Gaz do dechy.

- Coś nie tak? - Kovar oderwał się od planów.

- Nie, wszystko w porządku. Co o tym sądzisz?

- Imponujące - powiedział Kovar.

Przy Hyde Park Corner Belsey kazał szoferowi zrobić dwa kółka na rondzie. Wyglądało na to, że zgubili mondeo.

- Jestem naprawdę dobrej myśli - podjął Belsey, rozwalając się na siedzeniu. - A to mi się rzadko zdarza. Muszę cię poznać z chłopakami: specami od Internetu, parlamentarzystami. Mówiłem Devereux, co czuję. My zawsze kierujemy się intuicją.

- Dam tyle samo, ile było gotowe wyłożyć Konsorcjum.

- To trzydzieści procent inwestycji.

- Żaden problem.

Byli na Park Lane obok pomnika zwierząt zabitych podczas wojny, kiedy za nimi wyrosła srebrna skoda octavia, a w niej dwaj mężczyźni, którzy skrupulatnie udawali, że nie patrzą na limuzynę, a równocześnie na nic innego nie patrzyli.

- Zawróć na Parliament Square - polecił Belsey szoferowi.

- Jak wygląda dalszy plan gry?

- Cóż, za trzy godziny wylatujemy ze Stansted. Pan D. liczy, że za kilka dni wpadniesz do Petersburga, żeby dogadać

szczegóły. Wiem jednak, że nie chciałby wracać do domu z pustymi rękami. Obiecałem, że odbiorę twój prezent na Stansted.

- Na lotnisku? - Kovar miał niepewną minę.

- Coś nie tak?

Koniec cackania się, myślał Belsey. Wszystkie kropeczki połączone, wszystkie kratki odfajkowane. Teraz pora na pieniądze. Widział, że Kovar się waha. Widział, że skoda razem z nimi przejechała na czerwonym. To nieoznakowany wóz policyjny, bez dwóch zdań. Skody octavie wykorzystywano do dyskretnych zleceń - dobry samochód, a zarazem neutralny, nierzucający się w oczy. Scotland Yard miał ich sporo. Belsey zapamiętał numer rejestracyjny.

- Czy lotnisko to na pewno najlepsze miejsce? - niepokoił się Kovar.

- To lotnisko, owszem. Nic ci nie grozi, już my tego dopilnujemy. Dziś za piętnaście jedenasta przyjedź z prezentem na Stansted, a ja zajmę się resztą. Dwudziesta druga czterdzieści pięć, co do minuty. Przed wejściem do głównego terminalu.

Będę na ciebie czekał.

- To wykonalne.

- Ja myślę. Lepiej bądź.

- Zgoda. Przyjadę.

- Zatrzymaj się - polecił Belsey szoferowi.

Kovar podał mu rękę i wysiadł. Belsey patrzył, jak przechodzi przez ulicę, wracając w stronę budynku parlamentu.

- Poczekaj chwilę - zwrócił się do szofera.

Przed opactwem westminsterskim stało dwóch mężczyzn.

Jeden mówił coś do krótkofalówki. Obserwowali Kovara, który przeszedł przez jezdnię i złapał taksówkę. Wtedy wskoczyli do czarnego hatchbacka, ostro zawrócili i ruszyli jego śladem.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Z aparatu w limuzynie Belsey zadzwonił do biura koordynatora, który dbał, żeby poszczególne jednostki nie wchodziły sobie w paradę. Podał kod kolegi, Dereka Rosena, i poprosił, żeby sprawdzili numery skody octavii. Przeczucie go nie

myliło. Okazało się, że to radiowóz.

- Jeden z naszych?

- Jeden z naszych.

- Do której operacji został skierowany?

- W związku ze snajperem. Northwood twierdzi, że wie, jak go złapać, i kazał śledzić Kovara.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Zebrali się w komendzie Vauxhall i na chybcika opracowują plan.

Belsey rąbnął pięścią w skórzany fotel.

- Skąd Northwood dowiedział się o Maksie Kovarze?

- Komórka do spraw przestępstw finansowych puściła farbę.

- Philip Ridpath?

- Nie wiem który. Wczoraj ktoś zaczął mówić o Kovarze.

Belsey zaklął pod nosem. Komenda Vauxhall, czyli Citadel Place. Siedziba SOCA, agencji do walki z zorganizowaną przestępczością. Dojechałby tam w pięć minut, ale po co? Żeby go aresztowali?

- Jakich jednostek zażądał Northwood? - dopytywał się dalej.

- Wsparcia operacyjnego, komandosów, C019, ze wszystkich komisariatów. Traktuje to jak ostatnią szansę.

Wściekły Belsey cisnął słuchawkę na widelki. Wzywali wszystkie jednostki z południowo-wschodniego Londynu.

Wszystko, co ma broń i samochody. Znowu zadzwonił, tym razem do biura Ridpatha. Trafił na Midgleya.

- Właśnie wychodzi - ziewnął policjant.

- Powiedz mu, że to Nick Belsey. Muszę mu coś przekazać.

To dotyczy dzisiejszego wieczoru.

- Serio, on naprawdę wychodzi.

- Powiedz, żeby zdjął ogon z Maksa Kovara. To i tak nic nie da.

- Dobra, przekażę. Dziękuję.

- Dokąd idzie?

- A jeśli to jego prywatna sprawa? - Jedzie do SOCA.
- Nawet jeśli, to co?
- Powiedz, żeby poczekał.
- Ma czekać?

Belsey kazał szoferowi czekać przed Whitehall - niech sobie obserwują limuzynę do woli - i przeszedł cztery przecznice dalej, do nowej siedziby Scotland Yardu. Złapał Ridpatha, kiedy ten wychodził z budynku, tułąc do siebie dokumenty.

- I jak z kamerami monitoringu? Znaleźliście coś? - spytał.
- Przepraszam, że zwiąłem. Byłem umówiony.

Ridpath minął go jak powietrze.

- Muszę z tobą porozmawiać. Chodzi o to, co zamierzacie zrobić - tłumaczył Belsey.

- Jesteś poszukiwany.

Czyli stało się, pomyślał Belsey.

- Ktoś próbuje mnie zrobić. To jedna wielka ściema. Manipulują nami dwoma.

- Nie znam twojej sytuacji, ale wierzę, że mogę dopaść snajpera. Tylko to się teraz liczy.

- To wszystko oszustwo.

- Miałeś rację. Korporacja Londyńska chce sprzedać Hampstead Heath. Hongkońskie Konsorcjum Gier Hazardowych miało zawrzeć umowę z Devereux, ale teraz do gry włączył się Max Kovar. Chce wpłacić wpisowe i wyszliźgać Konsorcjum.

- Nikt nie sprzedaje parku.

Stanęli przy taksówce. Ridpath zmierzył Belseya lodowatym wzrokiem.

- To dlaczego Kovar przez cały dzień wydzwania, zbierając pieniądze na jakiś prezent?

Belsey czuł zapach pieniędzy. Serce mu się ścisnęło z tęsknoty do nich.

- Nie wiem.

- To dla Devereux - wyjaśnił Ridpath. - Kovar sądzi, że dostarcza coś Devereux.

- Kovar jest żałosny - powiedział Belsey. - Tylko mu się

wydaje, że robi interesy z Aleksiejem Devereux. Devereux siedzi na jakiejś wyspie, ratując rafy koralowe. Nasz Devereux, ten z Bishops Avenue, podszywał się pod prawdziwego. To zwykły oszust, który zrobił z nas marionetki. Wszystko od początku do końca było przedstawieniem teatralnym: petycje, plotki o Miltonie Granbym, francuskie firmy walczące o kontrakt. Już miał wyjść z trzydziestoma ośmioma milionami w kieszeni, zostawiając niedoszłych współników, żeby żarli się między sobą, gdy ktoś przyłożył mu brzytwę do szyi. To miał być genialny przekręt szykowany przez trzy tygodnie, a zakończony w ciągu godziny.

Ridpath wszedł do taksówki. Belsey obiegnął ją i wskoczył od drugiej strony.

- Niech pan nie rusza - zwrócił się Ridpath do kierowcy. - On z nami nie jedzie.

- Właśnie, że tak.

Taksówkarz ruszył. Pojechali Victoria Street do Vauxhall Bridge Road.

- W mieście wciąż grasuje morderca - oświadczył Ridpath ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

Człowieczek, który czuje, że nadeszła jego chwila. Takiego nic nie powstrzyma, pomyślał Belsey.

- Kovar nie ma nic wspólnego ze snajperem - próbował jeszcze.

- To z kim się spotyka? Komu wręczy swój prezent?

- Nie wiem.

- Snajper będzie podążał jego tropem. Kovar doprowadzi nas do niego.

- Nie.

- To nasza ostatnia szansa.

- Liczycie, że w ciągu następnych kilku godzin go załatwicie? Bez względu na to, gdzie się pojawi? Toż to szaleństwo.

Wszystko skończy się jatką.

- Teraz albo nigdy.

- Przecież to wszystko w ogóle nie istnieje - powiedział w

końcu cicho Belsey.

- Jessica Holden istniała naprawdę. - Ridpath unikał wzroku Belsey. - Znajdę jej mordercę.

Stali na światłach przed mostem Vauxhall. Otaczał ich szary strumień samochodów. Ridpath wyrzwał przez szybę. Belsey próbował zobaczyć jego twarz. Światła zmieniły się na bursztynowe i wyłowiły ból skrywany w oczach inspektora. Dziwne, pomyślał Belsey. To wygląda jak żal.

- Niech się pan zatrzyma - zwrócił się do taksówkarza.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Przemykając między samochodami, dopadł chodnika, popędził Horseferry Road, po drodze zbierając puste kartony sprzed kiosków. Na skrzyżowaniu, gdzie trwał remont, wisiała odblaskowa kamizelka. Ją też zgarnął. Ludzie coraz dziwniej na niego patrzyli, ale nie przejmował się i biegł do nowej siedziby Scotland Yardu.

Naprzeciwko głównego wejścia stał samochód techniczny.

W środku na pewno będzie mnóstwo łatwopalnych produktów.

Belsey znalazł w rynsztoku dekiel i rozbił nim tylną szybę.

Przecucie go nie myliło. W furgonetce były różne puszki, plastikowe butelki, narzędzia i szmaty. Wyjął zapalniczkę, przypalił kartonowe pudła i wepchnął do samochodu. Wkrótce szmaty zajęły się ogniem. Najpierw buchnęły czarne kłęby dymu, a potem rozległ się ryk ognia. Trzydzieści sekund później furgonetka stała w płomieniach. Z budynku Scotland Yardu wypadli strażnicy i natychmiast się cofnęli, by wszczać alarm. Belsey włożył kamizelkę.

- Wszyscy na zewnątrz! - krzyknął, wchodząc do recepcji. Z pomieszczeń wybiegali policjanci i cywile.

- Ewakuować budynek - powiedział, wyciągając odznakę.

Popędził schodami na czwarte piętro. Minał piractwo filmowe, przestępstwa informatyczne, aż wreszcie dotarł do przestępstw finansowych. Midgley właśnie wkładał płaszcz. Belsey ruszył prosto do gabinetu Ridpatha. Nacisnął kłamkę.

Zamknięte.

- Ma pan klucze od gabinetu inspektora Ridpatha? - spytał.

- Tak. Ma pan zgodę na wejście?

- Tak.

- Wątpię. A gdyby tak w środku znajdowały się pańskie zdjęcia? Z cudzą kartą kredytową w dłoni?

Belsey podszedł do biurka oficera, wyciągnął szuflady i wysypał zawartość na podłogę.

- Co pan wyprawia? - Midgley sięgnął po telefon.

Belsey dzielił go w twarz, tak że asystent runął nieprzytomny na ziemię. Zabrał mu klucze, otworzył gabinet, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Na wierzchu białej koperty z pieczętką Rady Dzielniczy Camden leżały zdjęcia z kamer przemysłowych. Na nich zaś widać było Belseya z kartami Devereux.

Belsey wsunął je do kieszeni i szukał dalej. W górnej szufladzie leżał plik zniszczonych od częstego przeglądania fotokopii z adresem: „Wyłącznie do wiadomości brytyjskiego wydziału do spraw przestępstw różnych. Pierce Buckingham”. Były to szczegółowe raporty z poczynąń Buckinghama z ostatnich siedmiu lat, łącznie z wydrukiem z internetowego wydania „Moscow Business Gazette”: „Na szczęście Devereux ma biura w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. Zapewne w każdym z tych miejsc będzie przyjęty z otwartymi ramionami...”.

Na wierzchu leżała kopia e-maila od Chrisa Starra („Dziękuję za troskę, niestety, ze względów bezpieczeństwa nie mogę udzielić informacji na temat sprzętu, z którego korzystają pracownicy PO Ochrona...”), pod nią zaś spięte spinaczem wydruki ze stron internetowych poświęconych szpiegostwu, strony z katalogów oferujących ukryte kamery, miniaturowe kamery, kamery ukryte w biżuterii i puszkach z napojami.

Belsey zadzwonił z telefonu Ridpatha do PO Ochrona. Starr sprawiał wrażenie spiętego.

- Nick? Gdzie jesteś?

- A gdzie powinienem być? W lochach komendy rejonowej

West End?

- Co jest grane?
- Kiedy dokładnie zniknął Graham Dougsdale?
- W niedzielę, koło piętnastej.
- Metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany, łysiejący.
- Zgadza się.
- Leży w kostnicy St Paneras pod nazwiskiem Aleksieja

Devereux. Przyjmij wyrazy współczucia, Chris. Może następnym razem pójdzie lepiej.

Belsey odłożył słuchawkę. W budynku wciąż wył alarm przeciwpożarowy. Zerknął na swoją podróbkę roleksa. Dwie godziny, żeby dojechać na lotnisko. Tyle starań, a wszystko diabli wezmą przez cholerny ogon śledzący Kovara. Potem jeszcze raz przyjrzał się tarczy. „Szpanerski. W ogóle wiesz, co on potrafi?” Zobaczył sylwetkę człowieka poruszającego się po mieszkaniu Devereux, szperającego w gabinecie; potem tę samą sylwetkę pochylającą się nad nim u Ridpatha, dotykającą koca.

Zważył mnie tam, uświadomił sobie. Chciał odzyskać zegarek.

Wpatrywał się w tarczę, we wskazówki, gwiazdki i przyciski. Zdjął go. Potem zaczął rozkładać.

Obiektyw ukrywał się w literze O w nazwie Rolex. Jednym przyciskiem robiło się zdjęcia, innym uruchamiało nagrywanie.

Trzeci odsłaniał ukryte wejście USB.

To nie był zegarek Devereux. Należał do pracownika PO Ochrona.

Belsey wypadł z gabinetu, przeskoczył nad nieprzytomnym Midgleyem i popędził schodami do wyjścia.

Szukał kafejki internetowej z komputerem stacjonarnym.

Znalazł w punkcie napraw laptopów, który reklamował się też jako agencja pocztowa. Na ścianie wisiało sześć monitorów.

Właściciel wyciągnął pudło z przewodami i przelotkami. Już za drugim podejściem udało im się podłączyć zegarek do twardego dysku. Większość klientów kafejki korzystała z telefonii internetowej, grupka nastolatków ściągała dzwonki na komórkę.

Zegarek wzbudził sensację.

- Ile coś takiego kosztuje? - dopytywali się, gromadząc wokół Belseya.

- Gdzie pan to kupił?

Przestali się uśmiechać, kiedy na monitorze pojawiły się obrazy.

Widać było, że zdjęcia robiono w pośpiechu z różnych miejsc i dużej odległości. Przedstawały mężczyznę w średnim wieku z osiemnastolatką. Ich sylwetki były częściowo zasłonięte przez samochody na parkingu albo nieostre, bo sfotografowane przez szybę restauracji. Na wszystkich jednak obejmowali się i całowali.

Ostatnie pochodziły z ubiegłej niedzieli, z godziny czternastej. Para została sfotografowana, jak wchodziła do domu przy Bishops Avenue i godzinę później, kiedy go opuszczała. Później Dougsdale zakradł się do środka. Zrobił zdjęcia salonu, sypialni i gabinetu. Potem nie było już nic.

Belsey wrócił do pocałunku. Parę sfotografowano między porsche cayenne a witryną włoskiej restauracji Villa Bianca.

Ridpath obejmował dziewczynę. Wyciągała ku niemu szyję.

Miała zamknięte oczy. Oboje całowali się z zamkniętymi oczami, jakby wiedzieli, że to ostatni raz.

Wydrukował odbitkę. Sprawdził szczegóły lotu, odprawił się online, wydrukował kartę pokładową, potem rozciął podszewkę marynarki i ukrył zegarek.

Rozdział sześćdziesiąty

Citadel Place zostało tak ochrzczone nie bez powodu. Rzeczywiście okolica przypominała cytadelę. Oprócz komendy policji stały tam ponure budynki biurowe z lat osiemdziesiątych XX wieku otoczone czarnymi ogrodzeniami i masywnymi kołowrotami. Belsey zbliżał się ostrożnie, by nie przykuć uwagi wyjeżdżających i wracających radiowozów, które przemykały między niszczącymi magazynami a rdzewiejącym drutem kolczastym. Tego wieczoru zastawiły całą ulicę - oznakowane i nie

- pilnie strzeżone przez czterech ochroniarzy i piętnaście kamer. Belsey rozpoznał srebrne bmw Northwooda po szoferze, który siedział w środku.

Pewnie układali teraz plan akcji, pochylali się nad dużym stołem w centrum koordynacyjnym. W ciągu pół godziny powinni wysłać ludzi do Stansted. Wiedział, że nie dostanie się do środka. Nie miał szans. Gdzie jak gdzie, ale tutaj będą mieli jego zdjęcie i informację, że jegomościa należy zatrzymać za wszelką cenę.

Poszedł do pubu.

Lokal o wdzięcznej nazwie Róża stał na końcu ulicy, blisko rzeki. Za kontuarem krzątał się barman, ustawiając szklanki i kieliszki. Jedyne klient - dziesięciolatek w koszulce Chelsea - wrzucał cudze pieniądze do jednorękiego bandyty. Po moście przetoczył się pociąg. Pub zadygotał.

- ...wieczór - powiedział Belsey.

Obok toalety znalazł telefon. Sprawdził, czy jest sygnał.

Boksy w głębi pubu stały przy oknach z widokiem na komendę.

Można było z nich także obserwować każdego, kto wchodził do lokalu, samemu pozostając niezauważonym. Drzwi w rogu prowadziły do ogródka piwnego, gdzie stały dwa kontenery na śmieci, parasol i puste beczki po piwie. Belsey wyszedł tam, wspiął się na jedną z nich. Za murem zobaczył wiadukt kolejowy i komórki prowadzące do osiedla Lambeth. Idealne w razie, gdyby trzeba było nagle się zmyć.

Kupił dużego guinnessa. Wypił łyk, po czym podszedł do aparatu i zadzwonił.

- Agencja do spraw przestępczości zorganizowanej - odezwał się mężczyzna.

- Jeśli się nie mylę, trwa odprawa - powiedział Belsey - ale muszę pilnie porozmawiać z jednym z jej uczestników. Chodzi o inspektora Ridpatha z komórki do spraw przestępstw finansowych. Może mnie pan połączyć z centrum koordynacyjnym?

- A kto dzwoni?

- Przyjaciel Aleksieja Devereux.

Po chwili w słuchawce odezwał się ten sam głos:

- Nie odbiera.

Belsey zaklął pod nosem. Przemyślał to jeszcze raz, próbując zapanować nad frustracją.

- Proszę przekazać inspektorowi Ridpathowi, że dzwoni jego tygrys śnieżny.

- Co takiego?

- Niech pan powtórzy. Jego śnieżny tygrysek. Zrozumie.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Belsey sądził, że tym razem facet ulotnił się na dobre, ale po kilku sekundach rozległo się ciche stuknięcie - znak, że ktoś podnosił słuchawkę.

- Tak?

Z głosu Ridpatha niczego nie dawało się wyczytać.

- Wyjdź przed budynek - polecił Belsey.

Rozłączył się. Wyjął zdjęcie pocałunku i podziwiał ujęcie.

Świetna robota. Dougsdale musiał siedzieć w kafejce po drugiej stronie ulicy. Bawił się zegarkiem. Barman zniknął na zapleczu.

Belsey przywołał chłopaczka.

- Chcesz zarobić parę groszy? - Pokazał mu dwudziestofuntówkę. - Z biura naprzeciwko wyjdzie mężczyzna. Daj mu to. - Podał dzieciakowi wydruk. - Powiedz, że jego przyjaciel czeka tutaj. - Wyciągnął z kieszeni banknot dziesięciofuntowy.

- Połowę dostajesz z góry. Resztę, kiedy mu to dasz.

Chłopak wziął banknot. Przyjrzał się mu, a potem Belseyowi.

- Taka okazja się nie powtórzy. Zrobisz to czy nie?

Mały wziął zdjęcie, dziesiątkę i wymaszerował z pubu.

Belsey obserwował przez okno. Ridpath wyszedł z kwatery SOCA. Stał samotnie, rozglądając się po ulicy, patrząc w stronę rzeki. W końcu zauważył chłopaka z arkuuszem. Dzieciak dał mu zdjęcie i pokazał na pub. Ridpath popatrzył na lokal, potem na fotografię.

Belsey odsunął się od okna. Młody hazardzista wrócił. Dał

mu resztę pieniędzy.

- Idź i wydaj gdziekolwiek, byle nie tu.

Chłopak szybko wybiegł. Chwilę potem do środka wszedł Ridpath. Rozejrzał się, zauważył Belseya i ruszył w jego stronę.

Przez moment tylko mierzyli się wzrokiem.

- Szczwany z ciebie lis - odezwał się Belsey z uznaniem.

- Czego chcesz?

- Zatrzymaj ich.

Widział, jak inspektor analizuje sytuację. Możliwości wyboru kurczyły się z minuty na minutę. A więc to on, myślał tymczasem. Twórca fikcji, w której zamieszkałem. Człowiek, który był gotów mnie zniszczyć. Mimo to musiał niechętnie się przyznać, że istnieje między nimi więź, jakby połączyła ich wspólna obsesja.

- Nie mogę - powiedział wreszcie Ridpath.

- Ale Northwood może. Słucha każdego twojego słowa.

Powiedz, że chcesz wstrzymać akcję. Że coś nie gra.

- Chcę sprawiedliwości.

- Ty? Przecież sam ją zabiłeś.

Ridpath rzucił się na Belseya. Nie potrafił się bić. Przysunął tylko Belseyowi pięść do twarzy, a drugą ręką chwycił go za kołnierzyk. Belsey nie zareagował.

- Nie zabiłem jej - wydusił po chwili. - Ty wiesz o tym najlepiej. Znasz zabójcę.

- Odwołaj ogony Kovara - powiedział, odpychając go. - Pozwól mu dotrzeć na miejsce, a potem możesz zrobić, co chcesz. Jeśli nie, pozostanie mi tylko drugie rozwiązanie, a ono nie będzie przyjemne.

Ridpath go puścił.

- Kiedy się spotykacie?

- Za godzinę.

- Nie zrobisz tego.

- Zrobię.

- Daj mi aparat.

- Odwołaj. Powiedz, że przekładacie akcję na jutro.

- Ośmieszylbym się. To mnie pograży.

- Zupełnie jak zdjęcia, które przyniosłem.

Ridpath wahał się przez kilka sekund, potem się wycofał.

Belsey odprowadził go wzrokiem. Przysunął się do okna i patrzył, jak inspektor przechodzi przez ulicę i staje w drzwiach komendy. Tkwił tam przez chwilę ze spuszczoną głową, aż wreszcie pokazał ochroniarzowi przepustkę i zniknął w środku.

Pięćdziesiąt osiem minut.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Belsey podszedł do bmw Northwooda. Kierowca siedział, czytając podręcznik o technikach pościgu. Belsey zastukał w okno. Szofer podskoczył i opuścił szybę. - Tak?

- Czy to samochód nadkomisarza Northwooda? - Tak.

- Prosi o swoje buty. Z bagażnika. - O co?

- Pantofle. Są w bagażniku.

Szofer wysiadł, marszcząc brwi, i poszedł na tył samochodu.

Belsey wskoczył do środka, włączył silnik i odjechał.

Wszystko szło świetnie.

Pędząc z prędkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę, w ciągu czterech minut wyjechał z centrum. Po siedmiu minutach minął Bethnal Green i wjechał na A12. Na siedzeniu pasażera znalazł koguta. Przykleił go do dachu i włączył syreny.

Zostawił za sobą niską podmiejską zabudowę. Za oknami śmignęły lasy Romford. Zabite deskami domy, stojące przy trasie, przez moment wyglądały pięknie w świetle sodowych latarni, ale zaraz i one zniknęły.

Namacał i podniósł radio policyjne. Zawiadomił, że widział bmw jadące trasą M20 do Folkestone w przeciwnym kierunku, niż się poruszał.

- Odbiór - potwierdziła centrala.

Zjechał na M25 i rozpedził się do stu sześćdziesięciu. Przypomniały mu się jego dawne nocne rajdy. Gallows Corner, Pilgrims Hatch. Syreny rozcinały mrok. Świat rozstępował się, robiąc mu miejsce. Skręcił na zjazd z numerem 27, który łączył się

z autostradą M11 w kierunku północnym. Teraz już trzeba tylko czekać na drogowskazy do lotniska. Cudownie. Absolutny spokój. I wtedy pojawiła się policja.

Pierwszy był land-rover drogówki. Sądzieli, że prowadzić pościg, i chcieli mu pomóc. Widział we wstecznym lusterku, jak próbują się połączyć, nawiązać kontakt.

Belsey wziął głośnik.

- Nie trzeba. Zostawcie. To akcja stołecznej policji. Nie wtrącajcie się.

Wiedział, że jest szybszy od land-rovera. Przyspieszył i uciekł mu. Czysta rozkosz. Trwała wszystkiego dwadzieścia sekund. Kiedy spojrzał w lusterko, zobaczył dwa czerwone radiowozy z tarczami policji Essex na drzwiach. Dwa mitsubishi lancer. Zaklął. Tego mu brakowało. Para chłoptasiów z Essex spragniona wyścigów. Pierwszy wóz zrównał się z nim. Gapili się na niego. Dwójka posterunkowych, smarkacze z włosami postawionymi na żel. Popatrzyli po sobie i coś powiedzieli.

Potem ten w fotelu pasażera przytknął do ust mikrofon. Belsey wiedział, że sprawdzają jego numery. Za chwilę zarządzą blokadę.

Przyspieszył do dwustu dziesięciu.

Patrol próbował wziąć go w dwa ognie. Belsey poczuł uderzenie w bok. Ale bmw Northwooda było cięższe i masywniejsze. Stuknął w mitsubishi. Tamci na chwilę stracili panowanie nad kierownicą. To wystarczyło, żeby im się wymknął.

Zbliżali się do granicy hrabstwa Cambridge. Prędkościomierz wskazywał dwieście siedemnaście kilometrów na godzinę. Rzeczywistość nie wytrzymuje takiej prędkości. Belsey czuł spokój. Bezradny patrol został kilkaset metrów za nim. Za chwilę pola Essex staną się polami Cambridge. Policja hrabstwa Cambridge na pewno zorganizuje blokadę. Do tego jeszcze dysponowała własnymi śmigłowcami. Belsey wiedział, że musi coś wymyślić, zanim któryś z nich wystartuje.

Przemknął obok zjazdu numer 7. Wiedział, że blokadę ustawią najwcześniej za dziewiątym zjazdem. Przed sobą widział

samoloty podchodzące do lądowania, światła pasów startowych, w których odbijały się podbrzusza chmur. Wtedy do patrolu Essex przyłączył się motocykl drogówki. Cała trójka doganiała go, rosła w lusterku wstecznym. Belsey zapiął pas i zaczął zjeżdżać na pobocze. Samochód za nim puknął go w zderzak. Nad wszystkimi sześcioma pasami migotał napis: Stop. Blokada drogowa.

Belsey przełożył paszport z kieszeni na piersi do spodni.

Zwolnił do stu czterdziestu, stu trzydziestu. Nie wiedzieli, co kombinuje. Motocyklista go wyprzedził. Mitsubishi za nim znowu puknęło go w zderzak. Belsey widział coraz bliższą linię niebieskich świateł kogutów. Jeszcze dwieście metrów. Wtem ostro skręcił kierownicą w lewo. Samochód prześlizgnął się po poboczu i nagle zawisł w powietrzu. Sekundę później runął na ziemię z ogłuszającym trzaskiem. Belsey zawisł głową w dół.

Już myślał, że wszystko spieprzył. Przechylił się, ponaglił w duchu. Wciąż był przytomny. Samochód ciężko z powrotem przetoczył się na koła. Nad nim wyły syreny, powoli cichnąc w oddali. Przeżył.

Namacał klamkę, wyskoczył z auta i pędem rzucił się przez rżysko. Biegnąc, sprawdzał ręce i nogi - całe. Wzroku też nie stracił. Przez płot pod napięciem przeskoczył na pole golfowe.

Przebiegł przez nie, wdrapał się na mur przy budynku klubowym, przedarł się przez sprzęt rolniczy i stodołę. Nad głową słyszał śmigłowiec. Nie zauważyli jego ucieczki, więc raczej go nie namierzą, nawet z kamerą termowizyjną. Idź spacerowym krokiem, upominał się w duchu. Przecież nie może być jedynym spacerowiczem w okolicy. Choć kiedy patrzył na kompletnie wyludnione pola, nie miał już takiej pewności.

Szedł drogą bez chodnika, szukając drogowskazów na Bishops Stortford. Obok niego przetoczyła się flotylla holenderskich ciężarówek. A potem zostały tylko pola kołyszące się w poświacie księżyca. Wydostałem się z Londynu, pomyślał.

Od czasu do czasu mignął mu gdzieś stary samotny dom.

Potem zabudowa zaczęła gęstnieć, pojawiły się nowe budynki, osiedla. Bishops Stortford zwierzało szeregi. Belsey mijał

puby i kafejki, grupkę młodzieży przy pomniku ofiar wojny, jakiegoś mężczyznę z psem. Nie było już słycać syren. Nawet śmigłowiec pozostał gdzieś daleko. Idąc przez miasteczko, czuł się, jakby wkroczył do innego świata, pachnącego niedzielną pieczenia, białym cydrem, czystym asfaltem. Wtedy uwierzył, że może mu się udać.

Lotnisko jaśniało na horyzoncie niczym rozżarzone pudełko.

Belsey stracił mnóstwo cennego czasu. Z niepokojem myślał o godzinie, o strażnikach przy bramkach. Kto zjawiał się na lotnisku Stansted w środku nocy z nowiuteńkim paszportem i bez bagażu? Wiedział, na co jest wyczulona obsługa. Dochodził do granicy miejscowości, był niemal na ostatniej prostej. Mrok nocy rozdarła żalobna syrena pociągu zwalniającego przed stacją Bishops Stortford. Stansted Express. Belsey rzucił się przez czyjś ogród, przedarł na pole i pędził w dół po zboczu - byle do torów.

Pociąg stukotał, sypał iskrami, oświetlał gałęzie. Belsey zsunął się na nasyp kolejowy. Coś zaplątało się wokół nogawki i rozdarło tkaninę. Szedł dalej. Przedzierał się przez krzaki jeżyn i śmieci, aż poczuł pod nogami żwir torowisk i drzenie szyn. Pociąg się zbliżał. Wyciągnął rękę i próbował schwycić się poręczy na końcu wagonu. Metal wyslizgnął mu się z rąk.

Będzie musiał skoczyć. Przygotował się. Przetoczyły się jeszcze trzy wagony. Kiedy zobaczył ostatni, złapał się bariarki na końcu i odbił się.

Nagle znalazł się w powietrzu. Z trudem powstrzymywał wycie bólu, gdy ciężar ciała zawisł na palcach. W panice machał nogami, aż wreszcie namacał bufory i na nich się oparł.

Wjechali do tunelu. Belsey przywarł do metalu. Łomot był ogłuszający. Wagon bezlitośnie zarzucał, objając mu twarz i kolana, ale ból był niczym w porównaniu z panicznym lękiem, że spadnie. Uplęnęła jeszcze minuta i pociąg znów zaczął zwalniać. O, cudzie, przed nim wyrosły betonowe ściany stacji końcowej. Lotnisko. Na dworcu w świetle neonów czekały rodziny.

Belsey gładko zeskoczył na peron i, otrzepując garnitur,

podszedł do schodów ruchomych. Rozejrzał się za ochroniarzami.

Witamy na lotnisku Londyn Stansted. Niski labirynt tanich sklepów odzieżowych i barów prowadził do bramek kontroli paszportowej. Część pasażerów spała na ławkach. Ochrona lotniska wyjmowała pieniądze z bankomatów, pistolety maszynowe Heckler & Koch nonszalancko majtały się przy nogach. Spokojnie, żadnej nerwowości. Belsey spojrzął na tablice odlotów.

23.30 Saloniki YK954, pasażerów prosimy do wyjścia nr 16 Zostało mu dziesięć minut do końca odprawy i pięć do pojawienia się policji. Przebiegł przez terminal. Wszędzie widział znaki zakazu postoju i parkowania, ale samochody i tak stawały, rodziny obejmowały się i wrzucały walizki do bagażnika, zanim pojawiła się ochrona. Przez przeszkłone ściany terminalu na podjazd padało zimne syntetyczne światło. Gdzie ten Kovar?

Belsey patrzył na drogę i nasłuchiwał syren. Wtedy zobaczył idącego do niego Kovara i serce mocniej mu zabiło.

- Max - powiedział.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Kovar wyciągnął rękę, uśmiechając się serdecznie. Światło odbijało się w jego zębach. Jego dwóch ochroniarzy zostało przy wozach i negocjowało z pracownikami lotniska, którzy próbowali zmusić ich do odjazdu.

- Jack - przywitał się Kovar.

Przyjechał dwoma dżipami z przyczepami, kompletnie blokując drogę. Belsey z wyciągniętą ręką ruszył do niego, a równocześnie zerkał na przyczepy i ochroniarzy. To nie była furgonetka do przewozu pieniędzy.

- No to się spotkaliśmy - powiedział Kovar.

I nagle dłoń, którą Belsey miał uścisnąć, zniknęła, a on sam znalazł się w mgiełce krwi. Zobaczył, jak Kovar dziwnie wlatuje w powietrze, jeszcze zanim usłyszał strzał. Potem błyskawicznie przeanalizował odgłos: to nie był policyjny heckler ani broń ochrony lotniska. To był snajper.

Ochroniarze Kovara zareagowali po sekundzie. Dopadli do

niego, osłonili i odciągnęli do dżipa.

- Pieniądze! - krzyknął Belsey.

Druga kula musnęła ramię Belseya i trafiła w przyczepę.

Najwyraźniej to on stanowił cel. Rzucił się za betonowe płyty, szukając ochrony. Nagle przyczepa się zatrzęsła, a powietrze rozdarł kwik. Był straszny: zwierzęcy, pełen prymitywnego nagiego przerażenia. Jeden z ochroniarzy niepewnie wycelował w Belseya, ale wtedy między nimi świsnął kolejny pocisk.

Strzał padł z dachu terminalu i tam teraz mierzył mężczyzna.

Pierwszy dżip próbował ruszyć z rykiem silnika, kiedy kula przebiła boczne drzwi. Rozległo się wycie syren. Nadjeżdżała policja, pojawiły się też samochody ochrony lotniska. Jeden z nich pędził prosto na minikonwój Kovara. Kierowca dżipa wrzucił wsteczny i grzmotnął w niego przyczepą. Ta się przewróciła i wysypały się z niej konie.

Przez chwilę widać było tylko kłębowisko naprężonych mięśni, lśniących podków, wytrzeszczonych ślepi. Potem jeden koń wyplątał się, poderwał i uciekł w panice. Reszta ruszyła jego śladem. Rozpierzchły się na wszystkie strony. Piątka karych żrebaków i roczniaków. Drugi radiowóz skręcił, by uniknąć zderzenia, i wtedy wjechał w niego trzeci.

Belsey czołgał się po asfalcie. Z drugiej przyczepy dobiegał przerażony kwik. W środku kłębiły się przerażone zwierzęta.

Słyszac kolejny strzał, natarły na drzwi i wyważyły je, wrywając się na wolność. Wskoczyły, ciągnąc za sobą powrozy. W świetle jarzeniówek ich grzbiety wydawały się granatowe. Rzuciły się przed siebie, ale kiedy trafiły na ogrodzenie, zawróciły, szarżując na ochronę lotniska. Słyszać było tylko dudnienie ich kopyt.

Snajper znów strzelił.

Dwa wierzchowce wpadły do budynku terminalu. Potem trzeci i czwarty. Belsey obserwował, jak ktoś zsuwa się po ścianie budynku i spokojnym krokiem wchodzi do środka, wkładając żółtą kamizelkę tragarza. Do akcji włączyli się strażacy. Wjechali trzema

samochodami, próbując zablokować wejścia, ale i tak nie zdołali powstrzymać zwierząt. Korzystając z zamieszania, Belsey przemknął między nimi i wbiegł na dworzec lotniczy.

Tam otoczyły go krzyki pasażerów i obrzydliwa mieszanka zapachu perfum i alkoholu. Butelki bezcłowej wódki i wody po goleniu leżały roztrzaskane na podłodze. Ludzie porzucali je, w panice szukając bezpiecznego schronienia. Jeden z koni zablokował się w drzwiach obrotowych, drugi atakował bar Krispy Kreme, miażdżąc aluminiowe stoliki i krzesła. Rodziny tłoczyły się w lotniskowym pubie i Burger Kingu, próbując zabarykadować drzwi. Ludzie rozpierchli się na boki, tworząc na środku swoistą ziemię niczyją, po której krążyły przerażone wierzchowce.

Mężczyzna w ubraniu tragarza wskoczył na dach Burger Kinga. Belsey obserwował go, zastanawiając się nad następnym ruchem. Z zewnątrz padł strzał. To ochrona lotniska. Belsey już sięgał po odznakę, ale rozmyślił się i pobiegł na drugi koniec hali.

Następny strzał padł z góry w kierunku drzwi, przy których gromadziła się ochrona. Przyprowadziłem mu całą armię, pomyślał Belsey. Za przeszkłonymi ścianami budynku widział oddziały policji Cambridge, a za nimi - funkcjonariuszy stołecznej policji. Na podjeździe z piskiem opon hamowały radiowozy i samochody opancerzone, z których wysypywali się funkcjonariusze SOCA.

Do zapachów w hali dołączył fetor koni, które zostawiały na posadzce plamy moczu i nawóz. Kiedy snajper posłał kolejną serię, jedno z przerażonych zwierząt sforsowało stanowisko odpraw, a drugie rozbiło witrynę sklepu z pamiątkami. Trzecie natarło na stoisko linii Ryanair. Poślizgnęło się na perfumach.

Przez moment rozpaczliwie waliło kopytami, próbując odzyskać równowagę, potem runęło prosto na rząd plastikowych krzesełek. Jeden z wierzchowców dostał. Krew tryskała z rany, miotał się panicznie, szukając ucieczki. Jego przerażony kwik rozdzierał powietrze. Jeszcze inny przedarł się przez bramkę kontroli paszportowej. Noga uwięzła mu między wózkami bagażowymi. Z przeraźliwym trzaskiem runął na ziemię i miotał się z bólu. Z głośników wciąż sęczył się komunikat: *Ostatnie*

wezwanie. Pasażerów rejsu YK954 do Salonik prosimy do wyjścia nr 16.

Belsey postawił przewrócony stolik i wspiął się na daszek sklepu z krawatami Tie Rack. Kiedy ostrożnie wysunął głowę, jakieś pięćdziesiąt metrów przed sobą zobaczył, jak snajper ucieka na dach kantoru, gdzie schronił się za filarem.

Ocenił sytuację. Był o trzy sklepy dalej, od snajpera dzieliła go płatanina przewodów wentylacyjnych i metalowych elementów konstrukcji hali tworząca kurtynę, zza której przeciwnik mógł bezpiecznie obserwować sytuację: policjantów w cywilnych ubraniach, ochronę lotniska zajmującą stanowiska, oddziały SOCA dowodzone przez Northwooda. Komendant stołecznej policji wyglądał na zagubionego. Nikt nie wiedział, gdzie ukrył się zamachowiec.

Belsey miał jedną przewagę: znajdował się w hali. Jako ostatni odważył się przedrzeć do środka, zanim snajper zaczął ostrzalać. Teraz ze swojego stanowiska widział, jak tamten, odwrócony do niego plecami, zmienia magazynek. Skupiał się na obserwowaniu parteru. Nie zauważył Belsey. Zablokował magazynek, zarzucił broń na ramię i skoczył na dach stanowisk odprawy. Tam ustawił się, wycelował i posłał kolejną serię.

Miał dziesięć naboju, myślał Belsey. Liczył. Pięć strzałów.

Teraz sześć. Ostrożnie podciągał się z daszku na daszek i czołgał między rurami instalacji wentylacyjnej, zapewniającymi mu osłonę. Policja odpowiedziała ogniem, roztrzaskując szklany dach terminalu. Belsey uchylił się przed deszczem odłamków.

Snajper strzepnął szkło. Nie spieszył się. Obserwował sytuację i strzelał bezpiecznie ukryty za kolumną. Najwyraźniej zamierzał grać na zwłokę, licząc, że pojawi się szansa ucieczki. Otwór w dachu otwierał taką możliwość.

Snajper przeczołgał się na sam brzeg daszku i strzelił. Siła odrzutu omal nie zrzuciła go na ziemię. Belsey czekał. Dziesiąta kula raniła ochroniarza w ramię. Pora na zmianę magazynku.

Snajper szamotał się z blokadą. Wyrzucił pusty magazynek i sięgnął po kolejny. Belsey przeskoczył na daszek i wyrósł obok

niego.

- Milan - powiedział.

Przykucnął, żeby nie trafiła go przypadkowa kula. Snajper obejrzał się przez ramię, wciąż szukając magazynku. Wyglądał na zaskoczonego, jakby od dawna nie słyszał tego imienia i musiał się zastanowić, co oznacza. Okazał się młodszy, niż Belsey się spodziewał. I źle ocenił odległość między nimi. Policjant zadał mu potężny cios butem w twarz i patrzył, jak snajper spada.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Kiedy Belsey zeskokczył na ziemię, Milan Balic jeszcze żył.

Leżał na posadzce, wokół niego stało dziesięciu uzbrojonych policjantów. Strzelba znajdowała się poza jego zasięgiem. Po chwili grupa funkcjonariuszy otoczyła Belseya.

- Nic mi nie jest - uspokoił ich.

Wtem ktoś prysnął mu gazem pieprzowym w twarz, a ktoś inny pchnął go na posadzkę i skuł kajdankami.

- Hej...! - oburzył się.

Zawlekli go do jakiegoś pomieszczenia. Oczy go paliły.

- Zdejmijcie mi kajdanki - powiedział. Nikt jakoś się nie kwapił.

- To chociaż ołuczcie twarz!

Ktoś chlusnął na niego wodą tak, że odzyskał oddech, a jakiś czas potem i wzrok. Siedzieli w biurze imigracyjnym. Na ścianach wisiały mapy Afryki i Azji Środkowej. Wokół samo doborowe towarzystwo: Northwood, zwierzchnik komandosów, komisarz lotniska, a w tle nadkomisarz Bary Marsh, szef jednostki do spraw walki z terrorem kryminalnym, komendant Ashfield z komórki antyterrorystycznej. Zamknęli drzwi.

- Ja go znam - powiedział Northwood.

- Kapitanie - odparł Belsey. - Mów.

Belsey niespiesznie zbierał myśli. Miał wdzięczną widownię i fascynującą historię za pasem.

- Mężczyzna, którego schwytaliście, jest Chorwatem, najprawdopodobniej nazywa się Milan Balic. Ostatnio posługiwał się kanadyjskim paszportem wystawionym na nazwisko Antoine

Pelletier. Interpol zna go doskonale. Zapamiętały go Genewa, Paryż i Rzym. Balic otrzymał zlecenia na zabicie Jessiki Holden i Pierce'a Buckingham. Został wynajęty przez Hongkońskie Konsorcjum Gier Hazardowych, które padło ofiarą cwane go oszusta i utopiło trzydzieści osiem milionów dolarów, wręczając je jemu zamiast rosyjskiemu oligarsze Aleksiejowi Devereux.

Zamilkł, pozwalając im to w spokoju przetrawić. Pierwszy odezwał się nadkomisarz Marsh:

- W jaki sposób Jessica Holden była w to wszystko wplątana?

- Jessica za pośrednictwem agencji towarzyskiej poznała oszusta. Zakochali się, pomagała mu. Pieniądze miały być przeznaczone na przedsięwzięcie znane jako projekt „Budyka”.

Inwestycja miała polegać na wybudowaniu w Hampstead Heath kasyna i toru wyścigowego. Oszust rozpracował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Zachowywał się tak, jak przystało na oligarchę, który właśnie przyjechał do obcego kraju, między innymi zaprzyjaźniając się z nieodpowiednimi ludźmi.

Wykorzystał Pierce'a Buckingham, by naraił mu inwestorów, bo taka była życiowa misja tego playboya. W poprzednią sobotę w Guildhall odbyło się spotkanie, w czasie którego Buckingham przedstawił szczegóły projektu „Budyka”. Rybka połknęła haczyk i jeszcze tego samego dnia na konto oszusta wpłynęło mnóstwo pieniędzy. Po czym zniknęły. Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że prawdziwy Devereux ostatnio przeprowadził się na jakąś odległą wyspę i nie ma pojęcia o sprawie. Rozczarowane i wściekłe Konsorcjum zatrudniło agencję PO Ochrona. W ubiegłą niedzielę mężczyzna podający się za Devereux zabił jej człowieka, niejakiego Grahama Dougsdale'a. Znalazłem jego ciało w domu przy Bishops Avenue. Wszystko zaaranżowano tak, żeby każdy uznał, że to Devereux i że sam odebrał sobie życie. Oszust kupił psa i poderżnął mu gardło, żeby uwiarygodnić samobójstwo. Dougsdale'a nie było w jego pierwotnym planie. Od tego zaczęły się kłopoty.

Belsej przez chwilę rozkoszował się swoim triumfem.

Owszem, kajdanki boleśnie wrzynały się w ciało, ale słuchacze pili mu z ust.

- Oszust popełnił dwa błędy - podjął. - Zabił. I zakochał się.

Jedno i drugie wybiło go z rytmu. Przegapił odpowiedni moment na swoją śmierć. Każąc Jessice potwierdzić, że zmarły to Devereux, prawdopodobnie chciał zagrać na zwłokę, zyskać jeszcze kilka dni na ucieczkę. Pewnie uznał nawet, że trup spadł mu jak z nieba, bo wykiwani inwestorzy nie będą domagać się pieniędzy od nieboszczyka. Tymczasem Konsorcjum już knuło zemstę.

- Kto to jest? - zapytał komendant Ashfield.

Belsey powiódł wzrokiem po zarumienionych twarzach słuchaczy, a potem zatrzymał spojrzenie na mapach.

- Nie wiem. - Smutno pokręcił głową.

Rozległy się westchnienia i przekleństwa.

- Domyślasz się, gdzie można go znaleźć? - nie poddawał się Ashfield.

- A dokąd pan by się wybrał, gdyby chciał na zawsze zniknąć?

Cisza. Najwyraźniej żaden nie rozpatrywał takiej możliwości.

- Proszę przyznać Johnny'emu Cassidy'emu status informatora - powiedział Belsey - i powiedzieć sędziemu, że ogromnie pomógł w śledztwie.

- John Cassidy? - spytał Northwood. - On też maczał w tym palce?

- Owszem, bardzo mi pomógł. Później wyjaśnię, na czym to polegało. Radzę też przyjrzeć się uważnie agencji Towarzystwa od Serca. Zatrudniają nieletnie. A działają tylko dlatego, że mają układ z chłopcami z komendy rejonowej West End.

Nasi drodzy koledzy biorą ich panienki, organizują i filmują orgie, w których pojawiają się też zwierzęta i narkotyki.

- Komenda rejonowa West End?

- Sprawdźcie ich twarde dyski. Mogę zaczerpnąć świeżego powietrza?

Zdjęli mu kajdanki. Wstał, rozcierając nadgarstki. Dowództwo już się uwijało, wydając rozkazy i konferując ze Scotland Yardem. Zanosilo się na pracowitą noc. Belsey przeciskał się między nimi, próbując wydostać się na zewnątrz. Chryste, pomyślał, ogarniając spojrzeniem halę. Wtem obok niego wyrósł Northwood. Nadal wściekły i nadęty, ale zarazem jakby bardziej ludzki.

- Co powiesz?

- Komu?

- Każdemu.

- Nic.

Belsey wyczuł zmianę układu sił. Drobna, ale znacząca.

Mierzyli się wzrokiem, stojąc przy zdemolowanym lokalu Burger Kinga.

- Nagadasz nowych kłamstw swoim znajomkom z „Mail”?

- Zrobię, co w mojej mocy, by nie ucierpiało dobre imię żadnego funkcjonariusza pracującego w policji - zapewnił Belsey.

Northwood przełknął to nie do końca przekonany.

- Pojawi się wiele trudnych kwestii - stwierdził.

- Racja, będzie ich sporo. Dlatego pomyślałem, że zostawię to panu. - Oczy Belseyja błysnęły. - Co pan na to?

- Że to twoja pierwsza rozsądna decyzja od niepamiętnych czasów.

- Zostanę w robocie?

- Myślę, że da się coś załatwić.

- W takim razie powinienem się przespać - powiedział Belsey.

Przydzielono mu niańkę: młodego przejętego posterunkowego, który odprowadził go do radiowozu. Lotnisko zostało odcięte, policjanci rozciągali przed budynkiem taśmę. Jeden koń leżał na boku, nad nim pochylał się weterynarz. Pozostałe udało się okiełznać. W niebieskiej poświacie kogutów na siedemnastu radiowozach i karetkach policjanci odprowadzali poszkodowanych pasażerów do pobliskiego hotelu.

Posterunkowy otworzył przed Belseyem drzwi od strony

pasażera.

- Jakie dostałeś polecenie? - spytał Belsey.

- Mam pana odwieźć prosto to domu.

Belsey parsknął śmiechem. Prosto do domu. Za sobą słyszał hałasy: Northwood szykował się do konferencji prasowej, technicy przyglądali się scenie, nie wierząc własnym oczom. A potem samochód ruszył. Wiatr porwał wszystkie głosy i znów zapanowała cisza.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Ostatecznie powiedział niańce, że ma go odwieźć do Kilburn.

Młody policjant wysadził podopiecznego przy High Road, ale nie odjechał od razu. Obserwował go z zaparkowanego samochodu, jakby się obawiał wybuchu niesubordynacji. Belsey dla świętego spokoju skręcił w jakąś przyzwoicie wyglądającą uliczkę, odczekał, aż radiowóz odjedzie, i dopiero wtedy ruszył do Ridpatha. Sam nie wiedział, czego się spodziewać.

Volvo inspektora stało przed domem przygniecione ciężarem bagaży. Z domu widać była słabe światło.

Belsey zadzwonił. Ktoś podszedł do drzwi, ale nie otwierał.

- Wpuść mnie - powiedział Belsey. Milczenie.

- Jestem sam, nieuzbrojony.

Minęła jeszcze chwila, zanim Ridpath otworzył drzwi, wyrzwał na ulicę i cofnął się do środka. Belsey zobaczył, jak odkłada nóż do szuflady. Przemknęło mu przez myśl, że przecież inspektor już zabił. I to nie tak dawno. Mimo to nie czuł się zagrożony. Wszedł do środka i zamknął drzwi. Klapnął na zapadniętą kanapę.

- Trzydzieści osiem baniek - powiedział. - Kupa szmalu.

- Ile mi zostało? - spytał Ridpath.

- Sześć godzin to góra. Nie zatrzymywałbym się, żeby robić pamiątkowe zdjęcia.

- Nie powiedziałaś im o mnie?

- Jakoś mi umknęło.

Ridpath przyjrzał mu się uważnie. Lekko skinął głową.

- Po co przyszedłeś? - spytał wreszcie.

- Może chciałem się pożegnać?

Belsey powiódł wzrokiem po pokoju. Wstał, wyjął z szafki resztę szkockiej, przyniósł sobie kubek i nalał.

- Naprawdę sądzisz, że uda ci się uciec?

- Świat nadal jest całkiem spory.

- Może.

Belsey poczęstował Ridpatha whisky, ale ten odmówił. Życie zbiega, pomyślał. Czego tu zazdrościć? Trzeba nieustannie się oglądać, mieć się na baczności. Choć trzydzieści osiem milionów może to osłodzić.

Ridpath wyłączył gaz i odszukał płaszcz. Belsey dołął sobie whisky. Inspektor szperał pod zlewem, w końcu wyciągnął plik dokumentów, farbę do włosów, nożyczki i klej. Belsey patrzył, jak stoi bez ruchu ze swoim zestawem uciezkowym.

- Miała przy sobie paszport? - spytał nieoczekiwanie inspektor.

- Paszport? Kto, Jessica?

- Tak. Zamierzała ze mną wyjechać?

Powiedział to tonem człowieka boleśnie świadomego swojej śmieszności, który wystawia się na drwinę i zbroi się przeciwko niej. Jak przyjaciółka Jessiki opisywała Devereux? Był dobry, bogaty... Belsey zastanawiał się, czy tę przemianę uda się powtórzyć. A może Ridpath już rozglądał się za nowym miliarderem? Wtedy znów poczulby się wszechmocny.

- Nie wiem - odparł Belsey. Przypomniawszy sobie pożegnalny liścik i paszport w szafce dziewczyny. - Jasne. Dlaczego nie? - Wyjął z kieszeni zegarek. - Chcesz? Wciąż są na nim zdjęcia.

Ridpath przez chwilę przyglądał się roleksowi, potem wziął go od Belseya.

- Czekaj.

Poszedł na górę. Belsey rozglądał się po kuchni. W zlewie wciąż piętrzyły się naczynia, a dyplomy nadal leżały na półce.

„Inspektorowi Philipowi Ridpathowi w uznaniu jego pracowitości, sumienności i zaradności...” Inspektor wrócił z grubą

kopertą formatu A4.

- Co to?

- Tam wszystko jest wyjaśnione. Belsey ją wziął. Była ciężka.

- A co jeszcze trzeba wyjaśniać?

- W razie, gdybyś miał kłopoty.

Wyszli z domu razem. Belsey patrzył, jak Ridpath po raz ostatni zamyka drzwi. Spodziewał się, że inspektor rozejrzy się i z żalem będzie żegnał się z domem. Tymczasem on od razu wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk. Z Belseyem też się nie pożegnał. Szybko wrzucił wsteczny i ruszył ku Willesden Lane - na wygnanie.

Rozdział sześćdziesiąty piaty

Belsey nie poszedł od razu. Zresztą nigdzie mu się nie spieszyło. Siadł na murku naprzeciwko domu i obserwował budynek, który teraz wydawał się dziwnie miały, przykurczony, zupełnie jakby planecie nawaliły resory. Szumiało mu w głowie. Miał za sobą ciężki dzień. Patrzył na mieszkanie, przepatrywał niebo w poszukiwaniu gwiazd. Wreszcie spojrzął na kopertę, którą dał mu Ridpath. Czy naprawdę chciał poznać wytłumaczenie? Dźgnął ją, otworzył i wyciągnął plik banknotów z banderolą. Potem następny. Nowiuteńkie, jeszcze sztywne pięćdziesiątki i dwudziestki. Kucnął na ulicy i układał je równo na chodniku. Dwanaście plików. Jakies osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt kafli.

Hm, pomyślał. Część wsunął do kieszeni, resztę z powrotem do koperty i siedział dalej, głęboko oddychając. Hm, pomyślał znowu. A po chwili: przyda się na początek. Trzeba było to uczcić.

Złapał taksówkę, kazał zawieźć się do hotelu Dorchester i ruszył prosto do baru. W lokalu panował ruch, wyglansowane stoliki były zajęte, barmani uwijali się jak w ukropie. Bar był długi i zaokrąglony, nie brakowało luster ani kobiet i mężczyzn wyglądających na sławnych. Belsey zamówił butelkę szampana Krug Grand Cuvée. Patrzył na światła pod sufitem, szklane rzeźby,

aksamit. Pił najdroższego szampana w życiu, ale takim trunkiem nie można raczyć się w samotności. Osuszywszy połowę butelki, Belsey zdarł banderolę z pliku banknotów, złapał taksówkę i kazał się zawieźć na drugą stronę rzeki do Wishing Well.

- Ja stawiam - obwieścił w drzwiach.

- Nick!

Sławetna niedzielna paczka przyjęła go serdecznie.

- Za co teraz posiedzę, panie władzo?

Przyjmował przyjacielskie uderzenia w ramię i udawał, że oddaje. Zafundował wszystkim kolejkę. Kiedy barman zaczął nalewać, tłum nagle jakby zgęstniał.

- Co świętujemy?

Mężczyźni wyciągali komórki i zapraszali na imprezę. Belsey kupił dwie zakurzone butelki Cavy, które od niepamiętnych czasów stały na półce. Wlał w siebie morze sambuki i trochę zwietrzałego piwa. Potem wyszedł do budki telefonicznej na ulicy.

Zadzwoił do St Thomas' Hospital. Charlotte Kelson została wypisana. Szpital odmówił podania szczegółów. Belsey zatelefonował na komórkę, ale nie odbierała. Stał w budce, zastanawiając się, czy nie złożyć jej wizyty.

Poszedł do Lorenza.

- Nicky, wróciłeś.

- Co podać, Nicky?

Załapał się akurat na szalony koniec jakichś urodzin albo wieczoru panińskiego z paralitycznym didżejem i kobietami tańczącymi na stołach, które bynajmniej nie wyglądały, jakby robiły to na co dzień. Podłoga się lepiała. Właściciel bandażował sobie ramię.

Belsey fundował kolejkę za kolejką i zdobywał nowych przyjaciół. W pewnym momencie stanął za barem i sam szykował drinki. Zaczął gadać z jakąś dziewczyną.

- Kim jesteś? - spytała. - Barmanem?

- Nie, policjantem - odparł. I nawet nie bolało. Później przeniósł się do Roxy's, potem naprzeciwko do Blue Eyed Maid - pułapek na turystów i idealnych pubów dla tych, którzy nie chcieli

spać. Wreszcie, kiedy już nawet najwierniejsi druhowie zaczęli zamykać odrzwia, złapał taksówkę. Pojechał do Spanish Bar w Soho. Był tam gość, który pracował na promie. Pili wódkę z martini, domagali się, żeby barman zapalał im kolejne kieliszki. Po piątym czy szóstym razie Belseyowi najwyraźniej musiało się znudzić, bo teraz szedł sobie Euston Road. Choć nie miał domu, czuł, jakby się od niego oddalał. Noc była młoda.

Londyn powściągnął uśmiech, wciąż widząc go na starych śmieciach. To jak, brachu? - zdawał się mówić. Znów zostaliśmy tylko ty i ja.

\|/
(o o)
+-----oOO-{}-OOo-----+

Zapraszam na TnT. Najlepsza darmowa strona !!!

Zarejestruj się poprzez ten link :

<http://tnttorrent.info/register.php?refferal=2500332>